

KRISTIN HARMEL

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW
DOM PRZY ULICY AMÉLIE
ORAZ KSIĘGA UTRACONYCH IMION

A gdy znów się spotkamy

Sekrety
z czasów wojny
rujnują rodzinę.

Świat Książki

KRISTIN HARMEL

A gdy znów
się spotkamy

Z angielskiego przełożyła
Grażyna Woźniak


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

1. [Rozdział pierwszy.](#)
2. [Rozdział drugi](#)
3. [Rozdział trzeci](#)
4. [Rozdział czwarty.](#)
5. [Rozdział piąty.](#)
6. [Rozdział szósty.](#)
7. [Rozdział siódmy.](#)
8. [Rozdział ósmy.](#)
9. [Rozdział dziewiąty.](#)
10. [Rozdział dziesiąty.](#)
11. [Rozdział jedenasty.](#)
12. [Rozdział dwunasty.](#)
13. [Rozdział trzynasty.](#)
14. [Rozdział czternasty.](#)
15. [Rozdział piętnasty.](#)
16. [Rozdział szesnasty.](#)
17. [Rozdział siedemnasty.](#)
18. [Rozdział osiemnasty.](#)
19. [Rozdział dziewiętnasty.](#)
20. [Rozdział dwudziesty.](#)
21. [Rozdział dwudziesty pierwszy.](#)
22. [Rozdział dwudziesty drugi](#)
23. [Rozdział dwudziesty trzeci](#)
24. [Rozdział dwudziesty czwarty.](#)
25. [Rozdział dwudziesty piąty.](#)
26. [Rozdział dwudziesty szósty.](#)
27. [Rozdział dwudziesty siódmy.](#)
28. [Rozdział dwudziesty ósmy.](#)
29. [Rozdział dwudziesty dziewiąty.](#)

30. [Podziękowania](#)
31. [Przypisy](#)

Tytuł oryginału: ***When We Meet Again***

Wydawca: *Joanna Laprus-Mikulska*

Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*

Redakcja: *Maryna Wirchanowska*

Korekta: *Jadwiga Piller*

Copyright © 2016 by Kristin Harmel

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Grażyna Woźniak, 2022

Wydawnictwo Świat Książki

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

ISBN 978-83-828-9147-8

Warszawa 2024

Księgarnie internetowe: www.swiatksiazki.pl www.ksiazki.pl

Dystrybucja

Dressler Dublin Sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

tel. + 48 22 733 50 31/32

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Jasonowi i naszemu synowi;
każdego dnia uczycie mnie, że miłość potrafi być większa,
potężniejsza i piękniejsza, niż byłabym to sobie w stanie
wyobrazić. Dopóki na niebie będą świecić gwiazdy,
nigdy nie przestanę Was kochać.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Rozdział pierwszy

Telefon zadzwonił w piątek rano, kiedy leżałam w łóżku, użalając się nad sobą i usiłując wymyślić, co zrobię z resztą swojego życia.

– Pławisz się w żalu? – zapytał Brian Mayer, który aż do ubiegłego tygodnia był moim redaktorem naczelnym, kiedy odebrałam.

– Wylałeś mnie z pracy – odparłam, naciągając kołdrę na głowę, żeby zasłonić się przed promieniami porannego słońca. – Mam do tego święte prawo.

– Emily, oboje przeczuwaliśmy, że to w końcu nastąpi. Zresztą wcale nie zostałam wylana: twoją kolumnę zlikwidowano z powodów finansowych. – Westchnął i usłyszałam, że przekłada jakieś papiery. – Poza tym to była tylko praca na pół etatu. Masz całe mnóstwo innych zleceń, które pozwolą ci się utrzymać.

– Tak, bo przecież czasopisma i gazety na całym świecie wprost zasypują dziennikarzy pieniędzmi.

Pracowałam na własny rachunek, odkąd skończyłam dwadzieścia lat. W tamtych czasach branża dziennikarska kwitła, a freelancerzy mogli dobrze zarobić, pod warunkiem, że byli gotowi ciężko pracować. Jednak w ostatniej dekadzie rynek zapełnił się dziennikarzami i reporterami, którzy potracili etaty i teraz było ich zdecydowanie więcej niż zleceń.

– Zresztą nie dzwonię po to, by rozmawiać z tobą o bieżącej kondycji dziennikarstwa – odezwał się po krótkiej chwili Brian. – Mam coś dla ciebie.

Skopałam z siebie pościel i usiadłam na łóżku.

– Artykuł do napisania?

– Jasne, bo nasz budżet nagle się podwoił bez żadnego wyraźnego powodu. – Zarechotał. – Nie, miałem na myśli paczkę. Przyszła dzisiaj.

– Z jakiejś agencji PR-owej?

Bez przerwy dostawałam przypadkowe przesyłki: słoiki masła orzechowego do spróbowania, płyty z muzyką do recenzowania, modele ubrań, które nawet na mnie nie pasowały, chociaż moja praca – poza tworzeniem właśnie zlikwidowanej kolumny poświęconej związkom – polegała na tworzeniu testów osobowości. Było raczej mało prawdopodobne, że nagle napiszę pean na cześć którejś z marek masła orzechowego.

– Możesz ją wyrzucić albo przekazać jakiemuś stażyscie.

– Nie, chyba chodzi o coś innego. – Znowu usłyszałam szelest papierów. – To duże, płaskie kartonowe pudełko, może jakiś plakat? Z odręcznie wypisanym adresem. Nie wygląda, jakby przysłali je z agencji.

– W takim razie skąd nadano paczkę?

– Z jakiejś agencji sztuki w Monachium.

– Z Niemiec?

Zaskoczyło mnie to; moja kolumna ukazywała się wyłącznie w Stanach. Kto mógłby chcieć mi coś wysłać aż z Niemiec?

– Prześlę ci kurierem, dobrze? Chciałem cię tylko uprzedzić. I trzymaj się tam, okej? Los na pewno się do ciebie uśmiechnie. Jesteś bardzo utalentowana.

– Jasne – odparłam i rozłączyłam się, zanim zdążyłam mu powiedzieć, co naprawdę myślę: że bardzo utalentowani ludzie nie wylatują z pracy, którą wykonują od trzech lat.

Oczywiście nigdy nie byłam etatowym pracownikiem Craig Newspaper Group, ale sprzedawali moją kolumnę, *W związku z*, dwudziestu trzem gazetom w całym kraju, gdzie czytały ją miliony ludzi. Honorarium było przyzwoite; żyło mi się całkiem wygodnie, pod warunkiem, że co miesiąc zasilalam budżet kilkoma dodatkowymi zleceniami. Wydawało mi się, że przetrwałam załamanie rynku freelancingu, ale najwyraźniej tylko młóciłam wodę przed pójściem na dno.

Zresztą to i tak musiało wcześniej czy później nastąpić. Nie mogłam wiecznie udawać ekspertki w temacie, o którym nie miałam bladego pojęcia. I chociaż zawsze bardzo się przykładałam do pisania artykułów, powołując się na wyniki badań naukowych albo słowa lepiej niż ja zorientowanych przyjaciółek czy koleżanek z pracy, sam pomysł tworzenia kolumny poświęconej związkom

przez notorycznie samotną kobietę można by uznać za absurdalny. Szczerze mówiąc, utworzyłam nawet folder z emailami i listami od czytelników, którzy zarzucali mi, że jestem zgorzkniałą starą panną. Niewykluczone, że mieli rację. Oczywiście dostawałam też wiele listów z podziękowaniami od czytelników, którzy pisali, że pomogłam im przetrwać rozwód albo zachęciłam ich do pogodzenia się z członkiem rodziny, z którym dawno stracili kontakt, odkryłam jednak, że ludzie częściej piszą do mnie w przypiływie gniewu niż wdzięczności. Wtedy też częściej używali słowa na „k”.

Paczka z Niemiec zawierała pewnie ironiczny plakat z poradami „jak zdobyć faceta” od złośliwego czytelnika, który przypadkiem trafił na moją kolumnę w sieci. Nie byłby to pierwszy – ani nawet piąty – tego typu „prezent”. Choć nie pamiętam, by ktokolwiek do tej pory próbował mnie znieważać aż z Niemiec.

Ponownie zanurkowałam pod kołdrę, próbując zasnąć. Tego dnia miał się ukazać mój ostatni felieton i nie uśmiechało mi się uczestniczenie w pogrzebie własnej kolumny.

*

Cztery godziny później, wbrew temu, co sobie obiecywałam, siedziałam w restauracji z widokiem na jezioro Eola w centrum Orlando naprzeciwko mojej najlepszej przyjaciółki, Myry, która dramatycznie wymachiwała mi przed nosem najnowszym wydaniem „Orlando Sentinel”.

– Powinnaś być z siebie dumna – oznajmiła z przekonaniem. – Mówię poważnie, Emily. Pomogłaś tą kolumną bardzo wielu ludziom, a do tego umiałaś się pożegnać z klasą.

– Przecież mówiłam, że nie chcę o tym dziś rozmawiać. – Upiłam łyk sauvignon blanc.

Picie wina o drugiej po południu było czymś zupełnie akceptowalnym, gdy nie miało się pracy. Podobnie jak to, że sączyłam właśnie drugą lampkę.

– Szkoda, bo i tak będziemy o tym rozmawiać. Chowanie głowy w piasek jeszcze nikomu nie wyszło na dobre. Jestem prawie pewna, że pisałaś o tym w którymś ze swoich felietonów.

– Niczego nie chowam. – Uniosłam kieliszek w udawanym toaście.
– Chciałam tylko zaznaczyć, że cała moja dotychczasowa kariera była o kant stołu potłuc.

– Użalanie się nad sobą nie jest w twoim stylu. – Myra wezwała gestem kelnera i zamówiła kolejną dietetyczną colę. W przeciwieństwie do mnie miała pracę, do której musiała wrócić. Działała w fundacji Easter Seals Florida, co oznaczało, że naprawdę pomagała ludziom przez cały boży dzień. – Na szczęście z lektury twoich felietonów nie da się wywnioskować, że kompletnie w siebie nie wierzysz.

Wzruszyłam ramionami. Myra miała rację: znacznie lepiej radziłam sobie z tworzeniem świata na papierze niż w tym prawdziwym. Gdybym tylko mogła przeżyć całe swoje życie bezpiecznie schowana za ekranem komputera.

– Jak już mówiłam – podjęła Myra, gdy dostała zamówiony napój – twój ostatni felieton jest świetny. Na pewno sobie poradzisz.

– Wiem. Po prostu nie sądziłam, że stanę się bezrobotna w wieku trzydziestu sześciu lat.

– Spójrz na to inaczej. Nie masz żadnych zobowiązań, nic cię nie ogranicza. Żadnego męża, żadnych dzieci. Możesz się zająć dosłownie wszystkim. Jesteś wolna jak ptak.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Tak, szczęściara ze mnie. Wiecznie samotna i bezdzietna. Marzenie każdej kobiety.

Myra zmarszczyła brwi, wyraźnie zatroskana.

– Zupełnie nie o to mi chodziło.

– Wiem – mruknęłam.

Mimo wszystko słowa przyjaciółki mnie zabolaty, szczególnie że nie były tak do końca prawdziwe, o czym Myra świetnie wiedziała. Miałam dziecko, tylko że oddałam je do adopcji w połowie swojego życia. Teraz, gdy moja córka sama skończyła osiemnaście lat i była dorosła, dotarło do mnie, jak beznadziejnie mi się wiedzie. Niby co mi dała cała ta pozorna wolność, która miała się wiązać z oddaniem dziecka? Jedno wielkie nic, podczas gdy moja córka prawdopodobnie rozkwitała pod cudzym dachem, przemieniając się w dorosłą kobietę.

Wyraz twarzy Myry się zmienił; widziałam, że ona też myśli o Catherine – tak nazwałam swoją córkę, zanim musiałam ją oddać pielęgniarce. Zwierzyłam jej się niedawno; dobrze było wreszcie rzucić z siebie ten ciężar. Historię córki nosiłam ukrytą głęboko w sercu, w miejscu, gdzie przechowywałam te fragmenty mojego życia, które chciałam zarazem wyryć w pamięci i je z niej wymazać.

– Nie chodziło mi o to, że nie masz dziecka – odezwała się cicho Myra. – Palnęłam bez zastanowienia.

Pokręciłam głową, udając, że mnie to nie ruszyło.

– Nie przejmuj się. Przecież to prawda. Oddałam ją, nie? Teraz jest dzieckiem kogoś innego, nie moim.

Jednak pomimo że nie widziałam Catherine od dnia, w którym ją urodziłam – i miałam świadomość, że rodzice adopcyjni nadali jej nowe imię – nadal była moja w jakimś pierwotnym, biologicznym sensie. Zawsze będę ją kochać, zawsze będę o niej myśleć, zawsze będę się martwić, czy przypadkiem jej nie skrzywdziłam, zamiast jej pomóc, oddając ją. Była z mojej krwi, z moich kości i nawet po tylu latach myślałam o niej zaraz po przebudzeniu prawie każdego dnia. Zamieściłam żenująco dużą liczbę postów na stronach i w chat roomach przeznaczonych dla adoptowanych osób w nadziei, że któregoś dnia ją odzyskam i upewnię się, że dobrze sobie radzi. Ale wciąż się nie ujawniła.

– Czyli naprawdę tak myślisz? – zapytała Myra, ponownie wymachując gazetą z moim felietonem. – To, co napisałaś o przebaczeniu?

Zamrugłam nerwowo, postanawiając dłużej się nad sobą nie użalać.

– Zawsze piszę to, co myślę. – Była to gładka odpowiedź, może nie do końca mijająca się z prawdą, ale też nie całkiem szczera. Mój pożegnalny felieton poświęciłam ruszaniu do przodu ze swoim życiem i napisałam, że kluczem do sukcesu jest pozbycie się zadawnionych żalów. „Urazy stoją nam na przeszkodzie w budowaniu i naprawianiu relacji z innymi”. Chodziło mi o to, że odpuszczanie nie jest wcale takie łatwe, jak się nam czasem wydaje.

– Więc może już czas, żebyś skorzystała z własnej rady i wybaczyła sobie – powiedziała Myra. – Może stoisz w miejscu, bo nadal masz wyrzuty sumienia, że oddałaś córkę do adopcji.

– Wcale nie – odparłam błyskawicznie, wiedząc, że mój spuszczone wzrok dobitnie świadczy o nieprawdziwości tych słów.

– Emily. – Myra z westchnieniem pokręciła głową. – Posłuchaj mnie. Już o tym rozmawialiśmy. To była najlepsza decyzja, jaką mogłaś wtedy podjąć. Nie myślałaś o sobie, tylko o niej. Nie byłaś przygotowana na pojawienie się dziecka w wieku osiemnastu lat, szczególnie tuż po śmierci mamy. Chciałaś mu dać lepsze życie.

Wlepiłam spojrzenie w kieliszek, który jakimś cudem znowu był pusty.

– Wiem.

I naprawdę wiedziałam. Podjęłam tę decyzję z właściwych pobudek. Nie oznaczało to jednak, że przestałam je kwestionować. Poza tym Myra nie wiedziała wszystkiego. Nikt na całym świecie – poza moją babcią Margaret, która zmarła w tym roku – nie znał całej prawdy.

– Z perspektywy czasu widać, że tworzenie kolumny poświęconej relacjom przez osobę, która najchętniej schowałaby głowę w piasek, nie było najlepszym pomysłem – zauważyłam, gdy w końcu uniosłam wzrok i spostrzegłam, że Myra wciąż uważnie mi się przygląda.

Uśmiechnęła się.

– A może była to najlepsza rzecz, jaką mogłaś zrobić, bo dzięki temu stawiałaś czoło własnym demonom. Ale najtrudniejsze dopiero przed tobą.

– To znaczy?

Myra ze śmiechem spojrzała na felieton.

– Zacytuję niezwykle mądrą Emily Emerson, więc słuchaj uważnie: „Może i doznałeś w przeszłości krzywdy, ale jeśli nie znajdziesz sposobu na to, by zostawić za sobą zadawnione żale, pociągną cię one na dno. Naucz się więc wybaczać, nawet jeśli to trudne” – zamilkła na moment i znowu się do mnie uśmiechnęła. – Zapytam jeszcze raz: czy naprawdę wierzysz w to, co napisałaś?

Spuściłam wzrok i przytaknęłam.

– Świetnie. W takim razie pora przejść od słów do czynów, moja droga. Spróbuj sobie wreszcie wybaczyć.

– Tak jest, pani kapitan – odparłam słabo, dając kelnerowi znak, żeby przyniósł mi jeszcze jeden kieliszek wina. – Już się do tego

zabieram.

Prawda była jednak taka, że nie miałam pojęcia, od czego zacząć.

*

Dwa dni później dzwonek zabrzączał dokładnie w chwili, gdy kończyłam pisać artykuł o lokalnej triatlonistce dla magazynu „Runner’s World”. Czasem trafiało mi się od nich jakieś zlecenie, a to sprawiło mi szczególną przyjemność, ponieważ lubiłam pisać o ludziach, którzy robili coś dobrego dla innych. W tym przypadku bohaterka artykułu trzykrotnie pokonała raka piersi i biegała w zawodach, żeby zwiększyć świadomość społeczną w kwestii tej choroby; świetnie się bawiłam, przeprowadzając z nią wywiad podczas lunchu w Winter Park na przedmieściach Orlando w ubiegłym tygodniu.

– Idę! – zawołałam, ale zanim dotarłam do drzwi, furgonetka FedExu już odjeżdżała spod mojego domu.

Na ganku leżało płaskie kartonowe pudełko. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że Brian obiecał mi przesać paczkę z Niemiec. Podniosłam ją i zabrałam do środka, wciąż przekonana, że to jakiś żart od wrednego czytelnika. Ciekawość wzięła jednak górę, więc oderwałam pasek taśmy i wyjęłam z pudełka to, co się w nim znajdowało.

Jeszcze zanim skończyłam odpakowywać przedmiot z ochronnej folii, wiedziałam, że nie trzymam w ręku plakatu. Papier był gruby, o wyraźniej fakturze, a kiedy zdjęłam przykrywającą go cienką warstwę pergaminu, na podłogę wypadła zaklejona koperta. Podniosłam ją, a niewielkich rozmiarów obraz postawiłam na stole w kuchni, opierając go o ścianę.

I wlepiłam w niego oniemiały wzrok.

Była to akwarela o bogatej teksturze przedstawiająca kobietę ze spojrzeniem utkwionym w dal, stojącą pośrodku czegoś, co przypominało pole kukurydzy. Miała na sobie czerwoną sukienkę z poszarpanymi brzegami i rozdarciem na prawym rękawie, a na jej twarzy malowała się zarazem determinacja i tęsknota. W tle rozciągało się niebo w uderzającym odcieniu purpury.

– Co u...? – mruknełam, przeciągając palcami po twarzy kobiety na obrazie.

Wyglądała dokładnie jak młodsza wersja mojej babci Margaret. Zaledwie dwa miesiące wcześniej pisałam o jej śmierci w swojej kolumnie, uzupełniając felieton starym rodzinnym zdjęciem, na którym babcia trzymała za rękę mojego tatę, gdy był małym chłopcem – nie mogła być wtedy starsza więcej niż kilka lat od kobiety, której wizerunek miałam teraz przed sobą.

Z trudem łapiąc powietrze, sięgnęłam po kopertę, rozdarłam ją i wyjęłam ze środka karteczkę.

Jestem po lekturze Pani felietonu i wiem, że nie ma Pani racji – napisał ktoś eleganckim charakterem pisma. – Pani dziadek nigdy nie przestał jej kochać. Margaret była miłością jego życia.

Liścik nie był podpisany, a sprawiająca wrażenie kosztownej kartka niczym się nie wyróżniała. Nie miałam pojęcia, kto mógł być autorem wiadomości, lecz ta osoba wyraźnie sugerowała, że znała mojego dziadka. Tyle że nie było to możliwe. Dziadek zniknął jeszcze przed narodzinami mojego ojca. Za każdym razem, gdy o niego pytałam, babcia Margaret milkła, wiedziałam jednak, że ją opuścił, tak samo jak później mój ojciec zostawił moją matkę i mnie.

Tematem mojego felietonu sprzed dwóch miesięcy był właśnie wpływ decyzji jednego z rodziców na następne pokolenia. Pisałam w nim, że moja babcia była kochaną osobą, ale zawsze czułam, że czegoś jej brakuje, jakby utraciła część siebie. Snułam rozważania o tym, czy mój tata – który wychował się, nie wiedząc, kim był jego ojciec – nie borykał się przypadkiem z brakiem jednego rodzica i niedostatkiem uwagi ze strony drugiego. Babcia Margaret zawsze sprawiała wrażenie lekko nieobecnej i nawet po jej odejściu czułam, że pewne sprawy pozostawiła niedokończone. Gdy zmarła, odsłuchałam ostatnią wiadomość, którą nagrała mi na komórkę. *Muszę się z tobą spotkać, Emily* – powiedziała słabym, drżącym głosem. – *Proszę, przyjedź do mnie jak najszybciej, skarbie.* Zostawiła mi ją bladym świtem w walentynki, zaledwie parę godzin przed tym, jak wydała ostatnie tchnienie, a ja to przespałam.

W swoim felietonie nie wspominałam o tym, że sama również kontynuowałam rodzinną tradycję, chociaż w głębi serca właśnie dlatego go napisałam: z obawy przed tym, że chcąc nie chcąc,

podzielę los ojca i babci. W końcu od lat nie byłam w prawdziwym związku i porzuciłam córkę, czyż nie? Czy było mi pisane dokładnie to samo co im? Czy miałam to we krwi? Na koniec felietonu zachęciłam czytelników do zastanowienia się nad ich własnymi rodzinnymi historiami i skonfrontowania się z tym, co miało wpływ na ich relacje z innymi ludźmi, zanim będzie za późno. Oczywiście nie umknął mi fakt, że po raz kolejny nie stosowałam się do własnych rad.

Wpatrując się w obraz, usiłowałam myśleć logicznie. Może ktoś namalował go już po tym, jak ukazał się mój artykuł, wzorując się na naszym rodzinnym zdjęciu? Wiedziałam jednak, że to niemożliwe: gruby papier lekko pożółkł na brzegach, co świadczyło o tym, że liczył wiele lat, a kobieta na obrazie miała zamyślony wyraz twarzy, podczas gdy na zdjęciu w gazecie babcia leciutko się uśmiechała. Bez wątplenia namalował ją ktoś, kto ją znał. Czyżby autor liściku sugerował, że mój dawno zaginiony dziadek był malarzem?

Musiałam się dowiedzieć, skąd pochodził ten obraz. Podeszłam do komputera, wpisałam nazwę galerii do wyszukiwarki, a później wybrałam numer podany na stronie.

Jednak po kilku sygnałach szybko obliczyłam, że w Monachium jest już prawie dziewiąta wieczór. Nie byłam więc zaskoczona, że połączyłam się z automatyczną sekretarką. Nie rozumiałam słowa po niemiecku, więc nie miałam pojęcia, czego dokładnie dotyczył nagrany komunikat, ale po usłyszeniu sygnału zaczęłam mówić, licząc na to, że któryś z pracowników galerii zna angielski.

– Dzień dobry, nazywam się Emily Emerson i właśnie otrzymałam pocztą obraz z państwa galerii, bez nazwiska nadawcy. Jest to portret kobiety stojącej w polu, na tle pięknego nieba. Czy mogliby państwo oddzwonić do mnie w wolnej chwili?

Zostawiłam swój numer, rozłączyłam się i przez dziesięć minut stałam w kuchni, wpatrując się w twarz babci. W końcu sięgnęłam po telefon jeszcze raz, głęboko zaczerpnęłam powietrza i zadzwoniłam do ostatniej osoby, z którą miałam ochotę rozmawiać.

– Cześć – powiedziałam, gdy odebrał mój ojciec. Jego głęboki głos był boleśnie znajomy, chociaż nie rozmawialiśmy ze sobą od prawie ośmiu miesięcy. – Mówi Emily. Muszę ci coś pokazać.

– Emily? – Trudno mi było znieść pobrzmiewającą w tym pytaniu nadzieję. Ojcu chyba wydawało się, że w końcu wyciągam do niego rękę, chociaż nie taki miałam zamiar. – Oczywiście, już do ciebie jadę.

Rozdział drugi

Ojciec zjawił się pół godziny później w nienagannie wyprasowanych grafitowych spodniach, jasnobłękitnej koszuli i szarym krawacie. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z biura. Wydawał się szczuplejszy niż ostatnim razem, kiedy go widziałam, czyli na pogrzebie babci w lutym, i uderzyło mnie to, jak bardzo się od tamtego czasu postarzał. Włosy prawie całkiem mu posiwiały, a zmarszczki na twarzy wydawały się znacznie głębsze.

– Cześć, skarbie – powiedział, spoglądając na mnie z nadzieją.

– Wejdz – odparłam, odwróciłam się i ruszyłam w stronę kuchni, zanim zdążył zrobić coś krępującego, na przykład mnie przytulić.

Ojciec mieszkał teraz w Orlando; siedem lat wcześniej przeprowadził się tu z Miami, najwyraźniej licząc, że zdoła naprawić nasze relacje. Otworzył nawet filię swojej firmy, Emerson Capital Investments, przy Orange Avenue w centrum miasta, żeby się do mnie zbliżyć. „Chciałem częściej bywać w Orlando, żebyśmy mieli szansę lepiej się poznać” – powiedział, gdy zadzwonił do mnie po raz pierwszy, zupełnie niespodziewanie. Od tamtej pory sumiennie próbował do mnie dzwonić co dwa tygodnie, ale ja prawie zawsze czekałam, aż połączy się z pocztą głosową, i kasowałam większość wiadomości bez odsłuchiwania. Bo niby o czym mielibyśmy rozmawiać?

Ojciec zostawił moją matkę i mnie, kiedy miałam jedenaście lat, i poślubił swoją dwudziestoczteroletnią wówczas asystentkę. Miała na imię Monica. Podczas naszego pierwszego spotkania oznajmiłam, że jej nienawidzę i że nie miała prawa rozbijać małżeństwa moich rodziców. Ona z kolei zapowiedziała mojemu ojcu, że nie chce mieć więcej do czynienia z jego bachorem, o czym dowiedziałam się parę tygodni później, gdy próbował mi wytłumaczyć, dlaczego od tej pory rzadko będzie się do mnie odzywał. Zanim skończyłam siódmą klasę, wyprowadził się do Miami

i przez dziesięć lat – dopóki Monica była obecna w jego życiu – praktycznie nie mieliśmy kontaktu. Zupełnie jakby zapomniał, że ma dziecko.

Po rozwodzie próbował odbudować nasze relacje, ale dla mnie było już za późno. Porzucenie dziecka w taki sposób wydawało mi się czymś niewybaczalnym. Jeszcze gorsze było to, że nie zreflektował się nawet po śmierci mojej matki. Zmarła krótko po moich osiemnastych urodzinach, więc nie chodziło już o kwestię sprawowania nade mną opieki, ale musiał przecież wiedzieć, jaka czułam się wtedy samotna. Najwyraźniej miał to gdzieś. Zadzwoił raz, złożył mi kondolencje i na tym koniec. Czułam się jak idiotka, ponieważ przez kolejny miesiąc za każdym razem, gdy słyszałam dzwonek, miałam nadzieję, że zobaczę na progu ojca, który jednak sobie o mnie przypomniał.

Zanim zjawił się ponownie przed budynkiem wydziału dziennikarstwa na Uniwersytecie Florydy, gdzie studiowałam na ostatnim roku, żeby błagać mnie o drugą szansę, zdążyłam wznieść wokół siebie mur. Wiedziałam już, że w życiu mogę liczyć wyłącznie na siebie. Nigdy mu nie wybaczyłam, że nauczył mnie tego, gdy byłam tak młoda. I chociaż przez ostatnich kilka lat wielokrotnie nagrywał na moją pocztę głosową wylewne przeprosiny, tłumacząc, że porzucenie mnie było największym błędem w jego życiu, nie mógł już naprawić krzywdy, którą mi wyrządził.

– Ależ się ucieszyłem, że do mnie zadzwoniłaś – powiedział, delikatnie zamykając drzwi wejściowe, i ruszył za mną korytarzem. – Wiem, że mam ci sporo do wyjaśnienia i wynagrodzenia, ale...

Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– To nie jest wizyta towarzyska – weszłam mu w słowo. – Dostałam coś, o co muszę cię zapytać.

Ojciec wyglądał na załamanego, ale posłusznie kiwnął głową i wszedł za mną do kuchni. Wskazałam ręką w stronę stołu, a gdy zobaczył oparty o ścianę obraz, stanął jak wryty, wlepiając w niego wzrok.

– Co to jest, Emily?

– Zdaje się, że portret babci Margaret – odparłam z wahaniem. – Chyba...

W milczeniu wyciągnął rękę w kierunku obrazu, dokładnie tak samo jak ja godzinę wcześniej. Przesunął palcami po rysach twarzy swojej matki, a gdy znowu na mnie spojrzał, ze zdumieniem dostrzegłam w jego oczach łzy.

– Skąd się tu wziął?

– Przysłali mi go z galerii w Monachium. – Podałam mu liścik. – Brakuje podpisu. Nie mam pojęcia, kto jest autorem.

Ojciec omiół zdumionym wzrokiem treść karteczki.

– „Jestem po lekturze Pani felietonu i wiem, że nie ma Pani racji – przeczytał na głos. – Pani dziadek nigdy nie przestał jej kochać. Margaret była miłością jego życia”. – Zajrzał mi w twarz. – Chodzi o twój felieton sprzed paru miesięcy, w którym piszesz o krzywdach przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Odwróciłam wzrok, ogarnięta nagłym poczuciem winy.

– Tak. – Odchrząknęłam. – Chyba powinnam cię przeprosić. Nie wiedziałam, że czytujesz moją kolumnę.

– Oczywiście, że tak. – Powiedział to łagodnym tonem, bez cienia urazy. – Przeczytałem każdy felieton. I nie musisz mnie przeproszać. Miałaś całkowitą rację. Zachowałem się wstrętnie.

– W porządku. – Przygryzłam wargę i ponownie zwróciłam się w stronę obrazu. – Na ile jesteś przekonany, że to babcia Margaret?

Ojciec chwilę przyglądał się obrazowi.

– Na sto procent. Pod koniec życia opowiadała mi wciąż tę samą historię. Powtarzała, że w dniu, w którym poznała mojego ojca, miała na sobie czerwoną sukienkę, a niebo przybrało purpurową barwę, bo właśnie wschodziło słońce. Zupełnie jak na tym obrazie. Opisywała mi dokładnie tę scenę. – Przymknął na moment powieki. – Było mi bardzo przykro, że u kresu życia, gdy jej umysł zasnuwała coraz gęstsza mgła, myślała o człowieku, który najdotkliwiej ją skrzywdził. Wcześniej nigdy nie słyszałem, żeby wspominała o nim z własnej woli.

– Tęskniła za nim – stwierdziłam łagodnie i znowu dopadło mnie poczucie winy, że tak rzadko spotykałam się z babcią w ostatnich miesiącach jej życia. Byłam zbyt zajęta karierą, żeby wygospodarować dla niej więcej czasu, a teraz już zawsze miałam tego żałować. Spojrzałam na obraz, na znajome rysy babcinej

twarzy. – Ale kto mógł mi go przysłać? Myślisz, że ta osoba wie, kim jest twój ojciec?

– Jakoś nie umiem sobie tego wyobrazić. Moja matka nie potrafiła wyjaśnić, co się z nim stało, a jakiś obcy z Niemiec miałby znać nasze rodzinne sekrety? Coś tu się nie klei.

– Wiem. A jeśli to prawda? Może babcia Margaret rzeczywiście była miłością życia twojego ojca.

Odwrocił wzrok.

– A on tak po prostu zniknął? Bez oglądania się za siebie? A teraz ktoś przysłał ci dziwną, enigmatyczną wiadomość, że mój ojciec nigdy nie przestał jej kochać? – Pokręcił głową. – Obawiam się, że to mało prawdopodobne.

Nagle poczułam, że zaczyna się we mnie kłębić coś mrocznego.

– Co jest mało prawdopodobne? Że ją kochał, a mimo to odszedł?

– No cóż, tak. Nie zostawia się ludzi, których się kocha. – Popatrzył na mnie i nagle dotarło do niego, co właśnie powiedział. – Nie miałem na myśli nas, Emily. To była zupełnie inna sytuacja.

Zamrugłam nerwowo i poczułam, jak łącząca nas wątko nic porozumienia się zrywa.

– Jasne, rozumiem. Jaki ojciec, taki syn.

Zaczekał, aż znowu spojrzę mu w oczy.

– Tak mi przykro, Emily. Naprawdę cię przepraszam. Nic nie zdoła naprawić tego, co zrobiłem.

– W takim razie po co w ogóle próbujesz?

Nie mogłam znieść chłodu w swoim głosie, a jednak pozwalałam mu się pojawić w każdej rozmowie z ojcem. Tak było po prostu łatwiej.

– Posłuchaj, odszedłem z powodu problemów, z którymi się borykałem, i własnych niedostatków. To właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Chciałbym ci to wszystko jakoś wynagrodzić.

– Daruj sobie. – Nagle poczułam się kompletnie wyczerpana. – Słyszę, co mówisz, ale to i tak niczego nie zmienia. – Zamilkłam i utkwiałam spojrzenie w twarzy babci.

– Wiem – odparł ojciec i odchrząknął. – Co zamierzasz zrobić w związku z tym obrazem, Emily? Co ci chodzi po głowie?

Odetchnęłam głęboko.

– Muszę się dowiedzieć, kto mi go przysłał i co dokładnie wie. Chcę lepiej zrozumieć, co się wtedy stało.

– Ja też. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Odwróciłam się do niego plecami.

– Dzięki, ale poradzę sobie sama.

– W takim razie po co do mnie dzwoniłaś? – zapytał łagodnie, ale i tak się najeżyłam.

– Nie wiem. Myślałam, że może będziesz wiedział coś przydatnego. Najwyraźniej się pomyliłam.

Ojciec ponownie spojrzał na akwarelę.

– Wiem tylko – odezwał się po chwili – że wychowałem się bez ojca. A później zrobiłem dokładnie to samo tobie. – Uśmiechnął się smutno, ścisnął mnie za ramię i ruszył w stronę drzwi. – Wierz mi, ja też chcę się dowiedzieć prawdy. Emily – dodał, zatrzymując się w progu. – Cieszę się, że się odezwałaś.

*

Telefon zadzwonił następnego ranka tuż po szóstej, wyrwijąc mnie z koszmaru, w którym ojciec i Monica stali nad grobem mojej matki i szydzili ze mnie.

– Mówi Nicola Schubert z Galerie Schubert-Balck w Monachium – usłyszałam w słuchawce głos zabarwiony silnym akcentem. – Czy rozmawiam z Emily Emerson?

– Tak, przy telefonie – powiedziałam już całkiem otrzeźwiona, sięgając po notes i długopis.

– Mam nadzieję, że pani nie obudziłam, ale chciałam oddzwonić jak najszybciej.

– Żaden problem – zapewniłam ją szybko. – Próbowałam się skontaktować z galerią, ponieważ przysłaliście mi państwo obraz...

– Tak, tak – przerwała mi Nicola. – Wiem o tym. Obawiam się jednak, że niewiele więcej mogę pani powiedzieć. *Dziewczyna na polu na tle purpurowego nieba* niewątpliwie jest pięknym malunkiem.

– A więc ten obraz ma tytuł?

– Nie, nie, tak go po prostu nazywamy. Niewiele wiemy na jego temat.

– Ale kto wam go przysłał? – zapytałam. – I dlaczego?

– Właśnie to usiłuję pani wytłumaczyć. Naprawdę nie mam pojęcia. Dostarczył nam go kurier razem z listem napisanym na maszynie.

– Zachowała go pani?

Kobieta prychnęła.

– Ależ skąd. Recyklingujemy papier. Ale mogę pani powiedzieć, co w nim było: że pieniądze zostały już przelane na konto galerii i że powinny spokojnie pokryć koszt renowacji obrazu i przesłania go pod wskazany adres, co zresztą okazało się prawdą. W liście napisano również, że obraz przez wiele lat przechowywano w zawilgoconym pomieszczeniu i że przed wysyłką powinien zostać doprowadzony do idealnego stanu. Nadawca dołączył do przesyłki zaklejoną kopertę i prosił, żeby wysłać ją razem z obrazem. Być może umieścił w niej więcej informacji.

– Nie – odparłam z westchnieniem, przypominając sobie tajemniczą wiadomość. – Czy wie pani, skąd wysłano obraz? Z jakiejś innej galerii w Monachium?

– Szczerze mówiąc, przesyłkę przyjmowała jedna z moich asystentek, więc nie mam pojęcia, skąd pochodziła.

– Czy mogę porozmawiać z tą asystentką?

– Z Bettiną? Niestety odeszła miesiąc temu.

– Czy istnieje jakiś sposób, żeby się z nią skontaktować? – Usłyszałam desperację w swoim głosie. – Chciałabym ją tylko zapytać, czy pamięta, skąd się u was wziął ten obraz.

Nicola westchnęła.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Rozstaliśmy się w mało przyjemnych okolicznościach.

Czułam, jak potencjalne tropy wymykają mi się z rąk jeden po drugim.

– Czy domyśla się pani, dlaczego ten obraz przysłano akurat do państwa galerii?

– Zapewne dlatego, że jestem uważana za jedną z najlepszych specjalistek w dziedzinie renowacji tego rodzaju dzieł sztuki. – Ton jej głosu jasno wskazywał, że uraziło ją moje pytanie. – A nadawca tej przesyłki musiał wiedzieć, jak wielką renomą cieszy się nasza galeria.

– I nie wie pani, kto namalował ten obraz?

Kobieta zawahała się.

– Nie mam pojęcia.

Domyślałam się, że wiedziała więcej, niż była skłonna mi powiedzieć, ale zanim zdążyłam ją o cokolwiek dopytać, odezwała się ponownie:

– Panno Emerson, muszę się teraz zająć klientami. Oddzwoniłam do pani z grzeczności. Mam nadzieję, że podoba się pani obraz. Jest bardzo piękny. Byłam pod ogromnym wrażeniem umiejętności artysty, który go namalował, i muszę przyznać, że z przyjemnością zajęłam się renowacją.

– Czy może mi pani o nim powiedzieć coś jeszcze?

– Zna się pani na sztuce?

– Nie, nie bardzo.

– W takim razie obawiam się, że moje techniczne wyjaśnienia na niewiele się pani zdadzą. Zresztą trudno byłoby to wytłumaczyć przez telefon. Proszę się cieszyć tym obrazem. Miłego dnia. – To powiedziawszy, rozłączyła się, a ja zostałam sama z aparatem w ręce, jeszcze bardziej zdezorientowana niż wczoraj.

Rozdział trzeci

Wrzesień 1944

Parę minut po siódmej rano Peter Dahler stał samotnie pośród bezkresu falujących zielonych pól. Kiedy zmrużył oczy, potrafił sobie wyobrazić, że jest w łodzi na środku jeziora Hackensee z Franzem u boku; ojciec wiosłuje, a matka siedzi z głową odchyloną do tyłu, grzejąc twarz w promieniach słońca. Tamte dni dawno jednak minęły.

Niebo z dziecięcych wspomnień Petera miało przejrzysty odcień lodowego błękitu, ale tutaj, na błotnistych polach uprawnych ciągnących się aż po jezioro Okeechobee pierwsze promienie porannego słońca nadawały niebu zadziwiający odcień kobaltu, który następnie przechodził w aksamitne indygo i delikatny fiolet. Przez pierwszą godzinę dnia niebo rzucało cień na strzeliste źdźbła trzciny cukrowej, zalewając ciągnące się aż po horyzont pola morskim błękitem, podczas gdy smukłe palce trzciny poruszały się na wietrze niczym morskie fale.

– Weźmiesz się wreszcie do roboty? Czy zamierzasz się przez cały ranek gapić w niebo, Dahler? – Głos Harolda rozniósł się po polu, przywracając go do rzeczywistości. Peter zerknął przez ramię i zmusił się do uśmiechu na widok swojego ulubionego strażnika, który co jakiś czas naginał dla niego zasady, pozwalając mu obejrzeć piękny wschód słońca. Jeńcy najczęściej rozpoczynali pracę o dziewiątej, a z obozu znajdującego się na południe od Okeechobee niewiele było widać. Ich baraki stały w zagajniku na skraju zarośniętego bagna, które – jak przypuszczał Peter – miało im przypominać, że nawet gdyby spróbowali uciec, i tak nie mieliby dokąd. Jednak Harold, z którym Peter w innych okolicznościach mógłby się nawet zaprzyjaźnić, najwyraźniej rozumiał, że ktoś, kto naoglądał się w swoim życiu tylu okropności, potrzebuje też czasem nieco piękna.

– Przepraszam. Już pracuję – odparł Peter po angielsku z taką łatwością, jakby to był jego ojczysty język, chociaż ze śladami akcentu. – Jeszcze raz dziękuję, że pozwolił mi pan tu przyjść wcześniej.

– Nie ma za co.

Harold ponownie wlepił wzrok w horyzont. Ciekawe, czy myślał o tym, co działo się na wschodzie, po drugiej stronie oceanu: o strasznej wojnie, w której żaden z nich nie brał już udziału. Petera pojmano na polu bitwy, starszego o jakieś dziesięć lat Harolda przydzielono do żandarmerii wojskowej i został na lądzie, gdzie pilnował jeńców wojennych, podczas gdy jego koledzy popłynęli bronić ojczyzny. A teraz obaj utknęli tutaj.

– Ja też lubię takie poranki – odparł po chwili. – Tylko nie pozwól, żeby nadzorca przyłapał cię na zbijaniu bąków, słyszysz?

– Tak jest, oczywiście. – Peter uśmiechnął się przepaszająco, przerzucił sobie przez ramię nóż do cięcia trzciny i ponownie zwrócił się na wschód.

Zamierzał pracować z twarzą zwróconą w stronę wschodzącego słońca, żeby widzieć niebo mieniające się tymi wszystkimi fantastycznymi kolorami. W miarę jak słońce pięło się w górę, temperatura rosła, komary zlatywały się całymi chmurami, wydając ciche, jednostajne bzyczenie, a powietrze stawało się tak wilgotne, że prawie nie można było oddychać. Jednak na razie świat wydawał się idealny.

W Holzkirchen, niewielkim bawarskim miasteczku, w którym wychował się Peter, były takie piękne zachody słońca, z tym że barwy zmieniały się w odwróconej kolejności: najpierw pojawiał się mleczny błękit, później fiolet, nasycone indygo i wreszcie kobalt, stopniowo czerniejący do barwy smoły, gdy kolory rozplywały się pod postacią wąskiej linii w miejscu, gdzie ziemia spotykała się z niebem. Petera zawsze dziwiło, że te same barwy, które zwiastowały koniec dnia w Niemczech, tutaj, po przeciwnej stronie oceanu, oznajmiały nadejście nowego. Koniec nagle stał się początkiem.

Peter bez trudu odnalazł miejsce, w którym zakończył pracę poprzedniego dnia. Za kilka godzin miał pracować ramię w ramię z dziesiątkami innych więźniów, więc rozkoszował się tym samotnym czasem i doceniał to, że Harold nie siedzi mu na karku. Przez chwilę

wyobrażał sobie, że strażnik darzy go zaufaniem, ale oczywiście tak być nie mogło. Pomimo okazywanej mu przez Harolda życzliwości, Peter nadal był jego wrogiem.

Opuścił karczownik, mocno zaciskając palce na drewnianym uchwycie, i poczuł jego ciężar. Zanim przyплыnął na Florydę, nigdy wcześniej nie widział podobnego noża. Przypominał trochę *Buschmesser*, maczetę, ale miał krótsze i cieńsze ostrze, idealne do przedzierania się przez wysokie łądygi trzciny cukrowej. Noże do pracy na plantacjach były zakończone haczykowato, co pomagało robotnikom podnosić plony z ziemi, ale i tak trzeba było się co chwilę schylać, a później ładować ściętą trzcinę na stojące nieopodal wozy. Pod koniec dnia wszyscy byli obolali i lepcy od syropu, który na nich skapywał.

Niebo stawało się coraz jaśniejsze, a Peter pracował rytmicznie. Ścinając łądygi, zaczął grać w swoją ulubioną grę: przy każdym zamachu przywoływał jedno wspomnienie z domu.

Szuuu – dłonie matki wyrabiające ciasto na chleb.

Trach – ojciec czytający rano gazetę, zbielełe kłykcie palców zaciśniętych na kubku z kawą.

Szuuu – Franz przymierzający wojskową czapkę starszego brata dzień przed tym, jak Peter wyruszył na front; śmiał się, ponieważ była na niego o wiele za duża.

Trach – wszyscy troje stojący w drzwiach i machający mu, gdy odchodził, i słońce chowające się za ich skromnym domem.

Były też złe wspomnienia: gdy rodzice czasem na siebie krzyczeli, myśląc, że synowie już śpią; wieczory, kiedy na stole nie było dość jedzenia; posepny wyraz twarzy ojca, kiedy Peter ośmielił się przeciwstawić jego politycznym poglądom; ranek, w którym Kleinmannowie prowadzący jatkę na końcu ulicy zostali wywleczeni z domu przez esesmanów, wrzuceni do ciężarówki i wywiezieni z wioski raz na zawsze.

Przede wszystkim jednak Peter odczuwał tęsknotę za krajem, którego nie widział od czterech lat. A w poranki takie jak ten, gdy niebo skąpane było w pięknie, dopadała go szczególnie silna nostalgia.

Ojczyzna. *Heimat*. Właśnie to słowo przyszło mu do głowy, kiedy ujrział ją po raz pierwszy. Nadchodziła od wschodu, pierwsza

z czterech miejscowych robotnic, które wynurzyły się z morza trzciny cukrowej na ścieżkę. Miała na sobie czerwoną bawełnianą sukienkę, postrzępioną i obszarpaną na brzegach, a gdy tak szła skąpana w porannym świetle na tle purpurowiejącego nieba, przypominała gwiazdę filmową lub anioła. Jej długie, brązowe włosy tańczyły w podmuchach porannego wietrzyku. Chód miała zarazem delikatny i pewny siebie. Peter znieruchomiał z niemal komicznie uniesionym karczownikiem.

Być może czując na sobie jego wzrok, odwróciła się w stronę Petera i ich spojrzenia się spotkały. Żadne z nich nawet nie mrugnęło. Przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę w kompletnym bezruchu, jakby świat wokół nich stanął. A może, myślał Peter, odtwarzając później w pamięci tamtą scenę, tylko to sobie wyobraził. Może ta dziewczyna wcale się nie zatrzymała. Może nawet go nie zauważyła.

A jednak musiała go widzieć. W końcu odwróciła wzrok i ruszyła przed siebie, prowadząc resztę dziewcząt, które sprawiały wrażenie młodszych od niej. Peter patrzył, jak przepuszcza je przodem, do jednego z zaułków trzcinowego labiryntu. A później, gdy już mu się zdawało, że więcej nie zobaczy jej twarzy, odwróciła się i spojrzała przez ramię. Znowu na siebie popatrzyli i to wystarczyło, żeby serce Petera napełniło się nadzieją, gdy dziewczyna poszła dalej i zniknęła na polu.

*

Tamtej nocy śnił o dziewczynie w czerwonej sukience. Czuł się dziwnie – nie tylko z tego powodu, że widział ją w snach, lecz także dlatego, że po raz pierwszy od prawie półtora roku jego sny były słodkie i błogie, a nie wciąż przerywane i denerwujące. Od tamtej okropnej nocy na afrykańskiej pustyni, gdy Otto, jego najlepszy przyjaciel, umarł mu na rękach, Peterowi co noc śniły się krew i śmierć.

Należał do Afrika Korps i chociaż nasłuchiwał się samych okropnych rzeczy na temat warunków, w jakich wojska Hitlera przemierzały Europę, nie spodziewał się, by tam mogło być gorzej niż u nich. Piasek znajdował się wszędzie, nieskończony, kłujący, paskudny,

a w niektóre dni Peter nie był w stanie sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał w ustach kroplę wody. Generał Rommel, który nimi dowodził, w marcu 1943 niespodziewanie pojechał do Niemiec, oświadczając, że musi przekonać Führera o dramatycznej sytuacji na froncie afrykańskim. Tyle że już nie wrócił i od tamtej pory wszystko się sypało. Dowództwo przejął generał von Arnim do spółki z włoskim generałem Messelem, a Peter wkrótce pojął, że żaden z nich nie ma pojęcia, co robi.

Otto zginął na froncie, Peter zaś nie mógł wybaczyć siłom, które dopuściły do takiej tragedii. Obaj wychowali się przy tej samej ulicy, i odkąd skończyli trzy lata, byli dla siebie jak bracia; dzielił ich zaledwie miesiąc różnicy wieku. Pomimo załamywania się niemieckiej gospodarki w dzieciństwie wyobrażali sobie, że są właścicielami nieprzebranych bogactw. Szukali razem skarbów, widzieli się w roli wspaniałych morskich odkrywców, a gdy mieli po dziesięć lat, przyrzekli sobie, że któregoś dnia będą razem jeździć po świecie. Zaledwie rok później Hitler rozpoczął swój marsz po władzę, a oni – jako jedni z nielicznych – potajemnie stwierdzili, że z wyglądu przypomina gryzoniowatego pirata Rattego, bohatera książki, którą czytali tamtego lata. Niemcy jednak, a w szczególności krewni obydwu chłopców, pałali miłością do Hitlera, zatem Peter i Otto musieli uciekać do swojego domku na drzewie ukrytego w lesie, gdzie wymyślali opowieści o nikkzemnym piracie Rattem, który zdołał wmówić całemu narodowi, że jest jego wybawcą.

Dziesięć lat później Otto i Peter – już nie chłopcy, tylko mężczyźni – znaleźli się w piaszczystej i jałowej alternatywnej rzeczywistości, walcząc w sprawie, której wcale nie uważali na słuszną.

– Wiesz, Peter – powiedział z uśmiechem Otto w wieczór swojej śmierci – nie do końca to miałem na myśli, kiedy planowaliśmy wspólne zwiedzanie świata.

Peter roześmiał się pomimo głodu, pragnienia oraz tego, że na ciągnącej się aż po horyzont pustyni śmierć czaiła się na każdym kroku.

– Nie marzyłeś o tym, żeby walczyć w Afryce?

– Wolę myśleć, że kiedy to wszystko się skończy, popłyniemy razem do Ameryki – odparł Otto.

Peter uniósł brew.

– Ameryka, powiadasz? Ale oni nas tam nienawidzą. Przepłynęli ocean, żeby z nami walczyć.

– Dziwisz im się? – mruknął Otto. – Zresztą nieważne. Po wojnie będziemy znakomitymi ambasadorami Niemiec. Pokażemy im, że nie wszyscy u nas przypominają szczerzego pirata.

Peter roześmiał się, myśląc, że przyjaciel plecie bzdury. Ameryka! Jakoś nie umiał sobie tego wyobrazić.

– Zawsze mierzyłeś wysoko. A teraz spróbuj się przespać, bo inaczej rano nie będziemy się do niczego nadawać.

Dwie godziny później coś wyrwało go ze snu. Od razu wyskoczył ze śpiwora i przykucnął, gotowy do walki z niewidzialnym wrogiem. Niczego jednak nie słyszał, więc po dłuższej chwili wstrzymywania oddechu spojrzał w górę i uzmysłowił sobie, co go obudziło. Niebo mieniło się dziesiątkami roztańczonych świetlistych punkcików.

– *Mein Gott* – mruknął pod nosem, ponownie się kuląc. Ważne było, żeby trzymać się blisko ziemi, ponieważ w każdej chwili mógł ich obserwować nieprzyjaciel. – Istny cud.

I chociaż logiczna część umysłu Petera wiedziała, że świetliste widowisko to efekt deszczu meteorytów, romantyczna część jego duszy czuła, że chodzi o coś więcej. Oto nagle w samym środku piekła ujrzał niebo.

– Otto! – szepnął, potrząsając przyjacielem. – Obudź się, musisz coś zobaczyć! – Wskazał w górę, a Otto, wciąż przecierając oczy, podążył za jego spojrzeniem i wydał okrzyk zachwyty.

– Coś niesamowitego – odparł z uniesionym wzrokiem i otwartymi ze zdziwienia ustami. – Gdzie jest północ?

Peter wskazał w lewo od miejsca, w którym widniał sierp księżyca.

– Chyba tam.

Otto wstał i zapatrzył się w ciemność. Dookoła niego po niebie śmigły spadające gwiazdy.

– Prawie widać stąd Niemcy, Peterze – powiedział. – Spójrz tylko, gwiazdy wskazują nam drogę do domu.

– Lepiej usiądź, przyjacielu – odezwał się ze śmiechem Peter – zanim wezmą cię na cel.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, świat eksplodował; grad kul ze świstem przeleciał przez ich obóz niczym rój pijanych trzmieli.

– Otto! – wrzasnął Peter. – Padnij!

Nie doczekał się jednak odpowiedzi, a gdy wokół nich zawrzało i noc wypełniła się dymem, który zasłonił błyszczące gwiazdy, padł na kolana i zaczął szukać przyjaciela. Przecież dzieliło ich nie więcej niż pół metra. Gdzie on się podział?

– Otto? Otto, gdzie jesteś?

Jego dłoń wylądowała na czymś ciepłym i mokrym i w ułamku sekundy Peter uświadomił sobie, że dotyka ramienia przyjaciela.

– Otto! – jęknął.

Nachylił się i spróbował wyczuć puls, podczas gdy powietrze przecinały kule, na które Niemcy odpowiadali ogniem. Znalazł jednak tylko ziejącą dziurę wielkości orzecha włoskiego w szyi przyjaciela, a gdy z przerażeniem odsunął rękę, była cała we krwi.

– Otto? – szepnął, ale było już za późno.

Oczy przyjaciela, szeroko otwarte i nieruchome, wpatrywały się w przestrzeń, jakby mogły się przebić przez chmurę pyłu i strachu aż do nieba nad nimi, usianego spadającymi gwiazdami.

– Nie, mój przyjacielu! Tylko nie to.

I znowu nie doczekał się odpowiedzi.

– Chodź, Dahler! – zawołał ktoś pośród całego tego chaosu.

– Nie mogę go tu zostawić! – odrzyknął Peter, próbując dźwignąć bezwładne ciało Ottona z mokrej ziemi pośród świszających kul.

– On nie żyje! – krzyknął ktoś inny. – Zostaw go albo sam zginiesz!

Peterowi udało się pokonać jakieś czterdzieści metrów z ciałem przyjaciela, zanim pojawiło się przy nim dwóch żołnierzy, którzy zmusili go, by je porzucił, i wbrew woli Petera zawlekli go w bezpieczne miejsce. Nigdy sobie nie wybaczył, że zostawił przyjaciela samego w morzu krwi i piachu. Tak samo jak nie wybaczył sobie, że to z jego powodu Otto zginął. Gdyby go nie obudził, żeby pokazać mu deszcz meteorów, jego przyjaciel nadal by żył.

Zaledwie dwa miesiące później wojna skończyła się również dla Petera.

W noc, kiedy trafił do niewoli, przysnął z wyczerpania i pragnienia w płytkim rowie, który wykopał gołymi rękami. Gdy się zbudził, wszędzie było pełno aliantów. Jego dowódca oznajmił żołnierzom, że poddają się Amerykanom. Kiedy Peter podniósł ręce nad głowę, zalała go fala wstydu, jednak wcale nie dlatego że przegrał i musiał

się poddać. Czuł wstyd z powodu ulgi, że nie musi już dłużej walczyć.

*

Od ponad roku Peter zastanawiał się nad sensem tego wszystkiego; jakie plany mógł mieć wobec niego Bóg, przerzucając go z Afryki na to niekończące się pole trzciny cukrowej we florydzkim skwarze. Zamienił jałową pustynię na moczary, a kontynent afrykański na północnoamerykański, lecz oba znajdowały się potwornie daleko od miejsca, w którym się urodził. Na początku tęsknił za domem, jednak z biegiem czasu zaczął mu się udzielać dobry humor amerykańskich strażników i docenił urodzaj ziemi, na którą trafił. Otto miał rację co do tego miejsca.

Peter zbudził się z obrazem dziewczyny w czerwonej sukience pod powiekami i przez moment zastanawiał się, czy przypadkiem to wszystko nie miało go doprowadzić właśnie tutaj. Koszmar wojny, rozpacz niewoli, harówka – może to ta nieznajoma była ich powodem.

Szaleństwem było myśleć w ten sposób. Peter nawet jej nie znał. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Nie miał pojęcia, ile ta dziewczyna ma lat, czy nie jest mężatką albo czy nie pała do Niemców nienawiścią, tak jak wielu Amerykanów, z którymi się spotkał. Jednak we śnie, który wciąż wyświetlał mu się pod powiekami, uśmiechała się do niego. I przyzywała go do siebie. Nawet teraz, w jasnym świetle dnia, Peter marzył wyłącznie o tym, żeby za nią podążyć.

Rozdział czwarty

– Tak sobie myślę – powiedział ojciec, gdy zadzwonił do mnie w poniedziałek rano – że chyba mam dla ciebie pewien trop.

Obraz wciąż stał oparty o ścianę na stole w mojej kuchni, a ja przez ostatnie cztery dni na zmianę wpatrywałam się w niego i szukałam w internecie jakichkolwiek informacji na temat mojej babci. Zmarła w lutym w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, a wcześniej prowadziła raczej spokojne i samotne życie. Jedynymi wzmiankami na jej temat, jakie udało mi się znaleźć w prasowych archiwach, był jej nekrolog oraz artykuł pochodzący z 1964 roku, w którym rozmawiała z dziennikarzem o tym, że jej syn – a mój ojciec – Victor rozpoczął właśnie studia w Yale. Próbowałam wyszukiwać jej nazwisko w połączeniu z hasłami „Monachium”, „Niemcy” i „obraz”, ale nie trafiłam na nic istotnego. Poprzedniego dnia musiałam się zająć nowym zleceniem dla magazynu „Seventeen”, ale zagadka tajemniczego obrazu wciąż nie chciała mi wyjść z głowy.

– Trop? – powtórzyłam sceptycznie.

– Tak. Dziwię się, że wcześniej na to nie wpadłem. Kiedy moja asystentka zajmowała się organizacją pogrzebu twojej babci, obdzwoiła wszystkich, których nazwiska znalazła w jej notesie. Jedną z osób, która przyjechała na mszę, był jej przyjaciel z dzieciństwa. Nawet mi się przedstawił, ale nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać.

– Nie rozumiem. – Niewiele wiedziałam na temat przeszłości mojej babci; urodziła się w 1926 roku i wychowała na farmie gdzieś na południu Florydy, ale po wyprowadzce z domu zerwała kontakty z rodziną i nigdy nie wspominała o latach sprzed narodzin mojego ojca na początku 1946 roku. – Wydawało mi się, że babcia całkowicie odwróciła się od tej części swojej przeszłości.

– Też tak myślałam. Ale ten człowiek, Jeremiah Beltrain, powiedział mojej asystentce, że przez wszystkie te lata dzwonił do siebie od czasu do czasu. Podobno nawet często ją odwiedzał, kiedy byłam dzieckiem, chociaż ja tego nie pamiętam.

– Na drugie masz Jeremiah. Czyżby babcia Margaret nadała ci imię na jego cześć?

– Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. – Zamyślił się. – Tak się teraz zastanawiam, czy ten człowiek nie wie przypadkiem czegoś na temat przeszłości twojej babci. Zawsze to jakiś początek. Jeśli podam ci jego numer, powiesz mi, czego się dowiedziałas?

– Okej – zgodziłam się.

Zanotowałam numer i podziękowałam ojcu, chociaż po skończonej rozmowie zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie zadzwonił do tego człowieka wcześniej, zanim przysłano mi ten obraz. Nie miał ochoty dowiedzieć się czegoś więcej o przeszłości własnej matki? Ja z całą pewnością miałam. Właśnie na tym polegała różnica między moim ojcem a mną. Dla mnie rodzina była ważna.

Zanim zadzwoniłam do Jeremiaha, wyszukałam go w internecie; kontaktując się z nieznanymi, starałam się zebrać na ich temat jak najwięcej informacji. Tym razem jednak niewiele udało mi się znaleźć. Wspomniano o nim tylko raz, w artykule z 2006 roku w „Palm Beach Post” poświęconym niezależnej uprawie trzciny cukrowej, gdzie został opisany jako siedemdziesięcioletni farmer z miasteczka Belle Creek. Szybko policzyłam, że musiał mieć teraz osiemdziesiąt trzy lata, czyli był o sześć lat młodszy od babci. Dość duża różnica wieku, szczególnie dla dwojga dzieciaków. Ciekawe, jak się poznali.

Sięgnęłam po telefon, wybrałam numer, który dostałam od ojca, i odczekałam trzy sygnały.

– Halo? – dobiegł mnie męski głos, gdy już miałam się rozłączyć. Mój rozmówca z trudem łapał oddech.

– Dzień dobry. Chciałabym rozmawiać z Jeremiahem Beltrainem.

– Przy telefonie. Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni? – zapytał z nutką podejrzliwości w głosie.

– Nazywam się Emily Emerson – zaczęłam. – Jestem...

– Wnuczką Margaret! – wszedł mi w słowo. – O rany! Miałem nadzieję, że któregoś dnia do mnie zadzwonisz, moja droga. Margaret była z ciebie bardzo dumna.

Przez chwilę nic nie mówiłam. Zaskoczyło mnie, że wiedział, kim jestem.

– Dziękuję – odparłam wreszcie. – A więc się przyjaźniliście? Mężczyzna zachichotał.

– Zupełnie nic nie pamiętam z czasów sprzed poznania twojej babci, Emily. Była wspaniałą kobietą.

– Dziękuję. Też tak uważam. – Wzięłam głęboki wdech. – Dzwonię do pana z niecodziennym pytaniem. Niedawno otrzymałam pocztą obraz od anonimowego nadawcy z liścikiem, w którym ta osoba pisze, że mój dziadek nigdy nie przestał kochać mojej babci, że to ona była miłością jego życia.

Jeremiah gwałtownie zaczerpnął powietrza.

– Co takiego?

– Obraz przedstawia moją babcię, a przynajmniej tak mi się wydaje. Chciałabym zrozumieć, co oznacza w połączeniu z liścikiem, ale nic nie wiem na temat jej przeszłości. Nigdy nie opowiadała o moim dziadku; uparcie unikała tego tematu. – Przez chwilę milczałam. – Ale mój tata twierdzi, że dorastał pan razem z nią, więc pomyślałam, że może pan będzie coś na ten temat wiedział.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Cóż, taką historię należałoby chyba przekazać osobiście, nie sądzisz? Dałabyś radę przyjechać do Belle Creek? To mała miejscinka na południowym brzegu Okeechobee. Powinnaś tu dotrzeć w parę godzin, jeśli wciąż mieszkasz w Orlando.

– Skąd pan wie?

– Twoja babcia często o tobie opowiadała. – Słyszałam, że się uśmiecha. – To jak, przyjedziesz?

Spojrzałam na zegarek. Była dopiero dziesiąta rano.

– Może być dzisiaj? Mogłabym wyruszyć za jakąś godzinę.

– Doskonale. Myślę, że twoja babcia chciała, żebyś poznała prawdę, moja droga. Jednak czasami, jeśli żyjesz ze złamanym sercem, trudno opowiedzieć o tym, co najbardziej cię zraniło.

Podał mi swój adres i wskazówki, jak jechać. Pożegnaliśmy się, wiedząc, że zobaczymy się za kilka godzin.

*

Wzięłam szybki prysznic, włożyłam letnią sukienkę, umalowałam się delikatnie i zrobiłam aparatem w komórcie kilka zdjęć obrazu, po czym ruszyłam w drogę do Belle Creek, miasteczka, z którego istnienia nie zdawałam sobie dotąd sprawy. Miałam jechać płatną drogą ekspresową Florida Turnpike do autostrady 441, a stamtąd drogą stanową 78 na zachód w kierunku Okeechobee, ogromnego płytkiego jeziora, które na mapie przypominało wyszczerbione „O” wycięte z południowej części stanu.

Skorzystałam ze zjazdu I-4, żeby dostać się na Turnpike, a gdy już jechałam drogą ekspresową na południe, moje myśli zaczęły błądzić. Czy Belle Creek naprawdę jest rodzinnym miasteczkiem mojej babci? Dlaczego ani razu o nim nie wspomniała? I co ten człowiek będzie mógł mi o niej opowiedzieć?

Babcia zawsze była dla mnie zagadką. Nigdy nie wątpiłam w to, że mnie kochała, ale nie należała do osób lubiących opowiadać o swoim życiu ani otwarcie okazywać uczuć. Tak skrzętnie ukrywała tajemnice z przeszłości, jakby w ogóle nie zaprzętała sobie nią głowy.

Przez długi czas żałowałam, że nie odziedziczyłam po niej tej cechy. Cudownie byłoby zostawić przeszłość za sobą, zamknąć ją na cztery spusty. Niczego nie pragnęłam bardziej niż zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się w roku narodzin Catherine, ale im mocniej próbowałam to od siebie odepchnąć, tym bardziej mnie to prześladowało. A teraz, gdy ona osiągnęła pełnoletność, coraz częściej przywoływałam tamte zdarzenia. Zaczęłam nawet mieć problemy z zasypianiem, ponieważ wszystko to, o czym tak usilnie próbowałam zapomnieć, nagle zaczęło mnie nawiedzać w snach.

W marcu tamtego roku moja matka zginęła w wypadku samochodowym, zaledwie dwa i pół miesiąca przed tym, jak skończyłam szkołę średnią. Ojciec zostawił nas siedem lat wcześniej, ale jego matka, babcia Margaret, przez cały czas utrzymywała z nami kontakt. Była tak samo zbulwersowana jego decyzją jak my i chociaż nie odwróciła się od niego, wiedziałam, że ich stosunki wyraźnie się ochłodziły. „Zawsze mi się wydawało, że wpoiłam mu odpowiednie wartości – powiedziała mi któregoś dnia,

gdy miałam szesnaście lat. – Ale on odszedł, tak samo jak kiedyś jego ojciec. Przykro mi, że wychowałam człowieka, który tak was skrzywdził, skarbie. Nigdy sobie tego nie wybaczę”.

Kiedy miałam trzynaście lat, babcia Margaret przeprowadziła się z Atlanty do mieszkania z widokiem na zatokę w St. Petersburgu na Florydzie i odwiedzałam ją każdego lata. Po śmierci mojej matki przyjechała do Atlanty i zamieszkała ze mną, gdy kończyłam szkołę. Jako jedyna osoba na całym świecie wiedziała, że jestem w ciąży.

Oczywiście popełniłam błąd. Gdy jeszcze moja matka nie zginęła, a życie wciąż było piękne, miałam chłopaka, Nicka. I kochałam go. Boże, ależ ja go kochałam. Byliśmy razem zaledwie przez pół roku, gdy moja matka zmarła, a ja – kompletnie załamana i zrozpaczona – odsunęłam się od wszystkich. Przyjaciele rozpięchli się po paru tygodniach, ale Nick został. On jeden trwał przy mnie, nawet gdy go odepchnęłam. Teraz wreszcie to widziałam, ale wtedy nie byłam w stanie dostrzec niczego poza faktem, który zdominował i przyćmił całą resztę: że ludzie, którzy powinni nas kochać, wcześniej czy później odchodzą.

„Możesz polegać wyłącznie na sobie”. Powtarzałam te słowa niczym mantrę, dzień po dniu, więc kiedy odkryłam, że jestem w ciąży – dokładnie miesiąc po śmierci mamy – wiedziałam, że nie mogę o tym powiedzieć Nickowi. Co bym zrobiła, gdyby mnie przez to znienawidził? Albo co gorsza został ze mną wyłącznie z litości i porzucił mnie po narodzinach naszego dziecka? Nie zniósłabym tego.

Dlatego nikomu nie powiedziałam o ciąży. Nick nie zwrócił uwagi na moje poranne mdłości, rosnący brzuszek, ani nawet na to, że w ciągu miesiąca biust urósł mi o cały rozmiar, ponieważ stopniowo odsuwałam się od niego, pochłaniając drugie śniadanie w pustej klasie oraz ignorując jego wieczorne telefony. Jednak już sam fakt, że wciąż próbował i patrzył na mnie z uczuciem, o którym w głębi serca wiedziałam, że jest miłością, o czymś świadczył. Tyle że uznanie tego spowodowałoby uszczerbek w zbroi, którą z całych sił próbowałam się chronić.

Ceremonia rozdania dyplomów odbyła się siódmego czerwca, a nazajutrz rano wyjechałyśmy z babcią Margaret na Florydę, nie oglądając się za siebie. Zostałam już przyjęta na Uniwersytet

Florydzki, gdzie jako przedmiot kierunkowy planowałam wybrać dziennikarstwo, ale ponieważ ginekolog potwierdził, że urodzę pod koniec października, musiałam zadzwonić do dziekanatu i poprosić o odroczenie przyjęcia na uczelnię, tłumacząc się żałobą po śmierci matki. Pozwolono mi rozpocząć naukę w styczniu, dzięki czemu miałam aż siedem miesięcy dla siebie.

Wprowadziłam się do pokoju gościnnego babci Margaret i całymi dniami czytałam książki albo jeździłam nad morze i spacerowałam po plaży. Wieczorami bezskutecznie usiłowałam zasnąć, nie myśląc o Nicku. Gdy po raz pierwszy poczułam ruchy dziecka, prawie do niego zadzwoniłam, żeby mu o wszystkim powiedzieć, ale zrezygnowałam w połowie wybierania numeru. W ciągu ostatniego trymestru co najmniej raz w tygodniu sięgałam po telefon i zaczynałam wystukiwać cyfry, ale później ze złością odkładałam słuchawkę, za każdym razem nienawidząc siebie trochę bardziej.

– Postępujesz słusznie – powtarzała mi bez przerwy babcia, w miarę jak mój brzuch i wątpliwości rosły. – Chłopcom brakuje odpowiedzialności. Nie można na nich liczyć. Przykro mi to mówić, Emily, ale będzie dla ciebie lepiej, jeśli poradzisz sobie bez Nicka. – Skontaktowała się z agencją adopcyjną i co wieczór rozmawialiśmy o tym, że pomogą mi znaleźć porządny dom dla mojego dziecka. – Zapewnisz mu lepsze życie – tłumaczyła mi łagodnie. – To najwspanialszy dar, jaki możesz mu ofiarować. Ja nie miałam takiej możliwości, kiedy byłam w twoim wieku.

– Oddałabyś mojego tatę?

Długo milczała.

– Może tak byłoby dla niego lepiej.

Kiedy zaczęłam rodzić, trzy tygodnie przed terminem, byłam już pewna, że dobrze robię, oddając córeczkę do adopcji. Nigdy nie będzie się musiała martwić tym, że ktoś ją zostawi. A ukrywając prawdę przed Nickiem, wyświadczałam mu przysługę. W wieku osiemnastu lat nie mógł być przygotowany do rodzicielstwa bardziej niż ja. Ojcostwo wywróciłoby jego życie do góry nogami. „Chronię również jego – powtarzałam sobie. – Oto mój ostatni dowód miłości”.

Później trzymałam Catherine w ramionach pierwszy i zarazem ostatni raz. Miała oczy Nicka, jego ciemne włosy i pięknie wykrojone usta; te wszystkie podobieństwa uświadomiły mi z przejmującą

wyrazistością, że popełniłam wielki błąd. Nick i Catherine byli moją rodziną, mimo że nie planowałam jej zakładać. I nawet jeśli moją córkę czekało dobre życie z adopcyjnymi rodzicami – wierzyłam, że tak będzie – oddawałam ją z niewłaściwych powodów.

Ale było już za późno. Maszynę puszczono w ruch.

Nigdy więcej nie widziałam córki, ani nie rozmawiałam z Nickiem i aż do śmierci babci ani razu nie wspomniałam o dziecku, które oddałam, ani o dziurze zięjącej w moim sercu, której nie dało się niczym zapełnić.

*

Prawie przegapiłam zjazd w kierunku Belle Creek, miasteczka tak małego, że nie było nawet znaku informującego o jego istnieniu. Jednak dzięki wskazówkom Jeremiaha Beltraina skręciłam w lewo na skrzyżowaniu, a później w prawo przy znaku stopu. Następnie wjechałam swoją mazdą CX-5 na nieutwardzoną drogę, przy której z obu stron rosły trzyipółmetrowe smukłe łodygi zakończone trawiastymi liśćmi, przypominające tropikalną przerośniętą wersję kukurydzy z filmu *Pole marzeń*.

Rośliny te w końcu ustąpiły miejsca znacznie schludniej wyglądającemu polu niskich, ciemnych liściastych krzewów posadzonych w równych rzędach. Za nim wznosił się niewielki drewniany dom, który wydawał się lekko chylić w jedną stronę. Bładoniebieska farba na elewacji wyglądała na dosyć starą i miejscami się łuszczyła, za to rabatki aksamitek i pelargonii przed domem były bardzo zadbane.

Zaparkowałam na krótkim podejździe obok zardzewiałego sedana z końca lat siedemdziesiątych albo początku osiemdziesiątych, pokrytego grubą warstwą kurzu. Przez chwilę siedziałam w aucie, usiłując sobie wyobrazić swoją elokwentną i poukładaną babcię dorastającą w miejscu takim jak to. Coś mi tu nie pasowało i przez moment paraliżowało mnie przekonanie, że trafiłam do niewłaściwego domu.

Jednak skoro już przebyłam tak długą drogę, po kilku minutach wysiadłam z samochodu i podeszłam do frontowych drzwi. Odetchnęłam głęboko i zapukałam. Słyszałam dobiegające ze

środka dźwięki z telewizora, ale nikt się nie zjawił, więc zapukałam trochę mocniej. Ktoś ściszył odbiornik, a później dobiegł mnie odgłos zbliżających się kroków. Chwilę później drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki, lekko zgarbiony mężczyzna. Jego włosy były białe jak śnieg, skóra miała odcień kawy espresso. Prawą stronę jego twarzy przecinały dwie nierówne blizny. Ogarnął mnie spojrzeniem od stóp do głów i uśmiechnął się szeroko.

– Emily – powiedział. – A niech mnie, wyglądasz dokładnie jak twoja babcia. Dobrze cię widzieć.

– Pan Beltrain? – zapytałam, wyciągając do niego dłoń.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, potrząsając nią energicznie.

– Proszę, mów mi Jeremiaś. I wejdź do środka. Mam ci tyle do opowiedzenia.

Przeszliśmy słabo oświetlonym korytarzem do przestronnego salonu. Ściany były całkiem gołe, nie licząc prostego białego zegara z cienkimi czarnymi wskazówkami. Przed niewielkim telewizorem z anteną stał mocno wysłużony skórzany brązowy fotel i sofa obita materiałem w takim samym kolorze, ze spłowiałymi niebieskimi poduszkami.

– Usiądź. – Jeremiaś wskazał mi gestem sofę, a sam zajął miejsce w fotelu.

– A więc – zaczęłam, gdy już się usadowiłam – w jakich okolicznościach poznałeś moją babcię?

Mężczyzna uśmiechnął się, spojrzął w kierunku okna i przez chwilę nic nie mówił.

– Wiesz, co tam rośnie?

– Kukurydza? – próbowałam zgadnąć, przenosząc wzrok na pola ciągnące się aż po horyzont.

Jeremiaś zachichotał i ponownie zwrócił się w moją stronę.

– To, moja droga, jest trzcina cukrowa, jak okiem sięgnąć. A w czasach, kiedy twoja babcia i ja byliśmy młodzi, była to siła napędowa lokalnej społeczności. Teraz większość tych pól należy do potężnych koncernów, ale wtedy wciąż można na nich było znaleźć zatrudnienie. – Zamyślił się. – Czy wiesz, że twoja babcia uprawiała trzcinę cukrową?

Wlepiłam w niego wzrok.

– Wiem, że jej ojciec był farmerem, ale... – nie dokończyłam.

Jeremiah zmarszczył brwi i jego twarz przybrała nagle nieobecny wyraz.

– No, tak. Ojciec twojej babci. Jasne, był farmerem. Uprawiał przede wszystkim fasolkę, która rosła na skraju plantacji trzciny cukrowej. Ale twoja babcia nie miała z nim wiele wspólnego. Różnili się w wielu kwestiach. Zresztą ona z wieloma miejscowymi nie była w stanie się dogadać. Za to o mnie umiała się zatroszczyć. Od najmłodszych lat była dla mnie kimś w rodzaju anioła stróża. Miała może ze dwanaście albo trzynaście lat, kiedy ją poznałem, a ja miałem wtedy sześć. Czasem pracowałem u nich na farmie.

– Jako sześciolatek?

– Tak. Moja matka zmarła przy porodzie, a ojciec nie wylewał za kołnierz i wyrzucali go z każdej pracy. Musiałem sam się wziąć do roboty, żeby mieć co jeść. Nie poszedłem do szkoły, ale Margaret nauczyła mnie czytać, pisać i rozumieć historię. Czasami zbierałem fasolkę szparagową na ich farmie, ale najczęściej pracowałem na plantacji trzciny cukrowej. Margaret też to robiła, ponieważ jej rodzinny biznes podupadał i potrzebowali dodatkowych pieniędzy. W tamtych czasach dziewczynki rzadko parały się pracą fizyczną, ale chciała pomóc bliskim, a jej ojciec też nie miał wielkiego wyboru, jeśli chciał się utrzymać na powierzchni. Zawsze udawało jej się to tak zorganizować, żebyśmy byli w jednym zespole – mówił dalej. – Podczas pracy zadawała mi pytania: kto był prezydentem Stanów Zjednoczonych w roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym albo jak doszło do wybuchu pierwszej wojny światowej. Prawie całą wiedzę, którą zdobyłem jako chłopiec, zawdzięczam jej. W tamtych czasach, Emily, twoja babcia była energiczną młodą dziewczyną, pełną życia i nadziei.

– Była? – Zrobiło mi się przykro, ponieważ zanim ją poznałam, zdążyła się zamknąć w sobie. – Co się z nią później stało? Co się zmieniło?

Przez chwilę miałam wrażenie, że Jeremiah mi nie odpowie, ale w końcu wyrzucił z siebie:

– W latach czterdziestych na Południu najgorzej było się urodzić czarnym chłopcem. Wiedziałaś o tym?

Nie miałam pojęcia, jak zareagować, ani co to ma wspólnego z moją babcią, więc tylko kiwnęłam głową i czekałam, aż Jeremiah

dokończy myśl.

– Niemieccy jeńcy wojenni mieli niewiele lepiej – dodał, patrząc mi w oczy.

Pokręciłam głową zdezorientowana, chociaż wzmianka o Niemcach skojarzyła mi się z obrazem, który przesłano mi z Monachium.

– Niemieccy jeńcy wojenni? W Stanach? O czym ty mówisz?

Jeremiah uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział na pytanie.

– Trzecią kategorią osób, które miały na Południu najgorzej, byli moim zdaniem ci, co sympatyzowali z czarnymi chłopcami i niemieckimi jeńcami. Twoja babcia zaliczała się właśnie do tej grupy; w przeciwieństwie do reszty świata nie oceniała książki po okładce. Nie było jej przez to w życiu łatwo.

– Przepraszam, ale nic z tego nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że tu, na Florydzie, przebywali Niemcy? W czasie drugiej wojny światowej?

– Zadziwiające, że wasze pokolenie tego nie wie – odparł i po chwili dodał: – Dziwne jest również to, że niektóre historie są przekazywane dalej, a inne nie. Prawdą jest, że niemieccy jeńcy byli rozsiani po całych Stanach Zjednoczonych. Amerykański rząd tworzył dla nich obozy w miejscach, gdzie brakowało rąk do pracy. Musisz zdawać sobie sprawę, jak wielu młodych Amerykanów wysłano do walki na różnych frontach w Europie i na Pacyfiku. Brakowało ludzi do pracy w fabrykach i gospodarstwach. Po roku czterdziestym trzecim mieliśmy w Belle Creek grupę jeńców pracujących przy zbiorze trzciny cukrowej.

– Tu, na Florydzie? – powtórzyłam głucho, usiłując dobrze zrozumieć to, co właśnie usłyszałam. – W samym środku wojny? Niemcy?

– Były ich setki. I ciężko pracowali. Rzadko się skarżyli, a przynajmniej ja to tak zapamiętałam. Wielu miejscowych, którzy nie pracowali na polach, nie cierpiało widoku Niemców. Tak to już wtedy było: wojna wyzwoliła w ludziach gniew. Jednak ci, którzy pracowali razem z nimi, no cóż, szybko uświadomili sobie, że większość jeńców to tacy sami ludzie jak oni. Tyle że mieszkają w innej części świata.

– I moja babcia życzliwie się do nich odnosiła? – spytałam zmieszana.

– Ona była życzliwa dla każdego. Większość ludzi trzymała jednak na dystans, przynajmniej dopóki ich nie poznała. Z tego, co wiem, w ciągu tych ostatnich lat gdy mieszkała w Belle Creek, wpuściła do swojego serca tylko dwie osoby: mnie, małego chłopca, który pomagał finansowo swojej rodzinie, i jego, niemieckiego żołnierza szukającego swojego miejsca na świecie.

– Jego? – powtórzyłam. – Kogo masz na myśli?

Jeremiah przyjrzał mi się z uwagą.

– Petera. Mężczyznę, w sprawie którego tutaj przyjechałaś. Twojego dziadka.

Rozdział piąty

Jeremiah przeprosił mnie i wyszedł do toalety, a ja siedziałam jak sparaliżowana i wyglądałam przez okno na pola trzciny cukrowej, na których najwyraźniej pracowała kiedyś moja babcia, usiłując przyswoić sobie to, czego się przed chwilą dowiedziałam. A więc mój dziadek był nazistą? Jak to możliwe, że babcia zakochała się w kimś takim? Jak w ogóle zdołała się do niego zbliżyć na tyle, by go poznać? Czy jeńcy wojenni nie byli ze względów bezpieczeństwa izolowani od miejscowych? I przede wszystkim co się stało z moim dziadkiem?

W głowie wciąż miałam mętlik, gdy Jeremiah zjawił się z dwiema szklankami mrożonej herbaty i podał mi jedną.

– Pewnie masz mnóstwo pytań – stwierdził, unosząc brwi i ponownie usiadł. – Zacznę od tego, że pochodzenie Petera nie miało większego znaczenia. Niemieccy chłopcy, którzy tu trafili, w większości nie byli prawdziwymi nazistami.

– Skąd ta pewność? – Popatrzyłam na niego sceptycznie.

– Większość podręczników od historii to potwierdzi – odparł z uśmiechem. – Nikt nie pytał tych młodych Niemców o to, czy chcą się zaciągnąć do armii. Prawdę mówiąc, większość z nich odetchnęła z ulgą, że nie muszą już dłużej walczyć. Tutaj pracowali po osiem godzin dziennie, dostawali trzy porządne posiłki i ciepłe miejsce do spania. Wielu z nich miało tu lepsze warunki niż w domu.

Wolno pokiwałam głową. Brzmiało to całkiem wiarygodnie.

– No dobrze. Ale jak on w ogóle poznał moją babcie? Czy jeńcy nie byli przetrzymywani w... no cóż, obozach jenieckich?

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale w wielu miejscach w całym kraju, również w Belle Creek, więźniowie często pracowali ramię w ramię z miejscowymi, pilnowani przez strażników. Oczywiście oddzielano jednych od drugich, ale patrząc z zewnątrz, można by odnieść wrażenie, że wszystkich, miejscowych i Niemców, traktowano tak

samo. – Jego spojrzenie znowu stało się odległe, jakby Jeremiaś zaglądał w przeszłość. – Słyszałem ich pierwszą rozmowę. Zaciąłem się karczownikiem, to był głupi wypadek, i mocno krwawiłem. – Uniósł prawą rękę, by pokazać mi nierówną bliznę. – Margaret, twoja babcia, prowadziła mnie do swojego domu, żeby oczyścić ranę, aż tu nagle zawołał do nas ten wysoki niemiecki żołnierz. Na początku go nie rozumiałem; nie byłem przyzwyczajony do życzliwego traktowania przez białych ani tym bardziej do tego, by zaczepiali nas Niemcy, ale okazało się, że chciał pomóc. Wydaje mi się, że twoja babcia i ten chłopak rozmawiali ze sobą dosyć długo. A później, gdy Margaret opatrywała mi ranę, sprawiała wrażenie oszołomionej. Zapytałem, co się dzieje. Pamiętam dokładnie moje pytanie: „Czy ten niedobry Niemiec czymś cię zdenerwował? Mogę powiedzieć o tym strażnikowi, jeśli chcesz”. – Jeremiaś zamilkł na chwilę i pokręcił głową. – I wiesz co odpowiedziała twoja babcia? „Jeremiaś, nie możesz oceniać ludzi, zanim ich poznasz. Wydaje mi się, że ten niemiecki żołnierz może być dobrym człowiekiem”.

Przestał mówić i zatopił się we własnych myślach. Po chwili, chcąc go sprowadzić na ziemię, zapytałam:

– I co? Był dobrym człowiekiem?

Jeremiaś westchnął.

– Nie wiem. Wydawało mi się, że tak. – Zrobił drżący wdech. – A twoja babcia, no cóż, pokochała go całym sercem. Nie miałem pojęcia, że, no wiesz, skonsumowali swój związek. Byłem chłopcem; Margaret nie rozmawiała ze mną o tych sprawach. – Odchrząknął i widziałam, że nawet teraz, po tylu latach, ten temat nadal go krępuje. – Ale zaszła w ciążę. Rodzina groziła, że się jej wyrzeknie, jeśli nie zostawi dziecka w kościele, jak niepotrzebnego śmiecia. Oczywiście tego nie zrobiła. W tamtych czasach nie było gwarancji, że dziecko znajdzie bezpieczny dom, więc postanowiła je zatrzymać, rzecz jasna. A Peter przepadł bez wieści.

– Ale co się z nim stało?

– Wojna wreszcie się skończyła i jeńców odesłano do Europy. Margaret pisała do niego i pisała, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. Aż wreszcie przyszedł list, który wszystko zmienił. – Jeremiaś odwrócił głowę, żeby wyrzucić przez okno, a gdy znowu na mnie

popatrzył, mogłabym przysiąc, że przez chwilę miał w oczach łzy. – Złamał jej serce. Zupełnie się tego nie spodziewałem.

– Co było w tym liście?

Jeremiah wstał bez słowa i wyszedł z pokoju, powłócząc nogami. Po chwili wrócił, ściskając w rękach pożątkłą kopertę. Podał mi ją, kręcąc głową.

– Twoja babcia dostała go tuż po tym, jak urodziła syna. Na początku nie mogła uwierzyć w to, co tam napisano. Myślała, że ktoś sfałszował ten list. Ale Peter więcej się do niej nie odezwał. Jakie inne mógłby mieć wytłumaczenie? Koniec końców nie okazał się człowiekiem, za jakiego go miała. Krótco potem postanowiła raz na zawsze opuścić Belle Creek. – Ruchem głowy wskazał kopertę, którą trzymałam w rękach. – Śmiało. Przeczytaj.

Zawahałam się.

– Skąd się wziął u ciebie?

– Twoja babcia go wyrzuciła. Zachowałem go na wypadek, gdyby później zmieniła zdanie i chciała odnaleźć Petera. Zamierzałem jej wtedy przypomnieć, że ją zostawił i że lepiej jej będzie bez niego.

Popatrzyłam na kopertę; zwróciłam uwagę na adres nadawcy w niemieckim Holzkirchen. Powoli wyjęłam ze środka pojedynczą pożątkłą kartkę i rozłożyłam ją. Zalała mnie fala smutku, gdy czytałam krótki list, datowany na grudzień 1945 roku, skreślony pochyłym pismem.

Droga Margaret,

otrzymałem wszystkie Twoje listy i chciałbym Cię prosić, żebyś więcej do mnie nie pisała. Dzieli nas wiele kilometrów. Nie ma żadnej przyszłości dla niemieckiego chłopaka i amerykańskiej dziewczyny. Zawsze będę pamiętał nasze wspólnie spędzone dni, ale to się musi skończyć.

Przykro mi, że zaszłaś w ciążę, lecz nic nie mogę na to poradzić. Wszystko to było jednym wielkim błędem. Przykro mi, że masz przeze mnie kłopoty.

Za miesiąc biorę ślub z moją dawną sympatią, Gerdą, i wolałbym jej nie martwić tym, co przeżyłem w Twojej ojczyźnie. Lepiej, żeby nie wiedziała.

To mój ostatni list do Ciebie. Życzę Ci, żebyś miała dobre życie.

*Z wyrazami szacunku,
Peter A. Dahler
Holzkirchen, Niemcy*

– To okropne – skwitowałam, unosząc wzrok znad listu. – Wiedział, że jest w ciąży, i zostawił ją z tym samą, bo zamierzał się ożenić z inną?

Jeremiah wolno pokiwał głową.

– Do tej pory tego nie rozumiem. Wydawał się zupełnie inny.

– Ale skąd wiemy, że ten list rzeczywiście napisał Peter Dahler?

– Margaret przez długi czas używała tego samego argumentu. Ale jeśli nie on go napisał, to kto byłby w stanie tak dobrze podrobić jego charakter pisma? Margaret w końcu nabrała pewności, że to on. Poza tym gdzie się podziewał? Obiecał, że po nią wróci, ale tego nie zrobił. Wiele lat później, w latach sześćdziesiątych, Margaret zarzekła się, że widziała go w tłumie w Waszyngtonie. Ale popatrzył prosto na nią i się odwrócił. Nigdy nie wierzyłem, że to mógł być on, Emily. Co by robił w Stanach? I to akurat podczas marszu na Waszyngton? To się nie trzymało kupy. Jednak dla twojej babci była to kropla, która przeppełniła czarę gorzkości. Jeśli Margaret wciąż miała resztki nadziei, że tamten list został podrobiony, straciła je tamtego dnia. Powiedziała, że popatrzył na nią jak na ducha, jakby kompletnie nic dla niego nie znaczyła. Próbowwała się przecisnąć przez tłum do miejsca, w którym stał, ale już go nie było, jakby zobaczywszy ją, uciekł.

– Ale twoim zdaniem to nie był on?

Jeremiah wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że Peter Dahler ułożył sobie życie w Niemczech i zapomniał o Margaret. Myślę, że połączył ich zakazany wojenny romans i chociaż twoja babcia uważała, że łączące ich uczucie było prawdziwe, ono nie miało szansy przetrwać. Wydaje mi się też, że oboje pomyliliśmy się co do Petera Dahlera. Może i nie był nazistą, ale to nie czyniło go automatycznie dobrym człowiekiem. Możliwe, że widzieliśmy w nim to, co chcieliśmy zobaczyć.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu.

– Babcia nigdy o nim nie opowiadała, wiesz? Ani mnie, ani mojemu ojcu. Wiedzieliśmy tylko, że człowiek, którego kochała, ją zostawił.

– Zawsze czułem, że trzymanie tego w sekrecie było błędem.

– Wiedziałaś, że nam o nim nie opowiadała?

– Tak – odparł po chwili wahania.

– To dlaczego mówisz mi teraz? – urwałam gwałtownie i pokręciłam głową. – Przepraszam. Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę. Bardzo się cieszę, że się tym ze mną dzielisz. Ale skoro babcia nie chciała, żebyśmy wiedzieli...

Jeremiah się uśmiechnął.

– Myślę, że w końcu pojęła swój błąd. Rozmawiałem z nią jakiś miesiąc przed jej śmiercią i powiedziała mi wtedy, że pod koniec życia – bo oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że umiera – pogodziła się z tym, co ją spotkało. Przebaczyła Peterowi. Podobnie jak swojej rodzinie, która się jej wyrzekła. Nie potrafiła jednak wybaczyć sobie tego, że ukrywała prawdę przed tobą i twoim ojcem. „Oni mają prawo wiedzieć – powiedziała mi. – Ale nie wiem, jak mam im to przekazać po tak długim czasie. Nie potrafię się zmusić do mówienia o nim”. Zapytałem, czy mogę jej jakoś pomóc, a ona długo zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu odparła: „Powiedz im, jeśli będą pytać”. I oto jesteś.

– Dlaczego po prostu nie zostawiła nam listu? – zapytałam. – Czegoś, co moglibyśmy przeczytać po jej śmierci, skoro chciała, żebyśmy się dowiedzieli?

– Ponieważ nie była pewna, czy wyznanie wam prawdy jest dobrym pomysłem – odparł. – Rozumiesz? Musiałaś sama zacząć szukać prawdy. Twoja babcia pewnie domyślała się, że któregoś dnia to zrobisz. Zawsze mi powtarzała, że jesteś dociekliwą dziewczyną, wiecznie poszukującą odpowiedzi.

Przez chwilę nic nie mówiłam, wyobrażając sobie babcię w ostatnich tygodniach jej życia, pełną żalu i szukającą sposobu, by jakoś to naprawić. Z trudem przełknęłam ślinę.

– Jak to możliwe, że nie poznałam cię wcześniej? Skoro byłeś tak blisko z moją babcią? – Od razu pożałowałam tych niegrzecznie brzmiących słów, ale moja dziennikarska dusza musiała się tego dowiedzieć.

Przez ułamek sekundy Jeremiaś wyglądał na zaskoczonego, ale później kiwnął głową.

– Na długi czas straciliśmy się z oczu. Kiedy Margaret wyprowadziła się z Belle Creek, pojechałem z nią, ale tylko na parę lat. Twój ojciec dopiero co się urodził. Ja miałem czternaście lat, ona dziewiętnaście, prawie dwadzieścia. Była przerażona i samotna. Podróżowaliśmy oddzielnie, dopóki nie dotarliśmy na Północ, do Filadelfii, gdzie znalazłem pracę na włoskim targu przy Dziewiątej, a ona zatrudniła się jako krawcowa. Czasami opiekowałem się twoim tatusiem, gdy pracowała. Zawdzięczałem jej wszystko. Ale potem, gdy twój tatuś skończył cztery lata, odebrałem telefon z informacją, że mój ojciec stracił rękę w wypadku na farmie. Musiałem wrócić do domu, żeby się nim opiekować; nie miał nikogo poza mną. Później urwał się kontakt z Margaret, bo ona nie życzyła sobie, żeby ją znaleziono, a już z pewnością nie chciała mieć nic wspólnego z Belle Creek. Zmieniła nazwisko, stworzyła siebie na nowo.

– Zmieniła nazwisko? Dlaczego?

– Myślę, że po prostu chciała być kimś innym – odparł. – Kimś, kto nie pochodzi z rodziny, która odwróciła się do niej plecami, kimś, kogo nie porzucił mężczyzna, w którego tak mocno wierzyła. Dawniej była Margaret Mae Evans, ale uciekała przed przeszłością, a uciekanie jest znacznie prostsze, kiedy nikt nie może cię odnaleźć. Odezwała się do mnie dopiero w sześćdziesiątym trzecim. Mieszkała wtedy w Atlancie, a jej syn, twój tatuś, właśnie skończył siedemnaście lat. Dopiero co wróciła z marszu na Waszyngton i jak już ci mówiłem, była pewna, że zobaczyła tam Petera. Zadzwoiła do mnie do Belle Creek, by zapytać, czy przypadkiem jej nie szukał. Oczywiście, że nie. Nie chciałem jej tego mówić, bo wiedziałem, jak wielką sprawię jej przykrość. Ale taka była prawda. Peter nigdy nie wrócił.

– A później? Utrzymywaliście ze sobą kontakt?

Jeremiaś wzruszył ramionami.

– Sporadyczny. Wysyłałiśmy kartki na Boże Narodzenie, czasem do siebie dzwoniłiśmy. Miałem już wtedy własne dzieci, rozumiesz, i sporo spraw na głowie. Byłem właścicielem farmy i robiliśmy wszystko, żeby utrzymać się na powierzchni. A Margaret kazała mi

obeć, że nie powiem nikomu, gdzie ona jest. Nie chciała mieć nic wspólnego ze swoją siostrą.

– To ona miała siostrę?

– Tak. Louise. Ich rodzice już wtedy nie żyli, ale mam wrażenie, że dla Margaret i tak od dawna byli martwi. Po narodzinach twojego ojca stwierdzili, że nie będą mieszkać pod jednym dachem z synem nazisty, nie mówiąc już o nazistowskim kochanku. Louise w pełni się z nimi zgadzała; ona również odwróciła się od twojej babci. Margaret była zraniona do żywego, nigdy jej tego nie zapomniała.

– Co się z nimi wszystkimi stało?

– Rodzice Margaret zmarli pod koniec lat czterdziestych, a Louise odziedziczyła rodzinną farmę. Przez lata widywałem ją wiele razy, ale nigdy nie wspomniała o Margaret. Zupełnie jakby nie miała siostry. – Przez chwilę milczał. – Aż do niedawna. Louise zmarła w zeszłym miesiącu i mniej więcej tydzień przed śmiercią złożyła mi dziwną wizytę. Powiedziała, że żałuje wszystkiego, co zrobiła siostrze, i chciała wiedzieć, czy u Margaret wszystko w porządku, czy nadal mam z nią kontakt. Gdy odparłem, że zmarła w lutym, Louise sprawiała wrażenie zrozpaczonej. W końcu się pozbierała i spytała: „Czy ten Niemiec wrócił do niej przed śmiercią?”. Powiedziałem, że nie, oczywiście, że nie. Było widać, że Louise nadal żywi urazę taką, jak siedemdziesiąt lat wcześniej. Zamrugła, wymamrotała: „Tak mi przykro” i odeszła spod moich drzwi. Tydzień później już nie żyła. – Popatrzył na mnie. – Jej wnuczka nadal mieszka w Belle Creek, wiesz? Może powinnaś się z nią spotkać.

– Niby po co? – zapytałam. – Wygląda na to, że Louise bardzo się postarała, żeby unieszczęśliwić moją babcię.

– Ale mimo wszystko to twoja rodzina – odparł. – Poza tym jej wnuczka może wiedzieć coś, o czym ja nie mam pojęcia.

– Zdaje się, że byłeś dużo mocniej związany z moją babcią niż Louise.

– Tak, jasne. To prawda. – Zamyślił się. – Ale zawsze się zastanawiałem, czy historia Petera Dahlera nie była bardziej skomplikowana, niż nam się zdawało. Warto spróbować, nie uważasz?

Niespiesznie pokiwałam głową. Jeremiaś oczywiście miał rację; jako dziennikarka zawsze sprawdzałam każdy możliwy trop i tym

razem nie powinno być inaczej.

– Masz jakiś zamiar na tę wnuczkę?

Przytaknął i zanotował coś na kartce.

– Nazywa się Julie Candless. Jest trochę młodsza od ciebie. Mieszka przy Harper Road, po drugiej stronie pola, w tym samym domu, w którym wychowała się twoja babcia. Może będziesz chciała go obejrzeć.

Wzięłam od niego kartkę z adresem i numerem telefonu, a później wstałam, by uścisnąć mu rękę.

– Nie wiem, jak mam ci się odwdzięczyć za wszystko, co mi powiedziałaś.

– Zawdzięczam Margaret znacznie więcej, możesz mi wierzyć. Ale czy mogę mieć do ciebie prośbę?

– Oczywiście.

– Obraz, o którym wspomniałaś; ten, który przyszedł do ciebie razem z liścikiem. Czy mógłbym go kiedyś zobaczyć?

Wyjęłam telefon.

– Zrobiłam mu rano zdjęcie. Czy to wystarczy? – Przeglądałam galerię, aż w końcu znalazłam odpowiedni plik. Podałam Jeremiahowi telefon i patrzyłam, jak jego oczy otwierają się szeroko, a potem napełniają łzami.

– To ona – szepnął. – Właśnie tak wyglądała tamtego dnia.

– Kiedy?

Popatrzył na mnie.

– W dniu, gdy po raz pierwszy spotkała Petera na polu.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Mój ojciec powiedział dokładnie to samo.

– Czy to możliwe, że namalował go Peter? Był artystą?

Jeremiah pokręcił głową.

– Z tego co wiem, nie miał talentu do malowania. Za to jego kolega ciągle coś bazgrał patykiem na ziemi. – Uśmiechnął się. – Ten człowiek rysował nawet węglem na ścianach stodół, gdy jeńcy pracowali w polu. Całkiem nieźle mu to wychodziło.

– Jak się nazywał ten kolega? Pamiętasz?

Jeremiah zastanowił się przez chwilę.

– Chyba Maus. Niestety nie pamiętam imienia. Wiem, że to trochę mało.

– Może uda mi się odszukać stare akta jeńców wojennych i znaleźć tego człowieka.

– To może być ślepy zaułek, ale warto spróbować. Gdybym mógł ci jeszcze jakoś pomóc albo odpowiedzieć na pytania, nie krępuj się do mnie dzwonić, Emily.

Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie i Jeremiaś odprowadził mnie do drzwi.

– Naprawdę bardzo mi pomogłeś.

Byłam zaskoczona, gdy mnie przytulił.

– Gdyby nie twoja babcia, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Zawdzięczam jej życie.

Stał w drzwiach i machał, dopóki nie wyjechałam z podjazdu przed domem i nie ruszyłam w drogę powrotną wzdłuż niekończących się pól trzciny cukrowej.

Rozdział szósty

Październik 1944

Jednostajny rytm uderzeń noży ścinających trzcinę przypominał dźwięk przelewającej się wody. Peter stał po kostki w błocie, pot lał mu się z czoła, mocno opalona skóra brązowiła jeszcze bardziej w palącym słońcu. Panował okropny skwar, podobna temperatura mogłaby się zdarzyć w Niemczech w słoneczny lipcowy dzień. Tylko że tu był październik, miesiąc, w którym w jego ojczyźnie opadały liście, robiło się coraz chłodniej, a mieszkańcy Monachium kończyli obchody Oktoberfest. Czy w tym roku w ogóle się odbędą? Bardzo wątpliwe. Ostatni raz festyn zorganizowano w roku 1938 i Peter zastanawiał się, czy Niemcy kiedykolwiek do tego wrócą. Być może zostaną pokonani, ich kraj usunięty z mapy, a tradycje wymazane. Ta myśl wywoływała w nim smutek. Nie wierzył w politykę Hitlera, za to wierzył w Niemcy. Był to urokliwy kraj z piękną historią i na myśl o tym, że to wszystko miałoby zginąć z powodu czyjejś zachłanności i pychy, pękało mu serce.

Peter lubił w czasie pracy myśleć o ojczyźnie. Pomagało mu to zapomnieć o wykańczającej robocie, krwi mężczyzn, którzy zbyt nieostrożnie posługiwali się karczownikami, czy udarach słonecznych powalających czasem kogoś z nich. Dzięki temu nie wspominał rzeczy widzianych na polu walki: krwi, strachu, potwornego bólu, życia młodych ludzi przerwanego bezsensownie w jednej chwili. A gdy popuszczał wodze wyobraźni, mógł niemal udawać, że pracuje na brzegu szemrzącej rzeki – może nawet Kirchseebach – razem ze swoim przyjacielem Ottonem, blisko rodziny, z Bawarskimi Alpami w tle. Jednak gdy głos nadzorcy albo stukot nadjeżdżającego wózka przywoływał go do rzeczywistości, ze smutkiem uświadamiał sobie, że wciąż tkwi na bezkresnych polach

porośniętych trzcina cukrową, na brzegu florydzkiego jeziora Okeechobee.

Każdego ranka o świcie budził się razem z innymi więźniami, zjadał pożywne śniadanie w obozowej stołówce i wdrapywał się na pakę jednej z ciężarówek, które wiozły ich dziesięć kilometrów na pola w Belle Creek. Ich obóz znajdował się na skraju bagnistego Everglades, daleko poza granicami miasteczka, zapewne po to, by mieszkańcy nie obawiali się nocnych wizyt więźniów. Peter wiedział, że spora część okolicznej ludności widzi w nich wrogów, i nie miał o to do nich pretensji. Jednak mieszkańcy, którzy zdążyli ich poznać – nadzorcy, strażnicy, robotnicy rolni, a nawet miejscowy lekarz i ksiądz – po pewnym czasie zdawali się zapominać o dzielących ich różnicach. W końcu na tym to polegało, prawda? Wystarczyło odebrać żołnierzom broń i zapędzić ich do pracy, żeby stali się po prostu ludźmi, niezależnie od tego, skąd pochodzili. Na polach pracowała też garstka amerykańskich czarnoskórych i Peter zawsze się dziwił, kiedy nadzorca odnosił się z większym szacunkiem do obcokrajowców niż do swoich rodaków.

– Twoja kolej – odezwał się po niemiecku Maus, szturchając Petera w ramię i wrywając go z rozmyślań.

Peter popatrzył zdumiony na swojego nowego przyjaciela, który zawdzięczał swoje przezwisko, „Mysz”, zabawnym białym wąsikom, które pojawiały się, gdy nie chciało mu się golić. Nie poznali się w Afryce, chociaż obaj tam służyli, za to we florydzkiej dziczy dzielili piętrową pryczę i odkryli, jak wiele ich ze sobą łączy. Obaj pochodzili z przedmieść Monachium i byli sceptycznie nastawieni do szans Niemiec na wygraną wojny. Podczas gdy wielu jeńców w obozie robiło wokół siebie dużo szumu, Maus, podobnie jak Peter, przez większość czasu był milczący i wycofany. Wieczorami, gdy inni grali w karty i opowiadali sobie niewybredne dowcipy, Maus wolał szkicować na skrawkach papieru, Peter zaś czytał którąś z książek po angielsku wypożyczonych ze skromnej obozowej biblioteki. Szybko się ze sobą zaprzyjaźnili.

– Czy ty mnie słuchasz, Peterze? – zapytał Maus, ponownie go szturchając.

– Co?

Maus się roześmiał.

– Znowu myślisz o niebieskich migdałach? W ten sposób nie wrócisz szybciej do domu.

– Wiem – mruknął Peter.

Nie był pewien, czy w ogóle chce tam wracać. Zwłaszcza teraz, gdy jego ojczyzna wciąż była pogrążona w wojennym chaosie. Czy to znaczyło, że jest tchórzem? A może po prostu realistą, który nie chce walczyć o coś, czego nie popiera?

– Twoja kolej – powtórzył Maus, wskazując z uśmiechem na ziemię. – Ja już zakatrupiłem jednego w tym tygodniu.

Peter przeniósł wzrok na krętą czarną linię koło świeżo ściętych źdźbeł trzciny. Ponadmetrowy mokasyn błotny leżał nieruchomo w trawiastym poszyciu. Peter poczuł, jak całe jego ciało się napina.

– Spokojnie! – odezwał się ze śmiechem Maus, widząc reakcję kolegi. – Jest niegroźny.

– Wcale nie – odparł tamten.

Wiedział, że mokasyny błotne nie są tak jadowite jak występujące na wschodzie grzechotniki diamentowe, które również zdarzało im się spotkać na polu, jednak jad jednego z tych krótszych i ciemniejszych węży też mógł rozłożyć człowieka na łopatki. Bez przerwy natrafiali w czasie pracy na węże; był to jeden z powodów, dla których Peter tak się denerwował. Chociaż jego koledzy często robili sobie zabawę z uśmiercania i skórowania tych gadów, a następnie nacierali je solą i rozwieszali niczym trofea na ścianach baraków, Peter wiedział, że nie ma z nimi żartów.

– Nie zabijesz go? – zapytał Maus.

– Nie – zdecydował Peter. – Myślę, że jeśli zostawimy go w spokoju, on zostawi w spokoju nas.

Ledwo zdążył to powiedzieć, gdy Dieter, krzepki żołnierz, który służył razem z Peterem w Afryce, zmiażdżył wężowi łeb obcasem swojego roboczego buciora, uśmiercając go na miejscu.

– Gotowe – skwitował beznamiętnie. – Następnym razem musisz być szybszy, Dahler.

Peter wlepił wzrok w Dietera, który odpowiedział mu ironicznym uśmiechem. Ich sprzeczki na tematy polityczne doprowadziły już do niejednej bijatyki i Peter zaczynał mieć dosyć tego człowieka, któremu wciąż się wydawało, że są o włos od triumfalnego powrotu do Niemiec. Dieterowi nie w smak było, gdy Peter zauważał, że

w amerykańskich gazetach piszą o zgoła przeciwnym obrocie spraw. Dahler był pewien, że wojna zakończy się w ciągu roku i to nie oni będą w niej triumfować. „To, że czytasz po angielsku, nie czyni z ciebie geniusza – warknął wtedy Dieter. – Jesteś za głupi, by pojąć, że to zwykła propaganda. Führer zwycięży. Niedługo sam się przekonasz. Jesteś zdrajcą, jeśli w to nie wierzysz”.

Gdy Dieter sięgnął po martwego węża i zarzucił go sobie na ramiona niczym szalik, Peter odwrócił wzrok.

– Mogłeś go zabić, wiesz? – odezwał się cicho Maus. – Była twoja kolej.

– Ale nie chciałem – odparł Peter.

Głęboko zaczerpnął powietrza, chociaż na niewiele to się zdało w tym upale. Mało co przynosiło ukojenie.

Odwrócił się w stronę ściętej trzciny, przerzucając sobie karczownik przez ramię, zanim nadzorca albo któryś ze strażników zdążył go oskarżyć o zbijanie bąków, które to określenie często słyszał podczas pracy. Łączyło się to z nieprzyjemnymi karami – zwykle przydzieleniem do najbardziej wymagających prac następnego dnia.

Maus zaczął cichutko nucić pod nosem – Peterowi wydawało się, że rozpoznaje melodię *Schön ist die Nacht* – gdy wrócili do ścinania trzciny. Uniesienie, zamach, cięcie. Uniesienie, zamach, cięcie. Wargi Mause poruszały się w stałym rytmie nadanym przez ruchy noża, a Peter bezwiednie się do niego dopasował. Oczami wyobraźni widział matkę siedzącą przy kuchennym stole i nucącą znajomą melodię do wtóru trzeszczącego radia podczas obierania ziemniaków. Tęsknił za jej głosem oraz sposobem, w jaki kojąco gładziła jego policzek ciepłą, spracowaną dłonią. Miał dwadzieścia trzy lata; czy był za stary, żeby tęsknić za matką?

Pot lał mu się z czoła, gdy dwadzieścia minut później Peter zrobił sobie przerwę, żeby zebrać z ziemi naręczce łodyg. Zaniósł je do pierwszej z czterech przyczep za ogromnym traktorem koloru wyblakłej żółci, którego koła zabezpieczono gąsienicami, żeby nie grzązł w błocie. Robotnicy każdego dnia napełniali przyczepy, a później szli za traktorem do torów kolejowych, gdzie przeładowywali trzcinę, naręczce za naręczcem, do wagonów, które miały ją zawieźć do cukrowni.

– Dałbym wszystko, żeby zanurzyć się teraz w zimnej wodzie – odezwał się Maus, kiedy Peter wrócił do pracy. – Byle tylko uciec z tego upału.

Peter podążył za wzrokiem kolegi w kierunku płytkiego rowu na skraju pola, na którym pracowali. Poszczególne pola były od siebie oddzielone kanałami o szerokości nie większej niż półtora metra i głębokimi na metr. Znajdowały się tam dlatego, że robotnicy przed zebraniem plonu musieli najpierw wypalić zwiędłe liście. Samej trzciny nie dało się spalić, ponieważ żdźbła składały się w ponad siedemdziesięciu procentach z wody, więc najpierw palono wyschnięte części roślin, zostawiając za sobą zwęglone pole porośnięte nagimi żdźbłami. Łatwiej je było ścinać bez płaczących się pod nogami resztek. Kanały miały zapobiegać przedostaniu się płomieni na sąsiednie pole.

Niestety wąskie strugi były także idealnym siedliskiem dla aligatorów, które czaiły się w błotnistej płyciźnie. Wielkie bestie o łuskowatej skórze najczęściej nie wchodziły ludziom w drogę, ale Peter słyszał o mężczyznach, którzy próbowali się ochłodzić w wodzie, a ich kończyny dostawały się między zębiska broniących swego terytorium ogromnych krokodyli.

– Chcesz zostać pożarty, Maus? – zapytał Peter.

Kolega wzruszył ramionami.

– Czy to naprawdę byłoby gorsze niż praca w tym skwarze?

– Owszem – odparł bez namysłu Peter. – Jestem absolutnie pewien, że tak.

Obaj wybuchnęli śmiechem i wrócili do pracy. Peter rozumiał przyjaciela, lecz dla niego pot lejący się z czoła miał działanie oczyszczające. Gdy był mały, matka powtarzała mu, że pocenie się jest sposobem na pozbycie się z organizmu tego, co złe. Na przykład kiedy pocimy się podczas gorączki, choroba sączy się przez pory naszej skóry. „To, co złe, ulatuje – mawiała – a później możemy zacząć wszystko od nowa, czyści jak łąza”.

Peter zastanawiał się, czy pot ciekący mu z czoła każdego dnia też służył pozbywaniu się tego, co złe. Wszystkich tych okropności, których naoglądał się na wojnie, poczucia winy spowodowanego tym, że on przeżył, a Otto nie, wstydu, który odczuwał, strzelając do bezimiennej masy nacierających na nich żołnierzy, hańby związanej

z walką o coś, w co nie wierzył – plam brukających jego duszę. Może ta katorżnicza praca była jego pokutą. Może któregoś dnia będzie mógł zacząć wszystko od nowa.

Właśnie nad tym się zastanawiał, gdy uniósł wzrok i dostrzegł na sąsiednim polu coś czerwonego. To była ona, uświadomił sobie ze zdumieniem, piękna dziewczyna, którą widział trzy tygodnie wcześniej. Miała na sobie tę samą czerwoną sukienkę, którą każdej nocy nosiła w jego snach. Tym razem obejmowała ramieniem czarnoskórego chłopca, dwunasto-, może trzynastoletniego, który z płaczem przyciskał do siebie prawą rękę.

Niewiele myśląc, Peter rzucił się biegiem, nadal ściskając w dłoni nóż, w kierunku kanału oddzielającego pola. Dziewczyna i chłopiec przedzierali się szybkim krokiem przez trzcinę, nie patrząc w jego stronę.

– Musimy oczyścić ranę – dobiegły go słowa dziewczyny, gdy się do nich zbliżył. – Później ci ją zabandażuję i będzie po sprawie.

Peter był oszołomiony melodią jej głosu i delikatnością, z jaką traktowała rannego chłopca.

– Mogę wam pomóc! – zawołał do nich po angielsku.

Szybko zasłonił dłonią usta i odwrócił się, sprawdzając, czy nie usłyszał go żaden ze strażników lub nadzorcy, ale nigdzie nie było ich widać. Za to Maus wlepił w niego wzrok. Również dziewczyna i chłopiec zatrzymali się i patrzyli prosto na Petera. Chłopiec wyglądał na przestraszonego, lecz twarz dziewczyny wyrażała zupełnie inne emocje. Jej różowe policzki zbladły, oczy miała szeroko otwarte.

– To ty – powiedziała, robiąc krok w stronę kanału.

Stali teraz zaledwie trzy metry od siebie, rozdzieleni wąską strugą wody, którą Peter mógłby z łatwością przeskoczyć. Ale nie zamierzał tego robić. Jeszcze nie. Mógłby ją przestraszyć. A to była ostatnia rzecz, której sobie życzył. Wpatrywał się w nią z tego prostego powodu, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Gdy poczuł na sobie jej przeszywające spojrzenie w pełnej emocji ciszy, jego serce dziwnie zatrzepotało.

– Dzień dobry – odezwał się wreszcie i z rozczarowaniem zauważył, że te słowa wyrwały dziewczynę z transu.

Spuściła wzrok.

– Przepraszam. Chyba z kimś pana pomyliłam.

A gdy znowu na niego spojrzała, Peter poczuł, że jego policzki stają się jeszcze bardziej rozpalone, chociaż już wcześniej przypieкло je słońce.

– To tylko ja – powiedział i od razu pożałował tych słów. „To tylko ja”?

Dziewczyna o dziwo się roześmiała.

– Jak my wszyscy – odparła. – Każdy z nas jest tylko sobą.

Peter kiwnął głową, wciąż podenerwowany.

– Największym osiągnięciem jest być sobą w świecie, który nieustannie próbuje uczynić z ciebie kogoś innego – wypalił i od razu doszedł do wniosku, że posłużenie się tym mało znanym cytatem było czymś jeszcze bardziej idiotycznym.

– Znasz Ralpa Waldo Emersona? – zapytała dziewczyna.

Peter otworzył szerzej oczy.

– Ty też?

– To jeden z moich ulubionych autorów. – Przyjrzała mu się uważniej ponad wstęgą mętnej wody. – Ale ty przecież jesteś Niemcem, prawda? Skąd znasz amerykańskich pisarzy? I jakim cudem tak dobrze mówisz po angielsku?

– Zawsze podziwiałem wasz język. Uwielbiam styl Emersona i podczas nauki angielskiego studiowałem jego dzieła.

Nie wspomniał o tym, że schował tomik poezji Emersona pod swoim łóżkiem w Holzkirchen i odmówił jego publicznego spalenia, kiedy Hitler nakazał puścić z dymem wszystkie zagraniczne książki. Kiedy czytał te wiersze wieczorami przy świetle lampy, czuł się trochę tak, jakby postawił się szczurzemu piratowi.

– Uczyłeś się angielskiego w szkole? – zapytała dziewczyna.

– Tak. I w domu. Chcieliśmy kiedyś pojechać do Ameryki z moim najlepszym przyjacielem. – Na wspomnienie Ottona spuścił wzrok na swoje robocze ubranie, oznakowane słowami: „jeniec wojenny”. Zalała go fala wstydu, gdy dodał: – Chociaż nie w ten sposób.

– To jeniec – odezwał się ranny chłopiec. – Nie powinnaś z nim rozmawiać.

– Może pobiegiesz do mojego domu? – zwróciła się do niego dziewczyna.

Peter podążył za jej wzrokiem w kierunku drewnianej chaty stojącej niedaleko, tuż za granicą pola. Widział warzywa posadzone w równych rzędach i niewielką stodołę na tyłach. Dotarło do niego, że to rodzinna farma.

– Przyjdę dosłownie za minutę, Jeremiaś, i opatrzę ci rękę – dodała dziewczyna.

– Nie chcę zostawiać cię samej z tym Niemcem – oznajmił chłopiec, gromiąc wzrokiem Petera. – A nuż spróbuje cię skrzywdzić.

– Na pewno nie – odparła. – Proszę, Jeremiaś, idź już. Będę za chwilę.

Chłopiec niechętnie skinął głową, po raz ostatni spojrzął na Petera wilkiem i pobiegł w stronę domu.

– Co mu się stało? – zapytał po chwili Peter.

– Zaciął się w rękę nożem. Pracuje na naszej farmie od czasu do czasu, poza sezonem.

Peter pokiwał głową.

– Powinnaś zdezynfekować ranę alkoholem.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Wiem.

– Peter! – rozległ się za jego plecami głos Mause. Peter odwrócił się zaskoczony. Już prawie zapomniał, że nie są sami na świecie z dziewczyną w czerwonej sukience. – Co ty wyprawiasz? Strażnik cię zobaczy!

Peter zbył go machnięciem ręki. Maus tylko pokręcił głową, popatrzył przez chwilę na dziewczynę, po czym stanął do nich tyłem, unosząc karczownik wysoko nad głowę.

– Na mnie już czas – odezwała się dziewczyna, a Peter poczuł ogarniającą go panikę.

– Czekaj! – zawołał, gdy zaczęła odchodzić.

Zatrzymała się i spojrzała wyczekująco.

– Ja... – zaczął, nagle kompletnie zagubiony. Nie wiedział, co powiedzieć, ani jak sprawić, żeby została.

Dziewczyna jakby czytała mu w myślach.

– Mam na imię Margaret – powiedziała.

Margaret. To było najśliczniejsze imię, jakie słyszał.

– Peter – wydusił z siebie. – Jestem Peter.

– Peter – powtórzyła tym swoim śpiewnym głosem.

Jeszcze nikt nie wypowiedział jego imienia w tak piękny i doskonały sposób jak ona. Jednak zanim zdołał wykrztusić coś jeszcze, ona już odeszła. Patrzył za nią, dopóki nie umilkł odgłos jej kroków w błocie, a później powoli osunął się na kolana jak rażony piorunem.

– Peter? – Maus wypowiedział z niepokojem jego imię gdzieś w oddali, ale on nawet się nie ruszył.

Zaszła w nim jakaś zmiana; nie potrafił tego nazwać, ale miał dziwne przeczucie, że to spotkanie odmieniło bieg wszystkiego.

– Peter! – powtórzył Maus, tym razem znacznie bliżej jego ucha. Peter odwrócił się i z zaskoczeniem ujrzał tuż przed sobą twarz kolegi ściągniętą niepokojem. – No chodź! Słyszę zbliżających się strażników. Co z tobą? Nigdy wcześniej nie widziałeś ładnej dziewczyny?

Peter nie odpowiedział, ale pozwolił Mausowi zaciągnąć się z powrotem na pole, gdzie znowu zaczął ścinać trzcinę. I chociaż otaczały go dziesiątki pobratymców, a ktoś w sąsiednim rzędzie zaczął nawet śpiewać znajomą piosenkę *Memelwacht*, poczuł się nagle bardziej samotny niż kiedykolwiek, zagubiony w gąszczu mdlącej słodczy tysiące kilometrów od domu.

Rozdział siódmy

Wieczorem po powrocie do domu odgrzałam w mikrofalówce gotowy posiłek, usiadłam z laptopem na ganku i wygooglowałam Petera A. Dahlera. Strony z wynikami pojawiły się od razu, ale wszystkie zdawały się dotyczyć duńskiego profesora, który był zbyt młody, żeby mógł być tym Peterem Dahlerem, którego szukałam. Kilka wyników dotyczyło innych osób, które tak się nazywały, ale wszystkie prowadziły do nieaktywnych kont na Twitterze albo projektów drzew genealogicznych, a poza tym żadna z tych osób nie była w odpowiednim wieku.

Sprawdziłam kopertę, którą dał mi Jeremiaś, i wpisałam w wyszukiwarkę ledwie widoczny adres zwrotny w Holzkirchen, ale wyświetliła mi się tylko mapa Google z zaznaczonym punktem w uliczce niedaleko rynku. Próbowałam wyszukać adres w połączeniu z nazwiskiem Dahler, ale również bez rezultatu.

Poza odkryciem, że Holzkirchen znajdowało się zaledwie trzydzieści minut drogi od Monachium, skąd nadano obraz, nie dowiedziałam się niczego. Rano planowałam zadzwonić do Scotta, mojego byłego chłopaka pracującego w „Orlando Sentinel” i poprosić o sprawdzenie Petera A. Dahlera w gazetowej wyszukiwarce; ich oprogramowanie miało dostęp do baz danych posiadaczy prawa jazdy w całym kraju, a także kilku archiwów w Europie. Jak na razie doszłam do ściany.

Dałam więc sobie spokój z szukaniem Petera i zamiast tego wpisałam w wyszukiwarkę: „niemieccy jeńcy wojenni w USA w czasie II wojny światowej”. Nadal nie mogłam uwierzyć w to, czego dowiedziałam się od Jeremiaha: że w czasie wojny niemieccy żołnierze byli zatrudniani do pracy w całym kraju. Jednak gdy tylko zaczęłam przeszukiwać wyniki, zorientowałam się, że system obozów jenieckich funkcjonujący w Stanach był nawet bardziej

rozwinięty, niż mi to opisał Jeremiaś. Poświęciłam na lekturę okrągłą godzinę i z każdą kolejną stroną moje zdziwienie rośnie.

Zszokowała mnie informacja, że w latach czterdziestych do amerykańskich obozów jenieckich trafiło prawie czterysta tysięcy Niemców, ale pisano o nich tak rzadko, że wielu Amerykanów nie zdawało sobie sprawy z ich obecności. Większość jeńców została pojmana podczas walki albo wyciągnięta z niemieckich okrętów i przewieziona do Stanów do pracy. Na mocy konwencji genewskich jeńcy wojenni mogli być wykorzystywani jako siła robocza, o ile im płacono i zapewniano godziwe warunki, zatem większość z nich pracowała około ośmiu godzin dziennie i dostawała osiemdziesiąt centów dziówki, co odpowiadało ówczesnym zarobkom w amerykańskiej armii.

W całym kraju powstało ponad siedemset obozów jenieckich; były w prawie każdym stanie, chociaż większość na Południu. Niektóre spośród większych obozów zapewniały naukę na poziomie uniwersyteckim, naukę angielskiego, biblioteki, opiekę duszpasterską, boiska do gry w piłkę nożną oraz znakomitą opiekę medyczną. Dla żołnierzy pochodzących z terenów pogrążonych w kryzysie ekonomicznym były to najlepsze warunki, w jakich kiedykolwiek żyli.

Zdarzały się przypadki ucieczek oraz skarg ze strony lokalnych mieszkańców niezadowolonych z obecności wroga w najbliższym sąsiedztwie, jednak większość doświadczeń, o których czytałam, była pozytywna. Około pięciu tysiącom Niemców życie w Ameryce spodobało się do tego stopnia, że po wojnie postanowili zostać. Jednak nawet dwa pokolenia później nie była to wiedza powszechnie znana. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie słyszałam o niemieckich jeńcach pracujących w Stanach, choć najwyraźniej stanowili oni ważny element wojennej ekonomii?

Gdy zadzwonił telefon, z westchnieniem zamknęłam laptop. Na ekranie wyświetliło się imię mojego ojca i odebrałam dopiero po dłuższej chwili.

– Cześć, Emily. Dzwonię zapytać, czy udało ci się skontaktować z Jeremiaśem Beltrainem.

Jego rzeczowy ton niespodziewanie wywołał we mnie smutek. Jakaś część mnie – muszę przyznać, że dość naiwna – liczyła na

coś więcej. Czy ojciec od lat nie próbował naprawić naszych relacji? Czy nie uchyliłam przed nim wreszcie drzwi do swojego serca? Może powinnam się cieszyć z jego obcesowości; w końcu to ja wzniosłam wokół siebie mur, ale i tak poczułam się zawiedziona.

– Wybrałam się do Belle Creek, rodzinnej miejscowości babci.

– Belle Creek? To przecież kilka godzin jazdy?

– Jeremiaś chciał się ze mną spotkać osobiście, a ja nie widziałam powodu, żeby mu odmówić. W każdym razie odpowiedział mi na parę pytań. – Głęboko zaczerpnęłam powietrza. – Wygląda na to, że twój ojciec mógł być niemieckim jeńcem wojennym.

– Chcesz powiedzieć, że był nazistą? – zapytał z przerażeniem.

– Nie – odparłam szybko. – No... teoretycznie to możliwe, ale chyba nie powinniśmy tego z góry zakładać. Z tego, co udało mi się wyczytać i co usłyszałam od Jeremiaha, większość jeńców, których przywieziono tu do pracy, nie identyfikowała się z partią nazistowską. Byli to po prostu młodzi ludzie, którzy nie mieli innego wyboru, jak tylko walczyć o swój kraj.

– Ale... czegoś tu nie rozumiem – stwierdził głucho. – Co robili u nas w czasie wojny?

Szybko streściłam mu to, czego dowiedziałam się od Jeremiaha, a później informacje, które wyczytałam na temat jeńców wojennych masowo sprowadzanych do Ameryki.

– Chcesz powiedzieć, że w czasie wojny mieliśmy tu czterysta tysięcy jeńców? – przerwał mi.

– Dla mnie to też była nowość.

Ojciec przez chwilę nic nie mówił.

– No więc co się u licha stało? Jakim cudem moja matka związała się z niemieckim więźniem? Kim on w ogóle był?

– Nazywał się Peter Dahler. Najwyraźniej byli w sobie zakochani. Jeremiaś powiedział, że babcia Margaret uważała Petera za dobrego człowieka.

Ojciec parsknął śmiechem.

– Dobrego człowieka? Dobrzy ludzie nie kończą w obozach jenieckich i nie uwodzą miejscowych dziewcząt.

– To chyba nie było tak. – Nie miałam pojęcia, dlaczego bronie Petera Dahlera, który ostatecznie nie okazał się wcale taki wspaniały. Jednak coś w tym obrazie i dołączonym do niego liściku

kazało mi wierzyć, że ta historia nie była tak oczywista, jak mogłoby się wydawać.

– Czyli zdaniem Jeremiaha ten cały Peter jest moim ojcem? – głos mu się załamał na ostatnim słowie i po raz pierwszy dotarło do mnie, jakie to wszystko jest dla niego stresujące. – Jak mógł tak po prostu... – urwał w pół zdania, a ja zamknęłam oczy, dokładnie wiedząc, co zamierzał powiedzieć. „Jak mógł tak po prostu zniknąć?”. Ojciec odchrząknął, najwyraźniej skrępowany tym, co prawie mu się wymknęło, i zaczął jeszcze raz: – No więc co teraz? Zagadka rozwiązana?

– Ależ nie. Skoro Peter Dahler zostawił twoją matkę i nie oglądał się już za siebie, to skąd się wziął ten obraz? Mam przeczucie, że to dopiero wierzchołek góry lodowej.

– Może nie powinniśmy drążyć – stwierdził łagodnie ojciec. – Może istnieje powód, dla którego twoja babcia nie chciała, żebyśmy zajmowali się tą sprawą.

– A moim zdaniem chciałyby, żebyśmy odkryli prawdę – odparłam. – Tylko nie jestem pewna, czy sama ją znała.

*

Myra wstąpiła do mnie na drinka o wpół do dziesiątej wieczorem, gdy już położyła spać Samanthę. Jej mąż chętnie został w salonie na kanapie, oglądając football, a Myra wręcz błagała mnie o jakąś wymówkę, która pozwoliłaby jej się wyrwać z domu. Mieszkałyśmy cztery przecznice od siebie w historycznej części Colonialtown na wschód od centrum Orlando, gdzie większość domów pochodziła z lat dwudziestych minionego wieku, a ulice były wysadzone drzewami, pełne biegaczy i osób wyprowadzających psy.

– Czasami tych dwoje doprowadza mnie do szaleństwa – powiedziała, sadowiąc się na krześle ogrodowym na ganku od frontu po tym, jak podałam jej kieliszek chardonnay. Upiła długi łyk, gdy usiadłam naprzeciwko niej. – Jeśli Jay powie jeszcze jedno słowo o tym, jak wspaniała jest drużyna New England Patriots, być może będę go musiała udusić. A Samantha właśnie przechodzi fazę, w której odmawia położenia się do łóżka o zwykłej porze z obawy przed tym, co mogłoby ją ominąć. Najwyraźniej uroiła sobie w tej

czteroletniej główce, że w chwili zgaszenia świateł w jej sypialni nasz salon zamienia się w dyskotekę pełną postaci z *Ulicy Sezamkowej*.

Ze śmiechem stuknęłam się z nią kieliszkiem.

– Wyobrażam sobie ciebie wywijającą z Wielkim Ptakiem.

– Nie tańczę z nikim oprócz Elma. – Uśmiechnęła się, a mnie lekko zakłuło w sercu na myśl o wszystkim, co mnie ominęło.

Pokręciłam głową, zmuszając się do uśmiechu.

– Nie uwierzysz, gdzie dzisiaj byłam.

– W jeszcze bardziej ekscytującym miejscu niż dyskoteka z *Ulicy Sezamkowej*?

Znowu się roześmiałam, po czym opowiedziałam Myrze o obrazie, moim spotkaniu z tatą i wizycie u Jeremiaha. Gdy skończyłam, wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – przyznała. – Chcesz powiedzieć, że z własnej woli wyciągnęłaś rękę do ojca? To ci dopiero wiadomość. I jeszcze odkryłaś, że twoja uroczą babcia Margaret miała plugawy romans z niemieckim jeńcem wojennym?

– Nie wiem, czy taki plugawy.

Myra nie dała za wygraną.

– Nie psuj mi zabawy. Ta historia jest bardziej ekscytująca niż niejedna opera mydlana. A tak na poważnie, co zamierzasz teraz zrobić? Musisz koniecznie znaleźć tego całego Petera!

– Wiem. – Nie patrząc jej w oczy, dodałam: – Rano zadzwonię do Scotta i poproszę go o pomoc.

– Scott – powtórzyła beznamyślnie. – Scott Caruso, który rzucił cię w zeszłym roku, bo uważał, że nie miałaś czasu, by zaangażować się w wasz związek.

– Tak. – Sama aż się wzdrygnęłam.

– Ten sam Scott, który tydzień później miał już nową dziewczynę. Po tym, jak spotykał się z tobą przez siedem miesięcy.

– Nigdy nie traktowałam go zbyt poważnie – odparłam, unikając wzroku przyjaciółki.

Myra westchnęła.

– A czy traktowałaś tak któregokolwiek ze swoich chłopaków, Emily?

– Czyli teraz bierzesz stronę Scotta?

Prychnęła z przekąsem.

– Ani trochę. Wiesz, że nigdy nie uważałam go za odpowiedniego partnera dla ciebie. Chciałam nawet wyprawić imprezę po waszym zerwaniu. Ale musisz przyznać, że odkąd się poznałyśmy, ani razu nie zaangażowałaś się w związek. Ty po prostu dryfujesz, czekając, aż się skończy.

Wzruszyłam ramionami i zapatrzyłam się w ciemność rozciągającą się przed gankiem. Jak miałam jej wytłumaczyć, że po raz ostatni zakochałam się na poważnie osiemnaście lat temu, kiedy straciłam głowę dla Nicka? Zawsze myślałam, że znajdę inną osobę, do której poczuję to samo, lecz połowę życia później wciąż szukałam – i nadal myślałam o swoim szkolnym chłopaku, którego zostawiłam. Najwyraźniej coś było ze mną nie w porządku.

– Możemy zmienić temat? – wymamrotałam.

Myra popatrzyła na mnie znacząco.

– Czemu nie? Przecież zawsze to robimy.

Zignorowałam jej przytyk.

– Okej, no więc przez cały dzień myślałam o tym moim niby-dziadku. Jakoś nie mogę sobie tego wszystkiego poukładać. Babcia była z natury ostrożna i zawsze wyczuwała złych ludzi. W głowie mi się nie mieści, że mogła się aż tak pomylić w stosunku do Petera Dahlera. Jeśli to, co powiedział Jeremiaś, jest prawdą, kochała się w nim na zabój, a później on jakby rozplynał się w powietrzu.

– Po pierwsze musisz pamiętać, że twoja babcia praktycznie była wtedy dzieckiem. No bo ile miała: osiemnaście, dziewiętnaście lat? Pomyśl o wszystkich tych głupich decyzjach, które same podjęłyśmy w tym wieku.

Pokiwałam głową i odwróciłam wzrok. Czy przespanie się z Nickiem należało zaliczyć do głupich decyzji? A może to porzucenie go było najbardziej idiotyczną rzeczą, jaką w życiu zrobiłam?

– Może i tak.

– Poza tym skąd wiadomo, że już wtedy była ostrożna? – ciągnęła Myra. – Może to właśnie tamto doświadczenie ją zmieniło. Może ten cały Peter uczynił z niej kogoś zupełnie innego.

– Naprawdę myślisz, że jedno złe doświadczenie może tak diametralnie wpłynąć na czyjś charakter?

– Myślę, że jeśli kochasz kogoś dostatecznie mocno i zostaniesz zraniona do żywego, to może cię zmienić raz na zawsze.

Z trudem przełknęłam ślinę, po raz pierwszy myśląc, że sposób, w jaki Peter Dahler porzucił moją babcię, przypominał trochę to, jak sama zostawiłam Nicka. Ale może miał swoje powody, podobnie zresztą jak ja. Może nie chciał skrzywdzić mojej babci. Może próbował postąpić jak należy i dopiero później się zorientował, że popełnił największy błąd w swoim życiu. Kiedy tak o tym myślałam, dołączony do obrazu liścik zdawał się mieć więcej sensu.

– Chyba muszę się dowiedzieć, co się wtedy stało – stwierdziłam, patrząc na Myrę.

– Zgadza się z tobą, że warto poszukać wyjaśnienia – odparła wolno. – Ten obraz musi przecież coś znaczyć, prawda? Ale masz teraz dużo spraw na głowie. Nie powinnaś się raczej skupić na szukaniu zleceń? Zastanowić się nad kolejnym krokiem?

– Mam trochę oszczędności i od lat nie byłam na prawdziwym urlopie. Może warto poświęcić tej sprawie trochę czasu? Kto wie? Zresztą niewykluczone, że czegoś się przy okazji nauczę. Może uda mi się napisać jakiś osobisty artykuł dla „Redbook” albo felieton z cyklu Modern Love do „New York Timesa”? Zawsze chciałam dla nich pisać.

– Po prostu nie chcę, żebyś się sparzyła – zamilkła na moment. – Planujesz zaangażować w tę sprawę ojca?

Odwrociłam wzrok.

– Przecież już jest w nią zaangażowany, nie? Nawet bardziej niż ja.

– Co nie oznacza, że musisz przed nim rozwijać czerwony dywan, żeby znowu mógł cię skrzywdzić tak jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem.

– Myślisz, że popełniam błąd – odparłam cicho.

– A tak nie jest?

Wzruszyłam ramionami bez słowa. Nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

– Nie obraż się – dodała po chwili Myra nieco łagodniejszym tonem – ale w twojej rodzinie już panuje lekki bajzel. Kto wie, co odkryjesz? A kontakty z ojcem na tym etapie twojego życia, Emily? Sama nie wiem, czy to dobry pomysł. Może lepiej nie rozgrzebywać przeszłości.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

– Rzecz w tym, że przeszłość nigdy nie jest całkiem pogrzebana, prawda? Nie można o niej zapomnieć, skoro wywiera wpływ na całą resztę.

– Czyżbyś cytowała fragment własnego felietonu?

– Po prostu mam przeczucie, że poznanie prawdy jakoś odmieni moje życie.

Myra wpatrywała się we mnie przez dłuższy moment, zanim w końcu się odezwała.

– A może najlepszym sposobem na zmianę swojego życia jest zajrzenie w głąb siebie? Ale to dużo trudniejsze, nie uważasz?

*

– Emily? O rany, kopę lat – powiedział Scott, odbierając telefon tuż przed jedenastą w nocy, kiedy zadzwoniłam do niego już po wyjściu Myry.

– Mam nadzieję, że nie dzwonię za późno.

– Nie, znasz mnie. Jestem nocnym markiem.

– Pamiętam.

Był to jeden z problemów trapiących nasz krótki związek. Lubiłam wcześniej wstawać do pracy, więc w weekendy kładłam się na ogół przed wpół do jedenastej. Z kolei Scott uwielbiał imprezować, więc często czuł się sfrustrowany, gdy mówiłam, że chcę już wracać do domu. Kiedy położyłam się spać zbyt późno, następnego dnia snułam się jak zombie, podczas gdy Scott czerpał energię z nieskończonej liczby kubków porannej kawy w Starbucksie.

– Co tam? – zagadnął Scott. – Właśnie wychodziłem do Casey's. Dan gra dzisiaj koncert. Kojarzysz gościa?

– Jasne. Pozdrów go ode mnie. – Dan był przyjacielem Scotta i utalentowanym muzykiem, który grywał na gitarze akustycznej w jego ulubionym barze. – Właściwie to... dzwonię, żeby prosić cię o przysługę.

– Przysługę, hmm? – odparł prowokacyjnym tonem. – Nie ma nic za darmo.

– Flirtujesz ze mną?

Roześmiał się.

– A jeśli nawet?

– Myślałam, że spotykasz się z Lilą.

– Zerwaliśmy ze sobą parę miesięcy temu. Znowu jestem singlem, na wypadek gdybyś się zastanawiała.

Tak, zdecydowanie ze mną flirtował. Nie byłam pewna, co o tym myśleć. Nadal mi się podobał, ale za pierwszym razem nasz związek nie wypalił. Czy to nie był wystarczający powód, żeby trzymać się od niego z daleka?

– No więc co to za przysługa? – zapytał po chwili.

– Chciałabym, żebyś kogoś dla mnie sprawdził, jeśli to dla ciebie nie problem.

– Ach, czyli sprawa zawodowa.

– Raczej prywatna.

– Teraz mnie zaintrygowałaś. – Słyszałam, że się uśmiecha. – Spotkamy się w Casey's za parę minut? Postawię ci drinka i wszystko mi opowiesz.

– A jakby tak śniadanie? Ja płacę.

– Jeśli w Dexter's, to zgoda. O dziewiątej.

Też się uśmiechnęłam. Lubiliśmy się tam umawiać na brunch, gdy jeszcze byliśmy parą.

– Do zobaczenia.

– Świetnie. Emily?

– Tak?

– Tęskniłem za tobą.

Z zaskoczenia odebrało mi mowę. Mówił poważnie? Czy to tylko puste słowa?

– Ja też za tobą tęskniłam – odparłam, nie bardzo wiedząc, czy mówię szczerze. – Widzimy się rano.

Rozdział ósmy

Rano obudziłam się, myśląc o Catherine, tak jak często mi się to zdarzało. Poszłam się przebiec wokół jeziora Eola, a gdy moje stopy rytmicznie uderzały o chodnik, wróciłam myślami do nocy, w której Nick i ja ją poczęliśmy. Na ironię zakrawa fakt, że spaliśmy ze sobą tylko raz; byliśmy jedną z tych par, które mogłyby służyć innym nastolatkom za przestrożę. Dwa dni później powiedziałam matce, że straciłam dziewictwo, ponieważ łączył nas ten rodzaj relacji, w której dzieliłyśmy się wszystkim, nawet sprawami, o których nie powinno się mówić rodzicom. „Tylko bądź ostrożna” – odparła, a później, już po jej śmierci, gdy wracałam myślami do tamtej rozmowy, miałam dziwne uczucie, że przewidziała przyszłość. „Decyzje, które teraz podejmujesz, będą miały wpływ na całe twoje życie. A ty jesteś taka młoda, Emily. Jeśli ten chłopak naprawdę cię kocha, zaczeka, aż oboje dorośniecie. Nie ma powodu, by cokolwiek przyspieszać”.

Ale ja wcale nie czułam, że się spieszymy. Wydawało mi się, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Nick był inny niż reszta chłopaków w naszym wieku; zabawny, trochę kujonowaty, zawsze z sercem na dłoni. Podczas gdy inni czerpali przyjemność z przymuszania dziewczyn do seksu i późniejszego ich ignorowania, Nick pisał dla mnie uroczo kiczowate wiersze i kreślił rysunekzki przedstawiające nas dwoje, które wrzucał mi na przerwach do szafki. Każdy nasz pocałunek wydawał się magiczny, bo Nick nigdy mnie nie ponaglał; jedną dłonią obejmował mój policzek, a drugą kładł mi delikatnie z tyłu głowy, jakby trzymał coś niezwykle delikatnego i cennego. Dotyk jego warg na moich ustach był zawsze czuły i uważny, a czasami – chociaż moje ciało reagowało na niego, a puls przyspieszał – starałam się zatrzymać i rozkoszować słodkim trwaniem tej chwili oraz tym, że Nick każdy pocałunek traktował tak, jakby był naszym pierwszym.

Tamtego wieczoru, kiedy się ze sobą przespaliśmy – w sypialni Nicka, gdy jego rodzice poszli na służbowe przyjęcie – zapytał mnie, czy jestem pewna, że tego chcę.

– Kocham cię, Emily – powiedział. Miał rozszerzone źrenice i zachrypnięty głos, gdy patrzył mi głęboko w oczy. – Nie chcę, żebyś czuła się do czegokolwiek przymuszona. Nie musimy tego robić.

Widziałam jednak, że pragnie tego równie mocno jak ja, i nie miałam najmniejszych wątpliwości.

– Wiem. Chcę stracić dziewictwo właśnie z tobą – oznajmiłam z przekonaniem.

W odpowiedzi tylko jęknął i znowu poczułam jego wargi na swoich. Potem zaczął mnie powoli rozbierać. Dotykał palcami, a później także ustami każdego skrawka mojej skóry, aż prawie zaczęłam go błagać o więcej, chociaż jednocześnie strasznie się bałam, jak to będzie. Nick wyczuł mój strach i zaczekał, aż rozplynie się we mgle oczekiwania i ekscytacji, zanim wreszcie się we mnie wsunął.

Krzyknęłam i na jego twarzy przez ułamek sekundy odmalował się niepokój, ale przyciągnęłam go do siebie, zanim zdążył się odezwać, a moje ciało zaczęło się rytmicznie unosić i opadać. Nigdy nie byłam z nikim tak blisko jak z Nickiem, nie czułam się tak związana z inną osobą, a gdy po wszystkim leżeliśmy spoceni w pościeli i uśmiechaliśmy się do siebie, przysięgłam sobie, że nigdy nie zapomnę tego uczucia.

I dotrzymałam słowa. Próbowałam zapomnieć, bo to nie było normalne, żeby nawet po tylu latach myśleć o wieczorze, kiedy straciłam dziewictwo. Tamten dzień okazał się jednak siłą, która odmieniła moje życie na wiele różnych sposobów. A gdy w ciągu tych osiemnastu lat czułam się najbardziej samotną osobą na świecie, wracałam myślami do utraconych chwil oraz uczucia wszechogarniającej przynależności i porozumienia, którego doświadczyłam owego wieczoru.

Tylko że trzy tygodnie później zmarła moja matka i wszystko się zmieniło. Musiało się zmienić. Nie potrafiłam już uwierzyć w nic. Nawet w Nicka.

Po bieganiu wzięłam prysznic, przebrałam się, otrząsnęłam z rozmyślań o Nicku i poszłam do baru Dexter's znajdującego się mniej więcej osiemset metrów od mojego domu. Nie zdziwiłam się, kiedy Scott zjawił się spóźniony dwadzieścia minut, ale wpadł do lokalu zdyszany i od progu zaczął mnie przeproszać. Poprzedniego wieczoru balował do późna, a dzisiaj przegapił budzik. Jego wymówki – które przypomniały mi, jak wyglądał nasz związek – zamiast wyprowadzić mnie z równowagi, tylko mnie znużyły.

– Posłuchaj, Emily, naprawdę cię przeproszam – powiedział, zamówiwszy kawę, i zajrzał do menu.

Patrzyłam na niego bez słowa.

– Za wszystko – dodał, gdy wciąż się nie odzywałam. – Za to, jak skończyły się sprawy między nami. Nie miałem racji i jest mi przykro z tego powodu. Byłem głównianym partnerem. Teraz już to wiem. Nie doceniałem tego, co mam, i wszystko schrzaniłem.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Ja też kiepsko sobie radzę ze związkami – przyznałam. – To nie była wyłącznie twoja wina.

Pokiwał głową, przyznając mi rację.

– Co myślisz o tym, żebyśmy spróbowali jeszcze raz?

Zamrugałam nerwowo.

– Dlaczego tym razem miałoby się udać?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiadomo, czy by się udało. Ale zawsze uważałem, że jest nam razem dobrze, Emily. Przynajmniej nieźle się bawiliśmy.

– W związku chodzi o coś więcej niż tylko dobrą zabawę, prawda?

– Wolalabym tego nie mówić, ale przecież tak było. – Chodzi o to, żeby naprawdę zrozumieć tę drugą osobę. A ty chyba nigdy mnie nie rozumiałeś.

Scott poruszył się niespokojnie na krześle.

– Mógłbym się bardziej postarać dotrzeć do ciebie. Może powinniśmy po prostu spróbować.

Rozmowę przerwało pojawienie się kelnerki, która przyjęła zamówienie: jajka po benedyktyńsku, które były specjalnością lokalu, i szklankę soku pomarańczowego dla mnie oraz kanapkę BLT i krwawą Mary dla Scotta. Gdy tylko dziewczyna się oddaliła, od razu przeszłam do sedna, nie pozwalając Scottowi wrócić do tematu

naszego związku, bo szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– Chciałam cię prosić o przysługę – zaczęłam.

– Ach, tajemniczą przysługę, przez którą ściągnęłaś mnie tu o nieludzko wczesnej porze, czyli o dziewiątej rano. – Spojrzał na zegarek i szeroko się uśmiechnął. – Czy raczej w pół do dziesiątej. No więc w czym rzecz? Jak mogę ci pomóc?

– Chodzi o mojego dziadka.

– Poznaliśmy się, co nie?

Westchnęłam. Przecież opowiadałam mu o swojej rodzinie i o tym, że babcia Margaret wychowała mojego tatę samotnie. Scott wiedział też, że rodzice mojej matki zmarli, zanim przyszłam na świat. Gdyby chociaż przez chwilę się zastanowił, uświadomiłby sobie, że nie mógł poznać mojego dziadka – ale taki właśnie był Scott.

– Nie – zaprzeczyłam. – Ale chciałabym cię prosić, żebyś pomógł mi go znaleźć.

Scott nachylił się w moją stronę i słuchał uważnie, gdy przedstawiłam mu skróconą wersję opowieści Jeremiaha, kończąc na tym, że człowiek, który prawdopodobnie był moim dziadkiem, nazywał się Peter Dahler i po wojnie wrócił do Holzkirchen w Niemczech, blisko miejsca, z którego nadano obraz.

– I co o tym myślisz? – zapytałam. – Mógłbyś go namierzyć?

– Zobaczę, co się da zrobić – odparł. – Oczywiście łatwiej byłoby mi znaleźć kogoś, kto mieszka w Stanach, ale mój kumpel Neil pracuje w londyńskim „Timesie” i może mieć dostęp do innych źródeł. W każdym razie zapisz mi szczegóły, a spróbuję ci pomóc.

Wyjęłam z torebki sporządzone wcześniej notatki na temat Petera, łącznie z jego nazwiskiem, pierwszą literą drugiego imienia, przybliżonym wiekiem i adresem w Monachium, z którego babcia Margaret otrzymała ostatni list. Podałam kartkę Scottowi.

– Masz tu wszystko, co wiem.

Scott prześledził wzrokiem tekst i pokiwał głową.

– Okej. Zajmę się tym. – Wsunął kartkę do kieszeni na piersi. – Wezmę się do tego zaraz po przyjeździe do redakcji.

– Jesteś świetny. Mam u ciebie dług wdzięczności.

Uniósł brew i nachylił się konspiracyjnie w moją stronę.

– Będę o tym pamiętał.

Parę minut później zjawilo się nasze zamówienie. Podczas jedzenia gawędziliśmy o tym, co nowego spotkało naszych krewnych i przyjaciół. Ucieszyłam się, że młodsza siostra Scotta planuje wiosną wyjść za mąż, a on wydawał się szczerze zaskoczony i zadowolony z tego, że już kilka razy rozmawiałam ze swoim ojcem.

– Zawsze uważałem, że powinnaś mu wybaczyć – stwierdził.

Rozdrażniły mnie te słowa.

– Jasne. Bo wszyscy mogą mnie rolować, a ja mam im ochoczo wybaczać.

Uśmiech zniknął z twarzy Scotta.

– Nie o to mi chodziło. Po prostu rodzina jest ważna. – Poklepał się po kieszeni, do której schował kartkę z informacjami na temat Petera Dahlera. – Ale ty już to wiesz. W końcu próbujesz odnaleźć swojego dziadka, nie?

Dwadzieścia minut później uparłam się, że zapłacę rachunek w rewanżu za pomoc, a później podeszliśmy razem do drzwi, gdzie Scott krótko przytulił mnie na pożegnanie.

– Pomyśl o tym, co wcześniej o nas mówiłem, okej? Życie jest krótkie; trzeba chwycić okazje i takie tam.

– Jasne – odparłam, chociaż wcale nie myślałam o nim, tylko o wszystkich szansach, które przeszły mi koło nosa i o tym, czy nie jest za późno, żeby je dogonić.

*

Dotarłam do domu kwadrans po jedenastej, przez chwilę przyglądałam się obrazowi, jakbym mogła cokolwiek z niego wyczytać, a później wyjęłam kartkę, którą dał mi Jeremiah, z danymi kontaktowymi Julie Candless, wnuczki Louise.

Wybrałam numer i już po dwóch sygnałach ktoś odebrał.

– Dzień dobry – odezwałam się niepewnie. – Chciałabym rozmawiać z Julie Candless.

– Przy telefonie.

– Nazywam się Emily Emerson. – Zawsze kiepsko sobie radziłam ze stopniami pokrewieństwa, ale postanowiłam strzelić w ciemno. – Chyba jesteśmy kuzynkami drugiego stopnia. Albo siostrami praciotecznymi czy jakoś tak.

– Nie mam żadnej kuzynki o imieniu Emily.

– Jestem wnuczką Margaret – wyjaśniłam. – Czyli siostry twojej babci Louise, jak sądzę.

– No tak. – W jej głosie słychać było zaskoczenie. – Ale skąd masz mój numer? Z tego co wiem, moja babcia nie rozmawiała z siostrą od jakichś sześćdziesięciu lat.

– Znasz Jeremiaha Beltraina? Widziałam się z nim wczoraj. Wydawało mu się, że możesz coś wiedzieć na temat mojej babci i jej przeszłości.

Julie przez chwilę milczała.

– Wątpię, żebym mogła wiedzieć o niej więcej niż ty, skoro nawet się nie poznałyśmy.

– Najbardziej interesują mnie czasy, kiedy mieszkała w Belle Creek, a szczególnie sam koniec, gdy zakochała się w niemieckim jeńcu wojennym. Myślę, że ten człowiek mógł być moim dziadkiem.

– Twoja babcia nigdy o tym nie opowiadała?

– Nie. – Spojrzałam na stojący po przeciwnej stronie pokoju obraz.

– Wydaje mi się, że mocno ją skrzywdził. Ale teraz zaczynam podejrzewać, że ta historia może mieć drugie dno.

Julie milczała tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem się nie rozłączyła.

– Julie? – zagadnęłam.

– Jesteś jeszcze w Belle Creek? Masz czas, żeby do mnie zajrzeć?

Serce zaczęło mi szybciej bić. Spojrzałam na zegarek.

– Mogę być u ciebie kwadrans po drugiej. Pasuje?

– Chyba tak. Podam ci adres. Ale nie chcę ci robić złudnych nadziei. Nie wiem, czy zdołam ci pomóc. Mam tylko trochę listów i innych szpargałów.

– Listów?

– Pokażę ci, jak przyjedziesz.

Podawała mi adres, wytłumaczyła, jak mam jechać, a później się rozłączyłyśmy.

Dwie i pół godziny później zjechałam z głównej drogi do Belle Creek, po raz kolejny zauważając, że to zupełnie inny świat. Po latach mieszkania na Florydzie wiedziałam, że na obrzeżach większości dużych miast, łącznie z Orlando, znajdowały się

pastwiska dla krów, gaje pomarańczowe i farmy, ale krajobraz Belle Creek prezentował się zupełnie inaczej. Budynki wokół ryneczku zdawały się pochodzić z lat dwudziestych i trzydziestych, reszta zabudowań była w podobnym klimacie. Miasteczko było czyste i zadbane, ale sprawiało wrażenie uwiecznionego w przeszłości.

W drodze do domu Julie mijałam plantacje trzciny cukrowej, która kołysała się na wietrze niczym gigantyczne źdźbła trawy. Otworzyłam okna w samochodzie, żeby lepiej się im przyjrzeć, i ze zdumieniem odkryłam, że pachną trochę jak krem z kukurydzy. Białe czaple dziobały w ziemi, w górze leniwie krążyły sępy. Kiedy wiatr się wzmógł, pola przelewającej się trzciny zdawały się do mnie szeptać. Pierzaste wiechy na końcach niektórych łądyg były tak ulotne i delikatne, że wyglądały jak unoszące się nad ziemią wróżki.

Jadąc w ślimaczym tempie, próbowałam sobie wyobrazić babcię w tym miejscu. Kiedy poznała Petera, musiała być mniej więcej w tym samym wieku co moja córka teraz, uświadomiłam sobie ze zdumieniem. Tak samo trudno było mi sobie wyobrazić własną babcię wchodzącą w dorosłość, jak osiemnastoletnią Catherine, która miała już za sobą całe dzieciństwo. W obydwu przypadkach miałam wrażenie, że czas płynął zbyt szybko.

Jechałam piaszczystą drogą, dopóki nie znalazłam się na samym końcu morza trzciny cukrowej. Wiedziałam, że dom Jeremiaha znajduje się po prawej stronie, za niewielkim skupiskiem palm, więc na skrzyżowaniu skręciłam w lewo, w kierunku domu Julie. Następnie, mniej więcej po półtora kilometra, skręciłam w trzeci podjazd po prawej stronie, tak jak mnie poinstruowała.

Drewniany, pomalowany na żółto dom sprawiał wrażenie starego i krzywego, ale był zadbane. Przed budynkiem stała stara bordowa toyota corolla i leżał dziecięcy rowerek rzucony na starannie utrzymaną rabatkę z aksamitkami. Zaparkowałam za toyotą i podeszłam do frontowych drzwi.

Kobieta, która je otworzyła, wyglądała dziesięć lat młodziej niż ja, ale od razu dostrzegłam rodzinne podobieństwo. Miała oczy mojej babci, o migdałowym wykroju, z długimi rzęsami i taki sam jak ona wąski podbródek.

– Julie? – spytałam.

– Ty pewnie jesteś Emily. – Obcięła mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Wejdz.

Zaprosiła mnie do jasno oświetlonej kuchni, nieremontowanej chyba od lat siedemdziesiątych.

– Napijesz się lemoniady? – zapytała, gdy usiadłam przy porysowanym stole.

– Chętnie.

W milczeniu wlała napój do szklanek, po czym usiadła naprzeciwko mnie, podsuwając mi jedną z nich. Upiłam łyk i uśmiechnęłam się.

– Dzięki za zaproszenie – powiedziałam.

– W końcu jesteśmy rodziną.

Pokiwałam głową.

– Słyszałam, że twoja babcia zmarła w zeszłym miesiącu. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję. – Julie odwróciła wzrok. – To był jej dom, wiesz? Urodziły się tu i wychowały razem z Margaret. Od kilku lat mieszkałam tu z babcią, próbując skończyć studia.

– Brawo – wymamrotałam, rozglądając się wokół siebie.

Usiłowałam sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać ten dom siedemdziesiąt pięć lat wcześniej, kiedy mieszkała tu moja babcia. Dziwnie było sobie wyobrazić, że siedzę w tej samej kuchni, w której prawdopodobnie zjadła swój pierwszy w życiu posiłek i gdzie wieki temu śniła na jawie o Peterze Dahlerze.

– Uniwersytet Palm Beach Atlantic – kontynuowała Julie. – Mają tam kierunek zarządzanie organizacją. Idzie mi jak po grudzie, bo łączę studia z pracą, ale małymi krokami do celu. Na szczęście nie muszę płacić czynszu.

– To miłe ze strony twojej babci.

– Przeważnie była miła. – Słowa Julie zabrzmiały trochę zaczepnie, jakby rzucała mi wyzwanie. – Nie miała zbyt wiele dobrego do powiedzenia na temat twojej babci.

Ponownie skupiłam na niej wzrok i zmarszczyłam brwi. Dziwnie było usłyszeć coś takiego od prawie obcej osoby; od razu się najeżyłam. Nie chciałam jednak obrazić kuzynki, bo wtedy mogłaby mi nie powiedzieć o listach, o których wspominała przez telefon,

więc ugryzłam się w język i spróbowałam wymyślić jakąś neutralną odpowiedź.

– Chociaż wydaje mi się, że moja babcia miała czasem bardzo zamknięty umysł – dodała Julie, zanim zdążyłam coś powiedzieć. – I długo żywiła urazę. Rany, była w tym prawdziwą mistrzynią!

– Chcesz powiedzieć, że żywiła urazę do mojej babci?

– Mało powiedziane. – Julie pokręciła głową. – Wyobraź sobie, jak byś się czuła, mając do kogoś żal przez większość życia. Czysty obłąd, gdy się o tym pomyśli.

– Wiesz, dlaczego tak się na nią gniewała?

– Owszem. – Julie przyglądała mi się przez chwilę, po czym szybkim ruchem wyciągnęła z tylnej kieszeni kilka kopert. – Wiesz, że pojawił się mężczyzna – zaczęła, unosząc koperty. – Niemiec. Zniszczył naszą rodzinę. – Westchnęła. – Zresztą może to nie była jego wina, tylko naszych pradziadków, równie upartych jak Louise.

– Czyli wiesz coś na temat Petera Dahlera?

– Niewiele. Babcia rzadko o nim wspominała. O tym, że miała siostrę, dowiedziałam się dopiero jako nastolatka. – Popatrzyła na mnie. – Jednak pod koniec życia często o niej opowiadała. Myślę, że miała poczucie winy i dlatego dała mi te listy.

Z bijącym sercem podążyłam za jej spojrzeniem.

– Czy to on je przysłał? Peter Dahler?

Nie odpowiedziała od razu. Spojrzała tylko przez okno, za którym rozciągały się pola trzciny cukrowej za kilkoma krótszymi grządkami, na których rosły jakieś warzywa. Pewnie fasolka szparagowa, o której wspomniał Jeremiaś.

– Myślę, że twoja babcia szczerze kochała tego Niemca. A moją babcię doprowadzało to do szału. Była od niej dwa lata starsza i miała narzeczonego, Jimmy'ego, który zginął na wojnie. Z rąk innego Niemca – zawiesiła głos. – Można powiedzieć, że to był kiepski moment na pojawienie się obozu dla niemieckich jeńców wojennych praktycznie po sąsiedzku.

– Jezu, przykro mi – wymamrotałam.

Julie wzruszyła ramionami.

– No, mnie też. Ale gdyby Jimmy nie umarł, babcia nie poznałaby mojego dziadka i nie byłoby mnie tutaj. Więc może wszystko ułożyło się jak trzeba, prawda? W każdym razie, o ile wiem, twoja babcia

zakochała się w jednym z więźniów, a moja uznała to za zdradę. Czy można mieć do niej pretensje? Louise rozumiała tylko, że jakiś Niemiec strzelił Jimmy'emu w głowę, a później jej młodsza siostra zaczęła się szlajać z wrogiem. Kiedy okazało się, że twoja babcia jest w ciąży, a ojcem dziecka musiał być ten Niemiec, moja babcia straciła panowanie nad sobą. Nazwała ją dziwką i powiedziała o tym całemu miasteczku. Ich rodzice rzecz jasna umierali ze wstydu. A z tego, co słyszałam, nasz pradziadek miał porywczy charakter. Oboje chcieli, żeby twoja babcia oddała dziecko, bo cała ta sprawa okryła naszą rodzinę hańbą. Tylko że Margaret najwyraźniej kochała swojego Niemca i była przekonana, że on po nią wróci. Jak wiesz, zatrzymała dziecko, a rodzice się jej wyrzekli.

Pokręciłam głową.

– Ale nie wrócił.

Julie przygryzła wargę.

– Wydaje mi się, że miał taki zamiar. Przynajmniej do czasu. – Po chwili wahania podała mi koperty. Były trzy, wszystkie pożółkłe na brzegach.

Wpatrywałam się w nie przez moment. Listy przysłano z Barnoldswick w Anglii. Ich nadawcą był Peter A. Dahler.

– Pisał do niej – szepnęłam.

Tylko co robił w Anglii po wojnie?

– Babcia mówiła, że listów było więcej. Zachowała tylko te trzy – Julie na chwilę zamilkła. – Myślę, że może Louise miała coś w rodzaju wyrzutów sumienia i chciała, by jej siostra wiedziała, że temu człowiekowi jednak na niej zależało. Ale było już za późno.

– A co z listem, który moja babcia faktycznie dostała? – zapytałam.

– Przekazał mi go Jeremiaś. Podobno był od Petera. Pisał, że zamierza poślubić inną dziewczynę. Nie planował wrócić po Margaret. Twoja babcia go podrobiła?

– Nie. To był jedyny list, który rodzice przekazali Margaret, z oczywistych względów. Ale z tego co wiem, naprawdę przysłał go Peter Dahler. Przykro mi.

Pokiwałam głową. Żal ponownie ścisnął mi serce. Niezależnie od obietnic złożonych w listach, które właśnie trzymałam w ręku, Peter ostatecznie zawiódł moją babcie. Może lepiej, że nigdy ich nie zobaczyła i nie robiła sobie niepotrzebnych nadziei.

– Rzecz w tym – odezwała się po minucie Julie – że albo umiał dobrze pisać, albo naprawdę kochał twoją babcię. Trudno uwierzyć, że tak szybko się odkochał. To po prostu nie ma sensu.

– Najmniejszego – przyznałam, myśląc o liściku dołączonym do obrazu. – Czy mogę je zatrzymać? – spytałam, unosząc listy.

Julie skinęła głową.

– Nie wiem, czy ma to jeszcze jakieś znaczenie, ale moja babcia chyba naprawdę żałowała tego, co zrobiła. Myślę, że w końcu dotarło do niej, że zrujnowała życie młodszej siostrze.

Wstałam od stołu i schowałam listy do tylnej kieszeni.

– Jej życie nie było zrujnowane – odparłam. – Chociaż wydaje mi się, że mogło w nim czegoś brakować. I chcę zrozumieć, co się wtedy stało.

Julie również się podniosła i odprowadziła mnie do drzwi.

– Gdybym mogła ci jeszcze jakoś pomóc, odezwiesz się? Jestem ci winna chociaż tyle. Zważywszy na to, co zrobiła moja babcia.

Przytaknęłam, podziękowałam i krótko ją przytuliłam. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zacznę myśleć o Julie jak o członku rodziny, ale była dla mnie łącznikiem z tym fragmentem przeszłości mojej babci, o którym nie miałam pojęcia, a to już coś znaczyło.

Wsiadłszy do samochodu, wyjęłam listy z kieszeni, położyłam je na fotelu pasażera i włączyłam silnik. Umierałam z ciekawości, żeby je przeczytać, lecz wolałam tego nie robić na podjeździe Julie, bo chociaż właśnie tu rozpoczęła się historia mojej babci, to również w tym miejscu złamano jej serce. Chciałam się od niego oddalić, zanim otworzę drzwi do przeszłości.

Rozdział dziewiąty

Grudzień 1944

Dziwna sprawa z tą miłością, pomyślał Peter. Dorastasz, myśląc, że będziesz miał jakąś kontrolę nad tym, kiedy i w kim się zakochasz. A później życie całkiem cię zaskakuje i zakochujesz się, gdy świat rozpada się na kawałki, w osobie, która nigdy nie przyszlaby ci do głowy, mieszkającej po drugiej stronie planety. Kto by pomyślał, że Peter znajdzie się w Ameryce – że zakocha się w Ameryce – nie mówiąc już o tym, że pokocha Amerykankę, z którą nie będzie mu wolno rozmawiać?

Ale stało się. Bezsprzecznie. Teraz myślał tylko o Margaret i wiedział, że ona też o nim myśli, co wydawało mu się jeszcze cudowniejsze i bardziej nieprawdopodobne.

Margaret. Margaret Mae Evans. Peter nie wiedział, czy istniało kiedyś piękniejsze imię, czy istniała doskonalsza kobieta.

Nagle dni przestały być tak męczące i nie wlokły się już w nieskończoność, chociaż ręce i nogi bolały go bez przerwy, a czasem Peter miał wrażenie, że zemdleje z pragnienia na środku jednego z niekończących się pól trzciny. Teraz jednak prażące słońce było czymś, na co czekał, bo każdy dzień przynosił nadzieję, że zobaczy Margaret, nową szansę zwrócenia na siebie jej uwagi albo odezwania się do niej nad wąskim kanałem. Zamienienie choćby kilku słów z tą dziewczyną sprawiało, że znowu czuł się normalnie i kompletnie, jak człowiek decydujący o własnym losie, a nie więzień, którego życiem kierowały siły znajdujące się poza jego kontrolą.

Margaret często towarzyszył Jeremiaś, któremu pomagała, kiedy Peter ujrzał ją po raz pierwszy. Chłopiec miał dwanaście lat, był szczupły jak na swój wiek, ale jego ręce były silne i żyłaste. Peter wiedział już, że Jeremiaś potrafi ciężko pracować. Powinien chodzić

do szkoły, lecz zamiast tego wstawał o świcie, tak samo jak więźniowie, i szedł do pracy na polu. Czasem ścinał trzcinę cukrową. Niekiedy Peter widział go zbierającego słodkie ziemniaki albo fasolkę szparagową na farmie Margaret albo którejs z pozostałych niewielkich farm otaczających plantację trzciny.

– Jego matka nie żyje – powiedziała któregoś dnia Margaret do Petera, gry ten pracował na skraju pola.

Jak zwykle rozdzielał ich wąski kanał oraz tysiąc innych, niewidzialnych barier. Peter marzył, żeby jej dotknąć.

Zerknął na chłopca pielącego grządkę przerośniętych ziemniaków niespełna sto metrów dalej.

– A co z jego ojcem? Nie zależy mu, żeby jego syn chodził do szkoły?

– To pijak – odparła Margaret. – Jeremiaś musi zarabiać, bo inaczej straciliby dom. Straciliby wszystko.

Peter popatrzył na chłopca ze zdumieniem.

– Ale to przecież dziecko!

– W miejscach takich jak to – odparła smutno Margaret – dzieciństwo nie trwa zbyt długo. – Wyraz jej oczu zmroził Petera. Później dziewczyna zamrugnęła i odwróciła wzrok. – Dlatego staram się pracować razem z nim – dodała. – Gdy jesteśmy na polu, próbuję go uczyć. Rozmawiamy o historii, geografii i polityce. Chyba pomogłam mu się stać się chłopcem, który pragnie zmienić świat.

– I dobrze – odparł Peter. – Wszystkim nam powinno na tym zależeć.

– Tak. – Margaret uśmiechnęła się nieśmiało. – Wiele rzeczy chciałabym zmienić, Peterze.

Popatrzył na nią.

– Ja też.

Dowiedział się od niej, że musiała rzucić szkołę w wieku szesnastu lat, żeby pomagać rodzicom na farmie, i że nie robi już sobie nadziei na studiowanie, bo są bardzo biedni. Pochłaniała więc książki wypożyczane z biblioteki znajdującej się dwa miasteczka dalej i starała się przyswajać jak najwięcej poezji, historii i literatury.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć kawałek świata – wyznała z malującą się na twarzy determinacją. – Nigdy nie wyjeżdżałam

z Florydy, a jest tyle ciekawych miejsc, które muszę zobaczyć na własne oczy. Opowiesz mi, Peterze? Opowiesz mi o świecie?

Snuł więc opowieści o potrawach, których próbował w Niemczech, i plemionach, które spotkał w Afryce. Śpiewał tradycyjne bawarskie piosenki i opowiadał, jak dziadkowie zabrali go na cały miesiąc do Londynu, gdy miał sześć lat, i zjedli z nim podwieczorek w hotelu Ritz. Mówił o tradycyjnej bożonarodzeniowej choince, którą stawiano na rynku w jego rodzinnym miasteczku, i legendzie o Aniołku, niemieckim odpowiedniku Świętego Mikołaja, a także o polityce, ubóstwie i o mechanizmach, które pozwoliły Hitlerowi dojść do władzy.

Margaret opowiedziała mu z kolei o huraganach, które w roku 1926 i 1928 przeszły przez Belle Creek, niemal zmiatając je z powierzchni ziemi. A także o zaporze wybudowanej na zlecenie Herberta Hoovera, która pozbawiła mieszkańców miasta plaży nad jeziorem, ale też uchroniła ich przed katastrofami. Mówiła o swojej rodzinie: starszej siostrze Louise, cichej i wycofanej matce oraz pracowitym i porywczym ojcu.

– Chciałbym ich kiedyś poznać – stwierdził tęsknie Peter któregoś popołudnia, kiedy Margaret zakradła się na skraj pola, gdzie pracował, żeby dać mu szklankę wody. Wypił ją z wdzięcznością, a gdy uniósł wzrok, ujrzał jej zasmuconą minę.

– To niemożliwe – odparła, zniżając głos do szeptu. – Mój ojciec walczył w wielkiej wojnie i nie ma dobrego zdania o Niemcach. A moja siostra, cóż, w zeszłym roku straciła narzeczonego, Jimmy'ego. Zginął we Francji.

Peter poczuł, że jego żołądek zaciska się w supeł.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie też. Był miłym chłopcem, a Louise go kochała. Ale teraz, no cóż... – zawiesiła głos. – Obwinia za to cały naród niemiecki.

Peter pokiwał głową. W pewnym stopniu to rozumiał i współczuł dziewczynie.

– Nienawidzi nas.

Już parę razy widział Louise i domyślił się, że jest siostrą Margaret. Miały takie same brązowe falujące włosy, obie były wysokie i smukłe. Jednak podczas gdy zielone oczy Margaret błyszczały, zaś pełne wargi zawsze były gotowe rozciągnąć

w uśmiechu, oczy Louise pozostawały zimne i puste, a usta zaciśnięte w cienką, surową kreskę. W te dni, gdy więźniowie pracowali w pobliżu ich farmy, Louise często wychodziła na ganek ze strzelbą w ręce i po prostu tam stała, patrząc na nich. Peter czuł się wtedy nieswojo.

– Tak – odparła Margaret. – Ale któregoś dnia zrozumie, że Jimmy zginął na wojnie, o której zdecydowali ludzie u władzy. To nie ty go zastrześliłeś, ani żaden z twoich kolegów. A gdyby Jimmy nie zginął, sam by zabijał. Na wojnie ludzie umierają. Tak to już jest.

Peter pomyślał o Ottonie i o tym, że śmierć przyjaciela była czymś, czego nigdy nie brał pod uwagę i czego będzie żałował do końca życia.

– Wojna jest złem – odparł cicho. – Zmienia cię na gorsze, niezależnie od tego, po której stronie stoisz. – A po chwili dodał: – Nawet serca tych, którzy nie muszą walczyć, twardnieją, nie uważasz? Pomyśl, jak widzą nas miejscowi, tylko dlatego że jesteśmy Niemcami.

Chociaż mieszkańcy Belle Creek powoli zaczęli się przekonywać do więźniów – z reguły uprzejmych i pracowitych – Peter wiedział, że łatwiej było im postrzegać jeńców wojennych jako znieprawionych wrogów aniżeli ludzi niemających większego wpływu na swój los.

– To małe miasteczko, a ich mieszkańcy często mają małe mózdzki – stwierdziła łagodnie Margaret.

Peter się uśmiechnął.

– To samo można powiedzieć o dużych miastach. Małe mózdzki nie mają wiele wspólnego z geografiami.

– Może i nie – dziewczyna zamilkła na moment. – Nigdy nie byłam w dużym mieście. Zabierzesz mnie tam kiedyś?

Peter utkwiał w niej spojrzenie.

– Zabrałbym cię, dokądkolwiek zechcesz, choćby do restauracji na skromny posiłek. Ale teraz to niemożliwe.

Kiedy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia, Petera ogarnęła fala ciepła.

– Nie zawsze tak będzie.

– Masz w sobie tyle nadziei, Margaret. To jedna z tych rzeczy, które w tobie kocham. – Otworzył szerzej oczy, gdy dotarło do niego,

co właśnie powiedział, i poczuł, że płoną mu policzki. Nie zamierzał się jednak wycofywać, bo naprawdę tak myślał. Kochał mnóstwo rzeczy w tej dziewczynie z drugiego krańca świata. Wstrzymał oddech, czekając na to, co mu odpowie.

Margaret też się zarumieniła.

– Tak wiele cech odróżnia cię od innych osób, które do tej pory spotkałam, Peterze – zawahała się. – Żadnej z nich nie darzyłam tak silnym uczuciem. Jak to możliwe? Prawie się nie znamy, a mimo to czuję się tak, jakbyś stanowił nieodłączną część mojej duszy.

– Niektórzy po prostu są sobie przeznaczeni – odparł Peter.

Pragnął ją pocałować, ale strażnicy stali zbyt blisko, a za coś takiego mogliby go zastrzelić. Chociaż pocałunek był niemal wart tego ryzyka. Peter patrzył Margaret w oczy przez dłuższą chwilę, wyobrażając sobie życie z nią, ich wspólną przyszłość. Gdy odwzajemniła jego spojrzenie, był ciekaw, czy miała przed oczami równie piękną wizję.

Czasem rozmawiali na temat historii i stosunków międzynarodowych. Kiedy indziej Peter rozśmieszał ją żartem przeciwionym poprzedniego wieczoru albo zachwycał opowieścią o swoim rodzinnym miasteczku. Bardzo lubił, kiedy patrzyła na wschód, jakby mogła tam dojrzeć Niemcy, które tak chętnie jej opisywał. Wiedział, że Margaret dobrze rozumie, dlaczego on kocha swoją ojczyznę pomimo tego, co się w niej dzieje.

– Nie trzeba kochać jakiegoś miejsca w stu procentach, żeby nosić je w sercu – stwierdziła któregoś dnia na początku grudnia. Powietrze nie było już tak wilgotne i chociaż rozpalone słońce wciąż wisiało nad głowami, praca stała się znacznie znośniejsza. – Belle Creek zawsze będzie moim domem, chociaż nie wszystko jest tu dobre.

– Tak – zgodził się Peter.

Wiedział, co miała na myśli, bo wypowiadając te słowa, zerknęła przez ramię na Jeremiaha z takim smutkiem w oczach, że i jemu zrobiło się przykro.

Margaret zwróciła się w stronę Petera i zapytała cicho:

– Czy to prawda, co piszą w gazetach o obozach dla Żydów w Niemczech i Polsce?

Peter poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Nie miał pojęcia o istnieniu tych obozów podczas służby w Afrika Korps, ale w obozie jenieckim w Belle Creek strażnicy dawali im do czytania gazety, w których rozpisywano się o zwycięstwach aliantów i potwornościach, których dopuszczali się Niemcy. „Zwykła propaganda – mamrotali do siebie niektórzy więźniowie po zgaszeniu świateł. – Nie może być inaczej. Amerykański rząd chce po prostu, żebyśmy się odwrócili plecami do własnego narodu”. Peter miał swój rozum. Opisy tego, co działo się w obozach, nie mogły być dziennikarskim wymysłem. Poza tym był świadkiem deportacji swoich sąsiadów, zmuszonych na długo przed tym, jak pozbawiono ich sklepów, domów i wolności, do noszenia żółtych gwiazd.

– Nie wiem – odparł wreszcie. – Ale obawiam się najgorszego.

Nie dodał, że nie wie, czy kiedykolwiek zdołałby sobie wybaczyć noszenie niemieckiego munduru, gdyby te opowieści okazały się prawdziwe.

Margaret smutno pokiwała głową.

– Chciałabym powiedzieć, że nie umiem sobie wyobrazić, by ludzie mogli się traktować w ten sposób. Jednak każdego dnia jestem świadkiem sytuacji, przez które zaczynam wątpić w ludzkość.

– Ponownie spojrzała na Jeremiaha. – Nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy wszyscy nie byli traktowani jednakowo, Peterze – dodała.

A później, wczesnym rankiem w dniu poprzedzającym Wigilię, Peter i Maus pracowali na wschodnim krańcu plantacji, jakieś czterysta metrów od farmy Margaret, gdy usłyszeli krzyki. Jej krzyki. Peter nie wahał się ani chwili; puścił się biegiem w kierunku, z którego dobiegały, a Maus, przeklinając siarczyście, pobiegł za nim. Peter słyszał dobiegające z za ich pleców wrzaski goniących ich strażników, ale on był szybszy, o wiele szybszy, ponieważ napędzał go lodowaty, rozpaczliwy strach.

Nic jednak nie przygotowało go na widok sceny, którą zastali między drzewami tuż za farmą Margaret.

Jeremiah zwisał z gałęzi wysokiej sosny, powieszony za szyję, wymachując szaleńczo nogami, a z jego obnażonej klatki piersiowej spływała krew.

Margaret wciąż krzyczała, gdy zjawił się Peter. Oplatała ramionami uda chłopca, usiłując dźwignąć go do góry, żeby odciążyć jego szyję. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, która zdążyła przesiąknąć szkarłatną krwią Jeremiaha.

Peter błyskawicznie podbiegł do dziewczyny i uwolnił ją od ciężaru. Z ulgą zauważył, że chłopiec oddycha, chociaż płytko.

– Margaret, nic ci nie jest? Zrobili ci coś? – zawołał, kiedy Maus przybiegł tuż za nim i wydawszy okrzyk zaskoczenia, rzucił się koledze na pomoc.

Po paru sekundach na polance zjawili się Harold i jeszcze jeden strażnik, Carl, krępy mężczyzna z wyciągniętą bronią, wrzeszczący do Petera i Mause, żeby położyli się na ziemi. Obaj jednak stanęli jak wryci, gdy omietli wzrokiem całą tę scenę.

– Co u diabła?! – wydyszał Harold, chowając broń. Zawahał się tylko na sekundę, zanim kazał Carlowi wdrapać mu się na ramiona.

Peter w milczeniu podał Carlowi swój karczownik, a ten ciął grubą linę do momentu, aż Jeremiah, ciężki i bezwładny niczym worek mąki, osunął się w ramiona Mause. Ten położył go delikatnie na ziemi, a ułamek sekundy później Margaret otulała go własnym ciałem, szlochając rozpaczliwie i sprawdzając, czy chłopiec oddycha.

Peter, Maus i strażnicy przez chwilę stali nieruchomo, popatrując na siebie w milczeniu.

– Myślałem, że chcesz uciec – zwrócił się wreszcie Harold do Petera.

– Nie, proszę pana – odparł ten. – Usłyszałem jej krzyki.

Wszyscy spojrzeli na Margaret. Peter czuł przemożne pragnienie, by do niej podejść, przytulić ją i pocieszyć, ale wiedział, że nie może tego zrobić w obecności strażników. Uczucia, które do niej żywił – miał nadzieję, że odwzajemnione – były zakazane.

– Co tu się stało, panienko? – zapytał Harold. – Kto jest za to odpowiedzialny?

– Nie wiem – wyszlochała Margaret, ale ponieważ unikała wzroku strażnika, Peter domyślił się, że kłamie. – Proszę, czy ktoś mógłby mi pomóc zanieść go do mojego domu? Musimy wezwać lekarza.

Harold i Carl wymienili spojrzenia. Potem Harold popatrzył na Petera.

– Dahler, złap go pod pachy. Ja chwycę za nogi. Maus, podtrzymuj tułów. Ostrożnie.

Bez słowa wolno podnieśli Jeremiaha z ziemi. Chłopiec jęknął, a Peter usłyszał, jak Harold mamrocze pod nosem:

– To przecież dziecko, na litość boską. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego dziecku?

Za ich plecami Carl pomagał Margaret wstać z ziemi, a gdy się na nim wsparła, Peter poczuł zadziwiająco silne ukłucie zazdrości. To on powinien ją pocieszać, służyć ramieniem, ocierać jej łzy. Zamiast tego Carl – jego rówieśnik – tulił ją i mamrotał jej coś do ucha. Peter przełknął gniew i skoncentrował uwagę na Jeremiahu, który, wciąż nieruchomy i zakrwawiony, wyglądał na znacznie mniej niż dwanaście lat.

Mężczyźni w milczeniu zanieśli chłopca do domu Margaret i Peter po raz pierwszy przekroczył jego próg. Gdy już oswoił wzrok z mdłym światłem i pomógł położyć Jeremiaha na wysłużonej kanapie w salonie, rozejrzał się uważnie. To było życie Margaret, miejsce, z którego pochodziła i w którym spędziła tak wiele czasu. Pragnął zapamiętać to wszystko: wypaczoną podłogę, wyblakłe od słońca żółte zasłony w kwiatki, unoszący się w powietrzu zapach smażonej ryby, drobinki kurzu tańczące w porannym świetle. Przyziemne rzeczy, które sprawiały wrażenie magicznych.

Margaret wciąż płakała, gdy weszła do domu razem z Carlem, a Peter zrobił krok w jej stronę.

Maus szybko wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

– *Mach nicht* – odezwał się cicho i stanowczo. Nie rób tego.

Peter od razu przypomniał sobie, gdzie jest i kim jest. Bezradnie patrzył, jak Margaret znika w krótkim korytarzu, a po chwili zjawia się z powrotem z rolką bandaża i butelką spirytusu.

– Czy możesz oczyścić i zabandażować mu rany? – zapytała, podchodząc do Petera. – I zadbać, żeby nie cierpiał? Muszę zadzwonić po lekarza.

– Panienko – odezwał się Carl, robiąc krok do przodu i spoglądając surowo na Petera. – Ten chłopak jest więźniem. Niemcem. My się wszystkim zajmiemy.

– Nie. – Odpowiedź Margaret była natychmiastowa i zdecydowana. – Widziałam, jak niósł Jeremiaha. Obchodził się

z nim ostrożnie i delikatnie. – Spojrzała na Petera, a on przez chwilę patrzył na nią. Widział w jej oczach determinację, smutek i gniew; znowu miał ochotę ją przytulić i pocieszyć. Mocny uścisk Mause na ramieniu był jedyną rzeczą trzymającą go w miejscu. – Zostanie tutaj. Ufam mu. Pan musi sprowadzić szeryfa.

Carl wyraźnie się zawahał, ale Harold odpowiedział za niego:

– Zrobi to. Prawda, Carl?

Ten popatrzył krzywo na kolegę, ale posłusznie wyszedł z domu. Harold przez chwilę stał bez ruchu, rozglądając się po pokoju, aż w końcu jego wzrok zatrzymał się na Peterze, który odsunął się od Mause, pochylił się nad Jeremiahem i zabrał się do przemywania ran alkoholem. Chłopiec drgnął, ale nie odzyskał przytomności.

Peter uniósł wzrok i zobaczył, że Harold mu się przygląda. Strażnik patrzył na niego jeszcze przez moment, jakby się nad czymś zastanawiając, a potem wyraz jego twarzy złagodniał.

– Chcesz się zająć tym chłopcem, Dahler? – zapytał.

– Tak jest – odpowiedział Peter. – Znam zasady udzielania pierwszej pomocy. Mogę z nim zostać do przyjazdu doktora.

Harold skinął głową.

– Cóż, w takim razie działaj. Zaczekamy z Mausem przed domem na przyjazd szeryfa, na wypadek gdyby zjawily się tu te łotry. – Zwrócił się w stronę Margaret. – Zgadza się panienka?

Margaret pokiwała głową.

– Dziękuję.

Harold po raz kolejny spojrzał na Petera, uśmiechnął się smutno, jakby wszystko rozumiał, i dał znać Mausowi, żeby poszedł z nim. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Peter popatrzył na Margaret.

– On wie – stwierdziła krótko dziewczyna. – Musi o nas wiedzieć. W przeciwnym razie nie zostawiłby mnie samej z więźniem.

Peter przytaknął.

– I nie próbował nas rozdzielić. – Było to szokujące, ale Peter czuł się zbyt oszołomiony, żeby to sobie w pełni uświadomić. – Margaret, co się stało Jeremiahowi?

Chłopiec gwałtownie zaczerpywał powietrza, gdy on polewał alkoholem rozcięcia na jego skórze. Klatka piersiowa Jeremiaha wyglądała jak pocięta smagnięciami biczem. Jego ciemną skórę

przecinało ponad dwadzieścia ran i wszędzie była krew, która broczyła również z twarzy.

– Dobry Boże – wymamrotał Peter.

– Oni próbowali go zabić, Peterze – odparła Margaret. – Gdybym nie zjawiała się w porę i ich nie spłoszyła...

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Widziałaś, jak to robili?

– Tak – szepnęła. – Najchętniej zabiłabym ich gołymi rękami. Skrzywdzić w ten sposób dziecko... – urwała i zamknęła oczy.

Peter wyciągnął rękę i ścisnął dłoń Margaret. Chciał ją przytulić, ale najpierw musiał się zająć Jeremiahem, który stracił mnóstwo krwi.

– Co dokładnie się stało?

Margaret odetchnęła głęboko.

– Raymond Chambers oskarżył go o kradzież kurcząt z jego farmy.

Peter pokręcił głową.

– Jeremiah nie mógłby tego zrobić.

Margaret również pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. Prędzej umarłby z głodu niż wyciągnął rękę po cudze. Ale Chambers jest po prostu złym człowiekiem. Najgorszym.

– Co miał przeciwko Jeremiahowi?

Margaret przygryzła wargę.

– W zeszłym tygodniu Jeremiah pracował na jego farmie, żeby zarobić trochę więcej pieniędzy, których rozpaczliwie potrzebuje, a Chambers odmówił mu zapłaty. Zwymyślał go i powiedział, że Jeremiah i jemu podobni nadal powinni być niewolnikami. Jeremiah poszedł do szeryfa w sprawie braku zapłaty, a szeryf roześmiał mu się w twarz i wyrzucił go z biura. Musiał jednak rozmawiać o tym z Chambersem. To nie może być przypadek, że tydzień później Jeremiah nagle został oskarżony o kradzież.

– I dlatego go... zlinczowali? – zapytał Peter i popatrzył na chłopca oniemiały z przerażenia. – Nie możesz tu zostać, Margaret. Nie możesz dłużej żyć w takim miejscu.

– A jaki mam wybór? – zapytała. – Brakuje mi pieniędzy, żebym mogła zacząć nowe życie gdzieś indziej. Ale muszę znaleźć sposób,

żeby odesłać stąd Jeremiaha, bo teraz będzie mu groziło niebezpieczeństwo.

Peter w milczeniu odkażał rany chłopca. To, jak go potraktowano, było wprost niewyobrażalne. Jeremiah na pewno by umarł, gdyby Margaret nie przyszła mu z pomocą, a i teraz istniało ryzyko, że nie przeżyje. Stracił dużo krwi, a Peter widział na polu bitwy mężczyzn, którzy umierali w wyniku mniej poważnych obrażeń. Wojna to jedno, ale powieszenie człowieka – nie, dziecka – na drzewie i zachłostanie go prawie na śmierć było czymś nieludzkim.

Margaret odezwała się pierwsza.

– Raymondowi Chandlerowi pomagało czterech mężczyzn – odezwała się tak cicho, że ledwie zdołał ją usłyszeć. – Jednym z nich był mój ojciec.

Peter gwałtownie uniósł głowę.

– Twój ojciec?!

Margaret znowu się rozplakała.

– Peterze, gdybyś widział, jak na mnie spojrzał, kiedy wpadłam na polankę... Miał w oczach tyle nienawiści. Jak on mógł zrobić coś takiego?

Peter szybko się podniósł i przytulił dziewczynę.

– Nie jesteś tu bezpieczna, Margaret.

– On by mnie nie skrzywdził – odparła. – Nie w obecności matki. Nic mi nie grozi. Ja po prostu... W głowie mi się nie mieści, że jestem córką człowieka zdolnego do takiego okrucieństwa.

Peter pomyślał o własnym ojcu: zimnym i surowym.

– Nie musimy być tacy jak nasi rodzice – powiedział. – Możemy stać się lepsi od nich.

– Bogu dzięki.

Przez chwilę Margaret wyplakiwała mu się na piersi, a on mocno ją tulił, czując wzbierające pod powiekami łzy. Nie był w stanie jej pomóc i to go dobijało. Dopóki był więźniem, nie mógł chronić Margaret. Nie będzie przy niej, żeby ją ocalić, jeśli ktoś spróbuje zrobić jej krzywdę.

Z zewnątrz dobiegł odgłos nadjeżdżającego pojazdu, a później męskie głosy. Peter miał nadzieję, że to lekarz i że wreszcie Jeremiah trafi w ręce kogoś, kto będzie w stanie uratować mu życie.

– Mierzi mnie myśl, że nie mogę cię obronić – wymamrotał Peter we włosy Margaret. – I że nie mogę zrobić nic, żeby ci pomóc.

Odsunęła się i spojrzała na niego.

– Peterze, przy tobie wszystko wydaje się lepsze.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a później, zanim zdążył się zastanowić, Peter nachylił się i ją pocałował. Zareagowała błyskawicznie. Miała miękkie usta i delikatny język, a ich pocałunek miał posmak przyszłości. Po raz pierwszy podczas tej z pozoru niekończącej się wojny, w świecie wywróconym do góry nogami Peter był w stanie wyobrazić sobie swoje życie poza tą chwilą.

Odgłosy z zewnątrz się przybliżały i Margaret odsunęła się od niego.

– Kocham cię, Peter – wyszeptała.

Wlepił w nią zdumione spojrzenie. Jak to możliwe, że pokochała kogoś takiego jak on?

– Ja też cię kocham – wyznał. – A gdy wojna się skończy, wrócę po ciebie, Margaret. Wiem, że odeślą mnie do Niemiec, ale wrócę i zabiorę cię stąd. Ochronię cię. Zbuduję z tobą nowe życie.

– A ja będę czekać, Peterze. Dopóki będziesz żył, nie przestanę cię wypatrywać.

Rozległo się pukanie do drzwi, a gdy Margaret poszła otworzyć, Peter już miał wrażenie, że ją traci. Kiedy patrzył, jak lekarz podbiega do Jeremiaha, jego serce przepelniały w równej mierze miłość i strach.

Rozdział dziesiąty

Przejechawszy wzdłuż niekończących się pól trzciny cukrowej, zatrzymałam się wreszcie na niewielkiej stacji benzynowej, pierwszej, na jaką trafiłam od chwili wyjazdu z miasteczka. Zaciągnęłam hamulec i ostrożnie wyjęłam z pożółkłej koperty jeden z listów, pochodzący z lipca 1946 roku. Zobaczyłam staranne pochyłe pismo.

Najdroższa Margaret!

Piszę do Ciebie znowu z obozu w Anglii, rozpaczliwie modląc się o to, by ten list trafił w Twoje ręce. Muszę przyznać, że jestem przerażony tym, jak długo się do mnie nie odzywasz. Mam nadzieję, że to wyłącznie problemy z pocztą, obawiam się jednak najgorszego i gdy leżę wieczorem, nie mogąc zasnąć, zastanawiam się, czy nie spotkało Cię coś straszego.

Dni są monotonne i ponure, nawet latem. Słońce często świeci tu przez wiele godzin bez chwili wytchnienia, a ziemia jest spieczona i popękana, zasypana gruzem z powodu bomb zrzuconych przez Niemców na ten sielski krajobraz. Każdego dnia pracuję bez wytchnienia, raniąc sobie palce do krwi, i pokutuję za grzechy moich rodaków. Jak mogliśmy nie przewidzieć, kiedy Hitler popychał nas do walki wiele miesięcy temu, że właśnie tak to się skończy? Czasami znajduję buty, okulary i czapki i zastanawiam się, jaki los spotkał ludzi, którzy je nosili. Myślę o tym, czy zginęli, i doskwiera mi poczucie winy. Miasta można odbudować, ale nie da się przywrócić ludziom życia.

Nie mam pojęcia, kiedy odeślą mnie do domu i nie ośmielam się pytać. Na tej zrujnowanej wyspie mieszka za dużo ludzi, którzy stracili na wojnie swoich synów, ojców i braci. Na razie wystarczy mi to, że w ogóle żyję.

Marzę o dniu, w którym znowu Cię zobaczę, i modłę się, by nadszedł możliwie szybko.

Tymczasem noszę Cię w moim sercu i szukam ukojenia we wspomnieniach. Zawsze będę Cię kochał, Margaret, i modłę się o to, żebym jak najszybciej mógł Cię znowu wziąć w ramiona.

*Na zawsze Twój,
Peter*

Przeczytałam list dwukrotnie, zanim go złożyłam i schowałam do koperty. W głowie miałam teraz jeszcze większy zamęt. Skąd pisał Peter Dahler? Z jakiegoś obozu jenieckiego w Europie? Niewątpliwie brzmiało to tak, jakby przebywał tam pod przymusem, tylko czym? Wydawało mi się, że po zakończeniu wojny jeńcy byli odsyłani do swoich krajów. A jednak w lipcu 1946, czyli ponad rok po zakończeniu działań wojennych w Europie Peter jeszcze nie dotarł do domu.

Mimo to wciąż myślał o Margaret. Jeśli pisał prawdę, to nadal kochał ją całym sercem i planował po nią wrócić. Co się później zmieniło? Czy w końcu poczuł się sfrustrowany jej brakiem odpowiedzi? Ale jeśli nawet tak było, to jak mógł się nie domyślić, że to rodzina nie przekazuje jej listów od niego?

Pozostałe listy, pierwszy z października 1946, drugi z lipca 1947 roku były krótsze. W pierwszym Peter napisał:

*Najdroższa Margaret,
minął ponad rok, odkąd po raz ostatni trzymałem Cię w ramionach, i obawiam się, że zaczynam zapominać, co to znaczy czuć Twój dotyk. Staram się przywoływać tamte chwile, gdy zamykam oczy, ale czas mija, a ja nie mam od Ciebie żadnych wieści i zastanawiam się chwilami, czy tylko mi się nie przyśniłaś. To całkiem możliwe, nie sądzisz? Wojna była przecież koszmarem, potworną wizją, z której nie potrafię się otrząsnąć. Może byłaś tylko słodkim przerywnikiem, promykiem światła w całej tej ciemności. Muszę jednak wierzyć w to, że istniejesz naprawdę, że nasza miłość też jest prawdziwa i że któregoś dnia znowu Cię przytulę. Gdy ten dzień nadejdzie, kochana Margaret, nigdy już Cię nie puszcę.*

Na zawsze Twój,

Peter

Ostatni list był jeszcze krótszy, a czytając go, poczułam, że się rozklejam. Peter napisał:

Najdroższa Margaret,

nowy rok nastał w mroku, bo nie ma Cię przy mnie i nie odzywasz się do mnie od ponad półtora roku. Jeśli całkiem zniknąłeś z mojego świata, nie wierzę już w to, że nadejdzie wiosna, zakwitną kwiaty, a natura odrodzi się po raz kolejny. Bo tylko Ty, słodka Margaret, jesteś powodem, dla którego żyję. Jesteś światłem w ciemności, które z dnia na dzień staje się coraz słabsze. Czekam na Ciebie, droga Margaret, z sercem przepelnionym miłością.

Na zawsze Twój,

Peter

Przeczytałam ostatni list kilka razy, rozkoszując się nim jak poezją, a potem schowałam go do koperty i odłożyłam na fotel pasażera razem z resztą. Zaczęło mi brakować tchu, gdy wpatrywałam się w koperty, które siedemdziesiąt lat temu przebyły drogę przez Atlantyk, ale nie zdołały dotrzeć do adresatki.

Pięć minut później wciąż siedziałam w milczeniu, patrząc na listy, gdy nagle coś sobie uświadomiłam: Peter pisał do Margaret w styczniu 1947 roku z jakiegoś obozu w Anglii. Tymczasem list przekazany mi przez Jeremiaha, w którym było napisane, że Peter nie wróci po Margaret, został wysłany w grudniu 1945, czyli ponad rok wcześniej, z Niemiec. Chociaż charakter pisma wydawał się bardzo podobny, nie było szans, żeby mógł go napisać Peter. Ktoś z jego rodzinnych stron napisał do Margaret, chcąc jej złamać serce. To, co Peter napisał w swoich listach, pokazuje, że nie miał zamiaru porzucać Margaret.

Z bijącym sercem przekręciłam kluczyk w stacyjce i wyjechałam z powrotem na główną drogę. Ktoś celowo rozdzielił Margaret i Petera, a oni dali się oszukać. Pytanie tylko kto i dlaczego? Rodzina mojej babci miała w tym swój udział, ukrywając listy od niego. Czy po drugiej stronie oceanu w podobny sposób działała

inna osoba, nie przekazując Peterowi listów od Margaret? Nabierałam przekonania, że odpowiedzi należy szukać w Niemczech, skąd pochodził obraz. Jednak większość ludzi zaplątanych w historię mojej babci tu, w Stanach Zjednoczonych, już nie żyła. Tak samo mogło być tam; te listy napisano przecież siedemdziesiąt lat temu.

W drodze powrotnej z Belle Creek czułam, że jestem jeszcze dalej od odkrycia prawdy niż na samym początku moich poszukiwań. Zaczynałam mieć niepokojące wrażenie, że tak naprawdę nigdy nie znałam swojej babci.

Moja komórka zadzwoniła tuż po tym, jak skręciłam w kierunku Turnpike na skrzyżowaniu Yeehaw, i na ekranie wyświetliło się imię Scotta.

– Hej – przywitał się, gdy odebrałam. – Chyba znalazłem coś na temat Petera Dahlera. Tak jakby.

Oddech uwiązał mi w gardle.

– Naprawdę?

– W każdym razie jest to jakiś trop. Udało mi się znaleźć w bazie tylko jednego Petera Dahlera o drugim imieniu zaczynającym się na „A”, ale ten człowiek jest za stary, żeby mógł być osobą, której szukasz. Peter August Dahler, urodzony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym.

– Aha. – Ścisnęło mnie w gardle.

– Ale urodził się w Holzkirchen, skąd przysłano list. Podejrzewam, że mógł to być ojciec twojego Petera. Znalazłem informację, że Peter August Dahler miał dwóch synów. Nie udało mi się ustalić ich imion, ale urodzili się w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym i dwudziestym czwartym roku. O co zakład, że jeden z nich jest Peterem A. Dahlerem, który wylądował w Stanach?

– No tak, wiek się zgadza. – Obaj bracia mogliby już walczyć w czasie drugiej wojny światowej i zakochać się w mojej babci w połowie lat czterdziestych. – Znalazłeś coś jeszcze?

– Akt zgonu Petera Dahlera urodzonego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym. Zmarł tuż po siedemdziesiątce. Pod ostatnim znanym adresem Petera Dahlera seniora w Monachium jest zameldowany niejaki Franz Dahler. Namierzyłem jego prawo jazdy i wygląda na to, że urodził się w dwudziestym czwartym.

– Monachium – wymamrotałam. – To może być brat człowieka, którego szukam. Czy on żyje? Musiałby mieć teraz grubo ponad dziewięćdziesiąt lat.

– Nie natrafiłem na akt zgonu. A po synu urodzonym w dwudziestym pierwszym roku przepadł wszelki ślad.

– Ale to chyba zły znak? Gdyby był w wojsku, powinien figurować w bazie.

– Niekoniecznie – odparł Scott. – Rozmawiałem ze swoim kontaktem w londyńskim „Timesie” i dowiedziałem się, że duża liczba akt wojsk niemieckich z tamtego okresu uległa zniszczeniu. – Słyszałam w tle odgłos stukania w klawiaturę. – Muszę kończyć, Em. Mam nadzieję, że ci to pomoże. Wyślę ci adres mailem, dobra? Jest też numer telefonu, pod który próbowałam dzwonić, ale nikt nie odebrał. Chyba nie jesteśmy w stanie nic więcej zrobić. Może uda się znaleźć kogoś w Niemczech, kto by ci pomógł.

– Dzięki, Scott. Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś.

– Jesteś mi winna randkę.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

– Jasne. Ja stawiam.

Rozłączył się, a ja odłożyłam telefon na leżące na fotelu obok listy. W głowie miałam mętlik. Wszystkie drogi prowadziły do Monachium. Musiałam więc znaleźć sposób, żeby się tam dostać.

*

W nocy prawie nie zmrużyłam oka, a gdy wreszcie wstałam z łóżka o szóstej rano, pierwsze, co zrobiłam, to zadzwoniłam pod numer Franza Dahlera w Monachium, który dostałam od Scotta. Odczekałam aż osiem sygnałów, ale nie włączyła się nawet poczta głosowa. Spróbowałam jeszcze dwa razy: o ósmej i jedenastej, pracując nad artykułem dla czasopisma „Seventeen”, lecz zanim zdążyłam wybrać numer po raz czwarty, o trzeciej po południu, czyli dziewiątej wieczorem czasu w Monachium, rozmyśliłam się. Może Franz Dahler celowo ignorował moje telefony, ponieważ dzwoniłam z nieznanego numeru? A może już nie mieszkał pod tym adresem? Nie miałam pojęcia, jak go namierzyć, skoro tkwiłam po przeciwnej stronie oceanu, uzbrojona wyłącznie w adres i numer telefonu.

Otworzyłam wyszukiwarke lotów w nadziei, że uda mi się znaleźć bilety do Monachium w przystępnej cenie, ale najtańsza podróż powrotna w najbliższym tygodniu liniami Turkish Airlines, i to z dwiema przesiadkami, kosztowałaby 1162 dolary i trwałaby ponad trzydzieści godzin w jedną stronę. Air Berlin oferował loty za 1520 dolarów, ale podróż również byłaby długa: szesnaście godzin w jedną stronę. Obydwie opcje były dla mnie za drogie, zważywszy, że dopiero co straciłam stałe źródło utrzymania. Poza tym musiałabym jeszcze opłacić hotel w Monachium. Nie było mnie stać na wydanie ponad dwóch tysięcy dolarów na wycieczkę. Ceny biletów w następnym miesiącu okazały się niewiele niższe, zresztą nie chciałam czekać tak długo. Mogłabym polecieć do Monachium z Aer Lingus równo za miesiąc za 1064 dolary, jednak do tego czasu trop obrazu mógłby się całkiem urwać. Nie, musiałam lecieć teraz.

Weszłam na swoje konto emerytalne – przynajmniej to jedno traktowałam poważnie jako wolny strzelec – i sprawdziłam saldo. Nie chciałam tego robić, lecz w razie potrzeby mogłam pożyczyć pieniądze na bilet od samej siebie. Skoro babcia przygarnęła mnie w najtrudniejszych chwilach mojego życia – kiedy byłam w ciąży, samotna i przerażona – to przynajmniej tak mogłam jej się odwdziżyć. Mimo to czułam niepokój. Wydając tak dużą kwotę, praktycznie pozbawiłabym się jakiegokolwiek zabezpieczenia finansowego, a nie miałam pojęcia, czy uda mi się zachować ciągłość zleceń.

Bijąc się z myślami, godzinę później zadzwoniłam do ojca, żeby zdać mu relację. Słuchał w milczeniu, gdy opowiadałam mu o swojej wizycie u Julie, a także o tym, czego dowiedziałam się z listów i od Scotta.

– Wydaje mi się, że Peter Dahler nie miał zamiaru zostawić babci Margaret – zakończyłam. – Myślę, że z jakiegoś powodu nigdy nie otrzymali swoich listów i oboje myśleli, że to drugie zapomniało. Może Peter jednak wrócił do Belle Creek, ale babcia zdążyła się już stamtąd wyprowadzić.

Ojciec przez chwilę nic nie mówił.

– No i co teraz? – odezwał się wreszcie. – Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– My? – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale sam pomysł, że działamy razem, wydawał się niedorzeczny.

– Chcę ci pomóc – odparł. – Chodzi o moją matkę, Emily. Poza tym ta sprawa jest zbyt przytłaczająca, żebyś mogła się nią zająć sama.

– Tato, jestem dziennikarką i zajmuję się takimi rzeczami na co dzień – oznajmiłam sztywno, poirytowana jego słowami. – Wcale nie czuję się przytłoczona.

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. – Westchnął głęboko. – Chodziło mi o to, że we dwójkę byłoby nam łatwiej.

– A kiedy właściwie robiliśmy coś we dwójkę?

Zawahał się, ale tylko na chwilę.

– Kiedy byłaś mała. Ty i twoja mama byłyście najlepszą drużyną, jaką miałem.

Jego odpowiedź tak mnie zaskoczyła, że na moment oniemiałam. Nie wiedziałam, jak zareagować, więc tylko odchrząknęłam i powiedziałam:

– Chyba powinnam lecieć do Monachium.

Reakcja ojca była błyskawiczna.

– Masz rację. Lecę z tobą.

– Co? Nie. Nie musisz tego robić.

– Znasz niemiecki?

– Nie.

– A ja tak. Przynajmniej trochę.

– Tato...

– Zapłacę za naszą podróż – przerwał mi. Usłyszałam stukanie w klawiaturę. Przez sekundę byłam przekonana, że nasza rozmowa tak mało go obchodzi, że zaczął pisać do kogoś mail. Po chwili jednak znowu się odezwał: – Jutro po południu jest lot do Monachium. Następnego dnia bylibyśmy na miejscu. Zgódź się, to zabukuję bilety.

– Nie, tato. Znajdę sposób, żeby tam dotrzeć. – Nigdy nie prosiłam ojca o złamanego centa; duma mi na to nie pozwalała.

– Ale przecież właśnie straciłaś stałe źródło utrzymania. – W tle znowu rozległo się klikanie. Staralam się nie brać tych słów do siebie. – Możliwe, że kończy nam się czas. Jeśli Franz Dahler żyje, kto wie, ile mu jeszcze zostało? Jest po dziewięćdziesiątce, tak?

A nawet jeśli nie uda nam się go znaleźć, czy nie byłoby dobrze sprawdzić, skąd pochodzi obraz, dopóki ludzie mają tę sprawę świeżo w pamięci?

– Chyba tak – powiedziałam niepewnie. – Ale naprawdę nie musisz...

– Klamka zapadła – przerwał mi ojciec stanowczo. – Kupuję bilety. Potrzebuję tylko numeru twojego paszportu i widzimy się jutro na lotnisku. Startujemy o trzeciej.

Dwadzieścia minut później rozłączyłam się z uczuciem niepokoju – zupełnie jakbym przegrała bitwę, na którą wcale nie byłam przygotowana. Miałam dziwne przeczucie, że chociaż nie tknęłam pieniędzy zgromadzonych na koncie emerytalnym, położyłam na szali wszystko inne, co do tej pory tak skrupulatnie chroniłam.

*

Tej nocy również nie mogłam zasnąć. Godzinami przewracałam się na łóżku, walcząc z obawami, jakie budził we mnie wyjazd z ojcem. Od ponad dwudziestu lat spędzaliśmy ze sobą nie więcej niż po parę minut, a teraz nagle mieliśmy się wybrać w podróż przez Atlantyk? Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej szalony wydawał mi się ten pomysł.

Po drugiej w nocy w końcu odpłynęłam i przyśniło mi się, że jestem uwięziona w głębokim dole wypełnionym ruchomymi piaskami. Próbowalam się wydostać, a wszyscy moi znajomi obserwowali to z góry z obojętnymi minami. Ojciec też tam był; przeglądał zawartość komórki, podczas gdy ja wzywałam pomocy. „Tatusiu! – wołałam. – Ratuj!”. Zerknął na w moją stronę, wzruszył ramionami i znowu zajął się telefonem. Dopiero wtedy zauważyłam stojącego nad dziurą Nicka wpatrującego się we mnie z przerażeniem. „Nick! – zawołałam, nie wiedzieć czemu zupełnie niezdziwiona jego widokiem. – Pomocy!”. Po krótkim zawahaniu wskoczył do dołu, oplótł mnie ramionami i zaczął wyciągać nas oboje z ruchomych piasków.

Przebudziłam się gwałtownie, wciąż czując przy sobie dotyk silnej klatki piersiowej Nicka i ukojenie, które dawały mi jego ramiona. Przez chwilę czułam, że wszystko będzie dobrze. Ale to był tylko sen

i gdy tak leżałam o czwartej nad ranem ze wzrokiem wlepionym w sufit i bijącym sercem, czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Wstałam z łóżka, włączyłam laptop i otworzyłam zapisaną wcześniej stronę NW Creative, agencji reklamowej działającej w Atlancie, której właścicielem był Nick. Przeglądanie tej strony było grzeszną, niszczącą przyjemnością, pokusą, której ulegałam w najgorszych chwilach. Ziewając, sprawdziłam kolumnę z aktualnościami i z uśmiechem przyjąłam wiadomość, że Nick właśnie wygrał prestiżową nagrodę ADDY za kampanię stworzoną dla lokalnej organizacji non profit – a później kliknęłam w jego notkę biograficzną, którą znałam prawie na pamięć. Była zabawna i zdradzała wystarczająco dużo dowcipnych informacji na temat Nicka, by potencjalni klienci mieli wrażenie, że jest kimś znajomym. Najwyraźniej wciąż lubił filmy z lat osiemdziesiątych, grę w golfa i wystąpił w *The Today Show*, gdzie omawiał trendy reklamowe w Stanach Zjednoczonych. Oglądałam ten fragment programu tyle razy, że mogłam odtworzyć z pamięci całą jego wypowiedź. W notce napisano również, że jest mężem Jessiki. Wiedziałam, że sprawdzanie ostatniego zdania w nadziei, że znikło (oczywiście wciąż tam uparcie tkwiło) jest co najmniej dziwaczne.

Z westchnieniem potarłam skronie i czując się jak ofiara losu, wróciłam do wyszukiwarki, by przez kolejny kwadrans scrollować wątki założone przez najpopularniejsze agencje adopcyjne w kraju, jak zawsze szukając śladu Catherine. Jednak nikt odpowiadający jej opisowi nie próbował odnaleźć tą drogą swoich biologicznych rodziców, a wszystkie posty założone przeze mnie pozostawały bez odpowiedzi. W końcu zamknęłam laptop i wgramoliłam się do łóżka z poczuciem klęski. Miałam już serdecznie dość samotności.

Zanim zdążyłam się rozmyślić, sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer Scotta, chociaż byłam pewna, że leży już w łóżku.

- Nie mogę zasnąć – powiedziałam, gdy odebrał.
- Czy to zaproszenie? – spytał zasnym głosem.
- Sam zdecyduj.
- Zaraz u ciebie będę.

Dwadzieścia minut później Scott stał na progu mojego mieszkania. Nachylił się, żeby mnie pocałować, a ja zagłuszyłam wewnętrzne

obiekcje i poddałam się uczuciu bycia pożądaną. Zaprowadziłam go do sypialni, gdzie pozwoliłam mu niezgrabnie ściągnąć ze mnie podkoszulek i bokserki, w których spałam. Kiedy padliśmy na łóżko, nie myślałam już o Monachium ani o serii nieudanych związków. Skupiłam się na dłoniach Scotta błędzących po moim ciele, dotyku jego skóry na mojej skórze oraz tym, jak mnie wypełnił, gdy wszedł z jękiem do środka.

Ale później, gdy już chrapał u mojego boku, zamknęłam oczy i widziałam tylko tę akwarelę. Rozmyślałam o treści listu, rzeczach, których się dowiedziałam, i lukach, które stopniowo zaczęłam uzupełniać, dotyczących wciąż niejasnej przeszłości mojej rodziny. W końcu odpłynęłam w sen, myśląc o Catherine i życiu, które mogłybyśmy razem wieść, gdybym była silniejsza, mądrzejsza i lepsza. Nic nie było w stanie odwrócić mojej uwagi od żalu, który bez przerwy nosiłam w sercu.

Rozdział jedenasty

Wieczorem, po przesiadce na lotnisku Waszyngton-Dulles, leciałam z ojcem do Monachium.

– Nie musiałeś się sadzić na klasę biznes – powiedziałam, gdy oderwaliśmy się od ziemi.

W dole ciągnęły się budynki Waszyngtonu jak miniaturowe figurki z gry Monopoly. Tata poklepał mnie z uśmiechem po kolanie.

– Kto raz spróbuje klasy biznes, nie będzie chciał wracać do ekonomicznej. Chyba nie dałbym rady wysiedzieć tylu godzin złożony jak scyzoryk.

– W każdym razie dzięki. – Uśmiechnęłam się niepewnie. – Chociaż teraz trudno mi będzie podróżować ekonomiczną.

Ojciec się zaśmiał.

– Poradzisz sobie. Poza tym ojcowie mają obowiązek rozpieszczać swoje córki, czyż nie?

Ostatnie zdanie zawisło między nami w powietrzu, a krępujące milczenie, które po nim zapadło, zdawało się potwierdzać niestosowność jego słów.

– Tato... – zaczęłam.

– Przepraszam. – Nie pozwolił mi dokończyć. – Ciągłe popełniam gafy, ale nie w tym rzecz, co? Chodzi o to, że przez wszystkie te lata byłem beznadziejnym ojcem. Nie mogę oczekiwać, że mi wybaczysz.

Zacisnęłam usta i pokręciłam głową.

– Nie rozmawiajmy o tym teraz – poprosiłam. – Nic nie zmieni tego, że odszedłeś, ale nie mogę cię za to wciąż karać, prawda?

Ojciec wyglądał na zaskoczonego.

– Miałabyś do tego pełne prawo.

– Szczerze? – Przez moment patrzyłam przez okno, po czym znowu zwróciłam się w jego stronę. – Jestem wykończona. Mam serdecznie dosyć gniewania się na ciebie.

Pokiwał głową.

– Nie uważam, że koniecznie musisz mi wybaczyć – stwierdził – abyśmy mogli zacząć od nowa.

– Wiem. Ale to właśnie zaczynanie od nowa mnie przeraża.

Nic więcej nie dodałam, jednak sądząc po jego minie, zrozumiał, o co mi chodzi. Jaką miałam gwarancję, że nie zrobi tego znowu? Co jeśli opuszczę gardę, odnowię z nim relację, a on po prostu machnie na mnie ręką? Nie chciałam się do tego przyznać, ale byłabym tym zdruzgotana. Mury, które wokół siebie wzniosłam, były moją jedyną formą obrony.

– Nie mam do ciebie żalu, że się wahasz, ale przyrzekam, że tym razem cię nie zawiodę.

Pokiwałam głową i znowu spojrzałam w okno. Nie byłam pewna, czy powinnam mu wierzyć, i jednocześnie czułam, że odbudowanie naszych relacji byłoby zdradą w stosunku do mojej matki. Skrzywdziła ją, a teraz ona nie żyje. Z drugiej strony, mama nigdy nie pielęgnowała w sobie urazy i może nie chciałaby, żebym ja to robiła. Może zachęcałaby mnie, żebym uchyliła drzwi swojego serca.

„Twoja mama pewnie nie chciałaby, żebyś go nienawidziła, wiesz?”. Te słowa wróciły do mnie nieproszone; zdumiało mnie to, jak wyraźnie je usłyszałam. Dokładnie tak zareagował Nick, gdy opowiedziałam mu o swoim ojcu mniej więcej miesiąc po tym, jak zaczęliśmy ze sobą chodzić. Był to również początek jedynej poważnej kłótni, do jakiej między nami doszło.

– Czyli dokładnie wiesz, co myśli i czuje moja mama? – warknęłam obronnym tonem, odwracając się do niego plecami.

Jechaliśmy właśnie do kina jego małą hondą civic i patrzyłam przez okno, starając się nie rozplakać.

– Nie o to mi chodziło – odparł. – Miałem na myśli, że wydajesz się na niego wściekła. To nie tak, że nie masz powodu. Ale wydaje mi się, że trudno być na kogoś tak długo wściekłym.

Cierpliwy ton głosu Nicka wprowadził mnie w jeszcze bardziej bojowy nastrój.

– Całkiem łatwo, gdy osoba, o której mówisz, znika nagle z twojego życia.

– Wiem o tym, Em. Ale może twoja mama nie chciałaby, żebyś chodziła wkurzona ze względu na nią, co? Wolałaby, żebyś była

szczęśliwa i nie martwiła się o nią.

– Nie masz o tym bladego pojęcia – rzuciłam twardo, starając się nie brać sobie do serca jego słów. Na jakimś poziomie wiedziałam, że ma rację, jednak moja złość na tatę była czymś w rodzaju honorowej odznaki, która łączyła mnie i moją mamę. Pozbycie się jej oznaczałoby utratę części siebie.

– Za to dobrze znam ciebie – odezwał się po dłuższej chwili Nick. W jego głosie pobrzmiwała ostrożność i wiedziałam, że stara się powiedzieć to, co trzeba, ale byłam na niego tak wkurzona za wtrącanie się w nie swoje sprawy, że z każdym słowem denerwował mnie coraz bardziej. – I wiem, że zrobiłabyś wszystko dla ludzi, których kochasz. Tylko że czasami zapominasz o sobie.

– Tak, no cóż, troszczenie się o mamę sprawia mi przyjemność, okej?! – wybuchnęłam. – A tobie nic do tego.

– Masz rację – zakończył rozmowę Nick. – Opuścisz, kiedy będziesz gotowa.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos taty:

– Byłaś już w Niemczech?

Dotarło do mnie, że od dłuższego czasu się nie odzywam.

Odchrząknęłam.

– To moja pierwsza podróż poza Stany, nie licząc rejsu statkiem po Bahamach – przyznałam, a tata był tak zaskoczony, że dosłownie otworzył usta.

– A co ze zwiedzaniem świata? Poznawaniem życia w innych krajach? Jedzeniem bagietki w Paryżu albo piciem herbaty w Chinach?

– Ostatnim razem, gdy sprawdzałam, mieli w sklepie francuskie pieczywo i zieloną herbatę. – Nie chciałam wspominać o tym, że zawsze marzyłam o podróżach, ale jakoś zabrakło mi na nie czasu. Nigdy też nie miałam szczęścia do zleceń, które wiązałyby się z zagranicznymi wyjazdami.

Rozmowę przerwała nam stewardesa, która przyniosła tacę z przekąskami i szampanem. Stuknęliśmy się z ojcem kieliszkami i wysączyliśmy po długim łyku musującego napoju.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić – stwierdziłam.

Ojciec spojrział w stronę okna.

– Niemcy też ci się spodobają, Emily – odezwał się po chwili. – Cieszę się, że lecimy tam razem.

*

Z góry Monachium wyglądało bajecznie. Wylądowaliśmy tuż po ósmej rano, a gdy przeszliśmy przez odprawę celną i odebraliśmy bagaże, była już prawie dziesiąta. W ciągu ośmiogodzinnego lotu przysnęłam parę razy, ale wciąż czułam się lekko nieprzytomna i skołowana; różnica czasu wynosiła sześć godzin, co oznaczało, że kiedy wsiadaliśmy do taksówki, w Orlando było parę minut po czwartej rano.

– Będziesz się chciała zdrzemnąć w hotelu? – zapytał tata, gdy kierowca wjechał na autostradę prowadzącą do Monachium.

Jego troska nie wiedzieć czemu mnie zirytowała, ale wzięłam głęboki oddech, zanim się odezwałam:

– Nie trzeba, dobrze się czuję.

W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, sosny i bloki mieszkalne na przedmieściach zaczęły ustępować miejsca uroczym peryferiom bawarskiego miasta, z kremowobiałą gotycką architekturą i dachami koloru cegły na tle niewiarygodnie błękitnego nieba.

– To jest Frauenkirche – powiedział tata, wskazując bliźniacze wieże zegarowe zwieńczone zielonymi kopułami. W porównaniu z nimi reszta budynków wydawała się maleńka. – Główna katedra w Monachium. Wzniesiono ją w piętnastym wieku w stylu gotyckim, ale kopuły dodano później, w latach dwudziestych szesnastego wieku, dlatego reprezentują zupełnie inny styl architektoniczny.

– Mówisz jak przewodnik.

– Dawniej bywałem tu służbowo. Zapamiętałem co nieco – wyjaśnił z uśmiechem.

– Pozazdrościć – odparłam, ale ojciec chyba nie usłyszał sarkazmu w moim głosie.

Po chwili milczenia nie wiedziałam już, dlaczego chciałam mu dopiec.

Nasz hotel mieścił się w bocznej uliczce niedaleko centrum. Po zameldowaniu poszliśmy do pokoi znajdujących się po przeciwnych stronach korytarza, przebraliśmy się po podróży, a później mieliśmy

się spotkać w lobby. Gdy podeszłam do ojca, akurat rozmawiał z konsjerżem. Odwrócił się w moją stronę z mapą w ręku.

– Chciałem jechać do Franza Dahlera taksówką, ale podobno dotrzemy tam w piętnaście minut. Masz ochotę na spacer?

Skinęłam głową i z pomocą mapy oraz GPS-u w iPhone ojca w milczeniu przeszliśmy kilka uliczek, by znaleźć się na Marienplatz, głównym placu Monachium. Przez chwilę oboje staliśmy jak oniemiaли.

Plac wyglądał niesamowicie i nie przypominał niczego, co widziałam do tej pory. Miał kształt prostokąta, a pomiędzy znajdującymi się naokoło kafejkami i sklepikami krążył tłum ludzi. Pośrodku wznosiła się wysoka kolumna zwieńczona posągami Maryi Panny. Budynki wokół stanowiły uroczą mieszankę historii i nowoczesności. A neogotycka budowla ze strzelistą wieżą zegarową, która zdawała się kotwiczyć cały plac, wprost zapierała dech w piersiach.

– Spójrz – odezwał się ojciec, szturchając mnie w ramię i wskazując na zebrany u stóp wieży tłum.

Gdy dzwony zaczęły wybijać godzinę, znajdujący się w dolnej części wieży Glockenspiel ożył. Najpierw na górnym poziomie ukazała się procesja figurek z trąbkami, mieczami i flagami. Później pojawiły się dwie postacie z mieczami na końskich grzbietach, obracające się w przeciwnych kierunkach.

– Scena walki rycerzy na kopie upamiętnia ślub księcia Wilhelma V – szepnął ojciec dokładnie w chwili, gdy dolna połowa zegara również zaczęła się obracać. – Ta część przedstawia taniec o nazwie *Schäfflertanz*, który wykonano po raz pierwszy podczas epidemii dżumy w szesnastym wieku na znak lojalności wobec księcia w najcięższych czasach.

Patrzyliśmy, jak grupa figurek przedstawiających bednarzy tańczy i wiruje wokół dolnej części wieży. Wyglądało to uroczo, magicznie i skojarzyło mi się ze staroświecką karuzelą.

– Coś niesamowitego – powiedziałam, gdy muzyka wreszcie umilkła, a zebrani na placu turyści zaczęli bić brawo.

– Cieszę się, że udało nam się to zobaczyć – oznajmił tata, a mnie zalało poczucie winy, że tak dobrze się z nim bawię. Co by o tym pomyślała mama?

Kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, ojciec poprowadził mnie w prawo. Przeciskaliśmy się przez tłum, aż wreszcie wyszliśmy na rozległy i gwarny targ. Zewsząd otaczały nas stoiska pełne wszystkiego, co tylko można sobie wymarzyć: warzyw i owoców we wszystkich kolorach tęczy, rozmaitych gatunków mięs, ryb, serów, przypraw, kwiatów i ubrań. Na środku placu znajdował się ogródek piwny, a dookoła rozsiane były nieco bardziej eleganckie sklepiki i restauracje.

– To jest Viktualienmarkt – odezwał się tata, dając mi znak, żebym poszła za nim. – Najbardziej znane targowisko w całym Monachium. Działa od kilkuset lat.

Nic nie powiedziałam. Ojciec ponownie zerknął na mapę i ruszyliśmy przez labirynt straganów, wdychając unoszący się w powietrzu zapach drożdży, kiełbasy i przypraw. Zaburczało mi w żołądku i dotarło do mnie, że – skupiona na naszej misji – ostatni posiłek, czyli rogalik z kawą, zjadłam w samolocie tuż przed lądowaniem.

Skręciliśmy w boczną uliczkę, zostawiając za sobą gwarne targowisko. Ojciec zatrzymał się przecznicę dalej, przed siedmiopiętrowym budynkiem. Schludne rzędy okien ciągnęły się na pomalowanej na beżowo elewacji, a dach w odcieniu palonego oranżu usiany był wąskimi kominami oraz niewielkimi, przeszklonymi mansardami.

– To chyba tu – powiedział. Nachyliliśmy się w stronę nazwisk lokatorów wypisanych obok domofonu przy drzwiach wejściowych, a po chwili szepnął: – Tak.

Dokładnie w tym samym momencie sama zauważyłam nazwisko „Dahler” przy numerze 5B. Wymieniliśmy spojrzenia i tata nacisnął dzwonek.

Nikt jednak nie odebrał. Ojciec zmarszczył brwi i spróbował jeszcze raz, ale znowu odpowiedziała nam cisza.

– Należało się tego spodziewać – stwierdziłam. – To by było zbyt proste.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Może po prostu wyszedł. Hej, mogliśmy się z nim nawet minąć na targu.

Postanowiliśmy pójść do galerii, z której wysłano obraz. Miałam nadzieję, że na żywo właścicielka okaże się bardziej rozmowna. W końcu przelecieliśmy tysiące kilometrów, żeby się tu znaleźć. Zasługiwaliśmy przynajmniej na odrobinę życzliwości.

Ojciec przez chwilę szukał w telefonie ze zmarszczonymi brwiami, po czym otworzył mapę i wpisał adres Galerie Schubert-Balck.

– Galeria jest kwadrans drogi stąd, mniej więcej w kierunku naszego hotelu – oznajmił. – Masz jeszcze siłę chodzić?

Przytaknęłam, nadal zaniepokojona tym, jak dobrze się czułam w jego towarzystwie, i ruszyliśmy z powrotem w kierunku Viktualienmarkt, a później skręciliśmy w prawo, chyba na wschód. Pod koniec spaceru weszliśmy w niewłaściwą uliczkę, więc potrzebowaliśmy jeszcze kilku minut, by znaleźć galerię mieszczącą się w suterenie dużego przemysłowego budynku. Nad wejściem wisiała czarna tabliczka z wypisaną na niej białymi literami nazwą „Galerie Schubert-Balck” i strzałką w dół. Na końcu wąskiej klatki schodowej znaleźliśmy czarne drewniane drzwi, na których grube białe litery układały się w angielski napis: PROSZĘ WEJŚĆ.

Ojciec pchnął drzwi i przytrzymał je dla mnie. Weszliśmy do słabo oświetlonego korytarza, skręciliśmy za róg i znaleźliśmy się w jasnym pokoju ze śnieżnobiałymi ścianami. Na każdej z nich, w równych odległościach od siebie, wisiały trzy niewielkie oprawione w ramy obrazy. Galeria sprawiała wrażenie schludnej, przestronnej i nowoczesnej.

Z drzwi po naszej lewej stronie wyłoniła się kobieta z rozwianymi atramentowoczarnymi włosami, ubrana w białą lnianą bluzkę i spodnie i wyrzuciła z siebie potok słów po niemiecku. Ojciec zwrócił się w jej stronę i odpowiedział kilkoma zdaniami w tym samym języku, wskazując na mnie. Kobieta przyjrzała mi się badawczo.

– Ach, więc to pani jest właścicielką *Dziewczyny na polu na tle purpurowego nieba*? Niepotrzebnie leciała pani tyle kilometrów. Powiedziałam już wszystko, co wiem. – Obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów i wyciągnęła rękę. – Nicola Schubert. Prowadzę tę galerię razem z moim partnerem, Torstenem.

– Emily – przedstawiłam się, ściskając jej dłoń. – A to jest Victor Emerson, mój ojciec. Podejrzewamy, że kobieta na obrazie to moja babcia. Ze strony ojca – uściśliłam.

Nicola przyglądała nam się przez chwilę, po czym skinęła głową i dała nam znak, żebyśmy poszli za nią.

– Zapraszam do mojego biura. Powiem wam to, co wiem na ten temat, ale obawiam się, że jest tego niewiele. Sądzę, że przylatując tutaj, jak to powiedzieć, tylko straciliście czas.

– Oby nie – mruknęłam, podążając za nią długim, wąskim korytarzem do niewielkiego biura. Na jednej ścianie wisiała półka z książkami, a za biurkiem stał duży obraz przedstawiający nagą ciemnowłosą kobietę w otoczeniu trzech białych królików.

– To dzieło Lothara Fausta – wyjaśniła, podążając za moim wzrokiem. – A właściwie wydruk. Oryginał rzecz jasna zniszczyłby się od słońca. – Ruchem głowy wskazała okno po lewej stronie biurka, przez które do pokoju wlewał się strumień światła z ulicy nad nami. – Staramy się wypożyczyć oryginał na jesienną wystawę poświęconą dwudziestowiecznemu realizmowi. Ale gdzie się podziały moje maniery? Usiądźcie, proszę.

Zajęliśmy miejsca na krzesłach stojących przed biurkiem, a Nicola usiadła naprzeciwko nas.

– O czym to ja mówiłam? Ach tak, dwudziestowieczny realizm. Musicie wiedzieć, że jestem wielką entuzjastką tego stylu. Prawdę powiedziawszy, w kręgach artystycznych uważają mnie za ekspertkę – zawiesiła głos i się uśmiechnęła. – Pewnie dlatego przysłano mi ten obraz do renowacji. Niewątpliwie jest to dobry przykład realizmu w malarstwie, a ja cieszę się opinią osoby specjalizującej się w renowacji tego rodzaju dzieł. Autor miał świetną technikę – kontynuowała, wskazując obraz za swoimi plecami. – Chociaż nie mamy do czynienia z oryginałem, widać, że Faust stosował szerokie i zamaszyste pociągnięcia pędzlem. Dzięki temu obraz wydaje się dynamiczny, ciepły. Proszę się bliżej przyjrzeć.

Oboje z ojcem wychyliliśmy się do przodu, żeby przypatrzeć się obrazowi za biurkiem. Nie znałam się na sztuce, więc trudno mi było zrozumieć, o co dokładnie chodziło właścicielce galerii. Pokiwałam jednak głową z mądrą miną i znowu usiadłam prosto. Ojciec podchwycił moje spojrzenie, wzruszył ramionami i też się wyprostował.

– Teraz rozumiecie? Jednak na obrazie, który pani wysłałam, *Dziewczynie na polu na tle purpurowego nieba*, technika była inna.

Pełna emocji. Dało się w nim wyczuć cierpienie artysty.

– Cierpienie?

– Ach, czyli nie dowierza mi pani. Jednak gdy ma się wyrobione artystycznie oko, można dostrzec emocje, w taki sam sposób, jak znawcy muzyki są w stanie usłyszeć boleść albo uniesienie w dźwiękach trąbki czy zawodzeniu skrzypiec. – Rozsiadła się wygodniej na krześle i przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiała. Popatrzyliśmy na siebie z ojcem. – Na początku miałam silne skojarzenia z wczesnymi pracami Wyetha albo nawet Gaertnera – odezwała się wreszcie.

– Kogo? – Nazwiska brzmiały znajomo, ale nie potrafiłam skojarzyć ich dzieł.

Nicola przewróciła oczami, nawet nie starając się tego ukryć.

– Andrew Wyetha i Ralpha Gaertnera, rzecz jasna. Dwóch spośród najbardziej znanych artystów dwudziestego wieku. Ich prace były po prostu ponadzmysłowe.

– A więc chce pani powiedzieć, że któryś z nich mógł namalować ten obraz?

– Nie, nie, oczywiście, że nie – zachnęła się. – Wyeth malował postaci na tle całkiem innego krajobrazu, głównie regionów północno-wschodnich waszej ojczyzny. Poza tym korzystał z całkowicie odmiennej techniki cieniowania. Z kolei Gaertner kategorycznie odmawiał malowania twarzy. Jak stwierdził podczas jednego z wywiadów, przedstawianie twarzy było dla niego zbyt intymne; jakby obnażał przed światem czyjąś duszę bez zgody tej osoby. A przecież na obrazie, który nam przysłano i który poddałam renowacji, twarz kobiety ukazano tak drobiazgowo, że miałam wrażenie, jakbym znała ją osobiście. – Przechyliła głowę i przez chwilę badawczo mi się przyglądała. – Prawdę mówiąc, jesteście do siebie bardzo podobne.

– Emily zawsze przypominała swoją babcię – powiedział cicho ojciec, a ja uśmiechnęłam się lekko, wiedząc, że to był komplement.

Nicola przytaknęła.

– W każdym razie mogę tylko zasugerować, że autor *Dziewczyny na polu na tle purpurowego nieba* mógł być uczniem Wyetha albo Gaertnera. Wiem, że Gaertner wziął pod swoje skrzydła kilkoro młodych artystów. Obaj jednak spędzili całe życie zawodowe

w Stanach Zjednoczonych, więc obawiam się, że odpowiedzi na wasze pytania należy raczej szukać po drugiej stronie oceanu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Miałam wrażenie, że uleciała ze mnie cała energia, i te same emocje widziałam na twarzy ojca. Rozmawialiśmy z ekspertką, która zajmowała się tajemniczym obrazem, ale miałam wrażenie, że wyjedziemy stąd z jeszcze większą liczbą niewiadomych. Zaczynałam czuć, że faktycznie marnujemy czas. Postanowiłam dać sobie ostatnią szansę.

– Może obito się pani o uszy nazwisko Peter Dahler? – zapytałam.

Nicola pokręciła głową.

– Nie. Czy to jakiś artysta?

– Nie wiem – przyznałam. – A może kojarzy pani jakiegoś malarza realistę noszącego takie samo nazwisko jak my? Emerson? – Strzelałam już na oślep.

– Niestety nie.

Podziękowaliśmy jej za poświęcony czas i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia.

– Chwileczkę – powiedziałam. – A co z pani asystentką? Tą, która przyjęła obraz? Może ona będzie pamiętała, kto go przysłał. Czy możemy z nią porozmawiać?

Twarz kobiety wyraźnie stężała.

– Bettina? Jak już mówiłam przez telefon, odeszła od nas miesiąc temu.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak się z nią skontaktować?

Nicola zmarszczyła brwi, jakby rozważając moją prośbę.

– Niech będzie – odezwała się po długiej chwili. – Nie widzę przeszkód. Bettina przeniosła się do Galerie Bergen trzy przecznice stąd. Właściciele najwyraźniej myślą, że ma talent do renowacji obrazów, ale moim zdaniem nie jest jeszcze gotowa. Chciałam ją porządnie przeszkolić, zanim ją awansuję, lecz tamci woleli wykorzystać jej wątpliwe umiejętności od razu. Krzyżyk na drogę. – Zacisnęła usta i zanotowała coś na skrawku papieru. – Oto adres galerii. Po wyjściu musicie skręcić w prawo, przejść dwie przecznice, skręcić w lewo i pokonać jeszcze jedną przecznicę. Sami się przekonacie, że ich galeria nie umywa się do naszej.

– Dziękuję – powiedziałam, ściskając w ręku kartkę z adresem.

Nicola odprowadziła nas do drzwi.

– Przy kolejnej wizycie w Monachium powinniście tu wrócić i obejrzeć moją kolekcję. A jeśli uda wam się odnaleźć artystę, który namalował obraz, odezwiecie się do mnie, prawda?

– Tak – odparłam.

– W takim razie życzę powodzenia. – Uśmiechnęła się. – Czy, jak mówimy w Niemczech, *viel Glück*.

Rozdział dwunasty

Maj 1945

Rok 1945 rozpoczął się zimnym, wilgotnym i szarym poniedziałkowym rankiem. W obozie jenieckim krążyły plotki, że wojna niedługo się skończy, Hitler skapitułuje, a Niemcy się rozpadną.

Armia Czerwona i alianci parli do przodu, a w pierwszych miesiącach 1945 roku pięciodobowa niemiecka ofensywa w Ardenach zakończyła się fiaskiem. „To niewątpliwie najpoważniejsza bitwa stoczona przez Amerykanów w czasie tej wojny i wierzę, że ich zwycięstwo przejdzie do historii” – powiedział Winston Churchill do członków Izby Gmin po porażce Niemców, a jego słowa popłynęły falami radiowymi i były powtarzane bez końca przez strażników i więźniów w obozie. Bieg wojny się odwrócił i wszyscy o tym wiedzieli.

Dla Petera świadomość, że koniec wojny jest bliski, była zarazem ekscytująca i przerażająca. Oczywiście tęsknił za wolnością i chciał zbudować nowe życie. Marzyły mu się czasy, gdy nie będzie musiał harować na cudzym polu pod czujnym okiem strażnika. Tęsknił za matką, książkami, ulicami rodzinnego miasteczka, znajomym brzmieniem ojczystego języka wokół siebie.

Jednak powrót do domu oznaczałby zostawienie Margaret, co nie mieściło się Peterowi w głowie. Zakochał się w niej i nie miał już odwrotu. Czasami ziemia po prostu trzęsie się w posiadach i nic nie można na to poradzić. Peter wiedział, że bez Margaret jego życie nigdy nie będzie kompletne, i był gotów uczynić wszystko, żeby spędzić je u boku ukochanej. Wiedział, że ona czuje to samo. Szeptali sobie do ucha obietnice i snuli wizje wspólnej przyszłości, gdy tylko zostawali sami. Te skradzione chwile szczęścia zdarzały się jednak bardzo rzadko. Strażnicy zawsze trzymali się w pobliżu

i chociaż Peter był pewien, że Harold zdaje sobie sprawę z uczuć łączących jego i Margaret, on nigdy o tym nie wspomniał. Żaden inny strażnik nie mógł się o nich dowiedzieć, bo wtedy Peter zostałby przeniesiony do innego obozu i rozdzielony z ukochaną raz na zawsze.

Bardziej niż o siebie Peter martwił się losem Margaret, gdyby wieści o ich zakazanym związku się rozniosły. Nie potrafił zapomnieć widoku pobitego i zakrwawionego Jeremiaha. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, jaka kara mogłaby spotkać Margaret, gdyby mieszkańcy miasteczka dostrzegli w niej zdrajczynię.

Od tamtego dnia w domu Margaret – gdy powiedziała, że go kocha – coś się w nim zmieniło. Peter nie podkochiwał się już w Margaret z daleka, w obawie, że dziewczyna nie odwzajemni jego uczuć. Teraz wiedział, że ma u niej szansę. Musiał tylko wytrwać do końca wojny. Później mógł wrócić do Belle Creek jako wolny człowiek i dać Margaret życie, o jakim marzył.

Czekając na ten dzień, zabiegał o nią najlepiej, jak potrafił. Podchodził możliwie blisko granicy jej rodzinnej farmy w te poranki, gdy przydzielano go do pracy na którymś z położonych niedaleko pól. W pozostałe dni rozglądał się za nią, a czasami pytał ludzi, czy nie widzieli Jeremiaha, ponieważ Margaret często mu towarzyszyła. Chłopiec co prawda wyzdrowiał, ale ona i tak go pilnowała. Kiedy Peter szczęśliwie mógł się z nią spotkać, czekał, aż zostanie sama, żeby nie narobić jej kłopotów, a później opowiadał jej anegdotę ćwiczoną przez całą noc. Margaret chłonęła każde jego słowo. Uwielbiał patrzeć na jej szeroko otwarte oczy i łagodny uśmiech, gdy dzielił się z nią opowieściami o Niemcach, jego ukochanej ojczyźnie, oraz czasach sprzed wojny i kulturze tak różnej od wszystkiego, co ona знаła.

Lubił też słuchać wspomnień Margaret. Uwielbiał jej opowieści o dzieciństwie spędzonym na skraju florydzkiej dziczy Everglades i życiu spędzonym wśród upraw fasoli. Lubił słuchać o filmach, które oglądała, przeczytanych książkach oraz potrawach, które nauczyły się gotować razem z siostrą pod okiem matki. Chciał wiedzieć, jak wygląda jej życie, bo im więcej szczegółów poznawał, tym łatwiej było mu sobie wyobrazić, że staje się jego częścią.

– Nigdy nie sądziłam, że spotkam kogoś takiego jak ty – powiedziała mu któregoś popołudnia na początku kwietnia, gdy udało jej się znaleźć pretekst, by zakraść się na skraj pola, na którym tego dnia pracowali jeńcy.

Miała na sobie brązową sukienkę, która pozwalała jej się wtopić w tło, i przykucnęła w skupisku przerośniętej trzciny cukrowej tuż po drugiej stronie wąskiego kanału. Maus wiedział, że Margaret tam jest, i przeniósł się nieco dalej, żeby Peter mógł z nią swobodnie porozmawiać.

– Myśl o tym, że moje życie mogłoby wykroczyć poza granice tego miasteczka, wydawała mi się niedorzeczna – dodała.

Te słowa zakłuły Petera w samo serce.

– Ale przecież zawsze poza nie wykraczałaś, Margaret – odparł. – Dużo wiesz o świecie, ponieważ naczytałaś się o nim w książkach, podobnie jak ja.

– Tylko że ty miałaś okazję opuścić miejsce, w którym się urodziłaś, Peterze. Ze mną jest inaczej. Nie mam własnych pieniędzy, a rodzice nigdy nie pozwoliliby mi stąd wyjechać. Wydziedziczyliby mnie i zostałabym z niczym. Dawniej myślałam, że nie mam innego wyboru, jak tylko poślubić miejscowego chłopca, a później przez resztę życia rodzić dzieci i pracować na roli. To jedyna przyszłość, na jaką może liczyć dziewczyna w miejscu takim jak to.

– A teraz? – Peter przerwał pracę i wlepił w nią spojrzenie.

– Pokazałaś mi, że istnieją inne możliwości – zamilkła, spuszczać wzrok. – Dopóki jesteś obecny w moim świecie, życie nie zna granic.

– Margaret, nie wiem, co powiedzieć. – Peter marzył już tylko o tym, żeby zabrać ją z tego miasteczka, zapewnić jej życie, które będzie sobie w stanie wyobrazić, lecz nawet jego przyszłość była niepewna. Nie mógł zapominać o tym, że trwa wojna. – Chciałbym ci ofiarować cały świat, ale co jeśli nie będę mógł od razu po ciebie wrócić? Albo jeśli wrócę bez grosza przy duszy? Jeśli będę potrzebował dużo czasu, żeby dać ci życie, o którym marzysz?

– Nie przejmuj się tym – odparła miękko. – Nieważne, ile będziemy mieli pieniędzy, czy gdzie przyjdzie nam zamieszkać. Liczy się tylko to, że będziemy razem. Usiłuję ci powiedzieć,

Peterze, że to ty jesteś całym moim światem. Dopóki mam cię przy sobie, mogę marzyć. A dopóki mogę marzyć, wszystko jest możliwe. Nie rozumiesz? Dałeś mi skrzydła i któregoś dnia użyję ich, żeby stąd odlecieć.

– Modłę się o to, żebyśmy niedługo znowu mogli być razem – wymamrotał. – Czekam na dzień, w którym znów się spotkamy, najdroższa Margaret.

Ale nie powiedział jej wszystkiego. Zataił przed nią to, jak bardzo się bał podczas walki i jakie to uczucie mieć na sobie krew martwego przyjaciela. Nie zdradził jej, jak się czuł, mierząc do innego żołnierza na wojnie o coś, w co ani przez chwilę nie wierzył, albo zastanawiając się, czy jego dusza już do końca życia będzie zniszczona przez ten koszmar. Margaret kochała Petera przynoszącego zabawne historie i ciekawostki; Petera, który opowiadał jej o świecie poza granicami jej ojczyzny. Czy nadal by go kochała, wiedząc, jak ciężko mu było na sercu?

W końcu, drugiego maja, tuż po tym, jak dotarła do nich wiadomość o tchórzliwej samobójczej śmierci Hitlera, powiedział jej wszystko. Poprzedniego wieczoru strażnicy pili do późna, świętując nieuchronnie zbliżający się koniec wojny, więc rano ruszali się jak muchy w smole. Zamiast towarzyszyć więźniom podczas pracy w palącym słońcu, woleli się chować w cieniu ciężarówki.

Zbiory trzciny cukrowej były już na finiszu i jeńcom zostały do obrobienia ostatnie pola. Tego dnia pracowali niespełna dwieście metrów od farmy Margaret, więc Peter spieszył się jak mógł, ścinając więcej trzciny, niż nakazywała norma, w rekordowym czasie, obiecawszy Mausowi, że odda swój zarobek za ten tydzień, jeśli przyjaciel zanieśe zebrane przez niego plony do traktora. Zaczekał, aż Margaret pojawi się na ścieżce na tyłach farmy, jak zwykle w towarzystwie Jeremiaha. Podbiegł do niej, pochylony, żeby strażnicy nie dostrzegli go z punktu obserwacyjnego na drodze.

Jeremiah wypatrzył go pierwszy, pomachał mu i lekko szturchnął Margaret. Gdy się odwróciła, jej twarz rozpromieniła się niczym wschodzące słońce.

– Nie będziesz miał przez to problemów? – zapytała.

– Strażnicy śpią przy ciężarówce – odparł Peter, ujmując jej dłonie. Były tak ciepłe i gładkie, że nie miał ochoty ich wypuszczać. – Muszę

ci powiedzieć o paru rzeczach, póki jeszcze mamy czas. Niedługo odeślą mnie do Niemiec i zanim się to stanie, chciałbym z tobą szczerze porozmawiać.

– Oczywiście. – Spojrzała na Jeremiaha, który domyślnie kiwnął głową i ruszył w stronę domu. Przez chwilę oboje patrzyli za odchodzącym chłopcem. – Chodź za mną, Peterze – powiedziała Margaret.

Mocno ściskając jego rękę, poprowadziła go przez pole trzciny cukrowej, które wyglądało na nietknięte. Rośliny były tu niższe niż na polach, gdzie pracował Peter, więc domyślił się, że nie będą się nimi zajmować w tym sezonie; musiały jeszcze trochę podrosnąć, zanim zostaną ścięte jesienią, jako jedne z pierwszych. Zerknął przez ramię, by upewnić się, że nikt ich nie widzi.

– Mam tylko parę minut, Margaret – stwierdził z żalem. – Muszę wrócić, zanim strażnicy zorientują się, że mnie nie ma.

– Wiem – szepnęła tak blisko jego ucha, że poczuł jej oddech na policzku. Nie spodziewał się tego. Zupełnie jakby stanął w ogniu. Poczuł mrowienie każdego zakończenia nerwowego w swoim ciele.

– Dokąd idziemy?

– Zobaczysz.

Peter był zaskoczony, gdy chwilę później znaleźli się na niewielkiej polance pośrodku pola. Nie było jej widać z zewnątrz, ale ktoś musiał ściąć nieco trzciny i przycisnąć do ziemi resztki łądyg, tworząc przestrzeń, w której można się było poczuć jak w kryjówce. Polanka miała kształt koła o średnicy mniej więcej dwóch i pół metra, jednak otaczające ją trzciny chyliły się łagodnie ku środkowi, osłaniając ją od słońca, przez co wydawała się mniejsza.

– Co to za miejsce? – zapytał Peter.

– Sama je stworzyłam – odparła z dumą Margaret. – Dla Jeremiaha. Nikt nie zauważy dziury w tym polu aż do kolejnych żniw, a wtedy jego już dawno tu nie będzie. Jednak póki co Jeremiah wie, że jeśli ktoś znowu zechce go skrzywdzić, może się tu schować, a ja po niego przyjdę i będzie bezpieczny. To nasz wspólny sekret.

Peter położył dłoń na jej policzku. Skóra Margaret była miękka, gładka i ciepła.

– Zrobiłaś to, żeby go chronić?

– Nie mogłam siedzieć z założonymi rękami. Prawo jest przeciwko niemu. Obyczaje też. Ale skoro mogłam mu dać chociaż cień szansy, musiałam to zrobić. Wiem, że to tylko skrawek ziemi pośrodku pola, ale...

Peter przerwał jej pocałunkiem. Nie mógł się powstrzymać. Dopiero drugi raz czuł dotyk jej ust na swoich. Nie był w stanie przestać myśleć o ich pierwszym pocałunku w dniu, gdy zlinczowano Jeremiaha. Wargi Margaret były miękkie i pełne, smakowały trzcina cukrową i niewinnością. Peter rozkoszował się nimi; przyciągnął dziewczynę do siebie i tulił tak mocno, jakby zależało od tego ich życie. Kiedy wreszcie się odsunęła, z zaróżowionymi policzkami i szeroko otwartymi oczami, Peter nie mógł złapać tchu.

– Pozwoliłem sobie na zbyt wiele – przyznał. – Ale Margaret, jesteś cudowna.

Dziewczyna spuściła na moment wzrok, a gdy ponownie go uniosła, w oczach miała łzy.

– Przepraszam – powiedział Peter, przerażony tym, że ją zasmucił. – Margaret, czy ja cię skrzywdziłem? Dobrze się czujesz?

– Peterze, chodzi o to, że jest idealnie. Kiedy trzymasz mnie w ramionach, mogę zapomnieć o całym świecie i o tym, że niedługo stąd wyjedziesz. Ale rzeczywistość w końcu się o nas upomni, prawda?

Peter opuścił głowę.

– Nigdy nie przestałbym cię całować, gdyby tylko było to możliwe.

Margaret dotknęła podbródka Petera i skierowała jego twarz w stronę swojej.

– To tak jak ja. – Przytuliła się do niego, przyciskając usta do jego ust. Gdy zrobiła krok do tyłu, położyła mu dłoń na policzku i spojrzała głęboko w oczy. – Podobno chciałeś mi coś powiedzieć.

Peter nabrał powietrza.

– Nie jestem chodzącym ideałem, Margaret. Widziałem rzeczy, które pozostaną w mojej pamięci do końca życia, i mam na sumieniu grzechy, których wolałbym nie popełnić.

– Jak my wszyscy – odparła łagodnie.

– Ale, Margaret, ty nie byłaś na wojnie. – Westchnął przeciągle. – Na pustyni marzyłem o ucieczce. Chciałem umrzeć. Wyobrażasz sobie, jaki to wstyd? Nie wiem, czy kogoś zabiłem, ale mogłem to

zrobić. Mogłem pozbawić życia wielu ludzi. Czasem kazali nam strzelać do wroga i trzeba było wykonywać rozkazy. Boję się, że widzisz we mnie człowieka, którym pragnę być, a nie tego, którym naprawdę jestem.

Teraz już otwarcie płakał i wiedział, że powinien się wstydzić okazywania tego rodzaju uczuć na oczach Margaret, ale jej twarz wyrażała współczucie, nie pogardę.

– Najgorsze jest jednak to, że pozwoliłem zginąć mojemu najlepszemu przyjacielowi – mówił dalej Peter, odwracając wzrok. – To moja wina, Margaret. Ja tylko chciałem mu pokazać gwiazdy. Akurat był deszcz meteorytów. Wyglądało to tak, jakby całe niebo się radowało i chciałem, żeby to zobaczył. Ale gdybym go nie obudził... – urwał w pół zdania, biorąc drżący oddech. – Zginął zastrzelony w środku obozu. Nadal mam jego krew na rękach. To ja powinienem był zginąć tamtej nocy.

– Peterze – powiedziała Margaret łagodnie – przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Ale to nie twoja wina, że zginął. Skąd mogłeś wiedzieć, że ktoś tylko czeka, by do niego strzelić?

– Powinienem był to przewidzieć – szepnął.

– Nie mogłeś. – Wyciągnęła ręce i objęła dłońmi podbródek Petera. – Nie mogłeś – powtórzyła stanowczo, gdy wreszcie na nią spojrział.

– Ale to moja wina, że w ogóle się tam znalazł. – Po raz pierwszy wypowiedział te słowa głośno, a gdy to zrobił, serce zakłuło go z żalu za utraconym przyjacielem. – Przed wojną Otto chciał wyjechać z Niemiec. Byliśmy wtedy chłopcami, brakowało nam kilku miesięcy do rozpoczęcia obowiązkowej służby wojskowej. Otto miał kolegę, którego kuzyn pomagał ludziom uciec z kraju za odpowiednią cenę. Chciał jechać, ale namówiłem go, żeby został, Margaret. Nie wierzyłem w sprawę, o którą walczyli Niemcy, ale wtedy jeszcze wydawało mi się, że ucieczka jest oznaką tchórzostwa. Powiedziałem mu, że prawdziwy mężczyzna zostałby w kraju i stanął do walki, jeśli mu każą. Posłuchał mnie i został. To ja go przekonałem, a teraz on nie żyje.

– Peterze – odezwała się Margaret po dłuższej chwili. – Czytałam, co Niemcy robią z dezertierami. Naprawdę myślisz, że przeżyłby ucieczkę?

– Być może. – Ostatnie słowa stanęły mu w gardle. – Nie wiemy tego, Margaret. Przynajmniej miałyby szansę.

– Nie mogłeś nic zrobić. Nie w czasie wojny, Peterze. Ty tylko starałeś się postąpić słusznie.

– Tak, ale popełniłem błąd. Zresztą niejeden.

– Czy wiedziałeś o tym, podejmując decyzję?

– Nie – szepnął.

Dziewczyna przez chwilę milczała.

– Peterze, życie to seria lekcji, które trzeba przeżyć, żeby je zrozumieć.

Podniósł głowę.

– Kolejny cytat z Emersona.

Margaret się uśmiechnęła.

– Tak, ze zbioru esejów *The Conduct of Life*.

– Dobrze go znam.

– W takim razie wiesz, jak prawdziwe są te słowa. W życiu chodzi o naukę, Peterze. Nie musimy być idealni, ale powinniśmy dążyć do tego, byśmy stawali się coraz lepsi. Jeśli każdego dnia jesteś lepszym człowiekiem niż byłeś wczoraj, to przybliżasz się o krok do zrozumienia, na czym polega życie, nie sądzisz?

Peter przytaknął.

– Ale jak można kochać kogoś takiego jak ja, Margaret? Niemca? Człowieka, którego błędów nie da się naprawić?

Tym razem położyła dłonie na obu policzkach Petera i mocno przyciągnęła go do siebie. Pocałowała go namiętnie, a gdy się odsunęła, w jej oczach płonął ogień.

– Ja naprawdę cię kocham, Peterze. Całym sercem. Wysłuchałam tego, co miałeś mi do powiedzenia, i wciąż cię kocham. Ale teraz musisz ciężko pracować na tym, żeby sobie wybaczyć. Nosisz na barkach ciężar, którego nie powinieneś dźwigać. Zrzuć go wreszcie.

*

Pięć dni później, siódmego maja, w budynku szkolnym z czerwonej cegły w niemal doszczętnie zniszczonym mieście o nazwie Reims we francuskiej Szampanii amerykański generał Walter Bedell Smith i sowiecki generał Iwan Susłoparow przyjęli

bezwartunkową kapitulację wojsk niemieckich. Wojna się skończyła, a nazajutrz, gdy cały świat świętował, w Berlinie podpisano papiery przypieczętujące porażkę Niemiec.

W obozie jenieckim w Belle Creek zapanował piękny chaos. Więźniowie otrzymali dzień wolnego, a strażnicy pili piwo i przez cały dzień świętowali w towarzystwie miejscowych dziewcząt. Po zapadnięciu zmierzchu żaden z nich nie był trzeźwy i nie pilnował porządku w obozie. Jeńcy byli niespokojni i podzieleni. Niektórzy cieszyli się, że ich długie uwięzienie dobiega końca. Inny, którzy wciąż wierzyli w ideały Hitlera, byli oszołomieni i zdruzgotani porażką Niemiec. Byli też tacy, którzy trzeźwo patrzyli w przyszłość i wiedzieli, że chociaż wojna się skończyła, ich natychmiastowy powrót do domu wcale nie jest przesądzony. Nie byli pewni, dokąd trafią po wyjeździe z Belle Creek, a myśl o tym, że będą musieli wrócić do Europy, w której byli tak znienawidzeni przez wszystkich, mroziła ich do szpiku kości.

Jednak dla Petera wszystkie te myśli i obawy były czymś bardzo odległym. Potrafił myśleć jedynie o Margaret i o tym, jak patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem, zaglądając do wnętrza jego duszy, i jakimś cudem kochała go mimo wszystko.

Nie widzieli się od sześciu dni, czyli od spotkania na polu, gdy pokazała mu magiczną kryjówkę między strzelistymi źdźbłami trzciny cukrowej. A gdy dzień zwycięstwa miał się już ku końcowi, w głowie Petera zrodził się pewien pomysł.

– To zbyt niebezpieczne – stwierdził Maus, słysząc, co planuje przyjaciel. – A jeśli cię złapią? I pomyślą, że chciałeś uciec, skoro przegraliśmy wojnę?

– Spójrz na strażników, Maus – odparł Peter. – Na nic nie zwracają uwagi. Poza tym może w tej sytuacji nie jesteśmy już uważani za wrogów.

Popatrzyli na baraki zajmowane przez strażników. Światła były włączone, po podwórku niosły się dźwięki popularnej wersji piosenki *We'll Meet Again* w wykonaniu Orkiestry Benny'ego Goodmana i Peggy Lee.

Słowa piosenki – historia dwojga kochanków, którzy mieli się jeszcze kiedyś spotkać – nie umknęły uwadze Petera; doszedł do wniosku, że to może być jakiś znak. Wieczorem, korzystając

z nieuwagi strażników, spotka się z Margaret. Może to być dla niego ostatnia szansa, żeby wziąć ją w ramiona, zanim odeślą go na drugą stronę Atlantyku. Bóg jeden wiedział, ile minie czasu, zanim będzie mógł do niej wrócić.

– Idę – odezwał się do Mause, gdy od strony baraków dobiegł głośny wybuch chrapliwego męskiego śmiechu, któremu towarzyszył dźwięczny damski chichot.

Maus zmarszczył brwi.

– Jesteś pewien, że warto ryzykować?

– Całkowicie.

– I że ta dziewczyna cię kocha? – Maus zadał to pytanie, nie patrząc koledze w oczy.

Reakcja Mause wzbudziła w Peterze podejrzenie, czy przyjaciel nie jest przypadkiem zazdrosny, ale nie miał czasu, żeby się nad tym teraz zastanawiać.

– Tak, jestem – odparł.

Maus odwrócił się od niego.

– W takim razie z Bogiem.

Peter zaczął, aż zrobi się całkiem ciemno, a później z sercem w gardle ruszył w stronę krańca obozu. Wiedział, że ogrodzenie jest w kilku miejscach uszkodzone; sam je naprawiał nie dalej jak w zeszłym tygodniu, ale część po stronie północnej miała zostać zreperowana dopiero w piątek. Prawdę mówiąc, nie bardzo im się z tym spieszyło. Trzeba było nie mieć rozumu, by próbować uciec z obozu pod osłoną nocy. Sąsiedowali przecież z moczarami Everglades, gdzie aż roiło się od aligatorów. Wbiegnięcie na bagna oznaczałoby pewną śmierć. Z kolei ucieczka w przeciwną stronę poskutkowałaby zdemaskowaniem przy pierwszych promieniach słońca przez któregoś z mieszkańców miasteczka.

Peter zastał ogrodzenie dokładnie w takim stanie, jak się spodziewał: rozerwane wzdłuż palika w miejscu, gdzie zważyło się na nie drzewo podczas burzy, i niestrzeżone. Odciągnął siatkę tak bardzo, jak tylko się dało, i precyzyjnie się dołem, rozdzierając przy tym koszulę na plecach.

Po czterdziestu minutach wolnego biegu dotarł wreszcie do domu Margaret. Trzymał się drogi, którą zwykle transportowano więźniów. Gdy już przedostał się przez pola trzciny cukrowej do warzywnika na

tyłach domu, był zlany potem. Otarł czoło i głęboko nabrał powietrza. Światło paliło się w dwóch pomieszczeniach: w salonie i pokoju, który należał do Margaret. Widział wnętrze tego domu tylko raz, w dniu napadu na Jeremiaha, ale zapamiętał układ izb.

Powoli zbliżył się do zagonu fasoli, po cichu przemknął między równymi grządkami i w końcu znalazł się przy samym domu. Odszukał na ziemi cztery kamyczki, schował się za starym dębem i rzucił.

Za pierwszym razem nie trafił, ale drugi kamyczek odbił się od szyby w pokoju Margaret. Peter wstrzymał oddech, lecz nie było żadnej reakcji. Rzucił kolejny kamyczek i tym razem dostrzegł cień krążący po pokoju, ale nikt nie podszedł do okna. Zamachnął się i cisnął ostatnim kamyczkiem. Ten odbił się od framugi i przez chwilę nic się nie działo. Później jednak, ku uldze Petera, zasłony się rozsunęły i pojawiła się Margaret. Otworzyła okno i wyjrzała.

– Kto tam jest? – rzuciła szeptem w ciemność.

Peter bez słowa wyszedł zza drzewa. Księżyc przypominał cieniutki rogalik, ale niebo było czyste i pełne gwiazd, więc ciemność rozpraszała perłowa poświata. Peter wiedział, że kiedy wzrok Margaret się przyzwyczai, dziewczyna go wypatrzy, i chwilę później tak się stało.

Widział, jak Margaret otwiera szerzej oczy, a jej śliczne różane wargi rozchylają się w uśmiechu. Jednak równie szybko na twarzy dziewczyny odmalowała się troska.

– Co ty tu robisz? – szepnęła. – Będziesz miał kłopoty.

Peter zbliżył się parę kroków, cicho, by nie zwrócić na siebie uwagi rodziców Margaret albo jej siostry.

– Musiałem się z tobą zobaczyć – odszepnął. – Dasz radę wymknąć się z domu?

Margaret niepewnie zerknęła przez ramię.

– Dopiero kiedy moi rodzice i siostra pójną spać. Możesz poczekać?

– Na ciebie mógłbym czekać całą wieczność – oświadczył uroczyście.

Dziewczyna znowu się uśmiechnęła, a serce Petera wezbrało uczuciem. Należał do niej, ona należała do niego i tylko to się liczyło.

– Spotkajmy się na polance – powiedział. – Tej, którą stworzyłaś dla Jeremiaha.

Margaret skinęła głową, po cichu zamknęła okno i zaciągnęła zasłony.

Minęły dwie godziny, zanim wreszcie się pojawiła. Peter zabrał jeden z koców suszących się za domem i chociaż pled był jeszcze lekko wilgotny, idealnie nadawał się do przykrycia ziemi. Po drodze zerwał polne kwiaty rosnące przy drodze i zrobił z nich piękny bukiet w różnych odcieniach czerwieni, oranżu i różu, czyli barwach florydzkiego zachodu słońca.

Zanim ujrzał Margaret, usłyszał jej kroki i chociaż w głębi serca wiedział, że to ona, przycisnął się, gotowy do ucieczki, na wypadek gdyby ktoś odkrył ich kryjówkę. Później jednak Margaret weszła na polankę, ubrana w znajomą wyblakłą czerwoną sukienkę. Brązowe włosy opadały luźnymi falami na jej opalone szczupłe ramiona.

– Peter – szepnęła i to wystarczyło, żeby się wzruszył.

Powoli wstał z ziemi i wziął ją w ramiona. Jej ciało było ciepłe, miękkie i mocne.

– Jesteś moim domem – wymamrotał, wtulając twarz w jej szyję. Włosy Margaret pachniały truskawkami.

Przez długi czas całowali się delikatnie i powoli. Tego wieczoru nie musieli się spieszyć. Położenie księżyca na niebie wskazywało, że nie było jeszcze północy, a Peter wiedział, że strażnicy nie kiwną palcem aż do świtu. Nie mógł uwierzyć w to, że będzie mógł spędzić kilka godzin z Margaret, kobietą, którą kochał najbardziej na świecie. Była jego nadzieją, odkupieniem, przyszłością.

– Peterze – wymówiła jego imię, przerywając pocałunek.

Peter natychmiast zatęsknił za dotykiem jej miękkich warg na swoich. Później jednak położyła mu szczupłą dłoń na płaskim brzuchu, tuż nad talią, i przeszył go dreszcz. Zajrzała mu w oczy, a potem wolno uklękła na kocu i zaprosiła go gestem, żeby zrobił to samo.

– Margaret? – szepnął, klękając przy niej.

Nie chciał niczego zakładać, nie zamierzał jej też w żaden sposób wykorzystać. Odczuwał żądzę silniejszą niż potrafiłby to sobie wyobrazić, ale był dżentelmenem.

– Jestem twoja – odezwała się Margaret, przerywając gonitwę myśli w jego głowie i na wypadek, gdyby Peter miał jakiegokolwiek wątpliwości co do jej intencji, zwinnym ruchem ściągnęła czerwoną sukienkę przez głowę. Peter wpatrywał się z zachwytem w jej idealnie piękne nagie ciało, które zdawało się żarzyć w srebrnej księżycowej poświacie.

– A ja twój.

Delikatnie ułożył ją na kocu, po czym niespiesznie przeciągnął najpierw dłońmi, a później ustami po każdym skrawku ciała dziewczyny. Chciał poznać ją całą. Kiedy wreszcie spojrzął jej w oczy i wślizgnął się w nią, Margaret naprężyła się z jękiem, a Peter poczuł się jak w niebie.

Po wszystkim wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Przez długi czas patrzyli sobie w oczy, nic nie mówiąc.

– To był mój pierwszy raz – odezwała się wreszcie Margaret nieśmiało.

Peter z uśmiechem założył jej kosmyk włosów za ucho.

– Mój też.

– Nie sądziłam, że miłość może być taka – wymamrotała. – Łagodna i nieujarzmiona, wyrozumiała i wymagająca, a gdy już cię znajdzie, pozostanie w twoim sercu do końca życia.

– Czy to cytat z Emersona? – zapytał Peter.

– Nie. Tym razem to moje słowa. Zrobiłeś ze mnie poetkę.

Znowu ją pocałował.

– Najchętniej zostałbym tu z tobą do końca życia.

– To niemożliwe – odparła Margaret. – Więc postarajmy się wykorzystać każdą sekundę.

Pośród ciemności kochali się jeszcze dwa razy, rozmawiali, śmiali się i przytulali, dopóki nieba na wschodzie nie przecięły pierwsze promienie purpurowego świtu. Peter jeszcze nigdy nie czuł się tak zasmucony nadejściem nowego dnia.

– Muszę iść, Margaret – szepnęła z sercem ciężkim od żalu.

– Zostań jeszcze chwilę. – Pocałowała go długo i namiętnie i chociaż wiedział, że z każdą sekundą naraża się na coraz większe niebezpieczeństwo, nie dbał o to. Liczyła się tylko ona.

Był dziewiąty maja 1945 roku i wojna oficjalnie dobiegła końca. Jednak podróż Petera dopiero się zaczynała.

Rozdział trzynasty

– Myślisz, że to Peter Dahler namalował nasz obraz? – zwróciłam się do ojca, gdy po wyjściu na ulicę, korzystając ze wskazówek Nicoli, szliśmy w stronę konkurencyjnej galerii, gdzie pracowała Bettina.

– Nie wiem – odparł ojciec. – Sama mówiłaś, że ani słowa Jeremiaha, ani treść listów nie wskazują na to, że był artystą. Wydaje mi się, że ktoś obdarzony tego rodzaju talentem nie odkryłby go na tak późnym etapie życia. Pewnie rysowałby od zawsze.

Pokiwałam głową. Sama myślałam podobnie.

– W takim razie co z Wyethem i Gaertnerem? Myślisz, że artysta, który namalował babcię Margaret, był z nimi jakoś związany? Może Peter Dahler przyjaźnił się z którymś spośród ich uczniów.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Chyba za mało znam się na sztuce, by to ocenić. Może po spotkaniu z Bettiną spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych malarzy. – Pomachał iPhone'em. – Chociaż jeżeli Gaertner i Wyeth byli Amerykanami, to ich uczniowie musieli się kształcić w Stanach, nie? Ciekawe, w jaki sposób nasz obraz trafił do galerii w Monachium.

– To bez sensu – zgodziłam się.

Bez trudu znaleźliśmy Galerie Bergen; nad witryną widniał biały szyld z fioletową nazwą. Gdy weszliśmy do środka, ojciec zapytał w recepcji, czy zastaliśmy Bettinę. Recepcjonista zamienił z nim parę słów i odszedł, a po kilku minutach zjawił się towarzystwie drobnej, szczupłej dwudziestoparolatki z fryzurą w stylu pixie. Dziewczyna przedstawiła się po niemiecku jako Bettina Schöffmann, a ojciec zapytał ją, czy zna angielski.

Bettina spojrzała na mnie.

– Trochę – odparła z silnym akcentem. – Nie za dobrze.

Ojciec skinął głową i zwrócił się do mnie:

– Zgodzisz się, żebym rozmawiał z nią po niemiecku, a później tłumaczył?

– Jasne.

Pomysł wspólnej podróży nagle przestał mi się wydawać taki głupi.

Ojciec zadał Bettinie pytanie płynną niemczyzną, a ona uśmiechnęła się i spojrzała na mnie przelotnie, zanim odpowiedziała.

– Mówi, że wyglądasz zupełnie jak ta kobieta z obrazu – przetłumaczył. – Zupełnie jakby portret ożył na jej oczach.

– Podziękuj ode mnie.

Ojciec przetłumaczył moje słowa, a później o coś ją zapytał. Rozmawiali przez chwilę i gdy już zaczynałam się niecierpliwić, usłyszałam padające z ust Bettiny nazwy: Atlanta, Georgia. Tata gwałtownie zaczerpnął powietrza i przeniósł na mnie wzrok.

– Co się stało? – spytałam.

Ojciec powiedział coś do niej, po czym zwrócił się do mnie.

– Mówi, że obraz przysłano z galerii w Atlancie. The Ponce Gallery.

Zamrugałam ze zdziwieniem.

– The Ponce? W Atlancie?

Ojciec przytaknął.

– Zadzwoiła do nich, żeby zapytać o szczegóły, ponieważ dołączone do obrazu instrukcje wydały jej się dziwne, ale pracownik Ponce'a powiedział tylko, że otrzymali anonimowy list wydrukowany na komputerze razem z zaklejoną kopertą dla ciebie z prośbą o przekazanie obrazu do renowacji Galerie Schubert-Black i przesłanie go tobie.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– A więc pokonał drogę przez ocean i z powrotem? I przyleciał tu z miasta, w którym się wychowałam.

Ojciec z powagą skinął głową.

– Robi się coraz ciekawiej – mruknęłam, gdy znów zaczął rozmawiać z Bettiną.

Po kilku minutach dziewczyna zwróciła się do mnie.

– Życzę wam powodzenia – oznajmiła wolno i oficjalnie. – Mam nadzieję, że... – urwała w pół zdania, po czym wypowiedziała parę słów po niemiecku.

– Ma nadzieję, że odnajdziemy to, czego szukamy – przetłumaczył mój ojciec, a Bettina przytaknęła.

– Dziękuję za pomoc – powiedziałam.

– Nie ma za co – odparła. – Ten obraz jest bardzo piękny. Widać, że malowano go z miłością.

Podziękowaliśmy jej jeszcze raz i wyszliśmy z galerii. Ojciec był zamyślony. Gdy skręciliśmy za róg, wyjął z kieszeni iPhone'a i zaczął coś wystukiwać.

– Czego szukasz? – spytałam.

– Informacji o Ralphie Gaertnerze. Jeśli dobrze pamiętam, pochodził z Atlanty.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Nie odstępowałam taty na krok, gdy rozgorączkowany przerzucał strony w telefonie, kierując się w stronę rzeki.

– I co tam wyczytałeś? – niecierpliwiałam się.

– Ralph Gaertner rzeczywiście przez większość swojej kariery mieszkał w Atlancie. – Ojciec obrócił wyświetlacz w moją stronę i pokazał mi zdjęcie obrazu przedstawiającego kobietę stojącą na klifie obok latarni morskiej z włosami rozwianymi przez wiatr. Wpatrywała się w ocean, osłaniając ręką oczy. Niebo nad ciemnoniebieską wodą miało purpurowe krawędzie jak podczas wschodu lub zachodu słońca. Twarz kobiety była ukryta w cieniu, ale dało się zauważyć jej siłę i piękno.

– To Gaertner? Ładny obraz. Ale nie przypomina naszego, prawda?

– No nie wiem. Widzę pewne podobieństwa, o których mówiła Nicola Schubert.

Popatrzyłam na niego sceptycznie. Uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Posłuchaj. Pierwszy przyznaję się do tego, że nie znam się na sztuce. W college'u ukończyłem kurs historii sztuki i to by było na tyle. Musisz jednak przyznać, że niebo jest podobne do tego na naszym obrazie. Chociaż jest ciemniejsze, widać na nim odcienie purpury i ma w sobie coś nierzeczywistego, nie sądzisz? Mogłoby to sugerować, że Gaertner uczył naszego artystę.

Wzięłam od ojca telefon i uważniej przyjrzałam się obrazowi. Niebo na nim było nasycone i miało wiele odcieni. Praca nosiła tytuł

Wschód, więc założyłam, że przedstawiał wschód słońca gdzieś na amerykańskim wybrzeżu Atlantyku. Ojciec miał rację; było coś nierealnego w strzępiastym, nasyconym kolorami niebie.

Oddałam mu telefon, a on go schował.

– Strzelamy w ciemno, ale może istnieje jakiś związek między Gaertnerem i Peterem Dahlerem – powiedziałam. – Spróbujemy jeszcze raz zajrzeć do Franza Dahlera?

– Dobry pomysł.

Idąc przez most, wpatrywałam się w późnopołudniowe słońce, które opuszczało się coraz niżej na ciemnoniebieskim niebie. Dachy monachijskich domów wyglądały jak skąpane w miodowej poświacie.

Po raz kolejny nacisnęliśmy dzwonek domofonu do mieszkania Franza Dahlera i nie doczekaliśmy się odpowiedzi. Spróbowaliśmy jeszcze dwa razy, zanim zrezygnowaliśmy.

– A jeśli wyjechał z miasta? – zapytałam, gdy wróciliśmy na Viktualienmarkt. – Albo umarł?

– Co za optymizm.

Cała się najeżyłam. Odebrałam te słowa jako krytykę.

– Jeśli jest bratem Petera Dahlera, musi mieć ponad dziewięćdziesiąt lat. Ludzie w tym wieku umierają.

– Hej, nie poddawaj się tak szybko. Jeśli mamy go znaleźć, to znajdziemy. Wierzę, że wszystko się ułoży.

Nie mogłam się powstrzymać od przewrócenia oczami. Odkąd to mój ojciec jest filozofem?

– Wybacz, że się z tobą nie zgodzę. Z mojego doświadczenia wynika raczej, że jeśli coś może się popsuć, to się psuje.

Ojciec przez chwilę się nie odzywał.

– Może los w końcu się do ciebie uśmiechnie, Emily. Chciałbym w to wierzyć.

– Nie wątpię. Ale to nie takie proste.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu przez gwarne targowisko. Ojciec ponownie spojrzął na ekran iPhone'a i zaprowadził nas do uliczki po prawej stronie.

– Nie jesteś głodna? Wiem, że dopiero wpół do szóstej, ale chętnie bym coś przekąsił. Dwie przecznice stąd jest lokal polecany na TripAdvisor.

– Umieram z głodu – przyznałam. – Prowadź.

Skręciłam za nim w uliczkę prowadzącą do restauracji na rogu z dużym szyldem GASTHOF MEYERHANS. Po lewej stronie znajdowała się zacieniona część zewnętrzna oświetlona girlandami lampek. Tabliczka z błękitnym logo browaru Löwenbräu świadczyła o tym, że był to *Biergarten*, czyli ogródek piwny. Restauracja sprawiała wrażenie staroświeckiej i urokliwej, ze skrzynkami pełnymi kwiatów, drewnianymi okiennicami i łukowato sklepionym wejściem.

Kiedy weszliśmy do środka, pogodna blondwłosa kelnerka zamieniła z moim ojcem kilka słów po niemiecku i zaprowadziła nas do stolika w rogu niemal pustej sali. Ściany wyłożone ciemną boazerią i belki na suficie kojarzyły mi się z piwnicą, ale przez okno wpadało tyle światła, że wewnątrz zdawało się emanować blaskiem. Trzech siwowłosych mężczyzn w spodniach na szelkach siedziało przy stole pod przeciwległą ścianą, ściskając w dłoniach wielkie kufle z piwem.

Ojciec podążył za moim spojrzeniem i uśmiechnął się.

– Kiedy wejdiesz między wrony... – zażartował.

Przejrzał listę gatunków piwa i zapytał, czy też się napiję. Skinęłam głową, a on pomógł mi rozszyfrować nazwy, po czym przywołał kelnerkę i zamówił Hacker-Pschorr Münchener Gold dla siebie oraz Hofbräu München Original dla mnie.

– Bardzo dobrze mówisz po niemiecku – zauważyłam po odejściu dziewczyny. Dziwnie się czułam, komplementując ojca; do tej pory częściej się na niego skarżyłam. – Nie miałam o tym pojęcia.

Wzruszył ramionami.

– Uczyłem się niemieckiego na studiach przez kilka lat. Za to mam koszmarny akcent.

– Ale mówisz płynnie?

– Raczej tak. Czasem brakuje mi jakiegoś słowa.

Kelnerka wróciła po paru minutach z dwoma ogromnymi kuflami piwa. Postawiła jeden przede mną, a drugi przed moim ojcem, rozlewając nieco złocistego napoju na stół. Zapytała go o coś po niemiecku, a on odpowiedział z uśmiechem. Kiwnęła głową i odeszła.

– Chciała wiedzieć, czy jesteśmy gotowi złożyć zamówienie – wyjaśnił. – Poprosiłem, żeby dała nam chwilę na przejrzanie menu.

Popatrzyłam na stojące przede mną piwo oraz niezrozumiałe opisy potraw i nagle to wszystko jakoś mnie przytłoczyło.

– Nie martw się, będę tłumaczył – odezwał się ojciec i chociaż dziwnie się czułam, korzystając z jego pomocy na każdym kroku, wiedziałam, że nie mam wyboru.

Dziesięć minut później zamówiłam *Schlachtplatte* – półmisek bawarskiej kielbasy, ziemniaków i kiszzonej kapusty – a on kielbasę *Nürnberger* z dodatkiem *Käsespätzle*, czyli niemieckich klusek z cebulą i serem. Wznieśliśmy toast i pociągnęliśmy po długim łyku piwa. Nie przepadałam za nim, musiałam jednak przyznać, że po kilkugodzinnym spacerze po Monachium hofbräu smakował wyśmienicie.

Czekając na zamówione potrawy, ojciec ponownie otworzył artykuł na Wikipedii poświęcony Ralphowi Gaertnerowi i przeczytał na głos krótką biografię artysty.

– „Ralph Gaertner, urodzony 10 lutego 1921, zmarł w lutym bieżącego roku. Malarz realista. Był jednym z najbardziej znanych artystów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Miał istotny udział w odrodzeniu się tego nurtu w Stanach Zjednoczonych”.

– Zmarł dopiero w tym roku? – zapytałam, dziwnie przybita.

Nie istniał przecież żaden realny dowód na to, że Gaertner był jakoś związany z moją babcią lub obrazem, który mi przysłano. Mimo to miałam wrażenie, że straciliśmy kolejny trop. A gdyby udało nam się dotrzeć do Gaertnera, a on skierowałby nas w odpowiednią stronę? Teraz już nigdy się tego nie dowiemy.

Ojciec przytaknął i ponownie wlepił wzrok w telefon.

– Piszą tu, że urodził się w Niemczech, w latach pięćdziesiątych przeprowadził się do Stanów i ostatecznie osiadł w Atlancie. – Przczytał kolejny fragment i dodał: – Był znany z ekspresyjnego sposobu malowania nieba. Każdy z jego obrazów przedstawiał kobietę skrytą w cieniu, zwróconą plecami do artysty. Czasem owa kobieta, nazywana Aniołem Gaertnera, stoi na pierwszym planie. Czasem gdzieś w tle, pośród tłumu. Malarz nie chciał wyjaśnić znaczenia tej postaci, a krytycy sztuki długo spekulowali, że ta sylwetka ma reprezentować zwyczajną kobietę. Zdaniem niektórych symbolizowała sprawiedliwość, inni dopatrywali się w niej uosobienia

Statui Wolności jako ukłonu w stronę imigranckiego pochodzenia malarza. Jedno pozostało niezmiennie: Gaertner nigdy nie malował twarzy. „To zbyt intymne. Malowanie czyjejś twarzy i pokazywanie jej światu uważam za formę kradzieży”, powiedział w wywiadzie dla „Newsweeka” w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. – Ojciec uniósł wzrok znad telefonu i zmarszczył brwi. – Ostatnie zdanie potwierdza słowa Nicoli Schubert. Nasz obraz nie mógł wyjść spod pędzla Gaertnera, skoro jest na nim twarz kobiety.

– W parze ze zjawiskowym niebem – zauważyłam. – A to również cecha charakterystyczna jego dzieł, prawda?

– Może dlatego Nicola miała skojarzenie z Gaertnerem. – Ojciec w milczeniu omiół wzrokiem wpis na Wikipedii. – Nie ma już więcej informacji na temat jego pochodzenia. Piszą za to, że lubił akwarele, technikę suchego pędzla i tempery jajecznej podobnie jak Andrew Wyeth, który tworzył w tym samym czasie co on. – Czytał jeszcze przez chwilę, po czym spojrzał na mnie. – Sam nie wiem, Emily. Dostrzegam podobieństwa między stylem Gaertnera i artysty, który namalował nasz obraz, ale czy Gaertner zachęcałby swoich uczniów do malowania twarzy, skoro sam tego nie robił?

– Może masz rację – zgodziłam się z ojcem. Prawie wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Grosik za twoje myśli – powiedział, a ja uświadomiłam sobie, że od kilku minut gapię się milcząco w przestrzeń.

– Zastanawiałam się tylko, czy nie skończyły nam się tropy. – Upiłam łyk piwa. – Może nie trzeba było tu przylatywać.

– Ale przecież mamy trop. Bettina wspomniała o Ponce Gallery w Atlancie.

– No tak.

– Poza tym cieszę się, że tu jesteśmy – dodał po chwili. – Dzięki temu mamy szansę się do siebie zbliżyć.

Nie wiedzieć czemu, zirytowało mnie to.

– Właściwie wcale tego nie robimy – fuknęłam, karcąc się w myślach za te słowa, gdy zobaczyłam malujący się na twarzy ojca smutek. – Doceniam to, że tu ze mną jesteś i że szarpnąłeś się na bilety. Ale nie doszukujmy się w tym nie wiadomo czego.

– Emily – odezwał się po chwili – od lat nie zamieniliśmy ze sobą aż tylu słów. To musi coś znaczyć.

– Myślę, że przesadzasz. – Zacisnęłam leżące na kolanach dłonie w pięści. – Nie będę przecież milczeć jak grób, skoro pracujemy nad czymś razem. Tu chodzi o babcię Margaret, a nie o nas.

– Chciałbym wierzyć, że przyjdzie taki dzień, gdy uchylisz przede mną drzwi chociaż trochę. Nie mogę zacząć naprawiać naszych relacji, jeśli mi na to nie pozwolisz.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie radosna kelnerka oraz równie radosny kelner z gęstym wąsem i brodą przynieśli nasze dania. Porcje były tak kopiaiste, że aż komiczne; w życiu nie byłabym w stanie pochłonąć takiej ilości kiełbasy i kiszzonej kapusty. Gdy jednak zaburczało mi w brzuchu, rzuciłam się na jedzenie.

Wszystko było tak niesamowicie pyszne, że przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. Pierwszy odezwał się ojciec.

– Wiesz, że cię kocham, Emily. Zawsze kochałem i nigdy nie przestanę.

Nie odpowiedziałam od razu. Poczułam w gardle gulę, której nie powinno tam być. Musiałam sobie przypomnieć, że jego słowa nic nie znaczą, skoro zabrakło mu hartu ducha, żeby ze mną zostać. Przez większość mojego życia był nieobecny.

– Tak, no cóż, wybac mi, jeśli nie do końca w to wierzę. Kiedy byłam mała, też powtarzałeś, że mnie kochasz, ale odszedłeś bez mrugnięcia okiem, bo tak ci pasowało, prawda?

– To był największy błąd w moim życiu.

– Wiem, że chcesz, bym w to uwierzyła – powiedziałam wreszcie.

– Ale nie da się wymazać przeszłości.

– Masz rację.

– W takim razie dlaczego próbujesz tworzyć historię od nowa? Nigdy nie będziemy kumplami.

– Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo mnie to smuci.

– Ale to twoja wina! – Słyszałam, jak mój głos się podnosi i wiedziałam, że ciśnienie również. – Nie możesz tu siedzieć i zachowywać się tak, jakby to wszystko było jakimś nieszczęsnym zrzędzeniem losu poza twoją kontrolą. Zawaliłeś sprawę. A później przez lata udawałeś, że nie istnieję, bo tak ci było na rękę. A teraz nagle wydaje ci się, że możesz wrócić i znowu będziemy się przyjaźnić? Tylko dlatego, że dobrze mówisz po niemiecku?

Ojciec bezgłośnie otworzył i zamknął usta, a ja starałam się nie przejmować jego zranioną miną. Nie byłam pewna, czy odebrało mu mowę, ponieważ trafiłam w sedno, czy po prostu przeraziło go to, jaką ma okropną córkę.

– Naprawdę cię zraniłem – stwierdził wreszcie.

Zamrugałam parę razy.

– Tak.

– Przepraszam.

Gdy na niego spojrzałam, nie odwrócił wzroku.

– Przepraszam – powtórzył z większym przekonaniem. – I zamierzam ci to powtarzać przez resztę swojego życia, bo to szczerza prawda. Już ci to kiedyś tłumaczyłem, ale powiem jeszcze raz. Zostawiłem cię, bo byłem idiotą, a później nie wiedziałem, jak to naprawić. Wiem, że twoim zdaniem odszedłem w stronę zachodzącego słońca i całkiem o tobie zapomniałem, ale prawda jest taka, że myślałem o tobie każdego dnia. Po prostu nie wiedziałem, jak naprawić swoje błędy. Krótko mówiąc, postąpiłem jak tchórz. Muszę żyć z tym poczuciem winy dzień w dzień i wiem, że zasługuję na każde twoje złe słowo. Mam tylko nadzieję, że kiedyś mnie zrozumiesz i wybaczysz mi chociaż w minimalnym stopniu.

Nie odpowiedziałam, bo tym razem to mnie zabrakło słów. Nie chodziło wyłącznie o to, że nigdy nie słyszałam, by ojciec tak otwarcie mówił o swoich emocjach. Rzecz w tym, że czułam to samo co on w stosunku do Nicka i Catherine. „Po prostu nie wiedziałem, jak naprawić swoje błędy”. Zrobiło mi się nieswojo, gdy dotarło do mnie, że poszłam w ślady ojca.

Nie potrafiłam mu jednak wybaczyć. A skoro tak, czy mogłam liczyć na to, że Nick i moja córka kiedykolwiek mi wybaczą, że ich zostawiłam? Czy oboje z ojcem musieliśmy żyć z takim samym poczuciem winy? Może powinnam – dla niego i dla siebie – postarać się lepiej zrozumieć motywy, które nim kierowały, jednak myśl o zburzeniu wzniesionego wokół siebie muru była przerażająca. Kiedy gniewałam się na ojca, czułam się bezpieczna.

Jedliśmy w milczeniu jeszcze przez parę minut, aż w końcu odsunęłam od siebie talerz. Nie byłam już głodna.

– Wiem, że masz dobre intencje – powiedziałam po chwili. – Po prostu nie jestem gotowa, żeby się do ciebie zbliżyć, okej?

– Rozumiem. – Ojciec popatrzył na mnie, jakby chciał coś dodać, lecz tylko położył dłoń na mojej ręce. – W takim razie zmienimy temat. Chciałabyś jeszcze trochę pozwiedzać?

Potrząsnęłam głową. Nie umiałam tak szybko się przestawić.

– Powinam się przespać. Poza tym chciałabym poczytać trochę o Ralphie Gaertnerze i sprawdzić, czy uda mi się znaleźć jakieś powiązania między nim a babcią Margaret. Może on też trafił do obozu jenieckiego w Belle Creek.

– W takim razie odprowadzę cię do hotelu – powiedział ojciec, wyciągając z portfela kartę kredytową, i przywołał kelnerkę.

Sięgnęłam po swój portfel, ale nie pozwolił mi zapłacić.

Kiedy wyszliśmy z lokalu, nad miastem zdążył już zapaść zmierzch i uderzyła mnie myśl, że tutejsze przesycone purpurą niebo bardzo przypomina to z obrazu. Monachium ożyło za sprawą migoczących świateł, a chowające się za horyzont słońce rzucało eteryczną poświatę na dachy.

Gdy ojciec przytrzymał dla mnie drzwi prowadzące do hotelowego lobby i odprowadził mnie do windy, nie mogłam uwierzyć, że jesteśmy tu razem, po drugiej stronie świata. Co by na to powiedziała moja matka?

– To twój pokój – odezwał się tata, zatrzymując się przy drzwiach i zaczekał, aż znajdę w torebce klucz.

– Dzięki, że mnie odprowadziłeś. – Nagle poczułam się niezręcznie. – Wracasz do miasta?

– Chyba się jeszcze przespaceruję – odparł. – Ale powinienem wrócić za godzinę lub dwie. Widzę, że poczta w moim telefonie już działa, więc gdybyś czegoś potrzebowała, po prostu wyślij mi wiadomość. Będę sprawdzał skrzynkę.

– Dzięki, ale poradzę sobie.

Nachylił się, żeby mnie przytulić. Dziwnie się poczułam, odwzajemniając jego gest. Nie pamiętałam, kiedy to ostatnio robiliśmy.

Ojciec w końcu się odsunął, chrząknął, zrobił krok do tyłu i powiedział:

– Dobranoc, Emily. Widzimy się rano.

Odszedł, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Rozdział czternasty

Obudziłam się parę minut po szóstej, skołowana i rozbita. Dopiero po kilku sekundach przypomniałam sobie, gdzie jestem – w hotelowym łóżku w Monachium.

Włączyłam nocną lampkę i dźwignęłam się do pozycji siedzącej. Czy wieczorem rzeczywiście zbliżyliśmy się do siebie z ojcem? Po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat? Nie wiedziałam, co o tym myśleć, a mój umysł był tak zamglony, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem mi się to nie przyśniło.

Przez następne dwie godziny odwiedzałam te same co zwykle strony agencji adopcyjnych, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się żaden nowy wpis od osiemnastolatki, która mogłaby być moją córką. Nic to, rzecz jasna, nie dało i sfrustrowana zamknęłam komputer.

O dziewiątej spotkałam się z ojcem w lobby. Wzięliśmy kawę na wynos z hotelowej restauracji, po czym wróciliśmy do mieszkania Franza Dahlera. Przechadzaliśmy się cichymi ulicami Monachium; na Marienplatz nie było tłumów, podobnie jak na targowisku.

– Zupełnie jakbyśmy mieli całe miasto dla siebie – stwierdził z uśmiechem ojciec.

Przytaknęłam milcząco. To, że zaczęłam go trochę lepiej rozumieć, oznaczało, że coś się między nami zmieniło miałam jednak wrażenie, że stąkam po obcym i grząskim gruncie.

Po raz kolejny nacisnęliśmy guzik domofonu, bez odpowiedzi. Popatrzyliśmy na siebie z rozczarowaniem.

– Spróbujmy jeszcze raz – zaproponował ojciec.

Skinęłam głową i znów nacisnęłam guzik przy nazwisku Dahler. Odpowiedziała nam cisza. W przygnębieniu wzruszyłam ramionami i już miałam odejść, gdy z głośnika popłynął męski głos:

– *Hallo? Wer ist da?*

Spojrzałam pytająco na ojca, a on wyrzucił z siebie potok niemieckich słów. Usłyszałam najpierw nasze nazwisko, a później

nazwisko Franza.

Po chwili mężczyzna powiedział:

– *Ja. Kommen Sie herein.*

Ojciec uśmiechnął się na dźwięk brzęczyka i otworzył drzwi.

– Prosi, żebyśmy weszli na górę. To Franz Dahler, Emily. Udało nam się go znaleźć.

Dotarliśmy na trzecie piętro, gdzie czekał na nas mężczyzna, na oko osiemdziesięcio- albo nawet dziewięćdziesięcioletni. Miał białe jak śnieg włosy, pomarszczoną bladą skórę i zamglone błękitne oczy.

– *Sie sind Victor?* – zapytał, przyglądając się nam podejrzliwie. Zapytał o coś jeszcze, na co mój ojciec odpowiedział po niemiecku, wskazując na mnie.

– A więc jesteś Amerykanką – odezwał się po angielsku staruszek z wyraźnym niemieckim akcentem. – I podobno nie mówisz po niemiecku. Znam trochę angielski, *ja?* Może uda nam się dogadać.

– Dziękuję panu – odparłam. – Nazywa się pan Franz Dahler?

– *Ja* – potwierdził. – Wejdźcie.

Oświetlenie było słabe, a wystrój surowy, bez żadnych zdjęć ani obrazów na ścianach. Mieszkanie sprawiało wrażenie niezamieszkanego, chociaż meble i dywany były stare i wysłużone. W kuchni stał niewielki stół i dwa twarde krzesła przy ścianie, a w salonie dostrzegłam tylko sfatygowaną kanapę, stolik, na którym leżał notatnik z długopisem, oraz jeszcze jedno krzesło z drewnianym oparciem. Właśnie tam zaprosił nas Franz, wskazując nam miejsca na sofie. Sam usiadł sztywno na krześle.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał wolno i z namysłem, gdy już usiedliśmy.

– Panie Dahler, szukamy informacji na temat Petera Dahlera. Sądzimy, że jest pańskim bratem – zaczęłam. – Czy tak?

Przez twarz Franza przemknął cień.

– Peter? – staruszek zawiesił głos i przez chwilę wpatrywał się w sufit, jakby próbował dojść do siebie. – Peter był moim bratem. Odszedł dawno temu.

– Nie żyje? – spytałam i żal ścisnął mi serce.

Wiedziałam, jakie to irracjonalne liczyć na to, że człowiek po dziewięćdziesiątce będzie jeszcze żył, ale nie traciłam nadziei.

– Czy nie żyje? – powtórzył pan Dahler. – A skąd miałbym wiedzieć? Nie rozmawiałem z nim od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

Odetchnęłam głęboko. Czyli Peter Dahler mógł nadal żyć. Zrobiło mi się jednak nieswojo, gdy zobaczyłam, jak dziwnie przygląda mi się Franz.

– Co się stało? – zapytałam.

– Podczas wojny był więziony w Ameryce – odparł mężczyzna. Spojrzeliśmy na siebie z ojcem. – I zakochał się w miejscowej.

– Mojej matce – wyszeptał ojciec.

– Co takiego? – spytał Franz.

– Margaret. Czy tak miała na imię ta dziewczyna? Mieszkała na Florydzie?

Staruszek zamrugał gwałtownie i oblał lekkim rumieńcem.

– Tak. Ale skąd o tym wiecie?

Ojciec wskazał na mnie.

– To jest wnuczka Margaret. A ja jestem jej synem.

Franz popatrzył najpierw na mojego ojca, a później na mnie.

– *Mein Gott* – wymamrotał. – Teraz widzę. Oboje macie oczy Petera. Bez dwóch zdań. Ale jakim cudem?

– Nie wiem – odparłam. – Właśnie próbujemy to ustalić. Aż do zeszłego tygodnia nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu.

Franz był zdezorientowany.

– Nie rozumiem. Zatem musiał wrócić do Ameryki, by odnaleźć dziewczynę, którą kochał?

– Nie, raczej tego nie zrobił – zaprzeczyłam.

– Co za tragedia. – Franz wyglądał na ogromnie zasmuconego. – I wydaje mi się, że mogła mieć swój początek tutaj.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytałam.

Mężczyzna przeprosił nas i wyszedł do drugiego pokoju. Spojrzałam na ojca, a ten wzruszył ramionami. Chwilę później Franz wrócił z pożółkłym zdjęciem.

– Rzadko je wyjmuję – oznajmił. – O wielu rzeczach wolę sobie nie przypominać. Na tym zdjęciu zobaczycie młodego Petera, zanim poszedł na wojnę.

Wzięłam od niego fotografię i wlepiłam w nią wzrok z sercem w gardle. Była trochę niewyraźna i musiała pochodzić z lat

trzydziestych albo wczesnych czterdziestych. Poważny mężczyzna w średnim wieku z wąsem jak u Clarka Gable'a i rzadkimi ciemnymi włosami stał pośrodku zdjęcia, obejmując ramieniem drobną jasnowłosą kobietę w podobnym wieku, tak bladą i szczupłą, jakby miała za chwilę zniknąć. Po jej prawej stronie stał chłopiec mniej więcej czternasto- lub piętnastoletni, ze sterczącymi ciemnymi włosami; miał na sobie krótkie spodenki na szelkach i podkolanówki. Jediną uśmiechniętą osobą na fotografii był blondwłosy młodzieniec stojący na lewo od mężczyzny z wąsami. Mógł mieć siedemnaście lub osiemnaście lat i był ubrany w kiepsko dopasowany ciemny garnitur. Przeciągnęłam palcem po zamglonym obrazku.

– To jest Peter – wyjaśnił Franz, bacznie mi się przyglądając. – Mój brat. W dniu zakończenia szkoły. Chłopiec w szelkach to oczywiście ja. A to nasi rodzice.

Moi pradiadkowie – pomyślałam, patrząc najpierw na nich, a później na Petera, człowieka, który prawdopodobnie był moim dziadkiem. Wyglądał atrakcyjnie i sympatycznie. Franz miał rację: kształt jego oczu był bardzo podobny do moich. Podałam fotografię ojcu, który uważnie ją obejrzał i oddał mi z powrotem.

– Zdjęcie zrobiono w trzydziestym dziewiątym – odezwał się po chwili Franz. – Ostatnim roku, który spędziliśmy razem. Krótco potem Peter rozpoczął obowiązkową służbę w RAD.

– RAD? – powtórzyłam.

Staruszek kiwnął głową, szukając odpowiednich słów.

– *Reichsarbeitsdienst*, Służba Pracy Rzeszy. Na początku wojny młodzi mężczyźni musieli odbyć półroczną służbę w RAD, zanim trafili do Wehrmachtu, niemieckich sił zbrojnych. Peter odpracował swoje sześć miesięcy, a później wrócił do domu na kilka dni i poszedł do wojska. Jednak w tym czasie doszło do wielkiej kłótni, która zmieniła wszystko.

– Kłótni? – odezwał się ojciec. – Między kim?

– Peterem i naszym ojcem. – Franz przez długą chwilę patrzył przed siebie i miałam wrażenie, że po raz kolejny przeżywa wydarzenia sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. – Kiedy Peter był młodszy, nie wiedział, co piszą w gazetach. Oczywiście widział i słyszał różne rzeczy, ale ojciec kategorycznie zabraniał rozmawiania w domu o polityce. Matka bardzo się wtedy

denerwowała i często niedomagała. Chodziło o to, żeby ją chronić. Jednak po zakończeniu służby w RAD Peter był wściekły. Ojciec był nazistą. Gorąco popierał hitlerowski reżim. Peter wręcz przeciwnie. Po powrocie do domu uparł się, że porozmawia z ojcem o polityce, zanim wyjedzie na wojnę. – Franz urwał i pokręcił głową. – Wciąż pamiętam jego słowa: *Ich weigere mich zu kämpfen, ohne den Grund dafür zu verstehen*, czyli nie będzie walczył, nie rozumiejąc powodów. Pokłócił się z ojcem, a ten z kolei był wściekły, że jego syn nie czci führera.

– A jak pan się z tym czuł? – wtrącił ojciec.

Franz westchnął.

– To było dawno temu, rozumiecie. A Hitler był magikiem, miał gadane. Rzucił urok na wielu z nas. Przyznaję, że należałem do tych, którzy dali się zwieść jego słowom i obietnicom. Wierzyłem, że Niemcy powstaną i że z jakiegoś powodu mieliśmy prawo robić to, co robiliśmy.

Od tych słów przewróciło mi się w żołądku, ale staruszek uniósł wzrok i popatrzył mi w oczy.

– Jak już mówiłem, to było wieki temu. Potwornie wstydzę się tego, co wtedy myślałem. Ale ojciec zawsze uważał, że Hitler ma rację, nawet długo po tym, jak führer popełnił samobójstwo, a Niemcy zostały pokonane. Stał się zgorzkniałym starym człowiekiem obwiniającym wszystkich o porażkę Niemiec. Łącznie z Peterem. Obwiniął przede wszystkim jego.

– Petera? – zdziwiłam się. – Niby jak mógł być odpowiedzialny za porażkę Niemiec?

– Oczywiście nie był – odparł Franz. – Jednak mój ojciec zawsze miał mojego brata za tchórza. Gdy dowiedział się, że Peter trafił do niewoli w Afryce, wpadł w szal.

– Co Peter robił w Afryce?

– Walczył w Afrika Korps – wyjaśnił mężczyzna. – Słyszeliście o Generalfeldmarschallu Erwinie Rommlu? Lisie Pustyni?

– Chyba tak – odparłam, a ojciec przytaknął.

– Generał Rommel dowodził Afrika Korps. Jedyny raz, kiedy ojciec poczuł się dumny z syna w czasie wojny, był chyba wtedy, gdy Peter napisał w liście do matki, że podziwia Rommla, który odmawiał

zabijania Żydów i ludności cywilnej. Na pewno wiecie, że w innych miejscach było to na porządku dziennym?

Pokiwałam głową.

– No cóż, Rommel był inny. Zachowywał się po ludzku, może nawet był dobrym człowiekiem. Peter nienawidził wojny, ale nie miał nic przeciwko walce w oddziale Rommla, bo wiedział, że nie będzie zmuszony robić niczego, co kłóciłoby się z jego sumieniem. Rozumiecie? Jednak pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego Niemcy przegrali kampanię w Afryce i niedługo potem Rommel wrócił do ojczyzny. Kilka miesięcy później Peter, razem z wieloma innymi, został pojmany przez aliantów. Gdy się o tym dowiedzieliśmy, ojciec był wściekły. Dla niego jedyną rzeczą gorszą od syna, który się z nim nie zgadzał, był syn, który okazał się na tyle słaby, by wpaść w ręce wroga.

– Pan też poszedł do wojska? – zapytał mój ojciec.

– Byłem trzy lata młodszy od Petera, więc odbyłem służbę w RAD, a później, w czterdziestym trzecim, wstąpiłem do Wehrmachtu. W tym samym roku pojmano Petera i zmarła nasza matka.

– Pańska matka zmarła w czasie wojny? – Ponownie spojrzałam na wychudzoną kobietę ze zdjęcia, która nawet za życia przypominała zjawę.

Franz pokiwał głową.

– Nasz ojciec zawsze twierdził, że zabiła ją wiadomość o uwięzieniu Petera. Oczywiście to nieprawda. Matka była nieszczęśliwa w tym małżeństwie. Ojciec rządził żelazną ręką, a ona była chorowita. Ale on karmił się potępianiem, tak jak inni chlebem i wodą. To była jego *Nahrung*, strawa. Dlatego obwinił Petera o śmierć naszej matki.

Większość wojny spędziłem na froncie wschodnim i miałem szczęście, że przeżyłem – mówił dalej Franz. – Kiedy wojna się skończyła, ojciec powitał mnie w domu jak bohatera, ale wtedy był już innym człowiekiem. Podczas gdy my z Peterem walczyliśmy, ojciec tkwił w Holzkirchen, naszym rodzinnym miasteczku, i coraz bardziej zamartwiał się czymś, co nazywał śmiercią Niemiec. Po moim powrocie w czterdziestym piątym był zimny, hardy i zgorzkniały.

– A kiedy wrócił Peter? – zapytałam.

– Jeńców wojennych nie odesłano od razu. Peter trafił do obozu jenieckiego w Wielkiej Brytanii, gdzie został skazany na prawie dwa lata ciężkich robót, zanim go wypuszczono.

– Oczywiście – wymamrotałam, przypominając sobie trzy listy, które dostałam od Julie.

– Pisał do nas z Anglii, ale ojciec nie odpowiedział na żaden list – ciągnął Franz. – Wtedy już zaczęły przychodzić listy z Ameryki i on znowu się wściekał.

– Jakie listy? – odezwał się mój ojciec.

Mężczyzna westchnął.

– Listy od tej Amerykanki. Pańskiej matki, jak rozumiem. Przed wyjazdem z Ameryki Peter musiał jej zostawić nasz adres, żeby mogła się z nim skontaktować. Ale ojciec otwierał wszystkie listy zaadresowane do Petera. Pierwszych kilka, w których pisała o tym, jak bardzo za nim tęskni i że go kocha, wprawiły go w furję. Jego zdaniem Peter nie miał prawa zakochać się w Amerykance. Uważał ją za wroga, a Petera za zdrajcę. Później jednak przyszedł list, w którym pisała, że spodziewa się dziecka... – Franz zawiesił głos, a ja nachyliłam się do przodu, niecierpliwie czekając na dalszą część opowieści. – Tamtego dnia w ojcu coś pękło. Jego złość na Petera zamieniła się w lodowatą nienawiść. Była irracjonalna, lecz nieubłagana.

Wyprostowałam się na sofie. Siedzący przy mnie ojciec łagodnie położył mi dłoń na ramieniu. A więc moja babcia napisała Peterowi, że jest w ciąży, lecz zamiast wywołać tą wiadomością radość, sprawiła, że mój pradziadek zapalał nienawiścią do syna.

– A więc Peter dowiedział się, że zostanie ojcem, gdy był w Anglii, tak? – upewniłam się.

Franz się zawahał.

– Nie. Ojciec spalił większość listów.

Wlepiłam w niego zdumione spojrzenie.

– Celowo zataił przed Peterem wiadomość, że moja babcia była w ciąży?

– Tak. A kiedy brat wreszcie wrócił do domu pod koniec czterdziestego siódmego, ojciec nie powiedział mu prawdy od razu. Zaczął na niego krzyczeć, nazwał go zdrajcą. Wyobraźcie sobie tylko. Mój brat po tylu latach w końcu wyszedł z więzienia, znowu był

wolnym człowiekiem, a w domu zamiast serdecznego powitania czekała go lawina gniewu. W którymś momencie ojciec powiedział Peterowi, że Amerykanka, w której się zakochał, zaszła w ciążę. Kiedy wszedłem do domu, właśnie się kłócili. Czułem wiszącą w powietrzu nienawiść.

Franz urwał i po raz pierwszy od początku naszej rozmowy zauważyłam, że twarz mu poczerwieniała, a na czole perlił się pot.

– Dobrze się pan czuje? – zapytałam. – Możemy zrobić przerwę, jeśli chce pan odpocząć.

– Nie, muszę wam to powiedzieć. – Głęboko nabrał powietrza. – Widzicie, wziąłem wtedy stronę ojca. I od tamtej pory tego żałuję. Wtedy jednak wciąż rozpamiętywałem porażkę Niemiec. I myślałem tak samo jak ojciec. Jak to możliwe, że Peter był więziony w obozie jenieckim na terytorium wroga i zakochał się w miejscowej dziewczynie? Nie mieściło mi się to w głowie.

Otworzyłam usta, żeby bronić Petera, ale Franz tylko machnął ręką.

– Byłem wtedy młody. Później pojąłem swój błąd. Nie musisz mi tłumaczyć, jak bardzo się myliłem. W każdym razie ojciec rzucił Peterowi jedyny list, którego nie spalił, i kazał mu się wynosić. – Westchnął. – Więcej go nie widziałem. Tamtego wieczoru Peter opuścił dom. Padał śnieg i pamiętam, jak patrzyłem na niego przez okno. Gdy odchodził ulicą, wyglądało to tak, jakby pochłonęła go śnieżycą. Zawsze myślałem, że kiedyś wróci, lecz nie. – Popatrzył na mnie. – Mówię o nim po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat. Ojciec kategorycznie zakazał rozmów na jego temat. Twierdził, że Peter jest dla niego martwy. Podobnie jak dla reszty naszej rodziny. Ale przecież on nie umarł, prawda?

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że Franz czeka na odpowiedź.

– Przykro mi, ale nie wiem – powiedziałam. – Nie mamy pojęcia, co się z nim stało.

Staruszek przeniósł wzrok na okno.

– Tyle sekretów i kłamstw – wymamrotał. – One wszystko niszczą, prawda?

Na chwilę moje myśli popłynęły do Nicka. Sekrety i kłamstwa. „One wszystko niszczą”. Odpędziłam od siebie tę myśl.

– Kilka tygodni temu otrzymałam pocztą obraz – poinformowałam Franza. – Właśnie z jego powodu tu jesteśmy. Obraz przedstawia prawdopodobnie moją babcię stojącą na polu, być może na plantacji trzciny cukrowej na Florydzie. Dołączono do niego liścik: „Pani dziadek nigdy nie przestał jej kochać. Margaret była miłością jego życia”.

– Kto przysłał ten liścik? – spytał Franz, zaskoczony.

– Nie wiemy. Był niepodpisany. Ale to właśnie on nas tu przywiódł. Uznaliśmy, że może obraz namalował pański brat.

– Peter? – Franz zmarszczył brwi. – Nie, on nie malował. Nasz ojciec nie zachęcał nas do wyrażania siebie poprzez sztukę.

– Czy mówi coś panu nazwisko Ralph Gaertner? – zapytałam. – Właścicielka galerii, która podjęła się renowacji obrazu, twierdzi, że przypomina jego dzieła.

– Tak, naturalnie. To bardzo znany amerykański malarz, prawda?

– Właśnie. Czy to możliwe, że Peter się z nim przyjaźnił? Może w młodości? Albo że służyli razem w wojsku? Gaertner również pochodził z Niemiec.

Franz zastanawiał się przez chwilę.

– Peter chodził do szkoły z Ottonem Gaertnerem. Pamiętam, że się przyjaźnili. Ale ten Otto chyba nie miał brata. Gaertner nie jest aż tak rzadko spotykanym nazwiskiem.

Wymieniliśmy z ojcem spojrzenia.

– Czy wie pan może, gdzie moglibyśmy znaleźć tego Ottona Gaertnera?

– Wydaje mi się, że zginął na wojnie – odparł Franz. – Naturalnie jego rodzice też już nie żyją. Myślę, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek, jak mawiają Amerykanie.

– Chyba że polecimy do Atlanty – wtrącił ojciec.

Odwróciłam się w jego stronę, czując, jak mój żołądek robi salto. Nie byłam w Atlancie, odkąd wyjechałam stamtąd w wieku osiemnastu lat, będąc w ciąży z dzieckiem, o którego istnieniu nikomu nie powiedziałam.

– Do Atlanty?

Ojciec kiwnął głową.

– Stamtąd pochodzi obraz. Poza tym mieszkał tam Ralph Gaertner. Myślę, że na tym etapie jest to jedyny logiczny krok. Jeśli

coś go łączyło z Peterem, może uda nam się odnaleźć jakiegoś krewnego i czegoś się dowiedzieć.

– A później powiecie mi o tym? – zapytał Franz z nagłą desperacją w głosie. Ze zdziwieniem dostrzegłam w jego oczach łzy. – Jestem już stary i wiele wspomnień zdążyło mnie opuścić. Jednak człowiek nigdy nie zapomina o tym, czego się wstydzi. A najbardziej wstydzę się roli, jaką odegrałem w wygnaniu Petera z domu, od rodziny, na mróz. Postąpiłem strasznie i od tamtej pory codziennie tego żałuję – zawiesił głos i popatrzył na nas. – Ale jeśli jesteś synem Petera, a ty jego wnuczką, to znaczy, że jakaś częśćka mojego brata przetrwała i powróciła do Niemiec. Dzięki temu robi mi się nieco cieplej na sercu.

Wzruszyły mnie jego słowa.

– Damy panu znać, jeśli się czegoś dowiemy – obiecałam.

– A ten obraz – odezwał się Franz po chwili. – Chciałbym go kiedyś zobaczyć.

Wyjęłam z kieszeni iPhone'a i pokazałam mu zdjęcie. Włożył okulary do czytania i przyglądał się przez długą chwilę, zanim zwrócił mi aparat.

– Twoja babcia była piękna – stwierdził łagodnie. – Rozumiem, dlaczego Peter się w niej zakochał. Ale, moja droga, on nie mógł namalować tego obrazu. Po prostu nie był artystą.

W przygnębieniu pokiwałam głową i schowałam telefon.

– Dziękuję, że mnie odwiedziliście – powiedział Franz, wyciągając rękę najpierw do ojca, a później do mnie. – Ale teraz muszę odpocząć. Całe to rozmawianie o przeszłości okrutnie mnie zmęczyło.

– Oczywiście – zapewniłam i oboje z ojcem wstaliśmy.

Franz odprowadził nas do drzwi. Po chwili wahania położył mi rękę na ramieniu. Spojrzałam na niego, a on długo nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Przepraszam – odezwał się wreszcie. – Bardzo przepraszam za to, że przyczyniłem się do rozdzielenia ciebie i twojego dziadka. Był dobrym człowiekiem i żałuję, że nie miałaś okazji go poznać.

– Może nie jest jeszcze za późno – odparłam.

Pocałowałam staruszkę w policzek, a później zeszliśmy z ojcem po schodach i wyszliśmy prosto na poranne słońce.

Rozdział piętnasty

Grudzień 1947

Przez miesiąc po zakończeniu wojny Peter naiwnie wierzył, że go nie odesłają. Liczył na to, że ktoś popełni błąd w papierach albo całkiem zapomni o Belle Creek, dzięki czemu więźniowie odzyskają wolność.

Rzecz jasna było to głupie, o czym doskonale wiedział. Mimo to z biegiem dni – kiedy przeniesiono go do pracy przy remoncie zapory na jeziorze Okeechobee – pozwalał sobie marzyć. Znajdzie kawałek ziemi! Wybuduje dom gołymi rękami! Może nawet zatrudni się w szkole jako nauczyciel literatury!

Tagträumer – coraz częściej mruczał Maus. Marzyciel. Ale przyganiał kocioł garnkowi. Sam też był beznadziejnym marzycielem, całymi dniami gryzmołąc patykiem na piasku obrazki ze swojego rodzinnego miasteczka albo szkicując kawałkiem węgla zgrabne panie na ścianach baraków. Bez przerwy chodził z głową w chmurach.

– I to niby ja jestem marzycielem? – zapytał go któregoś dnia Peter.

– Zapominasz, że jesteśmy dla nich wrogiem – odparł szorstko Maus. – Teraz już pokonanym. Niby czemu mieliby nas tu chcieć?

– Bo ciężko pracowaliśmy – odparł stanowczo Peter. – Byliśmy dla nich życzliwi i pełni szacunku i zapalaliśmy miłością do ich kraju.

– Tak, ale ich kraj nie zapalał miłością do nas, rozumiesz? – burknął Maus.

I chociaż Peter wiedział, że Maus ma rację, że jego dni w tym miejscu są policzone, ogarnął go szok, gdy rankiem któregoś wtorku w końcu czerwca Harold wszedł do baraku, by coś im oznajmić.

– Za trzy dni zostaniecie odesłani do obozu w Wielkiej Brytanii – odczytał z kartki rozporządzenie. – Pakujcie się, chłopcy. Wracacie

do domu.

Peter zobaczył Margaret jeszcze tylko raz, w wieczór poprzedzający jego wyjazd, i tylko dlatego, że Harold się nad nim zlitował.

– Wiem, że ją kochasz, Dahler – mruknął starszy mężczyzna, nie patrząc mu w oczy. – Ale na miłość boską, nie daj się złapać, bo obaj za to bekniemy – zawiesił głos i spojrzał Peterowi w oczy. – Masz czyste intencje?

– Tak jest.

– I ta dziewczyna też cię kocha?

Peter nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał robić Margaret problemów.

– Synu – odezwał się strażnik trochę łagodniej. – Nie jestem temu przeciwny. Poza tym możesz mi zaufać.

Peter uniósł wzrok.

– Tak jest. Nie mogę w to uwierzyć, ale ona też mnie kocha.

Harold pokiwał głową.

– W takim razie idź. Tylko wróć przed jedenastą. O tej porze kończę zmianę i nie będę cię mógł dłużej kryć.

Peter zerknął na wiszący na ścianie zegar. Było już wpół do dziewiątej. Pozostali więźniowie się pakowali, śmiali, dowcipkowali, pewni, że wkrótce spotkają się z najbliższymi. Nie zauważą jego zniknięcia, może z wyjątkiem Mause, ale on potrafił trzymać język za zębami.

– Dziękuję panu – odparł.

Strażnik skinął głową i bez słowa wskazał swój samochód. Wsiedli do środka i w milczeniu przejechali przez bramę obozu. Niedaleko domu Margaret Harold zatrzymał auto.

– Idź – powiedział. – Po powrocie pewnie bez trudu znajdziesz dziurę w siatce.

Peter popatrzył na niego zdziwiony, a Harold odparł z uśmiechem:

– Też byłem kiedyś młody. – Wręczył chłopakowi swój zegarek, popatrzył na niego z powagą i dodał: – Pamiętaj, punkt jedenasta. Ani minuty później.

– Tak jest. – Peter wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Nachylił się w stronę okna, by jeszcze raz podziękować Haroldowi, ale ten już ruszył w kierunku miasteczka.

Peter zszedł z drogi, schował się w cieniu i nie wychodził z niego aż do domu Margaret, biegnąc ile sił w nogach. Miał mało czasu i nie wiedział, kiedy znowu się zobaczą. Musiał dobrze wykorzystać każdą chwilę.

Był już prawie na miejscu, gdy dotarło do niego, że rodzina Margaret nie będzie jeszcze spała i że dziewczyna może mieć problem z wymknięciem się z domu. Gdy wynurzył się z trzciny cukrowej, zamarło w nim serce. W oknach domu paliło się światło. Peter przez chwilę przyglądał im się z ukrycia, uparcie rozmyślając. Nie mógł tak po prostu podejść do frontowych drzwi i zapytać rodziców Margaret, czy dziewczyna może do niego na chwileczkę wyjść. Ani też rzucać kamykami w jej okna, ryzykując zdemaskowanie ich związku. Poza tym musiał też myśleć o Haroldzie. Jeśli Petera przyłapią na samotnym waleśaniu się po Belle Creek, to strażnik zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

Nie, wykombinuje inny sposób. Ale musiał wrócić do obozu przed jedenastą, co oznaczało, że nie miał wiele czasu.

Gdy tak rozmyślał, nogi same zniosły go w stronę polanki Margaret, na której tulił ją, całował, kochał się z nią. Doszedł do wniosku, że gdyby miał spędzić resztę życia w jednym miejscu, to właśnie tutaj, pośród wspomnień o niej. Może kiedyś, po powrocie do Belle Creek, uda im się kupić ziemię, na której znajdowało się to pole, i wybudować pośrodku dom. Tego marzenia postanowił się trzymać.

Był tak pogrążony w rozmyślaniach, że kiedy dotarł do polanki, nie przyszło mu do głowy, że może tam kogoś zastać. Jednak gdy tylko wyłonił się spośród trzciny, zarobił mocny cios w brzuch.

– Uch! – jęknął, tracąc oddech i zginając się w pół. Poczł nagły przyływ adrenaliny. Musiał go zauważyć któryś z miejscowych! I pewnie wezwał policję, żeby go aresztowała! Jednak gdy już odzyskał ostrość widzenia, zorientował się, że na polance nie czyha na niego żadna rozwścieczona banda, tylko ciężko oddychający Jeremiaś, z wytrzeszczonymi oczami, który sprawiał wrażenie równie zaskoczonego jak Peter.

– Co ty tu robisz? – zapytał ostro Jeremiaś. Odłożył plecak, którym zamachnął się na Petera i wyciągnął do niego rękę. – Przepraszam. Nie zrobiłem ci krzywdy?

Peter pokręcił głową.

– Nie, Jeremiahu. Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie powinieneś być w obozie?

– Jutro wypływam do Anglii. Musiałem się jeszcze raz zobaczyć z Margaret.

Jeremiah się zdziwił.

– Ale jej tu nie ma.

– Wiem. Nie mam za dużo czasu, a światła w jej domu wciąż się palą. Nie wiem, jak zwrócić jej uwagę, by rodzina mnie nie zauważyła.

Jeremiah przez chwilę przygryzał wargę.

– Ty naprawdę ją kochasz?

– Tak.

– I jej nie skrzywdzisz?

– Nigdy w życiu – zapewnił. – Tobie naprawdę na niej zależy, co, Jeremiahu?

Chłopiec pokiwał głową.

– No.

Peter zrozumiał, że Margaret była dla tego chłopca nie tylko światłem i wybawieniem, lecz także matką i obrończynią. Chciał dla niej jak najlepiej.

– Jeremiah... – zaczął.

– Pójdę po nią – wszedł mu w słowo tamten. – Sprowadzę ją tutaj. Masz ją uszczęśliwić, Peterze.

– Dziękuję. – Peter wyciągnął do niego rękę. – Czekał. Zaopiekujesz się Margaret najlepiej, jak będziesz potrafił, gdy wyjadę?

– Oczywiście. Ale ja też jestem już na wylocie. Margaret pomoże mi w ucieczce. Nie jestem tu bezpieczny. Znalazła dla mnie miejsce w domu dziecka w Georgii i pomoże mi zbierać pieniądze na bilet autobusowy.

– Naprawdę? – Peter chyba nigdy nie kochał Margaret tak mocno jak w tamtej chwili.

– Tak. Nie zdążyłeś się jeszcze zorientować, że ona troszczy się o nas wszystkich? Łącznie z tobą? – To powiedziawszy, Jeremiah zniknął, by przemknąć przez ciemne pola w stronę domu Margaret.

*

Minęła prawie godzina, zanim pojawiła się na polanie. Peter zaczął się denerwować; było już dziesięć po dziesiątej i musiał wyjść za dziesięć minut – dwadzieścia, gdyby miał pokonać całą drogę biegiem – żeby wrócić do obozu na czas. Poczł tak wielką ulgę na widok dziewczyny stojącej przed nim w świetle księżyca, że kiedy wstał, ugięły się pod nim nogi.

– Margaret – szepnął. – Moja słodka Margaret.

Była zdyszana od biegu, w oczach miała łzy.

– Wyjeżdżasz?

Kiwnął głową.

– Jutro z samego rana. Wywiozą nas statkiem do Anglii.

Zamrugła parę razy, jakby ta wiadomość była dla niej nie do zniesienia.

– Wiedziałam, że ten dzień w końcu nadejdzie. Pewnie stamtąd wrócić do Niemiec?

Peter przytaknął.

– Chciałem ci dać swój adres w Holzkirchen, żebyś mogła się ze mną skontaktować. – Podał jej skrawek papieru, który nosił w kieszeni przez cały wieczór. – Będę pisał do ciebie tak często, jak tylko będę mógł.

Margaret pokiwała głową, chowając kartkę do kieszeni sukienki.

– I któregoś dnia tu wrócisz? – spytała nieśmiało, z niepokojem.

– Jak tylko będę mógł. – Peter zczekał, aż ukochana uniesie wzrok i spojrzy mu w oczy. – Obiecuję, Margaret. Moje życie jest przy tobie. Wrócę po ciebie.

– Wiem – szepnęła.

Przyłgnęła do niego i przez chwilę stali wtuleni w siebie, aż wreszcie Peter odsunął się od niej z sercem ciężkim od żalu i strachu. Promienie księżyca oświetlały twarz Margaret, która jaśniała w ciemności niczym duch. Jakby już zaczynała znikać. Peter dotknął jej policzka, delikatnie przesuając palcami wzdłuż linii szczęki aż do obojczyka.

– Zawsze będę cię kochał, Margaret. Spotkamy się niebawem. – Złożył na jej ustach długi i namiętny pocałunek, a później zrobił krok

do tyłu z oczami pełnymi łez, których nie chciał jej pokazać. – Do widzenia, moja Margaret. Do spotkania.

Jeszcze nigdy nie czuł w sercu tak wielkiego żalu jak wtedy, gdy zniknął w ciemności na polu trzciny cukrowej. Nie oglądał się za siebie, bo gdyby to zrobił, zostałby tam na zawsze.

*

Mniej więcej trzy tygodnie później Peter, Maus i reszta chłopców z Camp Belle znaleźli się w wiejskim Lancashire w Anglii, dokąd trafili razem z setkami innych jeńców przetrzymywanych w Ameryce przez ostatnie lata wojny. Po dotarciu na miejsce Peter przeżył szok. Anglia została zrównana z ziemią, a częściowo zmieciona z jej powierzchni w przerażający sposób. Peter służył w Afryce, gdzie przeważnie walczyło się z ludźmi. Tutaj wyglądało to tak, jakby niemiecka armia atakowała samą ziemię wroga. Miasta bombardowano i palono, a w miejscu pięknego niegdyś kraju zostały zwęglone ruiny.

Kiedy więc strażnicy traktowali więźniów opryskliwie albo gdy zmuszali ich do znacznie cięższej pracy niż w Stanach Zjednoczonych, Peter znosił to bez słowa skargi. Rozglądał się wokół siebie, czując na barkach przytłaczający ciężar poczucia winy i smutku. To jego rodacy dokonali tych zniszczeń, a teraz on musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, by je naprawić. Czasami wysyłano go do pracy w przędzalni bawełny w Barnoldswick. Kiedy indziej trafiał do któregoś z małych miasteczek, żeby wziąć udział w długim procesie naprawy i odbudowy. Ale chociaż łątano dziury w ścianach i rekonstruowano domy, kościoły znowu zaczynały się pięć ku niebu, a fizyczne ślady wojny powoli odchodziły w zapomnienie, Peter wiedział, że nie naprawią wszystkiego pracą. Dokądkolwiek by się udali, wszędzie były matki, które straciły na wojnie synów, żony, które nie miały już mężów, i dzieci pozbawione ojców. Wojna mocno doświadczyła ten naród i chociaż można było odbudować domy, dusze ich mieszkańców miały pozostać uszkodzone już na zawsze.

Peter godził się na ciężkie warunki i długie godziny harówki, bo to dzięki niej każdego wieczoru zasypiał twardo jak kamień, kompletnie wykończony, pomimo braku wieści od Margaret. Podał jej swój adres

w Niemczech i od czasu do czasu dostawał krótkie wiadomości od ojca, ale nie od niej. Ojciec z pewnością przekazałby mu list, gdyby go otrzymał. Peter wielokrotnie go pytał, czy nie przyszła jakaś korespondencja z Ameryki, ale zawsze dostawał negatywną odpowiedź, jeśli ojciec w ogóle raczył mu odpisać.

Gdy więc pracował w pocie czoła, w głowie kłębiły mu się najczarniejsze myśli. Czy Margaret umarła? A może zakochała się w kimś innym? Peterowi nie mieściło się to w głowie, ale wojna wyprawiała z ludźmi dziwne rzeczy. Gdyby jednak odeszła z tego świata, z pewnością poczułby to w kościach. Ale czy wyczułby również, gdyby po prostu ruszyła do przodu z własnym życiem i postanowiła przestać go kochać? Zresztą czy mógłby mieć o to pretensje? Gdy mijały miesiące i Peter wraz z pozostałymi więźniami uświadomił sobie, że ich powrót do Niemiec nie nastąpi zbyt szybko, pograżył się w jeszcze głębszej depresji. Niby dlaczego Margaret miałaby chcieć się związać z niemieckim jeńcem wojennym, który utknął na innym kontynencie? Zaslugiwała na lepsze życie.

Na początku pisał do niej codziennie, a potem, gdy nie doczekał się odpowiedzi, zaczął pisać najpierw co drugi, później co trzeci dzień. Nie chodziło o to, że tracił zainteresowanie. Nie, z każdą upływającą chwilą kochał ją jeszcze bardziej. Zaczynał się jednak martwić, że jest dla niej tylko ciężarem, błędem, o którym należało zapomnieć.

– Nie przejmuj się – pocieszał go Maus w te wieczory, kiedy Peter miał szczególnie ponury nastrój. – Któregoś dnia ją odnajdziesz.

– A co jeśli okaże się, że przestała mnie kochać? – odpowiadał często Peter.

– Będziesz żył dalej. – Tak za każdym razem brzmiała odpowiedź Mause, wypowiedziana stanowczym, choć łagodnym tonem.

Peter wiedział jednak, że to niemożliwe. Przy życiu trzymała go wyłącznie Margaret.

*

Pewnego śnieżnego grudniowego dnia, tydzień przed Bożym Narodzeniem 1947 roku, Petera wreszcie odesłano do Niemiec. Z sercem w gardle wysiadł z pociągu w Holzkirchen. Nie doczekał

się komitetu powitalnego ani fanfar, mimo że uprzedził rodzinę listownie o swoim przyjeździe. Przez ostatni rok nie miał żadnych wiadomości od rodziców i brata, żaden z jego coraz bardziej przepełnionych niepokojem listów nie doczekał się odpowiedzi. A jeśli wszyscy pomarli? Co zastanie, gdy zapuka do drzwi rodzinnego domu?

Jednak gdy dotarł na Auwaldstrasse 18 z sercem ciężkim od strachu, drzwi otworzył mu ojciec. Przez umysł Petera przeleciało milion myśli naraz. Ulga, że ojciec żyje, zdziwienie, dlaczego tak długo mu nie odpisywał, i uraza na widok drwiącego uśmiešku, który przemknął ojcu przez twarz, gdy tak stał w progu.

– Sprowadziłeś wielki wstyd na naszą rodzinę – tak brzmiały pierwsze słowa, którymi zwrócił się do syna. – Byłeś zbyt słaby, żeby przetrwać na polu bitwy. Pojmali cię jak tchórza. Zhańbiłeś nas.

Peter patrzył na niego, dostrzegając malującą się w oczach ojca wściekłość. Od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni, ojciec bardzo się postarzał. Jego ciemne włosy zastąpiła łysina porośnięta siwymi kępkami. Twarz miał pomarszczoną jak rodzyńka, oczy zapadnięte. Zupełnie nie przypominał dawnego siebie, a Peter nie mógł zrozumieć jego słów.

– Ależ ojcze – odparł – walczyłem za Niemcy, tak jak sobie tego życzyłeś. – W jednej chwili znów poczuł się jak dziesięciolatek łaknący aprobaty ojca na tyle rozpaczliwie, by zignorować sygnały ostrzegawcze wysyłane przez jego młodzieńcze sumienie. Pokręcił głową, przypominając sobie, że przecież jest dorosłym człowiekiem. Dorosłym, który kochał ojczyznę, ale wstydził się walki w imię czegoś, co kłóciło się z jego przekonaniem. Dorosłym, którego bulwersowały napływające dzień po dniu coraz gorsze doniesienia na temat okrucieństw popełnianych w obozach koncentracyjnych. Dorosłym, który zastanawiał się, w jaki sposób jego naród zdoła odpokutować za wymordowanie milionów niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Nie walczyłeś – warknął ojciec. – Poddałeś się.

Peter poczuł wzbierającą mu w gardle żołąć, gdy ojciec popatrzył na niego spode łba.

– Nie mieliśmy wyboru!

Wyraz twarzy starego człowieka się zmienił.

– Zawsze jest jakiś wybór, Peterze. Zawsze. Kulka w łeb byłaby bardziej honorowa. Spójrz tylko, jak zginął Otto. Jego rodzice przynajmniej pochowali bohatera.

Wycofał się w głąb sieni i zniknął wewnątrz domu, podczas gdy Peter walczył z falą tęsknoty za utraconym przyjacielem. Po chwili ruszył za ojcem, zostawiając zimową zawieruchę za sobą, lecz i tak nie mógł się pozbyć przejmującego do szpiku kości zimna. Strzepnął z kołnierza kilka płatków śniegu w drodze do kuchni, gdzie w starym kamiennym palenisku huczał ogień. Coś tu jednak nie pasowało. Blaty były zbyt czyste, jakby od dawna nikt tu nie gotował. Nigdzie nie było widać drutów matki, ani porozkładanych wszędzie motków przędzy czy kawałków materiału, do których widoku Peter tak przywykł.

– Ojciec? – odezwał się, czując w żołądku ziejącą pustkę, gdy starszy mężczyzna wyminął go i napełnił czajnik wodą. – Gdzie jest matka?

Ojciec przerwał to, co właśnie robił i przez chwilę stał nieruchomo, zanim zwrócił twarz w stronę Petera.

– Umarła – warknął. – Cztery lata temu.

– Umarła?!

– Właśnie to powiedziałem, głupcze.

Peter miał wrażenie, że to jakiś straszny sen.

– Ale... nic mi nie powiedziałaś.

– A dlaczego miałbym mówić?

Peter popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Bo to moja matka.

Ojciec zmrużył oczy.

– Umarła z powodu złamanego serca w listopadzie czterdziestego trzeciego roku. To ty złamałeś jej serce, Peterze. To, że cię schwyłali, twoja porażka, twoje tchórzostwo. Nie mogła znieść takiej hańby.

– Nie – szepnął Peter. – To niemożliwe. Nie żyła od czterech lat, a ja nic o tym nie wiedziałem? – Nie dziwiło go nigdy, że do niego nie pisała, ponieważ była analfaberką. Prowadzenie korespondencji zawsze należało do ojca. A jego listy już wcześniej były lakoniczne i oschłe, zanim całkiem przestały przychodzić. Peter nigdy jednak

nie podejrzewał, że ojciec mógłby przed nim ukryć coś takiego. Nie mieściło mu się to w głowie.

– Nie rozumiem, po co w ogóle wracałeś do domu – wyrzucił z siebie ojciec.

– A co z Franzem?

Mężczyzna wolno się odwrócił.

– Franz jest bohaterem. Walczył za Niemcy i nie był tak słaby, żeby go złapali.

– A więc żyje?

– Oczywiście.

Peter odetchnął z ulgą. Jednak gdy ojciec niczego więcej nie dodał, on również milczał. Do oczu napływały mu łzy i wiedział, że ojciec będzie nim gardził jeszcze bardziej, jeśli Peter okaże przy nim tego rodzaju emocje. Kiwnął więc głową, sięgnął po plecak, który odłożył wcześniej na krzesło i ruszył w stronę sypialni, którą dawniej dzielił z bratem.

Od razu zauważył, że jego łóżko zniknęło. W pokoju był tylko jeden materac, bez wątpienia należący do Franza, ponieważ na kołdrze leżały rozrzucone jego ubrania. Jego rzeczy stały również na komodzie, a na ścianach wisiały należące do niego zdjęcia pin-up przedstawiające Ilse Werner i Marikę Röck. Wymazano stąd wszelkie ślady istnienia Petera. Mimo to, nagle wycieńczony, osunął się na łóżko, oddychając ciężko i wreszcie pozwolił sobie na łzy.

Ogarnęła go nie tylko rozpacz po śmierci matki, lecz także strach. Przez cztery lata nie miał pojęcia o tym, że jego matka nie żyje. Cztery lata. Zawsze mu się wydawało, że jeśli kochasz kogoś wystarczająco mocno, nosisz w sobie część duszy tej osoby, a gdy ona gaśnie, również fragment twojej duszy pogrąża się w mroku. Tak się jednak nie stało po śmierci jego matki – istniała więc możliwość, że Margaret też już nie żyła, a Peter po prostu nie był tego świadomy.

Kiedy ojciec stanął w drzwiach sypialni, zapadał już zmrok. Popatrzył na syna z obrzydzeniem i na pewno dostrzegł ślady łez wylanych przez Petera za matką, za przeszłością i za kobietą, którą zostawił w Ameryce dwa i pół roku wcześniej.

– Przyszedł do ciebie ten list – burknął ojciec, rzucając mu zmiętą kopertę.

Peter wyciągnął po nią rękę i szeroko otworzył oczy na widok stempla pocztowego. List przysłało ze Stanów Zjednoczonych! Był od Margaret!

Po wyjściu ojca Peter wyjął list z koperty, którą już wcześniej ktoś rozdarł. Dłonie trzęsły mu się tak mocno, że musiał wziąć kilka głębokich oddechów, zanim zaczął czytać. List rzeczywiście był od Margaret. Wysłała go w październiku 1945 roku, czyli cztery miesiące po ich ostatnim spotkaniu. Peter omiół wzrokiem dwa pierwsze akapity, w których Margaret zapewniała go o swojej miłości i tęsknocie, po czym zatrzymał się na trzecim, który wszystko zmienił.

Noszę pod sercem Twoje dziecko, Peterze. Nie mogę tego dłużej ukrywać i boję się, jak zareaguje mój ojciec, kiedy się dowie, co zrobiliśmy, ale niczego nie żałuję. Niezależnie od tego, czy świat nas potępi, wiem, że postąpiliśmy słusznie. Nasza miłość jest jedyną prawdziwą rzeczą w moim świecie, a wraz z rozwijającym się we mnie życiem czuję, że jesteś tu ze mną. Wiem, że do mnie wrócisz i że się znów spotkamy. Wiem, że poczuję Twój łagodny dotyk i światło Twojej miłości opromieniające nasze dziecko. Wiem jednak, że muszę cierpliwie czekać i żyć dalej. Zrobię wszystko, by ochronić życie, które wspólnie stworzyliśmy.

*Twoja na zawsze,
Margaret*

Peter wpatrywał się w te słowa, a później przeczytał je jeszcze kilka razy. To przecież niemożliwe. Spali ze sobą tylko raz. Ósmego maja 1945 roku w dzień zwycięstwa. Szybko policzył, że jeśli Margaret donosiła ciążę, musiała urodzić pod koniec stycznia albo na początku lutego 1946 roku. Oznaczało to, że gdzieś tam po świecie chodzi jego dziecko, już prawie dwuletnie. Margaret wychowywała je sama, być może przekonana, że Peter odwrócił się od niej, że ją zdradził. A jeśli stało się coś złego? Margaret albo dziecku? Pokręcił głową, odpychając od siebie tę straszną myśl. Nie, Margaret żyje i czeka na niego, dokładnie tak jak napisała. Musiał w to wierzyć.

W tamtej chwili coś w nim pękło. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zdoła znienawidzić własnego ojca, chociaż ten był nazistą, odpychającym, surowym i zimnym człowiekiem. Mimo to Peter go kochał, bo więzy krwi potrafią sprawić, że jesteśmy zdolni przymknąć oko na zło tkwiące w drugim człowieku. To się jednak zmieniło. Peter miał dziecko, a ojciec to przed nim zataił.

Wyskoczył z sypialni i wpadł do kuchni, gdzie stary człowiek siedział przy stole, ściskając w dłoniach parujący kubek. Popatrzył na syna z ironicznym uśmiechem i wtedy Peter zrozumiał, że ojciec tylko czekał na to, by się z nim pokłócić.

– Kiedy dostałeś ten list? – zapytał ostro. – Jak mogłeś ukryć przede mną coś takiego?

Ojciec wzruszył ramionami z zaciętą miną.

– Parę lat temu. Listów było więcej. Spaliłem je bez czytania i w końcu przestały przychodzić.

Petera zmroziło.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego?

Ojciec podszedł bliżej. Jego twarz wykrzywiła się złością, na obwisłej szyi pojawiła się pulsująca żyła.

– Jak ja mogłem? Chyba jak ty mogłeś to zrobić! Jesteś zdrajcą! Spółkowałeś z wrogiem!

– Wojna się skończyła, ojcze! Przegraliśmy! Niemcy przegrali.

Kiedy ojciec ponownie na niego spojrzał, Peter miał wrażenie, że jego wzrok wypalił w nim dziurę na wylot.

– Zrobiłeś dziecko amerykańskiej dziwce – stwierdził beznamiętnie. – Jak miałbym ci to wybaczyć?

Peter czuł pulsujący w nim gniew, pobudzający do działania i zmieniający go w kogoś, kim nie był. Przez kilka mrozących krew w żyłach sekund wyobrażał sobie, jak by to było zacisnąć palce na szyi ojca i wydusić z niego życie. Siłą woli zmusił się do tego, by się uspokoić i opamiętać. Jeśli pozwoli się zaślepić furii, nie będzie lepszy niż stojący przed nim człowiek. Peter wszedł więc do pokoju, którego nie dzielił już z bratem, i chwycił leżący na łóżku plecak. Był prawie pusty, choć zawierał cały jego dobytek. Będzie musiało mu to wystarczyć. Wrócił do kuchni i przez moment wpatrywał się w twarz ojca.

– Nie chcę twojego przebaczenia – oznajmił – bo nie zrobiłem nic złego.

Ojciec zaśmiał się okrutnie i w tym momencie Peter usłyszał dźwięk otwierania i zamykania frontowych drzwi. Chwilę później do kuchni wszedł Franz, wyższy, postawniejszy i starszy, niż wyobrażał go sobie Peter. Minęło sześć lat, odkąd po raz ostatni widział się z młodszym bratem, i na moment odjęło mu mowę.

– Franz! – wykrzyknął po chwili.

Chłopak się uśmiechnął, zaraz jednak spojrzał na ojca, którego twarz poczerwieniała z gniewu, i wyraźnie sposepniał.

– Co tu się dzieje? – zapytał napiętym głosem. – Coś ty zrobił, Peterze?

– Twój brat broni swojej decyzji spółdzenia bękarta – odezwał się ojciec.

Peter z trudem przełknął ślinę.

– Franz, na pewno nie zgadzasz się z tym, co wygaduje ojciec?

Chłopak przenosił wzrok z jednego na drugiego, po czym wbił go w podłogę.

– Sprowadziłeś na naszą rodzinę wielki wstyd, Peterze – stwierdził.

Peter przyglądał mu się przez chwilę, podczas gdy jego serce wydało z siebie cichy, żaloszny skowyt. A więc to tak. Najpierw zwrócił się przeciwko niemu ojciec, a teraz także brat. Westchnął głęboko.

– Od tej pory nie jestem już Dahlerem – powiedział.

Ojciec zacisnął szczękę, a Franz popatrzył na brata zaskoczony.

– Wstydzę się, że jestem twoim synem – ciągnął Peter, patrząc ojcu w oczy prawdopodobnie ostatni raz w życiu. Następnie zwrócił się do brata: – A po tobie, Franz, spodziewałem się czegoś więcej.

Żaden z nich się nie odezwał, odwrócili tylko wzrok. Po chwili Peter kiwnął głową, zarzucił plecak na ramiona i wyszedł prosto w śnieżną, mroźną noc. Nie wiedział, dokąd pójdzie, ale nie mógł zostać w tym domu.

Jedno było pewne: musiał dostać się do Ameryki, choćby nie wiem co. Gdzieś tam mieszkała kobieta, która go kochała i wychowywała jego dziecko. Nic więcej się nie liczyło.

Rozdział szesnasty

Wczesnym popołudniem ojciec zabukował dla nas bilety na bezpośredni lot liniami lotniczymi Delta do Atlanty, który miał wystartować parę minut po dziesiątej rano. Reszta dnia została nam na zwiedzanie, więc przespacerowaliśmy się po Ogrodzie Angielskim, obejrzelśmy wystawy naukowe i technologiczne w Muzeum Niemieckim i napiliśmy się piwa w Hofbräuhaus. Dzień zakończyliśmy wspinaczką na południową wieżę Frauenkirche, skąd rozciągał się widok na całe Monachium, aż do Alp. Holzkirchen, rodzinne miasteczko Petera leżało gdzieś na południu.

– Zachwycające – odezwał się ojciec, gdy zaczęliśmy schodzić na dół. – To miasto wprost zapiera dech w piersiach.

– Szkoda, że musimy tak szybko wyjechać – odparłam, zaskakując siebie samą tymi słowami.

Nie spodziewałam się, że tak swobodnie będę się czuła w towarzystwie ojca, i byłam mu wdzięczna za to, że nie wykorzystał okazji do przesunięcia granic w naszej relacji. Moja niechęć do wyjazdu miała jednak głębsze podłoże: nie umiałam sobie wyobrazić powrotu do Atlanty. Im dłużej mnie tam nie było, tym bardziej to miasto zaczynało przypominać mój osobisty kryptonit.

– Wiesz, że mama jest tam pochowana? W Atlancie – dodałam.

Ojciec zatrzymał się i zwrócił w moją stronę. Staliśmy sami na ciemnej klatce schodowej.

– Wiem, skarbie. Byłem na jej grobie.

Poczułam ucisk w gardle.

– Naprawdę?

– Kilka razy.

– Ale... – urwałam, usiłując to sobie przyswoić. – Myślałam, że jej nienawidzisz.

– Nigdy jej nie nienawidziłem, Emily – odparł miękko. – Nienawidziłem wyłącznie siebie i wydawało mi się, że Monica

pomoże mi się z tym uporać. Było już za późno, kiedy się zorientowałem, że popełniłem błąd. Jestem winien twojej mamie stokrotne przeprosiny.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować.

– Ostatni raz byłem na jej grobie w roku, w którym zmarła. Skończyłam szkołę średnią i po prostu wyjechałam. – Czułam się jak idiotka, przetykając łzy. – Nie wiem, po co w ogóle ci to mówię.

Ojciec położył mi dłoń na ramieniu.

– Przepraszam cię, Emily. Nie miałem pojęcia, że już tam nie wróciłaś. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

Przez ułamek sekundy prawie powiedziałam mu o ciąży. Prawie wyjaśniłam, że prawdziwym powodem mojego wyjazdu była chęć urodzenia dziecka z dala od ludzi, którzy mnie znali, z dala od Nicka i prześladowających mnie wspomnień. Ojciec odezwał się jednak, zanim zdążyłam to zrobić.

– Czy dlatego nie chcesz lecieć do Atlanty? – zapytał. – To ma związek z twoją mamą?

– Skąd wiesz, że nie chcę tam lecieć?

– Widziałem to w twoich oczach w mieszkaniu Franza Dahlera – zawahał się. – I widzę teraz.

Przez chwilę mierzyłam go czujnym spojrzeniem.

– To nie przez mamę – stwierdziłam wreszcie.

– W porządku – powiedział chwilę później, gdy nic nie dodałam. Zdjął rękę z mojego ramienia i nagle poczułam się wykończona. Kiedy znowu zaczęliśmy schodzić, doznałam wrażenia, że jestem dziwnie niekompletna.

Wieczorem, po kolacji w hotelowym barze, zamówiliśmy sobie z ojcem po drinku – piętnastoletnią szkocką Laphroaig z lodem dla mnie i koniak Rémy Martin dla niego – i rozmawialiśmy, o której godzinie powinniśmy się spotkać rano w lobby przed wyjazdem na lotnisko, gdy nagle ojciec urwał w pół zdania i położył mi rękę na przedramieniu.

– Nie zamierzam wywierać na ciebie presji, Emily, ale może chcesz mi opowiedzieć o Atlancie, zanim się tam znajdziemy?

– Nie.

To nie była prawda. Miałam ochotę podzielić się z nim historią Catherine choćby po to, żeby zdjąć ten ciężar ze swoich barków.

Myra jako jedyna знаła prawdę, przez co najczęściej musiałam się z tym mierzyć sama. Poszukiwania dziadka – który przegapił dzieciństwo mojego ojca tak samo jak ja przegapiłam dzieciństwo swojej córki – sprawiły, że znowu zaczęłam myśleć o tym wszystkim.

– Okej. – Wyraz oczu ojca świadczył o tym, że mnie nie ocenia. – Jednak cokolwiek by to było, możesz ze mną o tym porozmawiać.

Czy byłam naiwną optymistką? Może i tak. Słowa wypłynęły z moich ust, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

– Urodziłam kiedyś dziecko – oznajmiłam.

– Dziecko?

Czas jakby nagle zatrzymał się w miejscu. Przyglądałam się uważnie twarzy ojca, wypatrując oznak zszokowania moimi słowami i chęci wycofania się. Ale jego dłoń nadal spoczywała na mojej ręce i ojciec nie patrzył na mnie z potępieniem, tylko ze smutkiem.

– Och, skarbie. Co dokładnie się stało? – zapytał po długim milczeniu.

Spuściłam wzrok na jego dłoń, myśląc o niej jak o kotwicy niepozwalającej mi odpłynąć.

– Zaraz po śmierci mamy... przeprowadziłam się na Florydę, do babci Margaret, i oddałam dziecko do adopcji – zamilkłam na chwilę.

– Zostawiłam je, jakby nic dla mnie nie znaczyło.

– Och, Emily. – Łzy napłynęły mu do oczu. – Strasznie mi przykro.

– Przecież nie ty kazałaś mi ją oddać – odparłam.

– Ale nie było mnie przy tobie i już tego nie zmienię.

– Masz rację. Nie zmienisz.

Ojciec przez chwilę milczał.

– Czy to była dziewczynka?

Pokiwałam głową.

– Wiesz, co się z nią stało?

– Nie. – Odetchnęłam głęboko. – Niedawno skończyła osiemnaście lat. Wrzucam posty na strony agencji adopcyjnych i wyszukuję wpisy, które sama mogła zostawić. Ale może ona nie chce mieć nic wspólnego ze swoją biologiczną matką. Bo niby dlaczego miałyby być inaczej? Może uważa, że ją porzuciłam i że nigdy więcej o niej nie myślałam.

– Na pewno nie, Emily.

– Ja tak myślałam o tobie – przyznałam bez zastanowienia.

Ojciec przyglądał mi się przez chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– Emily, już ci tłumaczyłem, że myślałem o tobie codziennie.

– Tak, no cóż, zabawnie to okazywałeś. – Westchnęłam. – Wymyśliłam mnóstwo różnych historii na twój temat. Byłam przekonana, że mnie nienawidzisz. A jeśli moja córka myśli to samo o mnie?

– Nie – odparł stanowczo ojciec. – Myślałaś tak, bo świadomie cię skrzywdziłem. Ty postąpiłaś inaczej. Miałaś odwagę zrobić to, co uważałaś za najlepsze dla swojego dziecka. Ja byłem tak słaby, że myślałem wyłącznie o sobie. Chciałaś zapewnić swojej córce lepsze życie. Ona to rozumie – zawiesił głos. – Nie powinnaś dźwigać sama takiego ciężaru. Widzę to w twoich oczach. Dokonałaś odpowiedzialnego wyboru, podyktowanego miłością. Nie możesz czuć się winna z tego powodu.

– Ależ mogę. Mam prawo czuć się winna, bo zrobiłam to z niewłaściwych pobudek. Postąpiłam tak dlatego, że czułam się zagubiona, przerażona i samotna.

– Tak mi przykro. Przykro mi, że byłaś sama, Emily. Gdybym tylko wiedział...

– No co, cudownie byś się przy mnie zmaterializował? Skoro nie zadałeś sobie trudu, żeby wrócić nawet po śmierci mamy?

– Miałem wtedy poważne problemy z Monicą – odparł niepewnie.

– Ona... nie pozwoliła mi do ciebie przyjechać. Zagroziła, że jeśli to zrobię, odejdzie. A ja, zamiast się postawić i walczyć o ciebie, dałem za wygraną. Tak było łatwiej.

– O rany – powiedziałam głosem ociekającym sarkazmem. – Teraz wreszcie ma to sens.

– Nie liczę na to, że mi wybaczysz. I nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi z tego powodu przykro. Ostatecznie w życiu liczą się wyłącznie ci, których kochamy, a ja... – Nie dokończył, tylko spuścił głowę.

Żadne z nas nie odzywało się przez kilka minut, aż wreszcie ojciec zapytał:

– Próbowowałaś wynająć prywatnego detektywa, żeby odnalazł twoją córkę?

Z westchnieniem pokręciłam głową.

– Nie stać mnie na to, a nawet gdyby było inaczej, i tak bym się nie zdecydowała. Zrzekłam się prawa do poznania mojej córki z chwilą oddania jej do adopcji, prawda? A co jeśli jej życie układa się idealnie, a ja wszystko zepsuję, wchodząc w nie z butami? Nie, umieram z ciekawości, czy u niej wszystko w porządku, ale nie mogę ryzykować, że zakłócę jej spokój. Tak więc cierpliwie czekam. Jeśli będzie mnie chciała odnaleźć, żaden problem. Łatwo mnie namierzyć.

– Czy nie sądzisz, że powinnaś chociaż dać znać, że ją kochasz i nadal o niej myślisz? – zapytał po chwili ojciec. – W taki sposób, żeby inicjatywa była po jej stronie i żeby sama mogła zdecydować, czy się do ciebie zgłosić?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie bardzo wiem, jak miałabym to zrobić. Oddałam ją, tato. Nie chcę jej jeszcze bardziej skrzywdzić.

– Akta sprawy są utajnione?

– Tak. To była adopcja zamknięta.

– Próbowłaś się kontaktować z agencją, która w niej pośredniczyła?

– Zamknęli się wiele lat temu. A właściciel zmarł. Usiłowałam dotrzeć do tych papierów na wszelkie sposoby, ale to po prostu niemożliwe.

– I jesteś zalogowana na stronach dla adoptowanych osób poszukujących swoich krewnych?

– Na wszystkich.

– W takim razie córka na pewno zacznie cię szukać, kiedy będzie na to gotowa. A tymczasem jedyne, co możesz zrobić, to postarać się być najlepszą wersją samej siebie, dokonywać możliwie najrozsądniejszych wyborów i naprawić to, co złe – zamilknął na moment. – Wszyscy popełniamy błędy. Takie jest życie. Musisz się postarać naprawić szkody, które wyrządziłaś innym. A później sobie wybaczyć.

Ku własnemu zaskoczeniu rozplakałam się, a jeszcze bardziej zszokowało mnie to, że pozwoliłam, by ojciec przyciągnął mnie do piersi i mocno tulił, dopóki się nie uspokoiliam.

– Chyba nigdy nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się, że z moją córką wszystko w porządku – wymamrotałam. – Czy to nie

szalone?

– Ani trochę – zaprzeczył łagodnie ojciec. – Właśnie na tym polega rodzicielstwo: kochasz swoje dziecko tak mocno, że zawsze jest ono częścią ciebie, choćby nie wiem co. I wiesz, że twoje szczęście już zawsze będzie uzależnione od jego szczęścia.

– Ale ty przecież tego nie czujesz – powiedziałam. Nie chciałam, by zabrzmiało to jak oskarżenie, i ogarnęło mnie lekkie poczucie winy na widok łez, które znowu napłynęły ojcu do oczu.

– Ależ czuję, Emily. Po prostu zawałem sprawę tak doszczętnie, że trudno ci to dostrzec.

Pokiwałam głową, odwracając wzrok. A gdy znów na niego spojrzałam, wyglądał tak, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale w końcu tylko ciężko westchnął i powiedział:

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem padnięty. Może pójdziemy się położyć, żebyśmy zdążyli się wyspać przed lotem?

– Jasne.

Jakaś część mnie poczuła się jednak rozczarowana. Od lat nie czułam się tak blisko związana z ojcem i bałam się, że rano to wrażenie uleci. Wstałam od stolika, posyłając mu skrępowany uśmiech.

– Dobranoc, tato.

Tej nocy nie mogłam zasnąć, czy to z powodu różnicy czasu, czy rozmowy z ojcem, czy moich obaw związanych z podróżą do Atlanty. Wstałam około czwartej rano, żeby zalogować się na stronach adopcyjnych, które regularnie odwiedzałam, myśląc o tym, jakie by to było poetyckie, gdyby moja córka odpisała mi akurat teraz, gdy znajduję się po przeciwnej stronie oceanu, szukając jej pradziadka. Założone przeze mnie wątki nie doczekały się jednak odpowiedzi, więc odświeżyłam większość z nich i wrzuciłam kilka nowych postów.

Przed piątą wyłączyłam światło i spróbowałam zasnąć, lecz za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam pod powiekami twarz mojej córki.

Ponieważ kupiliśmy bilety w ostatniej chwili, siedzieliśmy z ojcem w różnych częściach samolotu. W czasie dziesięciogodzinnego lotu trochę drzemałam, a gdy się obudziłam, zaczęłam myśleć o tym, co powiedział na temat przebaczenia sobie. Mimo to, gdy wylądowaliśmy w Atlancie parę minut przed trzecią po południu, znowu ogarnął mnie niepokój. Wynajęliśmy samochód i ruszyliśmy autostradą I-85, jednak na widok znajomych zjazdów i horyzontu, którego widok tak dobrze kojarzyłam, poczułam się kompletnie rozstrojona. Wybaczyc sobie decyzję o oddaniu Catherine do adopcji to jedno. Pogodzić się z tym, jak potraktowałam Nicka, to jednak coś zupełnie innego. On nadal mieszkał w Atlancie; tu prowadził swoją agencję reklamową. Z każdym przejechanym kilometrem czułam, że coraz bardziej zbliżam się do przeszłości.

Moja matka też tu była, w każdym znajomym miejscu i dźwięku. Pamiętałam nasze wyprawy na stadion baseballowy Turner Field, żeby zobaczyć drużynę Atlanta Braves parę razy w sezonie. Kiedy mama po raz ostatni zabrała mnie do muzeum Coca-Coli, miałam dwanaście lat, ale czułam się tak, jakby to było wczoraj. Był też Centennial Olympic Park, na którym obie pracowałyśmy jako wolontariuszki podczas igrzysk olimpijskich w 1996 roku oraz kampus uczelni Georgia Tech, który odwiedziłam z mamą w trzeciej klasie liceum, gdy zastanawiałam się nad wyborem college'u. Świat przemykający za oknami samochodu był bardzo znajomy, ale należał do przeszłości.

– Dobrze się czujesz? – upewnił się ojciec, gdy zjechaliśmy w prawo na zjeździe 251A.

– Można tak powiedzieć.

Skręciliśmy w Peachtree Street, mijając po drodze muzeum sztuki, do którego zaprosił mnie kiedyś Nick na, jak to żartobliwie nazwał, „dorosłą randkę”. Z trudem przełknęłam ślinę, usiłując nie myśleć o tym, jak się czułam, kiedy pocałował mnie w tamto sobotnie popołudnie przed moim ulubionym obrazem Moneta. Nadal miałam tę scenę żywo w pamięci, być może dlatego, że usilnie starałam się ją zapamiętać.

Mniej więcej czterysta metrów dalej ponownie skręciliśmy w prawo, a po przejechaniu jeszcze połowy przecznicy

zatrzymaliśmy się przed niskim szarym budynkiem z metalowym posągami baleriny na froncie.

– To tutaj – odezwał się ojciec, gdy wrzuciłam bilet na parking. – The Ponce Gallery. Za pół godziny zamykają. Chodźmy.

Weszliśmy do słabo oświetlonego holu i nie zastaliśmy nikogo na recepcji. Ojciec poszedł szukać właściciela galerii, a ja zaczęłam oglądać wiszące na ścianach obrazy.

Wcześniej byłam tu tylko raz – na przyjęciu gwiazdkowym urządzonym przez firmę, w której pracowała mama, gdy miałam szesnaście lat – ale wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy. Wysokie białe ściany. Monochromatyczne zdjęcia w czarnych ramach. Nowoczesne obrazy pełne odważnych kolorów w białych ramach. Przypominało to raczej mieszkanie zamożnej osoby niż galerię sztuki, ale właśnie na tym polegał jej urok. Galeria funkcjonowała – i miała się świetnie – dzięki darowiznom od najbogatszych rodzin w Atlancie, które uważały to miejsce za bardziej ekskluzywne i osobiste niż muzeum sztuki. Po chwili wrócił ojciec w towarzystwie eleganckiego mężczyzny w średnim wieku ubranego w idealnie skrojony granatowy garnitur, ze srebrną muszką pod szyją. Próbowałam udawać, że nie jestem aż taką laiczką, jaką byłam.

– Witam panią – zwrócił się do mnie mężczyzna z akcentem, którego nie potrafiłam umiejscowić. – Podobno to pani była adresatką pięknego obrazu, który wysłałam do Monachium.

Otworzyłam szerzej oczy i spojrzałam na ojca, który się uśmiechnął. A więc już wiedzieliśmy, skąd się u mnie wziął portret babci.

– Czyli to pan go przysłał? – zapytałam, przyglądając mu się badawczo.

Mężczyzna przytaknął.

– Cóż, w każdym razie ja go nadałam. Walter Pace, właściciel galerii. Może przejdziemy do biura? Będzie nam się wygodniej rozmawiało.

Poszliśmy za nim wąskim korytarzem do przestronnego gabinetu w głębi budynku. Okna od podłogi do sufitu wychodziły na niewielki, starannie utrzymany ogród.

– Proszę, niech państwo usiądą. – Walter wskazał nam dwa proste tapicerowane krzesła zwrócone w stronę biurka. – Na czym to skończyliśmy? Ach tak, obraz. – Przerzucił parę dokumentów. – Musicie państwo wiedzieć, że tu, w Ponce, nie prowadzimy renowacji dzieł sztuki. I chociaż obraz był w dobrym stanie, właściciel uparł się, żeby przywrócić go do idealnego stanu. Trzeba przyznać, że obraz był lekko uszkodzony na skutek wieloletniego kontaktu z wilgocią w powietrzu.

Nachyliłam się do przodu.

– Ale kto był właścicielem? Kto panu dał ten obraz?

– Och, zobowiązałam się zachować tę informację dla siebie. – Właściciel galerii splótł palce i oparł łokcie na biurku. – Ta pani wyraźnie prosiła mnie o dyskrecję.

– Pani? – powtórzyłam. Do tej pory zakładałam, że nadawcą był mężczyzna.

Walter skinął głową.

– Pragnęła zachować pełną anonimowość. Ale pani jest adresatką obrazu, prawda?

– Tak. – Serce dudniło mi w piersi. – Musiało jej przecież zależeć na tym, żeby do mnie dotrzeć. W jakim innym celu wysłałaby obraz?

Walter przyglądał mi się przez chwilę.

– Sęk w tym, że nie wiem, jak się z nią skontaktować. Miała się do mnie odezwać, by upewnić się, że dzieło trafiło w pani ręce, lecz tego nie zrobiła.

– Ale kto to jest? – dociekałam, starając się nie pokazać, jaka jestem zdesperowana.

– Ingrid Gaertner – odparł właściciel po chwili wahania. – Wdowa po słynnym malarzu realisście, Ralphie Gaertnerze.

Wymieniliśmy z ojcem zdumione spojrzenia.

– Czyli to jednak on namalował obraz? – zapytałam.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. Obraz, o którym rozmawiamy, w istotny sposób różni się od jego dzieł. – Walter zmarszczył brwi, jakby uznał moje pytanie za idiotyczne. Po chwili jednak dodał: – Chociaż technika wykonania bardzo przypomina tę Gaertnera. Zgaduję, że to praca kogoś z jego uczniów. Na początku kariery wziął pod swoje skrzydła grupę młodych artystów.

Ponownie nachyliłam się do przodu.

– Czy niejaki Peter Dahler mógł być jednym z tych malarzy? Słyszał pan to nazwisko?

Może jakimś cudem, po tylu latach, wdowa po Gaertnerze odkryła historię miłości moich dziadków i próbowała mi coś przekazać?

– Nie – odparł po namyśle Walter. – Nic mi ono nie mówi. Ale na pewno istniało wielu artystów, którym Gaertner pomógł i którzy nie doczekali się takiego uznania jak on.

– I nie ma pan danych kontaktowych Ingrid Gaertner?

Walter tylko się roześmiał.

– Nikt ich nie ma. Ta pani strzeże swojej prywatności. Jestem prawie pewien, że jako jeden z nielicznych przedstawicieli świata sztuki miałem z nią kontakt po śmierci jej męża. – Wypiął dumnie pierś, a mnie coś ścisnęło za serce.

– Gdyby jednak zadzwoniła, czy mógłby pan jej przekazać mój numer? – zapytałam, notując go na kawałku papieru, który podałam Walterowi. – I wyjaśnić, że oboje z ojcem, Victorem Emersonem, przyjechaliśmy tu, by dowiedzieć się, co spotkało mojego dziadka?

– Naturalnie. – Wziął ode mnie karteczkę i schował ją do szuflady biurka. – A tymczasem powiem państwu, że w Schwab Gallery w Savannah, czyli zaledwie trzy i pół godziny jazdy stąd prezentowana jest wystawa dzieł Gaertnera. Może tamtejsza kuratorka, Bette Handler, okaże się bardziej pomocna. Bette jest prawdziwą ekspertką w dziedzinie twórczości Gaertnera; z tego co wiem, kilka wystawionych prac wypożyczono z prywatnej kolekcji pani Gaertner, więc może będzie miała do niej kontakt. Czy mam tam zadzwonić i umówić państwa na wizytę?

– Bardzo proszę. – Spojrzałam na ojca, podczas gdy Walter wybrał numer i przeprowadził krótką rozmowę z asystentem Bette Handler. – Czy spotkanie jutro po południu odpowiada państwu? – zwrócił się do nas, zasłaniając dłonią słuchawkę. Oboje skinęliśmy głowami i właściciel galerii potwierdził termin, po czym się rozłączył. – Jeśli to wszystko, co mogę dla państwa zrobić...

Pojęliśmy aluzję; wstaliśmy z krzesel i ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Walter odprowadził nas do drzwi.

– Czuję, że jesteśmy coraz bliżej – odezwał się ojciec w drodze do wynajętego samochodu. – Tylko dlaczego Ingrid Gaertner miałoby

zależać na zachowaniu anonimowości? Dlaczego wszystkiego ci nie wyjaśniła? Bardzo dziwne.

– Właśnie. Ale może naprawdę ceni swoją prywatność, tak jak mówił Walter Pace. Może nie chce, by ktokolwiek się z nią kontaktował.

Ojciec odjechał sprzed galerii i ponownie skręcił w Peachtree Street. Po kilku minutach staliśmy w korku na I-85, kierując się w stronę hotelu w budynku CNN Center w centrum miasta. Przez pierwszą połowę drogi oboje milczeliśmy, zatopieni w rozmyślaniach.

– Tato? – odezwałam się w pewnej chwili, gdy sunęliśmy autostradą w ślimaczym tempie.

Zwrócił się w moją stronę.

– Tak?

Odetchnęłam głęboko.

– Co powinno się zrobić, kiedy jest za późno, by naprawić jakiś błąd z przeszłości? – Nie mogłam uwierzyć, że proszę go o radę, ale od naszego przylotu do Atlanty nie potrafiłam przestać myśleć o Nicku, a także o tym, jak okropnie postąpiłam, zostawiając go i odmawiając mu okazji do tego, żeby poznał własne dziecko. – Mam wrażenie, że kończy mi się czas.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

– Jak się dowiedziałaś?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– Niby o czym?

Ojciec zbladł jak ściana.

– Nie jest za późno, skarbie – odparł po chwili. – Mylisz się. Wciąż mamy czas, żeby naprawić nasze relacje. Poza tym lekarze są optymistami.

– Chwila, moment. – Uniosłam rękę. – Ja wcale nie mówiłam o nas.

– Aha. – Ojciec sprawiał wrażenie zażenowanego. – Przepraszam. W takim razie o co pytałaś?

– Nie. Nie możesz teraz zmienić tematu. Co miałeś na myśli, mówiąc o lekarzach? Czy coś ci dolega?

Ojciec zacisnął palce na kierownicy i wlepił wzrok w drogę, chociaż praktycznie staliśmy w miejscu.

– Mam raka, Emily – odezwał się wreszcie cichym głosem. – Ale powinienem się z tego wylizać. Jestem pod opieką bardzo dobrego lekarza w klinice onkologicznej Shands w Gainesville, a niedługo rozpocznę eksperymentalną terapię, co do której obaj jesteście dobrej myśli.

– Masz raka? – powtórzyłam w oszołomieniu.

Nie powinnam się czuć taka zdruzgotana; w końcu już raz straciłam ojca pod każdym istotnym względem. Tylko że on już od jakiegoś czasu próbował znaleźć dla siebie miejsce w moim życiu, a ja w końcu zdecydowałam się go tam wpuścić. Wydawało mi się, że mamy nieograniczoną ilość czasu, żeby wszystko naprawić.

– Raka czego?

– Wątroby.

– Masz raka wątroby?

– Nic mi nie będzie – oznajmił stanowczo. – Dobrze reaguję na chemioterapię. Mój lekarz jest wielkim optymistą.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Przez chwilę milczał.

– Nie sądziłem, że będzie cię to obchodzić.

Jego słowa uraziły mnie do żywego.

– Przykro mi, że tak myślałaś. A jednak mnie obchodzi. To chyba oczywiste. – Wlepiłam wzrok w okno, starając się nie rozplakać. – Naprawdę z tego wyjdiesz?

– Emily, na razie czuję się dobrze. – Wymierzył mi lekkiego kuksańca. – A teraz powiedz, o co chciałaś mnie zapytać.

– Już nieważne – mruknęłam, nadal nie mogąc dojść do siebie.

– Wprost przeciwnie. – Ruch na drodze nieco się ożywił i ruszyliśmy w kierunku naszego zjazdu, chociaż wciąż bardzo powoli. – A jeśli chodzi o odpowiedź na twoje pytanie, to nigdy nie jest za późno, żeby spróbować naprawić swój błąd, jakkolwiek by był. Właśnie to próbuję teraz zrobić.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Jesteś pewien, że nie lepiej zostawić tę drugą osobę w spokoju, bez obciążania jej swoim poczuciem winy?

– Czy tego właśnie ode mnie oczekujesz? Chcesz, żebym zostawił cię w spokoju?

Zawahałam się.

– Nie.

– To dobrze. – Spojrzał na mnie. – Zechcesz mi wyjaśnić, o czym wcześniej mówiłaś?

– Nie.

– W porządku. – Ojciec przez chwilę milczał w zamyśleniu. – Skrzywdziłaś tę osobę?

– Tak. Dawno temu. I nie chodzi tylko o to, że go skrzywdziłam – dodałam po chwili. – Niektóre moje decyzje miały wpływ również na jego życie, a on nie ma o tym pojęcia. Mam wiele powodów, żeby go przeprosić.

– W takim razie powinnaś spróbować to naprawić, jeśli masz taką możliwość. A przynajmniej tak mi się wydaje. Uraza nigdy nie mija, mam rację?

Resztę drogi do hotelu pokonaliśmy w milczeniu. Ojciec zaparkował samochód i zwrócił się do mnie:

– Jestem trochę zmęczony, ale gdybyś miała ochotę na kolację, możemy się później spotkać, tylko najpierw się odświeżę.

– Nie, powinienesz odpocząć. – Odetchnęłam głęboko. – I tak muszę coś załatwić.

– Na pewno?

Zawahałam się. Od biura Nicka dzieliło mnie jakieś półtora kilometra. Wiedziałam, że nie będę miała czasu go złapać przed naszym wyjazdem z miasta. Jeśli chciałam się z nim spotkać osobiście, musiałam to zrobić teraz. Ojciec miał rację; powinnam spróbować naprawić to, co zepsułam, nawet jeśli nie było to możliwe. I nawet jeśli śmiertelnie mnie przerażało.

– Tak. Najwyższy czas.

Ojciec się uśmiechnął.

– W takim razie powodzenia. – Podał mi kluczyki, a ja obeszałam samochód, by usiąść za kierownicą. Nachylił się i ścisnął mnie za ramię. – Zostawię klucz do twojego pokoju na recepcji. Zadzwoń po powrocie, to może jeszcze skoczmy coś zjeść.

– Na pewno sobie poradzisz?

– Nic mi nie jest, Emily. Idź już załatwić tę swoją sprawę.

Kiwnęłam głową, a gdy wyjechałam z parkingu i ponownie skręciłam w Marietta Street, obejrzałam się i zobaczyłam, że za mną patrzy. Uniósł rękę, żeby mi pomachać, a później skręciłam za róg

i zniknął mi z oczu. Zostałam sama i wreszcie miałam się zająć czymś, co powinnam była zrobić już dawno temu.

Rozdział siedemnasty

NW Creative, agencja reklamowa, której właścicielem był Nick, mieściła się przy Poplar Street, zaledwie dziewięć przecznic od hotelu. Żałosne, że o tym wiedziałam, ale śledząc stronę internetową oraz profil firmy na Twitterze zawsze wiedziałam dużo więcej, niż powinnam. Nick projektował reklamy dla fundacji dobroczynnych i miał kilku stałych klientów, których kampanie zawsze zdobywały nagrody. Wyobrażałam go sobie jako prawdziwego Dona Drapera budującego swoje imperium. Byłam z niego dumna, chociaż nie miałam do tego prawa.

Dziwne, że wciąż mi na nim zależało, ale nie umiałam się pozbyć tych uczuć. Był to rodzaj grzesznego uzależnienia, z którego dawno powinnam się wyleczyć, ale nie wiedziałam jak. I tak oto, prawie dziewiętnaście lat po naszym ostatnim spotkaniu stałam na chodniku przed siedzibą jego firmy, patrząc w okna na czwartym piętrze i zastanawiając się, czy mnie znienawidził.

– Wchodzi pani? – zapytał dostawca, który nagle wyrósł przede mną z paczką wciśniętą pod pachę. – Czy będzie pani tak tu stać?

Przytrzymał mi drzwi i patrzył na mnie z lekkim rozdrażnieniem. Odchrząknęłam, podejmując jedyną możliwą w tych okolicznościach decyzję.

– Wchodzę.

Niemal czułam, jak przewraca oczami, gdy minęłam go szybkim krokiem i wcisnęłam guzik przy windach. Zniknął w korytarzu, mamrocząc coś pod nosem, kiedy drzwi windy się rozsunęły. Wzięłam głęboki wdech, weszłam do środka i wybrałam czwarte piętro.

Parę sekund później usłyszałam piknięcie, drzwi się otworzyły, a gdy moim oczom ukazało się logo firmy Nicka – litera „N” zachodząca na „W” – dotarło do mnie, że jego biuro nie tyle mieściło się na czwartym piętrze, ile zajmowało je w całości. Z trudem

przełknęłam ślinę, powstrzymując napływające do oczu łzy. Nick świetnie sobie radził. Miał wspaniałe życie. Byłam za to wdzięczna losowi.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zwróciła się do mnie ciemnowłosa dwudziestoparoletnia recepcjonistka siedząca pod ogromnym logo. Była ładna, co wywołało we mnie całkowicie irracjonalny przyływ niechęci.

– Eee, tak – wydusiłam. – Czy zastałam Nicka Walkera?

– Jest pani umówiona?

– Nie – odparłam niepewnie. Jak miałam jej wytłumaczyć cel swojej wizyty? „Widzi pani, wiele lat temu urodziłam dziecko pani szefa, ale zataiłam to przed nim, a teraz wreszcie przyszłam to naprawić”. – Jestem jego dawną znajomą. – „Był miłością mojego życia, ale go porzuciłam, ze strachu”. – Akurat zajrzałam do Atlanty i pomyślałam, że wpadnę, żeby się przywitać.

Recepcjonistka spojrzała na mnie dziwnie, jakby usłyszała słowa, które pomyślałam, zamiast tych wypowiedzianych na głos.

– Ma pani szczęście – powiedziała. – Jeszcze nie wyszedł z biura. Kogo mam zapowiedzieć?

– Emily. – Nie zdołałam wydusić z siebie więcej. Byłam pewna, że Nick będzie wiedział, o kogo chodzi.

Dziewczyna skinęła głową i wstała. Patrzyłam, jak idzie w głąb biura, gdzie zapukała do drzwi i weszła do jednego z gabinetów. Nerwowo przyglądałam spódnicę. Chwilę później pojawiła się znowu, ale ledwie zwróciłam na nią uwagę, ponieważ w progu pokoju za jej plecami stanęła inna postać, której oczy były utkwione we mnie.

Nick.

Był dwadzieścia lat starszy niż chłopak, którego pamiętałam. Miał siwiejące skronie, kurze łapki i zmarszczki mimiczne rozchodzące się łagodnie po twarzy, która była młoda i gładka, gdy widziałam ją po raz ostatni. Miał teraz szersze ramiona i wyglądał postawniej. Rozstałam się z chłopcem, a teraz widziałam mężczyznę – ciemnowłosego, krzepkiego i przystojnego.

Wpatrywał się we mnie, a jego ciemne oczy błyskały niczym niebo przed burzą. Odwzajemniłam spojrzenie i przez chwilę każde słowo, które sobie wcześniej przećwiczyłam, wszystko, co planowałam

powiedzieć Nickowi, wyleciało mi z głowy. Gdyby ktoś zapytał mnie w tym momencie, jak się nazywam, nie wiem doprawdy, czy udzieliłabym poprawnej odpowiedzi. Wszystkie elementy mojego życia kotłowały mi się w mózgu, aż wreszcie ułożyły się w taki sposób, że nabrałam pewności co do jednego: porzucenie Nicka Walkera było najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłam.

– Proszę pani? – dobiegł mnie zaniepokojony głos recepcjonistki, jakby z bardzo daleka. – Proszę pani? – powtórzyła nieco głośniejszym głosem. Chyba się zastanawiała, skąd to iskrzenie w powietrzu, dlaczego jej szef patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby zobaczył ducha, i dlaczego żadne z nas do tej pory się nie odezwało. – Czy zechce pani przejść do gabinetu pana Walkera?

– Tak – powiedziałam z trudem.

Nick odsunął się w milczeniu, gdy ruszyłam w jego stronę. Przechodząc obok niego, musnęłam ramieniem chłodną szarość jego starannie wyprasowanej koszuli i głęboko wciągnęłam powietrze, czując kojący zapach mydła Ivory, którego najwyraźniej wciąż używał. Poczułam gwałtowny przyływ pożądania, które natychmiast próbowałam stłumić.

– Usiądź. – Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział do mnie Nick od prawie dziewiętnastu lat.

Uderzyło mnie zarówno głębokie brzmienie jego głosu, jak też drzemiący w nim chłód. Ponownie zaczerpnęłam powietrza, żeby się uspokoić, i usiadłam na krześle, które mi wskazał. Chwilę później siedział już za swoim biurkiem, a ja zastanawiałam się, czy on też zdaje sobie sprawę z tego, że mebel stanowi namacalną barierę między nami.

Zapadło milczenie. Wiedziałam, że Nick czeka, aż coś powiem, wytłumaczę mu, co tu robię, ale nie byłam w stanie. Zamiast tego zaczęłam się rozglądać po gabinecie, chłonąc każdy szczegół. Na ścianach wisiały efektowne rysunki w stylu retro i po chwili uświadomiłam sobie, że są to wczesne projekty jakiejś kampanii reklamowej. Był też oprawiony w ramki dyplom ukończenia studiów na Uniwersytecie Georgii i nagroda przyznana przez branżową organizację Atlanta Ad Club. Na biurku stało kilka zdjęć, a gdy nachyliłam się do przodu, udało mi się zobaczyć jedno z nich, skierowane lekko na zewnątrz. Nick stał pośrodku, otoczony

z dwóch stron uroczymi blondwłosymi dziećmi – dziewczynką i chłopcem. Nagle poczułam w sercu przygniatający ciężar. Udało mi się jednak wydusić:

– Są śliczne, Nick.

Podążył za moim spojrzeniem i zatrzymał wzrok na zdjęciu.

– To dzieci Abby – powiedział, a ja znowu mogłam oddychać.

Abby była młodszą siostrą Nicka. Więc dzieci nie były jego. Czy to, że poczułam ogromną ulgę, świadczyło o tym, jak okropnym jestem człowiekiem? Później jednak dodał:

– Moja żona i ja... – Nie dokończył. Żal ścisnął mi serce i musiałam odwrócić wzrok, mrugając szaleńczo, żeby powstrzymać łzy. – Nie mam dzieci – oznajmił krótko. Popatrzyłam na niego, a Nick dopiero po chwili odwrócił wzrok. – Co tu robisz, Emily?

Głęboko zaczerpnęłam powietrza. Przestałam się już zastanawiać nad tym, „co by było, gdyby”. Nick miał żonę i życie, w którym nie było dla mnie miejsca. Mogłam mieć o to pretensje wyłącznie do siebie.

– Jestem ci winna przeprosiny.

– Mów dalej.

Spojrzenie Nicka stało się lodowate. Przywodziło na myśl burzę śniegową i grad.

– Nie powinnam była wyjeżdżać w ten sposób. – Zabrzmiało to żałością. – Byłam młoda, głupia i przerażona, a do tego... – urwałam, bo nagle zakręciło mi się w głowie.

Nick wlepił we mnie wzrok, wyraźnie czekając na ciąg dalszy. A gdy się nie odzywałam, nachylił się do przodu, nerwowo zaciskając szczęki.

– To wszystko? – zapytał. – Minęło prawie dziewiętnaście lat – dziewiętnaście lat, Emily – i tylko tyle masz na swoją obronę?

Zaskoczył mnie jego gniew. Czułam, jak z niego emanuje.

– Nick... – zaczęłam, ale nie pozwolił mi dokończyć.

– Nie, teraz ty mnie posłuchaj – powiedział i usłyszałam w jego głosie coś jeszcze: urazę. – Masz pojęcie, jak się czułem, nie wiedząc, czy w ogóle żyjesz? Wiesz co to znaczy kochać kogoś tak, jak ja kochałem ciebie, i widzieć, jak odchodzisz, nie oglądając się za siebie? Wiesz, jak się bałem, że coś ci się stało?

– Bardzo cię przepraszam – szepnęłam.

– Byłem na drugim semestrze na Uniwersytecie Georgii, kiedy Wendy Toliver (pamiętasz ją z zajęć trygonometrii?) zadzwoniła, by mi powiedzieć, że widziała cię na Uniwersytecie Florydy. W klubie studenckim. Wiesz, że pojechałem tam jeszcze tego samego wieczoru? Musiałem się przekonać na własne oczy, że tam jesteś. Wiesz, że wałęsałem się po kampusie prawie przez tydzień, przyglądając się każdej mijanej osobie?

Wlepiłam w niego spojrzenie.

– Przyjechałeś na mój uniwersytet?

Nick zrobił przerwę na złapanie powietrza.

– Zobaczyłem cię. Piątego dnia po przyjeździe. Szłaś roześmiana przez kampus z jakąś koleżanką. Pomyślałem wtedy: „A więc to tak. Ona po prostu nie chce ze mną dłużej być”. Byłaś szczęśliwa. Zostawiłaś mnie, pozwoliłaś, żebym martwił się o ciebie tak, że przez każde pół nocy nie mogłem zasnąć, a ty chodziłaś sobie po świecie szczęśliwa.

– Nie byłam szczęśliwa – szepnęłam.

– Owszem, byłaś – powtórzył twardo. – Po prostu nie chciałaś mieć nic wspólnego ze mną. – Gniew częściowo ulotnił się z jego głosu, gdy Nick dodał nieco łagodniej: – W końcu mogłem dać sobie spokój. Wiedziałem już, że nie leżysz martwa gdzieś w rynsztoku. Po prostu dokonałaś wyboru, który nie uwzględniał mnie.

– Strasznie mi przykro. – Jeszcze nigdy nie mówiłam tak szczerze.

– Bardzo cię przepraszam, Nick. Nie zasługuję na to, żebyś mi wybaczył, ale chcę ci chociaż coś wyjaśnić. Przyszłam tu, bo muszę ci o czymś powiedzieć.

– Emily, nie chcę się nad tobą pastwić, ale cokolwiek to jest, niczego już nie zmieni.

– Nick...

– Kochałem cię, Emily. Rozumiesz? Naprawdę cię kochałem – zawiesił głos, a ja z całych sił starałam się powstrzymać drżenie. – Nie w taki sposób, w jaki każdy nastolatek zakochuje się w swojej pierwszej dziewczynie. Ja cię kochałem. Niech to szlag, Emily. Planowałem dla nas wspólną przyszłość, wspólne życie. Wydawało mi się, że czujesz to samo!

– Bo czułam. Musisz to zrozumieć. Czułam dokładnie to samo co ty.

Nick roześmiał się, ale jego śmiech zabrzmiał ostro i był dziwnie zdławiony.

– Daj spokój. Nie próbuj przerabiać naszej historii.

– Wcale tego nie robię – zamilkłam i spuściłam wzrok na swoje dłonie. Powiedz to. Po prostu mu to powiedz. – Urodziłam dziecko, Nick – wypaliłam.

Czas jakby nagle zwolnił. Twarz Nicka zamarła. Wbił we mnie wzrok.

– Co takiego?

– Twoje dziecko – dodałam drżącym głosem.

Nick miał minę, jakbym go spoliczkowała.

– Mieliśmy dziecko – powtórzył chłodno i z niedowierzaniem. – Ty i ja. Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć?

– T-tak.

– Co u...? – wyjąkał. Był całkowicie oszołomiony.

– Oddałam ją do adopcji.

Zamrugnął nerwowo.

– To była dziewczynka? Mamy córkę?

Przytaknęłam.

– I oddałaś ją? Nie informując mnie? Nie powiedziałaś mi nawet, że jestem ojcem?

Zwiesiłam głowę.

– To najgorsza rzecz, jaką zrobiłam w całym swoim życiu. Po śmierci matki byłam okropnie pokiereszowana i strasznie się bałam, że jeśli nie wyjadę, to mnie zostawisz i będę całkiem sama. Źle postąpiłam, Nick, ale byłam przerażona i... – urwałam w pół zdania, bo wyraz twarzy Nicka łamał mi serce.

– Co się z nią stało? – zapytał lodowatym głosem. – Gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem, Nick. Po prostu nie wiem. Myślę o niej każdego dnia i próbuję ją odnaleźć, odkąd skończyła osiemnaście lat, na wypadek gdyby i ona mnie szukała, ale jeszcze mi się nie udało – zamilkłam na moment. – Wiem, że postąpiłam okropnie. Wmówiłam sobie, że tak będzie lepiej, przynajmniej dla ciebie, bo i tak nie chciałbyś ze mną wychować dziecka; to by ci zrujnowało życie.

– Emily... – powiedział to nieco łagodniejszym tonem, ale mu przerwałam.

– Myliłam się. Potwornie się myliłam, Nick. Skrzywdziłam cię. Odebrałam ci szansę na to, żebyś został ojcem; nie miałam prawa podejmować tej decyzji sama. Ale musisz mi uwierzyć, że codziennie przez to cierpię. Podjęłam złą decyzję i muszę z tym żyć. To stało się częścią mnie. Jestem wybrakowana, Nick, i mogę za to winić wyłącznie siebie. Po prostu nie chcę, żebyś myślał, że po odejściu od ciebie wiodłam szczęśliwe życie, bo tak nie było.

Wpatrywał się we mnie bez słowa. W końcu pokręcił głową.

– Nie mogę... – zaczął, ale nie był w stanie skończyć zdania. Spuścił wzrok i siedział tak przez dłuższą chwilę, a gdy wreszcie go uniósł, jego oczy były tak smutne, że moje serce prawie rozpadło się na kawałki pod ciężarem jego spojrzenia. – Proszę, idź już, Emily – odezwał się wreszcie.

W gardle urosła mi gęsia skóra. Nie spodziewałam się, że Nick mi wybaczy, ale byłam przygotowana raczej na jego gniew. Wolałabym usłyszeć, że jestem potworem i że mnie nienawidzi. Zniosłabym to wszystko, bo może byłby to pierwszy krok do przebaczenia. Ale Nick po prostu mnie wyprosił i to bolało znacznie bardziej.

– Oczywiście – szepnęłam.

Dotarłszy do drzwi, odwróciłam się i zobaczyłam, że Nick również się podniósł i stoi zgarbiony, opierając się dłońmi o blat biurka. Odchrząknęłam, a on wolno uniósł na mnie wzrok.

– Miała na imię Catherine – powiedziałam.

– Jak twoja matka – szepnął tak cicho, że ledwo go usłyszałam.

– Tak.

Wyszłam z gabinetu, mijając po drodze śliczną młodą recepcjonistkę, która miała przed sobą całe życie. Zapiisałam na karteczce swoje imię i numer telefonu, na wypadek gdyby Nick chciał się ze mną kiedyś skontaktować. Wzięła ją ode mnie bez słowa. Czułam na plecach jej wzrok, gdy odchodziłam. Zaczekałam na windę i rozplakałam się, dopiero gdy zasunęły się za mną drzwi.

*

Późnym wieczorem siedziałam na fotelu w hotelowym pokoju, gapiąc się w ścianę, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Na

początku je zignorowałam, ale się powtórzyło, jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywe.

– Kto tam? – zawołałam głosem zmienionym od płaczu.

– Ojciec. Dobrze się czujesz?

Zamknęłam oczy, a po chwili znowu je otworzyłam, żeby spojrzeć na wyświetlacz cyfrowego budzika przy łóżku. Było parę minut po jedenastej.

– Co tu robisz tak późno? Powinieneś spać.

– Martwiłem się o ciebie.

Roześmiałam się, przypominając sobie to, co powiedział mi wcześniej Nick, który swego czasu tak się o mnie martwił, że pokonał pięćset sześćdziesiąt kilometrów z Athens do Gainesville i spędził na kampusie cztery dni, zanim mnie wypatrzył. Nie zasługiwałam wtedy na jego troskę, tak samo jak nie zasługiwałam teraz na troskę ojca.

– Nic mi nie jest.

– Emily? – zawiesił głos, czekając na odpowiedź, której nie byłam w stanie udzielić. – Mogę wejść?

– Proszę, idź sobie.

– Nie pójdę, dopóki się nie upewnię, że wszystko w porządku – odparł po chwili wahania.

Odczekałam chwilę, dźwignęłam się z fotela i poczłapałam do drzwi. Miałam na sobie spodnie od piżamy i podkoszulek, a na twarzy resztki makijażu, który spłynął razem z łzami. Moje oczy były zaczerwienione i opuchnięte. Wyczerpałam już jednak limit emocji na ten dzień i czułam się jak lunatyczka. Otworzyłam drzwi.

Ojciec patrzył na mnie przez chwilę. Miał na sobie dżinsy i szarą koszulkę, jego przerzedzone włosy były zmierzwione. Bez sztywnej, zapiętej pod samą szyję koszuli i spodni w kant wyglądał na starszego i słabszego. Przez moment skupiłam się właśnie na tym. Ojciec wyglądał jak ktoś chory na raka. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?

– Emily? – przerwał moje nieskładne rozmyślenia.

– Hmm?

– Nie wyglądasz najlepiej.

Zwiesiłam ramiona.

– No cóż.

Ojciec zrobił krok w moją stronę, stając w drzwiach.

– Co się stało?

Przesunęłam się, żeby go wpuścić.

– Nic takiego. Wszystko dobrze.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Może i jestem chory, ale nie ślepy. Co się dzieje, Emily?

Wskazałam mu fotel, na którym wcześniej siedziałam, a sama przycupnęłam na skraju łóżka.

– Pamiętasz, jak mówiłam o Catherine? Mojej córce?

– Nazwałaś ją tak po mamie – odparł miękko.

– Właśnie.

– Spodobałoby jej się to.

Nie skomentowałam jego słów.

– Nie mówiłam ci o ojcu Catherine. – Zamknęłam oczy i potarłam skronie. – Był porządnym facetem, tato. Nadal jest. Chodziliśmy ze sobą w liceum i byłam w nim zakochana po uszy. Rzecz w tym, że urodziłam jego dziecko, nic mu o tym nie mówiąc.

– Och. – Twarz ojca nie wyrażała potępienia, tylko smutek. Poczułam się przez to jeszcze gorzej.

– Aż do dzisiaj. Wreszcie to zrobiłam.

– Och – zawahał się tylko przez sekundę, a później usiadł obok mnie. Położył mi rękę na plecach i zaczął je delikatnie masować, tak jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. – To do niego pojechałaś?

– Tak.

– Domyślałam się, że nie przyjął tego najlepiej.

Spojrzałam na niego.

– A ty byś przyjął?

Zawahał się.

– Nie. Pewnie nie.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem, czego się spodziewałam. Chciałam, żeby mnie zwymyślał i powiedział, że mnie nienawidzi. Ale on tylko mnie wyprosił.

– Strasznie mi przykro. Chociaż zrobiłaś, co trzeba.

– Dziewiętnaście lat za późno.

– Ale zrobiłaś – powtórzył. – A to pierwszy krok. Spróbuj teraz patrzeć do przodu zamiast wstecz. Niczego więcej nie możesz

zrobić.

– A jeśli on nigdy mi nie wybaczy?

Dłoń ojca znieruchomiła.

– Będziesz musiała z tym żyć. Tak samo jak ja muszę żyć ze świadomością tego, co do mnie czujesz. To twoja pokuta.

Chciałam powiedzieć ojcu, że staram się mu wybaczyć i że lód w moim sercu zaczyna topnieć. Nie wiedziałam jednak, czy jestem na to gotowa. Zapytałam więc:

– Czy to z powodu swojej choroby zacząłeś do mnie ostatnio częściej dzwonić?

Nie odpowiedział od razu.

– Choroba pokazała mi, że życie bywa krótkie – powiedział wreszcie. – Za krótkie. I że trzeba próbować naprawić błędy, które się popełniło, dopóki wciąż jest to możliwe.

– A więc jestem tylko błędem do naprawienia? Punktem do odhaczenia na liście, żebyś mógł oczyścić swoje sumienie?

– Nie. – Jego odpowiedź była natychmiastowa i stanowcza. – Bardzo się boję, że to, jak cię skrzywdziłem, wpłynęło na twoje decyzje. I chcę temu położyć kres. Chcę, byś zrozumiała, że moje zachowanie nie miało nic wspólnego z tobą. I żebyś przeżyła resztę życia bez zbędnego balastu.

Pociągnęłam nosem.

– Nigdy nie byłeś dla mnie balastem.

– Ależ byłem – odparł smutno. – Za każdym razem, gdy ktoś cię skrzywdzi, jakaś część tego zdarzenia zostaje w tobie. A gdy krzywdzi cię jedna z osób, które powinny cię kochać najbardziej na świecie, no cóż, wyobrażam sobie, że to może podkopać wiarę w drugiego człowieka. Być może brak ojca podziałał w ten sposób również na mnie. Jestem tu, ponieważ nie chcę ci przekazywać takiego dziedzictwa.

Wlepiłam wzrok w podłogę, rozmyślając nad wszystkimi decyzjami, które podjęłam; rzeczywiście, niektóre z nich mogły mieć związek z ojcem. Jednak ostatecznie były to moje własne wybory i musiałam wziąć za nie odpowiedzialność.

– Nie możesz mieć do siebie pretensji o to, kim się stałam.

– Emily. – Ojciec zaczekał, aż na niego spojrzę. – Chcę, byś wiedziała, że moim zdaniem wyrosłaś na niezwykłą osobę. I nawet

jeśli nie mogę przypisać sobie zasług za twoje wychowanie, jestem z ciebie bardzo dumny. I podziwiam cię za to, że pojechałaś się dziś spotkać ze swoim byłym chłopakiem.

– Nickiem – wtrąciłam cicho.

– Nickiem – powtórzył. – Zrobiłaś, co trzeba, a na to nigdy nie jest za późno. – Wstał z łóżka i ziewnął. – Spróbujemy się trochę przespać? Kto wie, może po jutrzejszej wizycie w Savannah nasze śledztwo wreszcie ruszy z kopyta.

Roześmiałam się przez łzy.

– Mówisz jak Nancy Drew.¹

– Miałem nadzieję, że raczej jak Bracia Hardy, ale dobre i to. – Z uśmiechem pocałował mnie w policzek. – Dobranoc, Emily. Do zobaczenia rano.

Rozdział osiemnasty

1947–1950

Raz na zawsze opuściwszy swój rodzinny dom w śnieżny wieczór 1947 roku, Peter wstąpił do domu Ottona i spędził dwie godziny w towarzystwie jego rodziców, przeprasząc za to, jaką rolę odegrał w śmierci ich syna, i bezskutecznie starając się uwierzyć w zapewnienia, że nie mają do niego żalu.

– Byłeś najlepszym przyjacielem, jakiego miał – stwierdziła matka Ottona, całując Petera w policzek, gdy wychodził od nich po ósmej wieczorem. – Zawsze będziemy cię traktować jak drugiego syna. Cieszymy się, że byłeś przy Ottonie, gdy umierał. Musisz sobie przebaczyć, mój drogi. My nie mamy do ciebie pretensji.

Noc Peter spędził na stacji, a rano pojechał pociągiem do Monachium. Zamierzał zniknąć w tłumie i wziąć udział w odbudowywaniu jego ukochanej Bawarii, pracując nad tym, żeby wrócić do Margaret i dziecka, które tak bardzo pragnął poznać.

Pisał do niej codziennie, za każdym razem podając adres mieszkania w Monachium, które dzielił z czterema innymi byłymi żołnierzami; trzech z nich było jeńcami wojennymi tak jak on. Walczyli w zupełnie innej wojnie niż ci, którzy wytrwali na polach bitewnych aż do 1945 roku, i zmagali się z całkiem innym poczuciem winy. Ich życie było stosunkowo proste. Chociaż byli więźniami, traktowano ich dosyć dobrze, a od niebezpieczeństw dzielił ich cały ocean. Ich przyjaciółom i braciom śmierć groziła każdego dnia. Wielu ją poniosło. Inni już zawsze, aż do ponurego końca, mieli nosić brzemię, jakim była świadomość, że walczyli po stronie nazistów; niektórzy dopiero poniewczasie pojęli, że przyłożyli rękę do niewyobrażalnych okrucieństw. Jak udźwignąć coś takiego?

W swoich listach do Margaret Peter pisał o miłości, nadziei i wierze w to, że któregoś dnia znowu się zobaczą. Wyjaśnił jej

wszystko – że nie doczekał się odpowiedzi na żaden z listów, o swoim strachu, że umarła, i że jego ojciec nigdy nie przekazał mu korespondencji od niej. Napisał również, że niedawno dowiedział się o dziecku i że od tamtej pory każdego dnia żarliwie modli się o to, by Bóg pozwolił im do siebie wrócić. *Muszę wierzyć, że mimo wszystko nadal gdzieś tam jesteś. Muszę wierzyć, że masz się dobrze razem z naszym dzieckiem. Jeśli przestanę w to wierzyć, przestanę żyć. A jeśli przestanę żyć, to jak odnajdę drogę powrotną do Ciebie, najdroższa Margaret?*

Peter miał się różnych prac, ledwo wiążąc koniec z końcem, podobnie jak reszta Niemców. Pomogło mu to, co zarobił w Ameryce; jako jeńiec wojenny otrzymywał osiemdziesiąt centów dziennie, które to pieniądze przesłano mu, kiedy wrócił do kraju. Jednak z biegiem miesięcy oszczędności topniały. Peter szukał pomocy w każdej organizacji rządowej, jaka tylko przyszła mu do głowy, żeby załatwić sobie powrót do Stanów. Raz w miesiącu jeździł pociągiem do Bonn, gdzie bez większych sukcesów odwiedzał amerykańską ambasadę, licząc na to, że znajdzie kogoś, kto pomógłby mu zlokalizować Margaret i ich dziecko. Dzień po dniu tracił resztki nadziei, a Belle Creek wydawało się coraz bardziej nieosiągalne, jakby kontynenty odsuwały się od siebie, by uniemożliwić mu powrót.

Aż w końcu pewnego dnia pod koniec 1948 roku zatrzymał się w piwiarni niedaleko swojego mieszkania, żeby coś przekąsić po pracy. Kiedy znalazł wolne miejsce przy zatłoczonym stole, dostrzegł znajomą twarz.

– Maus?! – zawołał, nie mogąc uwierzyć, że znowu znalazł się w jednym pomieszczeniu ze swoim najbliższym przyjacielem z Belle Creek, jedynym jeńcem, który wiedział o istnieniu Margaret.

Wypuszczono ich z obozu w Anglii w różnym czasie i Peter nie zdołał go później odnaleźć.

Maus odwrócił się i jego twarz od razu się rozpromieniła.

– Peter Dahler? Nie może być!

Padli sobie w ramiona, poklepując się po plecach.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał Peter.

– Myślałam, że zdążyłeś już prysnąć do Ameryki! – odezwał się jednocześnie Maus.

Oderwali się od siebie.

– Próbowałem tam dotrzeć na wszelkie możliwe sposoby – odparł Peter. – Ale okazało się to niemożliwe, Maus. Biurokracja strasznie wszystko spowalnia.

– A Margaret? Wciąż na ciebie czeka?

Peter poczuł w sercu znajomą pustkę.

– Nie mam pojęcia. Ostatni list od niej dostałem w czterdziestym szóstym.

I opowiedział Mausowi całą historię. Widział, jak oczy przyjaciela stają się coraz większe, gdy wspomniał o liście, dziecku, które gdzieś tam żyło, i ojcu, którego Peter opuścił raz na zawsze.

– I co teraz? – zapytał Maus. – Co jeśli jej nie znajdziesz?

– Znajdę na pewno – odparł Peter. – Nie mam innego wyjścia.

Przyjaciel odwrócił wzrok.

– A jeśli ona nie żyje?

– Żyje – stwierdził Peter tonem nieznoszącym sprzeciwu. Dużo o tym myślał. – Żyje, bo inaczej wiedziałbym o tym. Rozumiesz?

– Nie rozumiem, ale ci wierzę.

Peter położył rękę na ramieniu Mause.

– Dzięki, przyjacielu.

– A czym się teraz zajmujesz?

– Różnymi rzeczami. Wszystkim teraz ciężko.

Mausowi rozbłyły oczy.

– Peterze! Musisz pracować ze mną. Malujemy świeżo wzniesione budynki. Przywracamy Niemcom dawne piękno. Jestem w ekipie malarzy i zawsze szukamy rzetelnych robotników. Szepnę słówko komu trzeba.

– Naprawdę?

Maus pokiwał głową.

– Wiesz, co jest najlepsze w tej robocie? Że możemy zabierać resztki farb do domu. Kupiłem pędzle, Peterze i odkryłem w sobie nową pasję.

Przyjaciel patrzył na niego w milczeniu, a Maus się roześmiał.

– Chodź, pokażę ci.

Wyszli z baru, minęli targ i zapuścili się głębiej w miasto. Dotarli do budynku przy Sebastiansplatz, gdzie Maus zaprowadził Petera na

czwarte piętro, otworzył drzwi mieszkania na końcu korytarza, zapalił światło i gestem zaprosił go do środka.

– Sam zobacz, przyjacielu.

Gdy tylko Peter przestąpił próg, serce zaczęło mu szybciej bić. Ściany mieszkania były pokryte malunkami. Rozpoznał most nad rzeką Izarą i bliźniacze wieże Frauenkirche. Dostrzegł również piaszczysty bezmiar afrykańskiego pola bitwy oraz wewnątrz jednego ze statków America's Victory, które zabrały niemieckich jeńców wojennych do ich tymczasowych amerykańskich domów.

– Są bardzo dobre! – wykrzyknął Peter. – Sam je namalowałeś?

Maus wzruszył ramionami.

– To takie moje hobby. Ale nie stać mnie na płótno ani papier do malowania. Ściany świetnie się do tego nadają. Gdy znudzi mi się jeden obraz, zamalowuję go następnym. – Z uśmiechem zaprowadził Petera do kuchni, gdzie wszystkie ściany pomalowano tak, że przypominały plantację trzciny cukrowej. Peterowi na moment zaparło dech, gdy na jednej ze ścian rozpoznał baraki obozu Belle Creek, a naprzeciwko nich – trzy znajomo wyglądające domy. Jeden z nich należał do Margaret.

– Maus – szepnął, obracając się z podziwem do przyjaciela. – Dzięki tobie cofnąłem się w czasie.

Tamten się uśmiechnął.

– Na tym polega magia pędzla, Peterze. Możesz odtworzyć wszystko, co pamiętasz. Ogranicza cię wyłącznie wyobraźnia.

– Nauczysz mnie tego?

– Oczywiście.

Peter ponownie omiół wzrokiem ściany.

– Masz wielki talent. Myślę, że będziesz kiedyś sławny.

Maus parsknął śmiechem.

– Sława? Czy to nie byłoby miłe? Na razie martwię się tylko tym, żeby mieć pieniądze na kolejny posiłek.

*

Na początku 1949 roku Peter mieszkał już z Mausem, płacił połowę czynszu i spał na kanapie. Codziennie malowali wnętrza nowych budynków, które powstawały w całym mieście, wieczorami

zaś malowali i przemalowywali ściany ich mieszkania, przy świetle lampy pokrywając je pejzażami, martwymi naturami i wszystkim, co tylko przyszło im do głowy. Peter odkrył, że i on ma talent do ożywiania świata pędzlem. Jakie to dziwne – myślał. – Dwóch przyjaciół obdarzonych podobnym talentem, którzy odnaleźli się po drugiej stronie świata. To musi być przeznaczenie.

Salon był „płótnem” Petera, sypialnia – Mause, a w kuchni pracowali wspólnie, śmiejąc się do rozpuku ze swoich pomysłów. Jednego dnia wymyślali, żeby namalować wnętrze wulkanu, a przynajmniej to, jak je sobie wyobrażali. Innego odtwarzali na ścianach krajobraz Monachium widziany z lotu ptaka. Albo kontrastujące ze sobą odcienie bieli i szarości na szczycie jednego z wierzchołków Alp. Lub też łąkę pełną kwiatów. Krytykowali wzajemnie swoje prace, dyskutując nad tym, jak sprawić, żeby były jeszcze lepsze, a nawet zaczęli wytwarzać pędzle, gdy te ze sklepu okazywały się zbyt szerokie i twarde.

– Masz wielki talent, Dahler. Może kiedyś obaj będziemy sławni, co? – powiedział Maus pewnego wiosennego wieczoru, gdy promienie zachodzącego słońca wpadały przez kuchenne okno.

Pracowali ramię w ramię nad obrazem Viktualienmarkt. Był to pomysł Petera, który potrzebował pomocy Mause, żeby dopracować swoją technikę malowania ludzi. Postacie tworzone przez Petera często sprawiały wrażenie sztywnych i nienaturalnych, podczas gdy te wychodzące spod pędzla jego przyjaciela zdawały się tryskać energią i życiem.

– Nie chcę być sławny – mruknął w odpowiedzi Peter. – Zależy mi tylko na odnalezieniu Margaret.

Maus kiwnął głową i drgnęła mu szczeka.

– W takim razie chodź. Namaluję ją dla ciebie.

Peter ruszył za przyjacielem do salonu, którego ściany zamalował poprzedniego dnia niezgrabnym przedstawieniem ulicznej scenki z Marienplatz. Maus rozglądał się przez chwilę, zanim wybrał miejsce na ścianie, tuż przed neogotyckim Neues Rathaus z zegarem Glockenspiel wybijającym pełną godzinę. Zaczął malować szybkimi pociągnięciami pędzla, jego dłoń śmigła w powietrzu, kolejne warstwy farby nakładały się na siebie, tworząc odcień skóry Margaret i błyszczący brąz jej włosów.

Kiedy skończył, zwrócił się do przyjaciela:

– Co sądzisz?

Peter wpatrywał się w nią jak urzeczony. Zupełnie jakby Maus przeniósł Margaret przez Atlantyk na główny plac Monachium. Było to zarazem piękne i niewiarygodne; Peterowi łzy napłynęły do oczu.

Ale to nie wszystko. Nachylił się i uważnie przyjrzał obrazowi: misternie namalowanym ustom, głowie przekrzywionej jak zawsze wtedy, gdy Margaret głęboko się nad czymś zastanawiała, i charakterystycznemu błyskowi w oku, który jakimś cudem udało się Mausowi uchwycić. Portret przedstawiał Margaret z krwi i kości, ale w taki sposób, w jaki postrzegał ją Peter, co mogło oznaczać tylko jedno.

– Tobie też na niej zależało – stwierdził łagodnie Peter, gdy wreszcie go olśniło.

Maus odwrócił wzrok.

– Margaret jest tylko twoja, Peterze. Nie widziała świata poza tobą.

– Ale ty też żywiłeś do niej uczucia.

Maus milczał przez chwilę.

– Tylko że ona nigdy nie spojrzała na mnie tak jak na ciebie. Nigdy nie spróbowałbym ci jej odbić, Peterze. Musisz to wiedzieć.

– Ale jak to możliwe? Prawie z nią nie rozmawiałeś.

Maus zamyślił się nad tym.

– Czasem nawet z daleka można stwierdzić, że ktoś jest wyjątkowy. Już zawsze będę ją nosił w sercu. Przykro mi, ale nie mam wpływu na to, co czuję.

Peter na chwilę zamknął oczy. Ogarnął go dziwny smutek. Kochał Margaret i jego miłość była odwzajemniona, przynajmniej przez krótki czas. Maus nie mógł liczyć na coś takiego.

– Nie, to mnie jest przykro – powiedział wreszcie.

– Że Margaret kocha ciebie, a nie mnie? – Maus roześmiał się gorzko. – Nie masz za co przepraszać, Peterze. Pewnego dnia też kogoś poznam i może nawet odnajdę w tej kobiecie to samo, co ty znalazłeś w Margaret.

Peter poczuł się nieswojo.

– Maus, ja nie...

– Nie maluję jej, Peterze – przerwał mu. – A przynajmniej niezbyt często. Kiedy oglądam jej twarz, ona mnie później prześladowuje. Z czasem uleci z mej pamięci. W porządku, przyjacielu?

Peter przytaknął.

– Życie bywa czasem okrutnie niesprawiedliwe, co nie?

Maus uśmiechnął się, ale Peter dostrzegł w jego oczach smutek.

– Albo to po prostu część jakiegoś większego planu, którego jeszcze nie rozumiemy.

*

Jesienią 1949 roku Maus wpadł na pewien pomysł.

– Może skontaktujemy się z Haroldem, a on poprze nasz wniosek o obywatelstwo?

– Masz na myśli strażnika z Belle Creek? – upewnił się Peter.

– Tak! Przecież nas lubił, nie? Był inny niż reszta strażników. Widział w nas ludzi, nie więźniów. Może zgodzi się nam pomóc.

– Tak, warto spróbować.

Nie znali adresu Harolda, ale pamiętali jego nazwisko, więc po prostu wysłali list do Belle Creek w stanie Floryda, w nadziei, że listonosz odnajdzie dom Deckerów.

Dwa miesiące później, tuż przed Bożym Narodzeniem, otrzymali odpowiedź od żony Harolda:

Harold wiele mi o was opowiadał. Bardzo cenił sobie czas, który razem spędziliście. Zawsze powtarzał, jakie to nieszczęście, że wojna postawiła was po dwóch stronach barykady, bo w innych okolicznościach uważałby was za swoich przyjaciół. Z przykrością muszę Was poinformować, że Harold zmarł w zeszłym roku na atak serca, ale wiem, że chciałby wam pomóc. Dlatego też skontaktowałam się z lokalnym kongresmenem – mieszkam teraz w Georgii – i staram się Wam umożliwić przyjazd do Ameryki. Życzę Wam wszystkiego, co najlepsze.

– Nie mogę uwierzyć, że nie żyje – odezwał się Peter po przeczytaniu listu. – Był dopiero po czterdziestce.

Maus pokiwał głową.

– Ciężkie czasy różnie mogą wpłynąć na człowieka, nie? Jego rodacy walczyli na wojnie, a on musiał sobie jakoś poradzić z tym, że został w domu. Może zabiły go wyrzuty sumienia.

Peter westchnął.

– Każdy z nas stracił coś cennego.

Wspólnie z Mausem napisał do Jackie, żony Harolda, list z kondolencjami i podziękowaniem za pomoc. Zapytał również, czy nie słyszała czegoś na temat Margaret i jej dziecka. Gdy już wysłali list, poszli do kościoła zapalić świece w intencji Harolda, Margaret i dziecka.

Później czekali. Niewiele więcej mogli zrobić. Peter dalej odwiedzał te same organizacje rządowe i co miesiąc na wszelki wypadek jeździł do Bonn, lecz za każdym razem wracał coraz bardziej sfrustrowany. Wysyłał listy do rodziców i siostry Margaret, a także próbował odnaleźć Jeremiaha za pośrednictwem naczelnika poczty. Nie doczekał się jednak odpowiedzi i z biegiem czasu ogarniała go coraz większa obsesja na punkcie obrazów na ścianie salonu. Gdyby nauczył się malować Margaret, mógłby ją mieć z powrotem.

Podczas gdy Maus nieustannie szlifował swój warsztat, Petera interesowało tylko jedno. Nie przejmował się tłem, kwiatami, niebem, budynkami. Zależało mu wyłącznie na odzyskaniu Margaret, ożywieniu jej na ścianach mieszkania i wyobrażaniu sobie, że znowu ma ją przy sobie. Jednak chociaż bardzo się starał, nie był w stanie perfekcyjnie jej uchwycić. Zawsze brakowało czegoś w wyrazie oczu, w łuku brwi, sposobie, w jaki układały się jej włosy. Peter obawiał się, że zaczyna ją zapominać, więc każdego wieczoru rozpaczliwie podejmował kolejne próby.

– Tu właściwie nie chodzi o wygląd – powiedział mu któreś nocy Maus. – Tylko o uczucie. Musisz czuć to, co malujesz, całą duszą, bo inaczej nie wyjdzie ci tak, jak sobie tego życzysz. Za bardzo się przejmujesz liniami i kształtami, ale to nie one tworzą Margaret. Jej obraz składa się przede wszystkim z tego, co kochałeś w jej sercu. Pomyśl o tym, a ona ożyje w twoich obrazach.

I w ciągu miesiąca udało się. Peter musiał się nauczyć patrzeć sercem zamiast oczami. Dopiero wtedy wszystko się zmieniło. Nagle

jego pędzle zaczęły mieć jakby swój rozum, a on był tylko łącznikiem, gdy one stwarzały rysy twarzy Margaret, jej oczy, przechyloną głowę, idealny blask jej włosów. Czuł się jak dyrygent kierujący orkiestrą symfoniczną, przekuwający pojedyncze nuty w coś nadludzko pięknego.

Jednak gdy potrafił już namalować Margaret, odkrył, że patrzenie na nią sprawia mu ból, więc co wieczór tworzył jej portret, by o brzasku, w bezlitosnym świetle poranka, zamalowywać go na nowo, powstrzymując się od płaczu.

W czerwcu 1950 roku dokumenty imigracyjne Petera i Mause zostały rozpatrzone i mogli wreszcie rozpocząć nowe, wolne życie w kraju, w którym byli kiedyś więźniami.

Rozdział dziewiętnasty

Savannah okazało się jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie w życiu widziałam.

Nie mogłam uwierzyć, że przez tyle lat mieszkania w Orlando oddalonym zaledwie o cztery i pół godziny jazdy, nigdy nie wybrałam się do tego pokrytego mchem historycznego miasteczka. Gdy zjechaliśmy z drogi I-16 i dotarliśmy do centrum, dostrzegłam przebłęski rzeki, strzelistych rezydencji oraz urokliwych ocienionych placów, w większości ozdobionych wspaniałymi fontannami.

– To miasto podobno jest nawiedzone – odezwał się ojciec, gdy skręciliśmy z Bay Street w Abercorn i okrążyliśmy Reynolds Square.

Przez cały rano próbował mnie wciągać w niezobowiązujące pogawędki, żeby odwrócić moją uwagę od Nicka, za co byłam mu bardzo wdzięczna, bo gdybym zaczęła o nim myśleć, chyba bym się rozplakała.

– W takim razie pewnie unosi się tu duch Ralpha Gaertnera i tylko czeka, żeby wskazać nam odpowiedni kierunek.

Ojciec się roześmiał.

– Może i tak. Będę wyglądał duchów z pędzlami.

Chwilę później ujrzelśmy przed sobą sztyld Schwab Gallery, a ja wypatrzyłam wolne miejsce parkingowe przy ulicy.

Chętnie rozejrzałam się po okolicy, ale już i tak byliśmy kwadrans spóźnieni. Wpadliśmy do środka, gdzie troje dwudziestoparolatków ubranych na czarno podziwiała ogromny obraz wiszący na ścianie naprzeciwko wejścia. Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że przedstawia on plantację trzciny cukrowej skąpaną w promieniach zachodzącego słońca. Po prawej stronie malunku dało się wypatrzeć niewielki drewniany dom. Być może połączyłam ze sobą niewłaściwe kropki, ale wydał mi się bardzo podobny do domu, który odwiedziłam w zeszłym tygodniu i w którym

wychowały się Louise i moja babcia. Przed domem majaczyła postać kobiety zwrócona plecami do widza, zmierzająca w kierunku pola.

– To chyba Belle Creek – szepnęłam do ojca. – Myślę, że Ralph Gaertner tam był. Przed domem babci Margaret.

Ojciec się zdumiał.

– Co ty mówisz? Żartujesz!

Podeszliśmy do recepcji. Pracujący tam młody mężczyzna z paroma kolczykami w uchu i purpurowym irokezem na głowie powiedział, że dyrektorka galerii, Bette, już na nas czeka. Wstał i poprosił, żebyśmy poszli za nim wąskim korytarzem.

– Bette – zwrócił się do drobnej kobiety z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami i ciemnobrązową skórą. – Są już twoi goście.

– Ach – odparła kobieta, zwracając się w naszą stronę. – Witajcie w Savannah. Victor i Emily, jak mniemam?

Była starsza, niż się spodziewałam – co najmniej po sześćdziesiątce, z kocimi okularami w czarnych oprawkach i zmarszczkami po obu stronach ust przypominającymi nawiasy. Zaprosiła nas z powrotem do galerii, skąd przeszliśmy do mniejszego, bardziej prywatnego pomieszczenia zawieszonych obrazami.

– Uznałam, że najlepiej będzie porozmawiać w otoczeniu dzieł Gaertnera – oznajmiła z uśmiechem. – W czym mogę wam pomóc?

Rozglądałam się przez chwilę, podczas gdy ojciec wyjaśnił powody naszego zainteresowania Gaertnerem i przypuszczenia, że mógł on być niemieckim jeńcem wojennym więzionym na Florydzie w czasie drugiej wojny i mieć jakiś związek z jego zaginionym ojcem. Widziałam, że udało mu się wzbudzić ciekawość Bette, która zadała jeszcze parę pytań. Kiedy przypatrywałam się obrazom, serce zaczęło mi bić coraz szybciej, zagłuszając odgłosy prowadzonej za moimi plecami rozmowy.

Każda z tych prac kojarzyła mi się z czymś, co widziałam w Belle Creek. Nie mogłam stwierdzić z całkowitą pewnością, że wszystkie pochodziły właśnie stamtąd, ale wyglądały znajomo. Był tam piękny wizerunek starego dębu porośniętego mchem z charakterystyczną dla dzieł Gaertnera kobiecą sylwetką na drugim planie, oddalającą się w stronę horyzontu. Jeden z obrazów przedstawiał dwa wygrzewające się w słońcu aligatory, których łuski namalowano tak

misternie, że przypominał raczej zdjęcie niż dzieło ludzkiej ręki. Po raz kolejny wypatrzyłam w tle cień dziewczyny znikającej za kępą palm.

Inny obraz przedstawiał starodawny traktor, który – mogłabym przysiąc – stał na środku pola trzciny cukrowej, a na jednym szczególnie przejmującym malunku afroamerykański chłopiec leżał zwinięty na ziemi, z niewidoczną twarzą, a jego plecy pocięte były broczącymi krwią ranami, tworzącymi na jego ciemnej skórze przerażający wzór. Nawet ta scena wydała mi się dziwnie znajoma i dopiero gdy spojrzałam na horyzont, dostrzegłam dom bardzo podobny do tego, który sąsiedował z farmą Louise. Na tym obrazie postać kobieca była ledwie widoczną w oddali sylwetką biegnącą w stronę pierwszego planu, z twarzą ukrytą w cieniu.

– On tam był – powiedziałam, zwracając się do ojca i Bette. Sądząc po ich zaskoczonych minach, musiałam im przerwać rozmowę, lecz nie przejmowałam się tym. – Gaertner był w Belle Creek. Jestem tego prawie pewna.

Belle wyglądała na lekko poirytowaną moim zachowaniem, gdy wskazałam znajomo wyglądający dom i wyjaśniłam, że wszystko, co zobaczyłam na obrazach, wygląda dokładnie tak samo jak miasteczko, które niedawno odwiedziłam.

– Musi pani jednak przyznać – odparła Bette – że w naszym kraju istnieją dziesiątki, jeśli nie setki miasteczek, wokół których uprawia się trzcinę cukrową, prawda? A w domu, który pani wskazała, nie ma nic wyjątkowego. Obrazy mogą przedstawiać Belle Creek, o którym pani wspomniała, albo po prostu zna pani tylko część historii. Gaertner mógł być jeńcem wojennym, tak jak pani sugeruje, ale nie wiadomo, dokąd trafił. A może malował miejsce, do którego przeniósł się po wojnie. – Pewnie zauważyła moje rozczarowanie, bo uniosła dłonie przepaszającym gestem i dodała: – Ja tylko wcielam się w rolę adwokata diabła.

– Ale to nie może być zbieg okoliczności – zaprotestowałam. – A jeśli to właśnie tego szukaliśmy?

Bette spojrzała na mojego ojca.

– Emily, właśnie mówiłam, że Ralph Gaertner miał wielu uczniów, szczególnie w latach siedemdziesiątych. Był szczodrym człowiekiem i zawsze powtarzał, że sztuka otworzyła przed nim liczne drzwi, więc

on chce to samo zrobić dla innych. Możliwe że pani dziadek był jednym z jego podopiecznych. Może istotnie spotkali się w obozie jenieckim. Wszystko jest możliwe, czyż nie?

Przytaknęłam.

– Wie pani, czy Gaertner w ogóle przebywał w takim obozie?

Pokręciła głową.

– Postawiłam sobie za punkt honoru zebrać jak najwięcej informacji na temat Gaertnera, ponieważ od dawna chciałam zorganizować wystawę jego dzieł. Niestety okazało się, że bardzo strzegł swojej prywatności. Niewiele wiadomo na temat jego życia sprzed roku sześćdziesiątego czwartego, kiedy to sprzedał swój pierwszy duży obraz. Mamy go zresztą tutaj. Chcecie obejrzeć?

Przeszliśmy za nią do głównej galerii. Grupa dwudziestoparolatków zdążyła się już ulotnić. Promienie słońca wpadały przez frontowe okno wykonane z mrożonego szkła, które przefiltrowywało i rozpraszało światło, dzięki czemu w pomieszczeniu panowała niemal magiczna atmosfera.

– Oto dzieło, które uczyniło go sławnym – oznajmiła Bette, podprowadzając nas do największego obrazu w całej galerii, wysokiego na co najmniej dwa i pół metra. – Niektórzy badacze twierdzą, że to właśnie niesamowity sukces tego obrazu był jednym z powodów, dla których Gaertner postanowił umieszczać charakterystyczną kobiecą postać na każdej ze swoich prac. W ten sposób wykreował własną markę, stworzył znak firmowy, dzięki któremu jego prace stały się rozpoznawalne – zawiesiła głos. – Zawsze uważałam, że to genialna strategia. Zapewniła mu dodatkowy smaczek, dzięki któremu jego kariera nabrała rozpędu. Jak widzicie, miał słabość do tempery, chociaż większą sławę przyniosły mu akwarele.

Wpatrywałam się w obraz, nabierając coraz większej pewności, że Gaertner pracował z autorem portretu babci Margaret, ponieważ niebo – namalowane odcieniami różu i purpury typowymi dla zachodu słońca na Południu – było bardzo podobne do tego na obrazie, który mi przysłało. Na pierwszym planie stała kobieta zwrócona plecami do artysty. Była centralną postacią obrazu, przyciągając uwagę widza bardziej niż to, co się działo w tle. Każde pociągnięcie pędzla sprawiało wrażenie intymnego i starannie

przemysłanego; chociaż kobieta była odwrócona, a jej rysy ukryte w cieniu, zdawała się wychodzić z tła, namacalna i rzeczywista. Stała na polu, ale nie dało się stwierdzić, czy rośla na nim trzcina cukrowa czy zboże. Drugi plan nie był już tak dopracowany – Gaertner wyraźnie rozwinął się jako artysta w czasie trwania swojej kariery – za to postać kobiety od samego początku tworzył perfekcyjnie. Nic dziwnego, że postanowił uczynić z niej swój znak firmowy; miał niewątpliwy talent w tym kierunku.

– Czy Gaertner używał jakiegoś szczególnego rodzaju farby? – zapytałam, nachylając się w stronę obrazu, by lepiej mu się przyjrzeć.

Postać kobiety zdawała się migotać i odbijać światło w sposób, którego nie widziałam do tej pory na żadnym obrazie.

Bette się uśmiechnęła.

– Nie, to zwykła tempera, jeden z ulubionych środków mistrza, ale pani reakcja jest dokładnie tym, co wyniosło Gaertnera na szczyty sławy. Postać kobiety wydaje się taka dynamiczna, ponieważ zastosował serię drobnych, naprawdę drobniateńskich pociągnięć pędzlem. Sam robił pędzle, ponieważ żadne z dostępnych na rynku nie były wystarczająco małe. Jeśli przyjrzy się pani uważniej, zobaczy pani, że te niemal mikroskopijne pociągnięcia układają się w sposób wcześniej niespotykany. Gaertner powiedział w jednym z wywiadów, że namalowanie tej kobiety zabrało mu prawie rok. Obecnie ten obraz jest dogłębnie studiowany na akademiach sztuk pięknych; tym większy zaszczyt dla mnie, że mogę je prezentować w swojej galerii.

– Jak się to pani udało? – zapytał ojciec.

– Przez wiele lat pisałam do pana Gaertnera, tłumacząc, dlaczego Savannah to idealne miejsce, by urządzić w nim wystawę retrospektywną ukazującą jego życie i karierę – odparła Bette. – Nigdy mi nie odpisał – pierwszy list wysłałam pod koniec lat dziewięćdziesiątych, a wtedy już bardzo strzegł swojej prywatności – ale po jego śmierci skontaktowała się ze mną jego żona i powiedziała, że byłam jedyną właścicielką galerii, która tak usilnie zabiegała o zorganizowanie wystawy dzieł Gaertnera. Zgodziła się wypożyczyć mi kilka obrazów z prywatnej kolekcji, łącznie z najszlachetniejszym, które odkupiła od kolekcjonera dzieł sztuki

zaledwie tydzień po śmierci męża. Będziemy mieli ten obraz jeszcze przez kilka tygodni, a później niestety będę musiała go zwrócić.

– A więc ma pani jej adres?

Bette się uśmiechnęła.

– Nie. Przyśle kuriera, który odwiezie jej obraz.

– Może udałoby nam się porozmawiać z tym kurierem. Czy ma pani do niego jakiś kontakt?

– Nie. Zostaniemy poinformowani o jego przyjeździe z dwudniowym wyprzedzeniem. Jeszcze nikt się do nas w tej sprawie nie odezwał.

– Och. – Ścisnęło mnie w gardle. Kolejny ślepy zaułek.

Po spędzeniu jeszcze kilku minut na oglądaniu prac Gaertnera w głównej sali, Bette zaprowadziła nas do swojego biura i poprosiła, żebyśmy opowiedzieli jej trochę więcej o naszych poszukiwaniach.

– Wydaje nam się, że mój dziadek ze strony ojca to były jeniec wojenny, Peter Dahler, który podczas drugiej wojny światowej przebywał w Stanach Zjednoczonych – wyjaśniłam. – To długa historia, ale dopiero niedawno zdołaliśmy ustalić jego tożsamość i nie wiemy, co się z nim stało. Mój ojciec nigdy go nie poznał. – Opowiedziałam jej krótko o obrazie, który mi przysłano, oraz tym, jak udało nam się dotrzeć do Ponce Gallery w Atlancie, gdzie powiedziano nam, że przysłała go Ingrid Gaertner.

Bette uniosła brwi w zdziwieniu.

– Ingrid Gaertner? Mało prawdopodobne. Ta kobieta prowadzi równie samotniczy tryb życia jak jej mąż w ostatnich latach przed śmiercią. Sama kontaktowałam się z nią wyłącznie za pośrednictwem listów wysyłanych na adres skrytki pocztowej.

– Instrukcje dotyczące obrazu również wysłano pocztą – odparłam. – Ale bez żadnego wyjaśnienia. Skąd u wdowy po Ralphie Gaertnerze wzięłoby się obraz mojego dziadka albo kogoś, kto go znał? Artysta, który go namalował, musiał być przecież uczniem Gaertnera, prawda?

– Ma to sens – przyznała Bette.

Wyjęłam telefon, by pokazać jej zdjęcie akwareli, a gdy je oglądała, jej brwi znowu się uniosły.

– To z całą pewnością nie jest Gaertner – wymamrotała jakby do siebie. – Twarz kobiety jest wyraźnie widoczna. Jednak... – nie

dokończyła. – Jak nazywał się pani dziadek?

– Peter Dahler.

Bette zamyśliła się na moment.

– Nazwisko brzmi znajomo.

Serce zatłukło mi się w piersi, a Bette zaczęła przeglądać leżące w szufladzie papiery. Wymieniłam z ojcem spojrzenia. Czy to możliwe, że w końcu go znaleźliśmy? Jednak chwilę później kobieta ponownie zwróciła się w naszą stronę, marszcząc brwi.

– Wydawało mi się, że mam tu program wydarzenia poświęconego Gaertnerowi w Miami Beach, w którym uczestniczyłam na początku lat osiemdziesiątych, ale nigdzie go nie widzę. W każdym razie pamiętam przemowę kilkorga Niemców podczas uroczystej kolacji. Chyba stamtąd kojarzę to nazwisko. Tak, jestem prawie pewna. Niejaki Dahler był jednym z protegowanych Gaertnera.

Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza.

– Jest pani pewna?

– Na dziewięćdziesiąt procent. To było dawno temu, ale nazwisko brzmi znajomo. – Zastanowiła się, po czym wystukała kilka słów na klawiaturze komputera. Mina wyraźnie jej zrzędała. – Galeria, która zorganizowała tamtą wystawę, przestała istnieć wiele lat temu, właśnie znalazłam nekrolog jej właściciela. Nie wiem, jak moglibyście dotrzeć do informacji o tym, kto przemawiał wtedy na gali.

Znowu ogarnęła mnie rezygnacja. Wystarczająco długo byłam dziennikarką, by rozpoznać ślepą uliczkę. Zamierzałam sprawdzić wskazany przez Bette trop, jednak dotarcie do osób, które przemawiały podczas gali w Miami Beach na początku lat osiemdziesiątych mogło się okazać niemożliwe.

– Kojarzy pani, który to był rok? Albo nazwę galerii, która zorganizowała to wydarzenie?

Bette odparła, że mógł to być rok 1982 albo 1983 i że wydarzenie zorganizowała nieczynna od lat Thomas J. Trouba Gallery. Gala odbyła się w Hotelu Carbonell, który rok później zburzono. Na wszelki wypadek zanotowałam sobie te informacje. Postanowiłam poszukać czegoś na ten temat w starych gazetach, licząc na łut szczęścia.

– Szczerze mówiąc, myślę, że największą szansę na odnalezienie Petera Dahlera dałaby wam rozmowa z Ingrid Gaertner – stwierdziła Bette.

– Mówiła pani przecież, że ona jest samotniczką i nie chce z nikim rozmawiać.

– Ale jeśli to rzeczywiście ona wysłała pani obraz, nawiązała z panią kontakt, czyż nie? Może pani dziadek ją o to prosił. Jedyne namierzenie, jakie mam, to adres skrzynki pocztowej. Przekażę go wam. Nie wiem, czy to coś da, ale niczym innym nie dysponuję.

– Dziękuję – powiedziałam, gdy Bette postukała w klawiaturę i wydrukowała adres.

Wstała, żeby odprowadzić nas do wyjścia.

– Przykro mi, że nie zdołałam wam bardziej pomóc. Ale jestem przekonana, że jeśli ten wasz Peter Dahler wciąż żyje, to go znajdziecie.

*

Zwróciliśmy wynajęty samochód na lotnisku Savannah Hilton Head i po przesiadce w Charlotte wylądowaliśmy w Orlando parę minut po wpół do ósmej wieczorem.

– Jestem wykończona – wyznałam ojcu w drodze na podziemny parking.

Nie było nas raptem parę dni, ale miałam wrażenie, że minęły tygodnie. Uciążliwa wilgoć w wieczornym powietrzu wydała mi się niemal kojąca, niczym znajomy uścisk, który sprawił, że poczułam się jak w domu.

– Cóż, latanie do Europy i z powrotem, konfrontowanie się z przeszłością i szukanie dawno zaginionego członka rodziny potrafi dać w kość – odparł z uśmiechem ojciec. – Poradzisz sobie?

– Tak. A ty? Jak ty się czujesz?

Z niepokojem spostrzegłam, że ojciec wygląda na jeszcze bardziej wykończonego niż ja, i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy powiedział mi prawdę na temat swojej choroby.

– Nic mi nie jest, Emily. Nie martw się. – Uśmiechnął się blado. – Podróże męczą każdego, kto dobiega siedemdziesiątki.

– W porządku – odparłam niepewnie. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Możesz przestać się martwić.

– Tego raczej ci nie obiecuję. Postaraj się odpocząć, dobrze?

Umówiliśmy się na rozmowę w poniedziałek, uściskaliśmy się niezgrabnie na pożegnanie i każde z nas ruszyło w swoją stronę po samochód.

W domu przejrzałam korespondencję, napisałam krótki list na adres skrytki pocztowej Ingrid Gaertner, podlałam ziola w ogrodzie na tyłach domu i zadzwoniłam do Myry. Zostawiła mi dwie wiadomości na poczcie głosowej, pierwszą z zaproszeniem na kolację, a drugą z pytaniem, gdzie zniknęłam.

– Czekaj, poleciałas do Niemiec, nic mi nie mówią? – zapytała, wysłuchawszy moich wyjaśnień. – Ze swoim ojcem? Znanym jako diabelskie nasienie?

Słowa przyjaciółki mnie zirytowały, chociaż było oczywiste, że przejęła te emocje ode mnie.

– Właściwie nie jest taki zły.

– Jedną chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że polubiłaś swojego wiarołomnego tatusia?

Zawahałam się.

– Oczywiście nie ma to najmniejszego wpływu na to, co zrobił wcześniej. Ale ciągle mnie przeprasza. Chyba naprawdę do niego dotarło, że popełnił poważny błąd, i bardzo go żałuje.

Myra prychnęła.

– Na to już trochę za późno, nie?

– Sama nie wiem. Na pewno łatwiej byłoby mu nie przebaczać. Ale może zasługuje na jeszcze jedną szansę. Jest chory – dodałam po chwili. – Na raka.

– O. – Myra westchnęła. – Rany, tak mi przykro. To smutne. Mam nadzieję, że nie śmiertelnie?

– Twierdzi, że nie. Ale to rak wątroby.

Gwizdnęła przeciągle.

– Nie jest dobrze.

– Wiem.

Przez chwilę obie milczałyśmy.

– A więc to już? Przebaczyłaś mu?

– Nie. Ale próbuję.

– Cóż, to chyba dobrze – stwierdziła.

– Tak? – zawahałam się, szukając odpowiednich słów, by wyrazić to, co czuję. – Nie uważasz, że w ten sposób zdradzam mamę?

– Mamę?

– On ją zostawił, Myro. Niezależnie od okoliczności, bardzo ją skrzywdził. I nawet jeśli znajdzie jakiś sposób, żeby mi to wynagrodzić, nigdy nie zdoła zadośćuczynić jej. Czy zawodzę własną matkę, rozważając możliwość wybaczenia ojcu?

Myra zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Myślisz, że byłaby szczęśliwa, wiedząc, że nosisz w sobie cały ten gniew?

– Nie mam pojęcia – mruknęłam.

– Cóż, jedno mogę ci powiedzieć. Gdyby Jay mnie zostawił, martwiłabym się, że któregoś dnia skrzywdzi również Samanthę – powiedziała z namysłem. – Ale na pewno nie miałabym poczucia, że ona jest mi coś winna, choćbym nie wiem jak bardzo wkurzyła się na jej ojca.

– Dlaczego?

– Bo nie chciałabym, żeby dźwigała taki ciężar – odparła Myra. – Dziecko może być wściekłe na ojca, jeśli ma swoje powody. Ale nie powinno walczyć w wojnie prowadzonej przez rodziców. Nie sądzę, żeby twoja mama chciała czegoś takiego dla ciebie. Poza tym byłaś mała, kiedy się rozstali, prawda? Skąd wiesz, że twoja mama nie zdołała mu przed śmiercią wybaczyć i zapomnieć o doznanej krzywdzie?

– Nie wiem – przyznałam bez przekonania.

– Chcesz mojej rady? Martw się o własne uczucia, a nie jej. Uważam, że jeśli pogodzenie się z ojcem wydaje ci się właściwe, to może ona też by sobie tego życzyła. – Po chwili zadała pytanie z innej beczki: – A teraz powiedz mi, czego dowiedziałaś się o swoim dziadku.

Wdzięczna za zmianę tematu, opisałam jej wizytę w Monachium, Atlancie i Savannah. Nie wspomniałam o spotkaniu z Nickiem, ponieważ wcześniej o nim nie słyszała, a ja nie miałam siły wszystkiego jej teraz tłumaczyć.

– No więc co dalej? – zapytała na koniec.

– Teraz muszę się wyspać – postanowiłam, ziewając. – A jutro, jeśli znajdziesz czas, spotkasz się ze mną na drinka i pomożesz mi

znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

– Och, skarbie, jutro nie mogę. Jesteśmy z Jayem umówieni na grilla, a w niedzielę idziemy na obiad do jego rodziców. Może jakoś w tygodniu?

– Jasne.

Obiecałyśmy sobie, że niedługo się zobaczymy, ale gdy się rozłączyłam, poczułam się jeszcze bardziej samotna niż zwykle. Przyzwyczaiałam się do życia w swoim malutkim świecie i przez większość czasu mi to nie przeszkadzało. Czułam się w nim bezpiecznie. Jednak po spędzeniu kilku dni w towarzystwie ojca – i po tym, jak wreszcie, po tylu latach, stawiałam czoła Nickowi – moja bańka samotności w końcu pękła.

*

Cztery godziny później, tuż po pierwszej w nocy, wciąż rzucałam się i kręciłam na łóżku. Może sprawiła to różnica czasu między Orlando a Monachium albo burza emocji, które mną targały, w każdym razie nie mogłam zasnąć. Ucisząc głos rozsądku gdzieś w tyle głowy, sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Scotta.

– Cześć, piękna! – Odebrał po pierwszym sygnale. Jego głos był nieco bełkotliwy, w tle słyszałam muzykę. Pewnie pił w jakimś barze.

– Hej.

– Wróciłaś już ze swojej wyprawy?

– Tak. Parę godzin temu.

W słuchawce rozległy się czyjeś krzyki, a potem śmiech.

– Szukasz towarzystwa? Jestem niedaleko ciebie, w Casey's.

Głęboko nabrałam powietrza. Przecież właśnie po to dzwoniłam, czyż nie? Chciałam spędzić tę noc z kimś, kto mnie pragnął. Chciałam poczuć przynależność. W takim razie dlaczego tak trudno było mi to z siebie wydusić?

– Jasne, jeśli masz ochotę wpaść, to świetnie – powiedziałam wreszcie.

– Spoko. Będę za kwadrans.

Prawie godzinę później rozległ się dźwięk dzwonka. Nawet nie zawracałam sobie głowy tym, żeby się uczesać albo umalować, chociaż zwykle to robiłam przed przyjściem Scotta, nawet w środku

nocy. Kiedy wszedł do mieszkania na miękkich nogach, z ulgą stwierdziłam, że jest zbyt pijany, by zwrócić na to uwagę.

– Tęskniłem za tobą, skarbie – powiedział, przyciągając mnie do siebie, i wtulił twarz w moją szyję.

Kiedy wypuścił mnie z objęć, zamknęłam za nim drzwi.

– Ktoś tu miał miły wieczór.

– Wypiłem tylko parę kolejek z chłopakami, skarbie – odparł. – Dan puszczał wszystkie największe hity z lat dziewięćdziesiątych. Nie mogłem wyjść w trakcie *Crazy for This Girl*.

– Duetu Evan and Jaron. Faktycznie, klasyk. – Czułam się nienaturalnie skrępowana, jak zwykle wtedy, gdy przychodził do mnie pijany, a ja byłam trzeźwa.

– No właśnie – zgodził się Scott, teatralnie poruszając brwią. – Wydaje mi się, że byłoby ci dużo wygodniej bez tych ciuszków.

– Doprawdy? – zapytałam z wymuszonym uśmiechem.

Pociągnął za rąbek za dużego na mnie T-shirtu.

– Może to z ciebie zdejmujemy?

Uśmiechnęłam się, wzięłam go za rękę i pozwoliłam się zaprowadzić do sypialni.

Jednak pięć minut później, gdy dłonie Scotta błędziły pod moją koszulką i poczułam, jak przywiera do mnie zdyszany, nagle przerwałam.

– Nie mogę – powiedziałam, odsuwając się od niego i dźwignęłam się do pozycji siedzącej.

– Co? – Przeczesał rękami włosy i wlepił we mnie zamglone spojrzenie.

– Nie mogę tego zrobić.

– Skarbie, jesteś mi coś winna.

Nic nie powiedziałam.

– Wyciągasz mnie z baru, przerywając mi dobrą zabawę, a teraz, kiedy jestem już podniecony, nagle się wycofujesz?

– Przepraszam.

– Nie sądziłem, że jesteś taka podpuszczalska. – Spojrzał na mnie spode łba, sięgając po leżący w nogach łóżka T-shirt.

– Przepraszam – powtórzyłam. – Nie o to mi chodziło. Ja po prostu... nie mogę. Nie zależy ci na mnie, Scott. Po prostu skorzystałeś z okazji, żeby się ze mną przespać.

– Przecież to ty zadzwoniłaś do mnie – mruknął pod nosem, wkładając koszulkę. Była wywrócona na lewą stronę, ale nie zwróciłam mu na to uwagi, tak samo jak on nie powiedział, że jestem dla niego kimś więcej.

– Ty i ja razem to kiepski pomysł – stwierdziłam wreszcie. – To nie wypali.

Wstał z łóżka, kręcąc głową.

– Wyjęłaś mi te słowa z ust – mruknął.

Wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie, i chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwiami. Odczekałam długą chwilę, zanim się podniosłam i przekręciłam zasuwkę.

Wlekąc się samotnie do sypialni, nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie zrobiłam. Scott był bezpieczny i bezproblemowy, niewiele ode mnie oczekiwał, a czasem sprawiał, że czułam się atrakcyjna.

Już mi to jednak nie wystarczyło. Pragnęłam tego, co miałam kiedyś z Nickiem. W młodości wydaje nam się, że będziemy mieli setki okazji, żeby odnaleźć miłość, która wypełni nas całych i będzie nam dodawać sił. Jednak w rzeczywistości powinniśmy się cieszyć, jeśli uda nam się doświadczyć tego uczucia chociaż raz w życiu. Łatwo jest przymknąć oko na rzeczywistość, snuć w głowie bajki. Ale gdy już poznasz, czym jest prawdziwa miłość, w głębi duszy zawsze będziesz wiedział, kiedy przyjdzie ci ją udawać, okłamując samego siebie.

Mury wokół mnie zaczęły się kruszyć; nadszedł czas, żeby skończyć z kłamstwami. Zasługiwałam na coś lepszego.

Rozdział dwudziesty

Po poranku spędzonym na pisaniu artykułu dla „Seventeen” i eseju poświęconego poszukiwaniom mojego zaginionego dziadka wybrałam się do obozu jenieckiego w Blanding, gdzie obecnie mieściła się baza szkoleniowa Gwardii Narodowej, w połowie drogi między Gainesville i Jacksonville. Siedemdziesiąt lat temu znajdował się tam jeden z dwóch największych obozów jenieckich na Florydzie, a także ośrodek administracyjny obozu Belle Creek. Mój dziadek musiał tam przebywać – może nawet przez kilka miesięcy – zanim wysłano go dalej na południe, do pracy na plantacji trzciny cukrowej.

Umówiłam się na spotkanie z Geoffem Brockiem, który prowadził niewielkie muzeum poświęcone historii tego miejsca. Akurat mieli skromną wystawę dokumentującą życie jeńców wojennych. Geoff obiecał, że udzieli mi pewnych informacji, zastrzegł jednak, że nie ma dostępu do akt więźniów.

– Może się okazać, że nie było warto przyjeżdżać – dodał.

– Na pewno nie – oznajmiłam stanowczo. – Chcę jak najlepiej zrozumieć los niemieckich jeńców wojennych w czasie drugiej wojny światowej.

Podczas dwóch godzin jazdy samochodem mogłam spokojnie wszystko sobie przemyśleć i odtworzyłam w głowie rozmowę z ojcem. Wiedziałam, że się stara. Wiedziałam też, że powinnam mu wybaczyć. Jeśli nie byłam w stanie się na to zdobyć, skoro nie potrafiłam zapomnieć urazy, to jak mogłam oczekiwać czegoś takiego od Nicka?

Zanim zdążyłam się rozmyślić, sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić na komórkę ojca.

– Emily? – Odebrał po trzecim sygnale. – Zaczekaj, jestem na spotkaniu. Daj mi chwilkę.

– Och, poszedłeś dziś do pracy?

Spodziewałam się, szczególnie ze względu na jego chorobę, że weźmie sobie przynajmniej dzień wolnego, żeby dojść do siebie po naszej zwariowanej podróży. Szczerze mówiąc, martwiłam się, że niepotrzebnie się przemęczył.

Usłyszałam dźwięk otwierania i zamykania drzwi, a później ojciec odchrząknął.

– Wyszedłem na korytarz. Tak, miałem zaplanowane ważne spotkanie, którego nie mogłem odwołać.

– Trzeba mi było powiedzieć. Sama pojechałabym do Atlanty i Savannah.

– Na pewno świetnie byś sobie poradziła, skarbie, ale cieszę się, że byłem tam z tobą. Zależało mi na tym.

Poczułam przyływ ciepłych uczuć do niego.

– Ja też się cieszę, że tam ze mną byłeś. Ale powiedz, jak się czujesz. Chyba nie powinieneś się tak męczyć.

Ojciec zaśmiał się cicho.

– Dzięki, doktor Emerson, ale czuję się dobrze. Nie martw się. – Usłyszałam w tle czyjś głos i ojciec poprosił, żebym zaczekała. Kiedy znowu się odezwał, jego głos nie był już tak serdeczny jak jeszcze chwilę wcześniej. – Przepraszam cię, Emily, ale będę musiał kończyć. Wypadło mi coś pilnego. Mogę ci jakoś pomóc?

– Och, nie. Jadę właśnie do Jacksonville, żeby porozmawiać o jeńcach wojennych, i pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć. – Poczułam się dziwnie zawiedziona.

– Brzmi obiecująco – odparł z roztargnieniem. – Powodzenia. Porozmawiamy później. – Rozłączył się, przypominając mi o tym, że praca zawsze będzie dla niego ważniejsza niż ja. Żałosne, że po tylu latach wciąż mnie to bolało.

*

Parę minut po wpół do czwartej wjechałam na parking przed muzeum obozu jenieckiego w Blanding. Długi ceglany budynek był otoczony kilkoma czołgami i niewielkimi samolotami z połowy dwudziestego wieku, które służyły jako eksponaty. Przy wejściu czekał na mnie Geoff, mężczyzna w średnim wieku, ostrzyżony na jeża, z głęboko osadzonymi zielonymi oczami.

– Pani pewnie jest Emily – przywitał się ze mną. – Cóż za punktualność. Zapraszam!

Weszliśmy do muzeum, w którym znajdowała się pokaźna kolekcja starej broni oraz model obozowego baraku z lat czterdziestych. Muzeum ukazywało warunki życia w Camp Blanding w czasie II wojny światowej. Przede wszystkim szkolono w nim młodych rekrutów; obóz dla jeńców wojennych stanowił niewielką część obiektu.

– Proszę śmiało oglądać wszystkie eksponaty – zachęcił mnie Geoff, gdy szliśmy razem w głąb budynku. Zerknęłam na czarno-białe fotografie przedstawiające żołnierzy podczas musztry na polach otoczonych palmami. – Chociaż wiem, że szczególnie interesują panią Niemcy, których tu mieliśmy w latach czterdziestych. Chciałaby pani dowiedzieć się czegoś więcej na temat tamtych czasów?

– Jasne. – W głębi duszy ucieszyłam się, że nie będę musiała udawać zainteresowania siedemdziesięcioletnimi karabinami.

– Cóż, powinienem chyba zacząć od tego, że przed pojawieniem się tu niemieckich żołnierzy Camp Blanding służył jako obóz przejściowy dla niewielkiej grupy obywateli niemieckich zamieszkałych w Ameryce Łacińskiej.

Popatrzyłam na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Czy ci ludzie służyli w wojsku?

– Nie. Byli to zwyczajni niemieccy cywile, którzy emigrowali do Ameryki Łacińskiej. To dosyć dziwna część historii tego miejsca, ale prawda jest taka, że piersi więźniowie Camp Blanding w ogóle nie powinni trafić do więzienia. Przywieziono ich tutaj bez wyroków, wyłącznie dlatego, że byli Niemcami. Rząd bał się, że mogą się wśród nich ukrywać nazistowscy szpiedzy.

Utkwiłam w nim zdumione spojrzenie.

– Nasz rząd internował niemieckich cywilów?

– Oczywiście traktowano ich bardzo humanitarnie. Ostatecznie trafili do specjalnych obiektów w innych stanach, przeznaczonych wyłącznie dla ludności cywilnej, ale tak, to były szalone czasy i działy się wtedy szalone rzeczy. Pierwsi jeńcy wojenni zjawili się tu jesienią czterdziestego drugiego roku – mówił dalej. – Na początku byli to marynarze z U-botów, jednak w połowie czterdziestego trzeciego

Camp Blanding zaczął przyjmować również niemieckich żołnierzy wojsk lądowych. Właściwie byliśmy jednym z niewielu obozów jenieckich w kraju, gdzie przebywali niemieccy marynarze, a kiedy zaczęli do nas napływać żołnierze wojsk lądowych, kwaterowano ich w oddzielnych barakach. Tutaj może pani zobaczyć, jak wyglądał obóz.

Geoff wskazał wiszące na ścianie czarno-białe zdjęcie. Zbliżyłam się, żeby dokładnie je obejrzeć. Równe szeregi drewnianych baraków otaczały chodniki i połacie trawy. Inne zdjęcie przedstawiało żołnierzy maszerujących szeroką drogą pomiędzy rzędami baraków.

– Oczywiście wielu żołnierzy, którzy tu trafili, odesłano później do obozów satelickich – kontynuował Geoff. – W czasie wojny brakowało rąk do pracy, ponieważ wielu amerykańskich chłopców walczyło w Europie i na Pacyfiku. Tak więc ci młodzi Niemcy, którzy nagle do nas trafili, okazali się bardzo przydatni. Ponad tuzin ośrodków na Florydzie przyjmował jeńców z Blanding i rozsyłał ich do mniejszych obozów w okolicy.

– Takich jak Camp Belle Creek nad Jeziorem Okeechobee.

Geoff przytaknął.

– Właśnie. Były też obozy w Clewiston i Belle Glade. Jeńcy mieli pełne ręce roboty w cukrownictwie, przy cytrusach czy przy nowo wybudowanej zaporze. Ale można ich było spotkać również w miastach. Gdzie pani mieszka?

– W Orlando.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Cóż, gdyby żyła tam pani w latach czterdziestych, widziałaby pani niewielkie obozy jenieckie funkcjonujące zarówno w Orlando, jak też w pobliskim Winter Haven i Leesburgu. Tamtejsi osadzeni pracowali głównie w przemyśle cytrusowym.

Pokręciłam głową.

– Jak mogłam o tym nie wiedzieć?

– Większość ludzi żyjących współcześnie nie ma o tym pojęcia. W latach czterdziestych okoliczni mieszkańcy byli rzecz jasna świadomi obecności Niemców. Chociaż nieczęsto pisano o tym w gazetach, przypuszczalnie dlatego, że rząd nie chciał wywoływać paniki z powodu obecności wrogich wojsk na naszej ziemi. Poza tym większość obozów mieściła się na terenach wiejskich, więc

mieszkańcy dużych miast pewnie na ogół nie wiedzieli, że coś się tam dzieje, ponieważ nie miało to na ich życie żadnego wpływu.

– No więc jak wyglądała codzienność jeńców? – zapytałam. – I czy warunki panujące tutaj były podobne do tych w obozach satelickich?

– Populacja obozów satelickich była naturalnie dużo mniejsza, więc wszystkie działania prowadzono na znacznie skromniejszą skalę. Ale może zainteresuje panią to, że większość obozów funkcjonowała na zasadzie niewielkich, samowystarczalnych społeczności. Owszem, byli strażnicy, ale więźniowie przeważnie zarządzili się sami. Niemieccy żołnierze wyżsi rangą w wielu przypadkach ją zachowali, a przeważająca część jeńców wzięła sobie za punkt honoru zachowywać się przyzwoicie.

Pokręciłam głową. Wszystko to wydawało mi się bardzo dziwne.

– Czy wielu z nich było nazistami?

– Szczerze mówiąc, jeńcy byli przeważnie młodymi ludźmi wciągniętymi w coś, w co w gruncie rzeczy nie wierzyli. Nikt nie pytał młodych Niemców, czy chcą iść na wojnę. Wielu osadzonych czuło ulgę, że nie muszą dłużej walczyć. Niektórych tak zachwyciło życie w Ameryce, że po wojnie występowali o wizy i zostawali na stałe.

Serce zaczęło mi bić szybciej; od razu pomyślałam o Peterze Dahlerze.

– Wiem, że nie ma pan dostępu do akt więźniów, ale może orientuje się pan, czy Ralph Gaertner przebywał w jednym z obozów satelickich Camp Blanding?

Geoff uniósł brwi.

– Ralph Gaertner? Ten malarz?

Pokiwałam głową.

– Ależ nie, na pewno bym o tym słyszał, gdyby jeden z więźniów zyskał później taki rozgłos.

– Och... – Posmutniałam. – I pewnie nic panu nie mówi nazwisko Peter Dahler? Ani przydomek Maus?

– Nie, ale jak już wspominałem, nie mam dostępu do większości dokumentacji. Możliwe jednak, że będę miał dla pani coś lepszego. Niejaki Werner Vogt, który mieszka w domu spokojnej starości w Boca Raton, jest sympatykiem naszego muzeum oraz byłym więźniem obozu jenieckiego w Blanding. Jeśli mnie pamięć nie myli, przez krótki czas przebywał właśnie w Belle Creek. Jeśli Peter

Dahler rzeczywiście był tam osadzony, Werner może go pamiętać. Chce pani jego adres?

Przytaknęłam z uśmiechem. Może się to okazać najlepszym tropem, na jaki trafiłam do tej pory.

– Czy ma pan także numer telefonu?

Pokręcił głową.

– To człowiek po dziewięćdziesiątce i ma poważne problemy ze słuchem. Nie rozmawia już przez telefon, ale może pani do niego napisać albo po prostu spróbować się z nim spotkać. Werner uwielbia przyjmować gości, a ponieważ nie jeździ już samochodem i nie ma w okolicy żadnych krewnych, prawie na pewno zastanie go pani w domu.

Wzięłam od niego adres.

– Bardzo dziękuję. Zajrzę do niego jutro.

– Świetnie – powiedział Geoff. – W takim razie powodzenia. Proszę powiedzieć, że to ja panią przysłałem.

Kiedy wyszłam z powrotem na słońce, ogarnęło mnie dziwne uczucie spokoju. Możliwe, że mój dziadek przebywał kiedyś w tym miejscu, popatrzył w górę i zobaczył dokładnie te same drzewa, to samo florydzkie niebo. Czy jeszcze żył? Nie mogłam tego wiedzieć, ale po raz pierwszy od początku naszych poszukiwań naprawdę uwierzyłam w to, że jestem na dobrej drodze, by go znaleźć. Werner Vogt musiał go znać. A jeśli tak, to może już tylko jeden dzień dzielił mnie od zrozumienia tajemnicy przeszłości mojej rodziny.

*

Wieczorem wróciłam z Blanding, nastawiłam zmywarę i w tym momencie rozdzwoniła się moja komórka. Wytarłam ręce i spojrzałam na wyświetlacz. Serce podskoczyło mi w piersi, gdy zobaczyłam nieznany numer z kierunkowym 404. Atlanta. Wstrzymałam oddech, ale wypuszczając powietrze ostatkiem sił, wzięłam się w garść. Pewnie dzwonił jakiś telemarketer albo ktoś z galerii sztuki, którą odwiedziliśmy z ojcem.

Kiedy odebrałam, przez moment nikt się nie odzywał.

– Halo? – powtórzyłam.

Najpierw usłyszałam chrząknięcie, a później znajomy męski głos.

– Hej, Emily – przywitał się ze mną Nick tak samo jak dawniej.

To wystarczyło, by do oczu napłynęły mi łzy. Upuściłam ściereczkę, którą trzymałam w ręku, i mocno oparłam się o kuchenny blat.

– Nick?

– Tak – potwierdził, a potem przez jakiś czas się nie odzywał.

Zamknęłam oczy, chłonąc tę chwilę. Nie mogłam uwierzyć, że po tylu latach znowu miałam go po drugiej stronie linii.

– Posłuchaj, Emily, przepraszam, że kazałam ci wtedy wyjść – przerwał wreszcie milczenie. – Potrzebowałam trochę czasu, żeby przetrwać to, co mi powiedziałaś.

– Nick, nie musisz mnie przeproszać. To ja jestem ci winna przeprosiny, po tysiącokroć.

– Wiem. Ale coś mi mówi, że zadręczasz się tym od lat. – Głos Nicka wciąż wydawał się zdystansowany, ale dało się też słyszeć ciepło, którego nie było jeszcze parę dni wcześniej.

– Tak – przyznałam. – Ale to mnie nie tłumaczy.

– No nie. – Nick głęboko zaczerpnął powietrza. – Chcę wiedzieć wszystko. Opowiesz mi o niej, Emily? O Catherine?

Zrobiłam to, o co prosił. Opowiedziałam Nickowi, że nasza córka ważyła solidne trzy i ćwierć kilograma, chociaż urodziła się trzy tygodnie przed terminem. Że oczy i usta miała dokładnie takie jak on, że jej wąski nosek przypominał mi nos mojej matki i że kiedy próbowała się rozglądać, była ciut podobna do mojego taty. Opowiedziałam mu o tych pierwszych kilku minutach po urodzeniu Catherine, kiedy trzymałam ją w ramionach. Miała miękką i bladą skórę, a jej paluszki u rąk i nóg były takie maleńkie. Opowiedziałam mu również o pustce, która mnie ogarnęła, oraz niezachwianej pewności, że popełniam błąd, kiedy zjawiała się po nią pielęgniarka.

– Od tamtej pory codziennie o niej myślę i martwię się o nią, Nick. Catherine towarzyszy mi w każdej chwili mojego życia. Nie sądziłam, że będę umiała kogoś tak pokochać.

Nick nie odzywał się przez długą chwilę, ale słyszałam, jak oddycha. Nadal tam był, przy mnie. Wiedziałam, że myśli o tym, co powiedziałam.

– Naprawdę była podobna do mnie?

– Jeszcze jak – szepnęłam.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, Em?

– Strasznie się bałam, że mnie znienawidzisz. Wydawało mi się, że mnie zostawisz.

Nick westchnął.

– Nigdy bym tego nie zrobił, Emily.

– Teraz już to wiem. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa na głos, dotarło do mnie, że faktycznie w nie wierzę. Nick za nic by od nas nie odszedł. Nie był takim typem faceta. Podjęłam decyzję, która zmieniła życie nas obojga. – Myślałam, że postępuję najlepiej dla niej i dla ciebie – wyznałam wreszcie. – Wiem, jak idiotycznie to teraz brzmi. Ale wychowywanie dziecka w wieku osiemnastu lat zmieniłoby całe twoje życie, Nick. Może wcale nie byłibyśmy dla niej dobrymi rodzicami. Zdaję sobie sprawę z tego, że byłam wtedy chodzącą katastrofą. Nie poradziłabym sobie z wychowaniem dziecka. Nie miałam pewności, czy sam byś się do tego nadawał, i nie chciałam cię obarczać takim ciężarem. Nie chciałam, żebyśmy byli tacy jak moi rodzice. Widziałam, jak zaczynają się coraz bardziej nienawidzić, i nie mogłam znieść myśli, że staniemy się tacy jak oni.

– A poza tym nie wierzyłaś, że mężczyźni trwają przy swojej rodzinie – dodał łagodnie.

Łzy napłynęły mi do oczu, gdy pomyślałam o tym, jak bardzo zranił mnie ojciec, znikając z mojego życia, i że wyrosłam na opowieściach babci Margaret o tym, że ją też porzucono.

– To prawda – przyznałam głucho.

Nick westchnął.

– Może to dziecko nigdy nie miało być nasze. Może postąpiłaś słusznie, oddając je do adopcji. Ale zasłużyłem na to, żeby mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Wiem o tym. Oczywiście, że tak. To, co ci zrobiłam, Nick... Chyba niczego w swoim życiu nie będę żałować równie mocno.

Nic nie powiedział, ale zduszony dźwięk, który z siebie wydał, przypominał szloch. Poczuałam się przez to jeszcze gorzej.

– Jak przez mgłę pamiętam moment, w którym pielęgniarka mi ją podała – odezwałam się po chwili. – Podczas porodu nafaszerowali mnie lekami przeciwbólowymi, które właśnie przestawały działać. Ale, Nick, gdy spojrzałam na naszą córkę, miałam wrażenie, że to ty jesteś przy mnie. Widziałam w niej ciebie. Nie sądzę, żebym mogła

pokochać kogoś równie mocno jak ją w tamtej chwili. Kochałam Catherine tak, że aż sprawiało mi to ból, ale jednocześnie kochałam ciebie. Widziałam w jej oczach ciebie... – zawiesiłam głos i odetchnęłam głęboko. – Rzecz w tym, Nick, że kochałam cię wtedy bardziej, niż byłabym to sobie w stanie wyobrazić.

– Emily – odezwał się jakby z trudem.

Czekałam, ale nie dodał nic więcej.

– Kochałam cię – szepnęłam w tę ciszę. – Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś na mnie zły, musisz mi uwierzyć.

Milczał przez chwilę, a ja poczułam się jak idiotka.

– Jak mam w to uwierzyć, Emily? – zapytał wreszcie łamiącym się głosem. – Jak można kogoś kochać i go zostawić, tak jak ty to zrobiłaś?

Płakałam już teraz otwarcie, łzy płynęły mi po policzkach.

– Bo się wstydziłam. I wydawało mi się, że biorąc cały ten ciężar na siebie, oszczędzam ci bólu.

Ależ ja za nim tęskniłam. Spotkanie z Nickiem w Atlancie obudziło we mnie coś, co było od dawna uspione. Musiałam sobie jednak przypomnieć, że byłam dla niego przeszłością, a nie teraźniejszością. On miał już poukładane życie, w którym nie było dla nie miejsca.

– Nie zaoszczędziłaś mi żadnego bólu – odparł. – Musiałem się uporać ze stratą ciebie, Emily. Nie masz pojęcia, jakie to było trudne.

– Owszem, mam. Ja też musiałam się uporać ze stratą ciebie.

– Ale to był twój wybór. Nie mój. – Nick odchrząknął, a gdy znowu się odezwał, mówił już bardziej sztywno i oficjalnie. – W każdym razie przepraszam. Nie zadzwoniłem po to, żeby się na tobie wyżywać.

– W takim razie dlaczego zadzwoniłeś?

– Sam nie wiem. – Westchnął. – Naprawdę nie mam pojęcia. W każdym razie... muszę kończyć. Wybacz, ale muszę już kończyć.

Pokiwałam głową, chociaż wiedziałam, że nie może tego zobaczyć. Płakałam jednak tak rozpaczliwie, że nie dałabym rady nic powiedzieć. Po chwili połączenie zostało przerwane. Nicka już nie było, a gdy odkładałam telefon, czułam się kompletnie wykończona.

Trzy godziny później wpatrywałam się w sufit, starając się nie myśleć o Nicku, Catherine i wszystkich moich błędach, gdy usłyszałam piknięcie telefonu informujące o przyjściu nowej wiadomości. Wysłano ją z tego samego numeru, z którego wcześniej dzwonił Nick. Brzmiała: *Wybaczam Ci*.

Dziękuję – odpisałam, ale nic mi już nie napisał. Może nie zostało nic więcej do dodania. Sprawa zakończona. Powiedziałam Nickowi o wszystkim, a on mi wybaczył, chociaż wcale na to nie zasługiwałam.

Odłożyłam telefon i zamknęłam oczy. Najwyższy czas, aby żyć dalej.

Rozdział dwudziesty pierwszy

1950–1963

Gdy na horyzoncie zamajaczyła Statua Wolności, Maus zaciągnął Petera na górny pokład statku, żeby obaj mogli widzieć jej piękną twarz podczas wpływania do portu w Nowym Jorku.

– W końcu tu jesteśmy, przyjacielu! – krzyknął Maus, ściskając Petera.

– Jesteśmy w domu – wymamrotał Peter, nie mogąc oderwać wzroku od miedzianego posągu kobiety wysokiego na ponad dziewięćdziesiąt metrów, witającego ich w Stanach Zjednoczonych.

Przez chwilę myślał o Ottonie, który zawsze marzył o tym, by się tu znaleźć. „Po wojnie będziemy znakomitymi ambasadorami Niemiec” – usłyszał w głowie jego głos.

Ta wyprawa przez ocean różniła się od poprzedniej, ponieważ tym razem obaj byli wolni. Gdy już postawią stopę na amerykańskiej ziemi, będą mogli się udać, dokądkolwiek zechcą – na północ do Bostonu, na zachód do Los Angeles, na południe do Karoliny Północnej albo Południowej. Ale Peter miał w głowie tylko jeden cel. Belle Creek. Czy to naprawdę możliwe, że za parę dni spotka się z Margaret i wreszcie ujrzy twarz swojego dziecka?

– Musisz być przygotowany na najgorsze, mój przyjacielu – przypomniał mu Maus, bacznie mu się przyglądając, gdy Peter dołączył do niego na pokładzie. – Możesz jej tam nie zastać. Musisz być przygotowany na życie w Ameryce bez Margaret.

– Oczywiście – odparł Peter, odwracając głowę. Nie chciał, by przyjaciel widział jego minę, ponieważ wiedział, że ma to wypisane na twarzy: nigdy nie przestanie szukać Margaret, dopóki będzie istniał chociaż cień szansy, że ona żyje.

Pięć dni później dojechali autobusem do Atlanty, gdzie wylewnie podziękowali wdowie po Haroldzie za jej starania w ich sprawie,

a potem Peter wybrał się w samotną podróż do Belle Creek. Obiecał wrócić do Atlanty, gdy tylko będzie to możliwe. Maus nie był zainteresowany przenosinami dalej na południe, a Peter wiedział, że jeśli odnajdzie ukochaną, zostanie z nią.

Wreszcie znów znalazł się w miasteczku, w którym przed kilku laty przebywał jako jeniec. Z autobusu wysiadł w Clewiston, gdzie złapał okazję na obrzeża Belle Creek, a stamtąd dotarł na piechotę do farmy Margaret. Serce mu waliło, gdy szedł piaszczystą drogą w kierunku domu, który widział tysiące razy w snach. Ściany i dach sprawiały wrażenie jeszcze bardziej wysłużonych i poszarzałych, niż to zapamiętał, a ogród na tyłach domu był zarośnięty, jakby przestano go uprawiać. Niepokój, który ścisnął serce Petera przez wszystkie te lata, stał się silniejszy i bardziej złowrogi. Trudno było sobie wyobrazić, by Margaret pozwoliła farmie aż tak podupaść. Chyba że spotkało ją coś strasznego.

Nagle, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru, Peter puścił się biegiem. Do tej pory szedł, ściskając w dłoni walizkę, ale teraz rzucił ją na drogę i dopadł do drzwi, jakby liczyła się każda sekunda. Na początku nikt mu nie otworzył, ale gdy Peter uderzył w drzwi jeszcze parę razy, coraz bardziej natarczywie, owładnięty coraz większym strachem, wreszcie się otworzyły.

– Co u licha?

To była siostra Margaret, Louise, która wyglądała dużo starzej niż wtedy, gdy widział ją ostatnio. Jej twarz była zniszczona, oczy wydawały się płaskie i wyblakłe jak na zdjęciu, które zbyt długo wystawiano na działanie promieni słonecznych. Dopiero po paru sekundach poznała Petera; on dokładnie wyczuł ten moment, ponieważ malująca się na jej twarzy irytacja ustąpiła miejsca pogardzie.

– Czego tu szukasz? – rzuciła Louise.

– Jestem Peter – powiedział – przyjaciel Margaret.

– Doskonale wiem, kim jesteś – warknęła. – Przyjaciel? Czy tak teraz nazywają gwałcicieli?

Peter zrobił krok do tyłu, otwierając szerzej oczy.

– Gwałcicieli? Louise, ja nigdy...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Zresztą i tak jej tu nie ma. Margaret odeszła.

– Czy możesz mi powiedzieć dokąd?

Louise uśmiechnęła się lodowato.

– No jasne. – Nachyliła się do niego. – Nie żyje, więc pewnie do nieba, jeśli wierzysz w podobne rzeczy.

Peter cofnął się jeszcze o krok.

– Nie. To niemożliwe. Wiedziałbym o tym.

– Bo niby jesteś z nią tak mocno związany? Gówno prawda. – Louise pokręciła głową. – Poza tym wiesz, że to twoja wina, co nie?

– Co takiego? – Peter nagle poczuł, że nie może złapać tchu.

Jak to możliwe, że Margaret odeszła? Jak mógł nie poczuć, gdy jej dusza uleciała z tego świata?

– Zmarła przy porodzie. To było przecież twoje dziecko. Równie dobrze mogłeś ją zabić gołymi rękami.

– O Boże. – Pod Peterem ugięły się nogi. Osunął się na próg domu, w którym mieszkała kiedyś Margaret, z trudem łapiąc oddech.

– A dziecko? Co się stało z dzieckiem?

– On też umarł.

– On? – zapytał Peter. – Mam syna?

– Miałeś.

– O Boże – powtórzył Peter.

Oczami wyobraźni widział małe dziecko grzejące się w ciepłe miłości Margaret, może nawet wysłuchujące opowieści o żyjącym gdzieś daleko ojcu, który obiecał kiedyś po nie wrócić. Żadna z tych wizji nie miała jednak nic wspólnego z rzeczywistością. Peter zaczął spazmatycznie łkać. Spojrzał na Louise wzrokiem zamglonym od łez i ze zdziwieniem dostrzegł w jej oczach coś na kształt litości, a może żalu, lecz to wrażenie szybko się ulotniło.

– Powiedz mi, czy otrzymał jakieś imię? Mój syn?

– Za krótko żył. A matka zmarła, więc nie mogła mu nadać imienia.

– Gdzie są pochowani? – zdołał z siebie wreszcie wydusić.

– Zostali skremowani – odparła napiętym głosem Louise. – Rzuciliśmy ich prochy na wiatr. Nie mają grobu, jeśli o to ci chodzi.

– Dlaczego? – szepnął Peter.

– Wszyscy w mieście wiedzieli, że to ty byłeś ojcem – wyjaśniła chłodno Louise. – Wiesz dlaczego? Bo moja głupia siostra była z tego dumna. Dumna. Była wyrzutkiem. Nie rozumiesz? Zrujnowała

życie naszej rodzinie, okryła ją hańbą. Szczerze mówiąc, jej śmierć była dla nas wszystkich ulgą.

Po raz pierwszy odkąd Louise podzieliła się z nim tą okropną wiadomością, Peter poczuł coś innego niż przygniatający smutek. Ogarnął go gniew – gorący, palący gniew.

– Jak śmiesz?!

Kobieta zamrugła oczami.

– Jak ja śmiem?

– Twoja siostra była kimś niezwykłym. Nie zrobiła nic złego.

– Zakochała się w cholernym naziście! – warknęła Louise.

– Nie jestem nazistą. Jestem Niemcem i takim samym człowiekiem jak ty. Przykro mi, że widzisz to inaczej, ale nie zmienię swoich uczuć. Nie zmienię tego, że kochałem twoją siostrę.

– I gówno z tego masz – burknęła Louise. – Margaret dawno z nami nie ma.

– W takim razie dlaczego nadal czuję jej obecność? – zapytał cicho Peter. Skierował to pytanie do siebie, nie do niej.

Po chwili, wciąż mierząc go obelżywym spojrzeniem, Louise zamknęła drzwi.

Peter jeszcze przez długi czas stał jak skamieniały. Gdy tylko ruszy w drogę powrotną do miasteczka, będzie musiał się pogodzić ze stratą. Jednak tu, w tej chwili, otoczony zapachem kwiatów pomarańczy i trzciny cukrowej mógł udawać, że wciąż jest rok 1945 i że czeka na Margaret, wierząc, że znowu weźmie ją w ramiona.

*

Peter nie mógł wrócić do Atlanty. Jeszcze nie. Najrozsądniej byłoby dołączyć do Mause, zacząć nowe życie i raz na zawsze zostawić Belle Creek za sobą. Ale skoro prochy Margaret i ich syna zostały rozsypane na tej ziemi, to oni na swój sposób wciąż tu byli, obecni w wietrze i w ziemi pod jego stopami. Może dlatego Peter wcale nie czuł, że odeszli. Postanowił, że jeszcze trochę tu zostanie, żeby się z nimi pożegnać.

Wynajął pokój w jedynym pensjonacie w miasteczku, prowadzonym przez panią Meli Wilkes, i w ciągu pierwszych paru dni odkrył, co się stało z pozostałymi ludźmi, których poznał w Belle

Creek. Szybko dowiedział się, że rodzice Margaret zmarli – ojciec w 1947, matka w 1948 roku – co oznaczało, że Louise mieszkała całkiem sama. Peter odwiedził cmentarz i przyklęknął przed ich grobem, ciężko wzdychając.

– Przepraszam – odezwał się po długim milczeniu. Wiatr gwizdał w koronach wierzb. – Przepraszam, jeśli mieliście przeze mnie kłopoty. Przykro mi, że straciliście Margaret i waszego wnuka. Napętnia mnie to żalem i rozpaczą. Mogę sobie tylko wyobrazić, że złamało wam to serce. Spoczywajcie w pokoju.

Spróbował odnaleźć Jeremiaha, ale dowiedział się jedynie, że chłopak wyniósł się z miasteczka w 1946 roku, pod osłoną nocy. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, a Peter miał nadzieję, że udało mu się przedostać na północ, tak jak Jeremiah to planował.

Wynajął nawet prywatnego detektywa, żeby przyjrzał się sprawie śmierci Margaret, na wypadek gdyby Louise kłamała, ale wiedział, że to nie ma sensu. Nie było aktu zgonu Margaret ani dziecka, lecz detektyw zapewnił go, że to normalne w małych miasteczkach na Południu.

– Szczególnie gdy czyjaś śmierć oznacza wstyd dla rodziny – dodał znacząco, unikając jego wzroku.

Peter nawet przez moment nie rozważał powrotu do Niemiec. Obiecał przecież Margaret, że po nią wróci. Nawet jeśli jej tam nie było, zamierzał poświęcić jej pamięci resztę swojego życia. A także pamięci ich syna. W myślach nazywał go Victorem, ponieważ został poczęty w Dzień Zwycięstwa. Ten chłopiec powinien być symbolem triumfu, zwycięstwa, końca wojny. A tymczasem umarł zaraz po urodzeniu. Jakież to niesprawiedliwe.

Znalezienie pracy w Belle Creek okazało się trudne, ponieważ ludzie źle reagowali na akcent Petera. Wielu mieszkańców nadal przeklinało Niemców, a ci, którzy nie mieli szansy osobiście poznać jeńców, zakładali, że byli oni złoczyńcami skazanymi za różne przestępstwa. Poza tym, chociaż Peter postanowił zostać w Belle Creek, by każdego dnia otaczały go wspomnienia o Margaret, trudno mu było pracować na polach, gdzie zobaczył ją po raz pierwszy, gdzie odbyli swoją pierwszą rozmowę i gdzie po raz pierwszy trzymał ją w ramionach. Przebywanie tam nie czyniło tych wspomnień wyraźniejszymi, tylko bardziej mglistymi.

Jesienią 1950 Peter przeprowadził się parę kilometrów na wschód i osiedlił niedaleko dużej plantacji truskawek w niezależnym hrabstwie Palm Beach. Niebo i ziemia przypominały tu Belle Creek, ale nie na tyle, żeby Peter wiecznie czuł się sparaliżowany wspomnieniami. Zarabiał na życie, pracując na polach truskawek, a także pomagał w stajniach i stodołach, gdy zaczęło się tam sprowadzać coraz więcej koniarzy. Szybko się okazało, że ma smykałkę do koni. Im bardziej zamykał się w sobie, tym większą czerpał przyjemność z przebywania w ich towarzystwie. Łatwiej dogadywał się z nimi niż z ludźmi i nie doskwierała mu tak bardzo samotność.

W Boże Narodzenie odwiedził Mause w Atlancie i chociaż przyjaciel usilnie namawiał go na przeprowadzkę do miasta, Peter nie mógł tego jeszcze zrobić. Nie czuł się gotowy zostawić Florydę.

Maus – który zdobywał coraz większe uznanie jako artysta – podarował przyjacielowi zestaw farb i pędzli.

– Masz wielki talent, przyjacielu – stwierdził, poklepując Petera po plecach. – Nie zmarnuj sobie życia, przerzucając koński nawóz tylko dlatego, że doskwiera ci smutek.

Peter wziął do ręki jeden z pędzli i w zamyśleniu obrócił go w palcach.

– Nie wiem, co miałbym malować.

– Oczywiście, że wiesz – odparł Maus, przewracając oczami.

Po powrocie do Palm Beach parę tygodni później Peter sięgnął po malarskie przybory. Zanurzył pędzel w farbie i przyłożył do papieru po raz pierwszy od prawie roku. Przy gasnącym świetle wieczoru znowu zaczął malować, a jego pierwsza praca okazała się najpiękniejszym i najbardziej realistycznym obrazem, jaki kiedykolwiek stworzył. Dzięki sile wyobraźni udało mu się przywołać to, o czym tak rozpaczliwie marzył: obraz Margaret stojącej o brzasku na polu trzciny cukrowej, trzymającej za rękę ślicznego pięcioletniego chłopca – bo właśnie tyle lat miałby ich syn. Oboje wpatrywali się w Petera oczami pełnymi miłości.

Kiedy skończył malować, poczuł się tak, jakby pękła w nim tama. Jego pędzel wydawał się magiczny. Podczas gdy w Monachium Peter miał problem z odtworzeniem rzeczywistości, tutaj bez trudu

odwzorował barwę nieba, układ cieni oraz kształt przepięknych oczu Margaret.

Na początku malował wyłącznie dla siebie. Kiedy skończył mu się papier, malował na każdej możliwej powierzchni, aż wypełnił obrazami swoje małe mieszkanie. Przez kilka lat te wizerunki były niczym balsam na jego zranione serce. Każdego ranka witał go łagodny uśmiech Margaret. Peter widział, jak jego syn dorasta, z miesiąca na miesiąc staje się coraz wyższy i smuklejszy. Było to trochę tak, jakby oboje przy nim byli, więc nie trudził się układaniem sobie życia poza pracą. Dzień po dniu opiekował się końmi albo zrywał w milczeniu truskawki, a później wracał do domu i spędzał wieczory, malując.

W roku 1954 zlikwidowano plantację truskawek i deweloperzy mogli zamienić jej teren w osiedle. Stajnia, w której Peter pomagał przy koniach, przestała istnieć pół roku później i trudno mu było znaleźć nową pracę. Ludzie uważali go za dziwaka; obcokrajowiec, który prawie się nie odzywał. Na jesieni niespodziewanie odwiedził go Maus, akurat wtedy, gdy Peterowi kończyły się oszczędności. Kiedy stary przyjaciel przekroczył próg jego mieszkania, na chwilę zaniemówił z wrażenia.

– Twój talent bardzo się rozwinął, Peterze – stwierdził w końcu, wodząc wzrokiem po obrazach. – Powinieneś spróbować je sprzedać. Dzięki nim możesz być bogaty.

– Miałbym je sprzedać? – oburzył się Peter. – Nigdy w życiu. Dzięki nim jest przy mnie Margaret.

– Może już czas się z nią rozstać – odparł łagodnie Maus. – Daj spokój. W przyszłym miesiącu będę wystawiał swoje prace w Nowym Jorku. Może byś się dołączył? Chętnie porozmawiam z właścicielem galerii. Powiem mu, jak dobrze malujesz. Na pewno się zgodzi.

Peter zastanawiał się przez chwilę.

– W porządku. Przyjadę do Nowego Jorku. Ale nie z tymi obrazami. Namaluję coś innego.

– Jak sobie chcesz. Starczy ci pieniędzy na utrzymanie? I bilet autobusowy do Nowego Jorku?

– Mam jeszcze trochę oszczędności. Coś wykombinuję.

– Świetnie. Wyślę ci adres galerii. Zatrzymasz się u mnie. Mam pokój niedaleko Empire State Building.

W listopadzie 1954 Peter spotkał się z Mausem w Nowym Jorku. Jego przyjaciel wystawił na sprzedaż dziesięć obrazów przedstawiających martwą naturę, które rozeszły się już pod koniec pierwszego dnia wystawy. Peter przywiózł ze sobą tylko trzy prace – ukazujące sceny z Belle Creek – lecz i jemu udało się je sprzedać przed końcem trwającej tydzień wystawy. Wiedział, że nie jest tak utalentowany jak Maus, ale i tak mógł zarobić na swojej sztuce. Przekonał się również, że może zabrać Margaret i swojego syna dokądkolwiek zechce. Nie musiał mieszkać w pobliżu Belle Creek, bo oni towarzyszyli mu zawsze i wszędzie.

*

Minęło prawie dziewięć lat, zanim Peter znowu zobaczył Margaret. A przynajmniej mógłby przysiąc, że tak było, ale to przecież niemożliwe, prawda? Był rok 1963, co oznaczało, że od jej śmierci minęło siedemnaście lat. Peter nadal ją malował w zaciszu swego mieszkania – w jednym z nowojorskich wieżowców – ale nigdy nie roił sobie, że widzi ją pośród tłumu. Wiedział, że jej tam nie ma.

Aż nagle się pojawiła.

Był sierpień. Peter spakował szkicownik, ołówki i pojechał do Waszyngtonu, by zobaczyć przemówienie wielbnego doktora Martina Luthera Kinga pod pomnikiem Waszyngtona. Świat się zmieniał, a Peter chciał uchwycić te zmiany na swoich obrazach. Wyobrażał sobie, że stworzy serię prac poświęconych ruchowi na rzecz praw obywatelskich, raz na zawsze zostawiając za sobą wyobrażenia o Belle Creek. Nadszedł czas, żeby ruszyć do przodu z własnym życiem.

Maus też tam był. Wybrali się razem, chociaż przyjaciel chyba nie do końca rozumiał, dlaczego ten temat tak bardzo interesuje Petera.

– Czy to nie będzie zwykłe zbiegowisko? – zapytał. – I chaos?

– Na pewno tak – zgodził się z nim Peter. – Ale ci ludzie walczą o coś ważnego: równe traktowanie dla wszystkich.

Maus uniósł brew.

– Nie miałem pojęcia, że taki z ciebie obrońca praw obywatelskich.

Peter milczał przez długą chwilę.

– Mój ojciec nie przekazał mi listów od Margaret wyłącznie dlatego, że była Amerykanką. Nawet jej nie poznał, a i tak ją znienawidził. Być może z tego powodu umarła w przeświadczeniu, że jej nie Kocham, i nigdy mu tego nie wybaczę. Ludzie, którzy dzisiaj przyjeżdżają do Waszyngtonu, walczą dokładnie o to samo, o co walczyłem w Belle Creek: o szansę, żeby inni widzieli ich takimi, jakimi są w środku. Ja też muszę o to walczyć, Maus, bo gdyby mój ojciec nie miał serca pełnego nienawiści i uprzedzeń, wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej.

– Nie mogłeś jej ocalić, mój przyjacielu.

– Ale spędzilibyśmy więcej czasu razem. Miałem szansę ją uszczęśliwić.

Rozdzielili się w napierającym na nich ze wszystkich stron tłumie. Umówili się, że będą pracować osobno, ale spotkają się później na drinka w hotelu w Georgetown, żeby porozmawiać o tym, co widzieli, co udało im się naszkicować i co zamierzają z tym zrobić po powrocie do domu. Tego dnia mieli się skupić na zbieraniu pomysłów, a w następnym tygodniu – stworzyć coś wyjątkowego.

Peter znalazł sobie dogodne miejsce na tyłach demonstracji; widział stamtąd podium, z którego miał przemawiać doktor King, a także mieniącą się w słońcu lustrzaną sadzawkę przed pomnikiem Waszyngtona. Ze szkicownikiem w lewej ręce i ołówkiem w prawej omiatał wzrokiem tłum w nadziei, że uda mu się wypatrzeć jedną z gwiazd, które podobno miały wziąć udział w marszu – Marlona Brando, Sidneya Poitier albo Charltona Hestona – gdy jego spojrzenie zatrzymało się na tyle głowy kobiety stojącej kilkadziesiąt metrów dalej. Wpatrywał się w nią przez chwilę, nie wiedząc, co właściwie przykuło jego uwagę. Odcień jej włosów? Sylwetka? Sposób, w jaki nieznajoma leciutko przekrzywiła głowę w czasie rozmowy? Dopiero po kilku sekundach umysł Petera zdołał przetworzyć to, co ujrzał jego oczy. Ta kobieta wyglądała jak Margaret!

Później odwróciła się w stronę stojącego obok niej mężczyzny i się roześmiała. Choć Peter stał daleko, widział, że jej profil i rysy twarzy wyglądają dokładnie tak samo jak u kobiety, którą malował od

półtorej dekady. Wyobraził ją sobie starszą, sporo po trzydziestce, i dotarło do niego, że tak właśnie by wyglądała, gdyby żyła.

– Margaret! – zawołał przeraźliwie.

Ludzie stojący najbliżej spojrzeli na niego podejrzliwie i zaczęli się odsuwać.

– Margaret?!

Jego krzyki utonęły w morzu dwustu tysięcy głosów. Peter mógł najwyżej ruszyć z miejsca, w którym stał, i jej poszukać. Tylko że wtedy straciłby ją z oczu. A jeśli pochłonie ją tłum, zanim on dotrze tam, gdzie ją zobaczył? Mimo to nie miał wyboru. Musiał spróbować.

To jakieś szaleństwo – pomyślał, pchając się pod prąd, w przeciwnym kierunku niż napierająca fala ciał zmierzających w stronę podium. Przecież Margaret nie żyje. Wiedział, że to nielogiczne i że chwyta się brzytwy, ale jeśli Louise skłamała? Jeśli Margaret wypędzono z Belle Creek, a jej krewni, próbując chronić swoją reputację, powiedzieli mieszkańcom miasteczka, że zmarła w połogu? Jeśli w chwili gdy Peter zjawił się na progu ich domu, kłamstwo było już tak głęboko zakorzenione, że nieomal zmieniło się w prawdę?

Przeciskał się przez tłum najszybciej, jak tylko mógł, porzucając po drodze nieporęczny szkicownik. Po dwudziestu minutach dotarł do miejsca, w którym ją widział, ale chociaż rozglądał się jak oszalały, przepychając się między ludźmi, omiatając wzrokiem każdą twarz i wykrzykując imię Margaret, nigdzie jej nie było.

Przez resztę dnia kręcił się w kółko, nawołując i szukając. Zamiast szkicować scenki, które mógłby później namalować, i obserwować twarze skandujących ludzi, odwzorowywać pozy przyjmowane przez doktora Kinga, Peter tylko się błąkał. Pod koniec dnia mąciło mu się w głowie z rozpacz. Miał wrażenie, że odzyskał Margaret na moment, by znowu ją stracić. Bez przerwy odtwarzał w głowie jej obraz.

Kiedy wreszcie późnym wieczorem spotkał się z Mausem w hotelowym barze, wiedział, że wygląda na tak sponiewieranego i załamanego, jak się czuł. Maus wyciągnął do niego ręce troskliwym gestem.

– Peterze, co się u licha stało? Gdzie twój szkicownik?

– Zgubiłem go – odparł krótko Peter. – Widziałem ją, Maus. Widziałem Margaret. Próbowałem jej szukać, ale zniknęła.

Maus znalazł dla niego wolne miejsce i zamówił szkoocką.

– Peterze, przecież dobrze wiesz, że Margaret nie żyje – powiedział, gdy przyjaciel osuszył szklankę jednym haustem. Zamówił mu kolejnego drinka i położył rękę na jego ramieniu. – I to od wielu lat.

– Ale ona tam była. Widziałem ją w towarzystwie młodego mężczyzny czy może starszego chłopca. Myślisz, że to mógł być mój syn? Victor?

– Peterze, nie ma żadnego Victora. Wiesz o tym! Twoje dziecko zmarło siedemnaście lat temu.

– A jeśli nie? Jeśli oboje wciąż żyją?

– Posłuchaj tego, co mówisz. Mieliby nie tylko powstać z martwych, lecz także przyjechać do Waszyngtonu dokładnie w tym samym czasie, kiedy ty tu jesteś? To bez sensu.

Peter otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz tylko zwiesił ramiona. Maus oczywiście miał rację.

– To nie była ona – stwierdził cicho. Przez chwilę wpatrywał się w szklankę, po czym spojrzał na przyjaciela. – To nie była ona, prawda?

– Nie, Peterze. To nie mogła być ona.

– Wiem – przyznał. – Ale to była taka cudowna mrzonka.

– Musisz wreszcie o niej zapomnieć, mój przyjacielu.

Peter zamknął oczy.

– Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby żyć dalej, Maus.

Właśnie wtedy Peter postanowił zmienić nazwisko. Nie był już przecież synem swojego ojca ani bratem swojego brata. I to od wielu lat. Może naszedł wreszcie czas, żeby przybrał nową tożsamość, która będzie pasować do jego nowego życia. Nie odniósł tak wielkiego sukcesu jak Maus, więc niewiele miał do stracenia, stając się kimś innym. Tylko w ten sposób mógł zacząć wszystko na nowo.

Rozdział dwudziesty drugi

Werner Vogt przebywał w ośrodku mieszkalno-opiekuńczym trzy przecznice od oceanu w miejscowości Boca Raton. Po wypiciu trzech filiżanek kawy przez trzy godziny jechałam na południe – zatrzymując się po drodze dwa razy, by skorzystać z toalety – i zgłosiłam się na recepcję, skąd pokierowano mnie do mieszkania pana Vogta na ósmym piętrze.

– Bardzo się ucieszy z pani wizyty – zapewniła mnie z uśmiechem recepcjonistka. – Pokocha go pani. To prawdziwy czaruś.

Pojechałam windą na górę i zapukałam trzy razy, zanim usłyszałam dobiegające ze środka szuranie kroków. Chwilę później drzwi się otworzyły i zobaczyłam przed sobą starszego mężczyznę z siwymi włosami, oczami koloru rozmytego błękitu, bulwiastym nosem i wielkim plastikowym aparatem wystającym z uszu. Skórę miał bladą i pokrytą plamami, za to gdy się do mnie uśmiechnął, rozpromieniła mu się cała twarz.

– Mam gościa! – wykrzyknął z ciężkim niemieckim akcentem. – I to nie byle jakiego, śliczną dziewczynę! Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Gdy staruszek się do mnie uśmiechnął, po prostu musiałam mu odpowiedzieć tym samym. Jego entuzjazm był zaraźliwy i rozumiałam już, co miała na myśli recepcjonistka.

– Dzień dobry, panie Vogt – odezwałam się głośno, pamiętając, co mówił Geoff na temat jego głuchoty. – Nazywam się Emily Emerson. Przysłał mnie tu Geoff Brock z muzeum w Blanding.

– Geoff Brock! Trzeba było tak od razu. Zapraszam!

Weszłam do środka i znalazłam się w pokoju pełnym zegarów z kukłką, które zajmowały każdy fragment wolnej przestrzeni na ścianach.

– Naprawiam je – wyjaśnił gospodarz, widząc moje pytające spojrzenie. – Takie mam hobby od lat, moja droga. Chodźmy,

usiądziemy na tarasie.

Wysłałam za nim na oszklony balkon ze wspaniałym widokiem na Ocean Atlantycki.

– Ma pan piękne mieszkanie, panie Vogt – powiedziałam.

– Dziękuję i proszę, mów mi Werner, bo inaczej będę się czuł staro. – Zaniósł się śmiechem, kiedy siadaliśmy. – Dlaczego Geoff cię do mnie przysłał? Nie żebym się skarżył.

– Szukam informacji na temat człowieka, który chyba jest moim dziadkiem, a Geoff uważa, że możesz coś o nim wiedzieć.

– Dziadkiem, powiadasz? – Nachylił się w moją stronę i poprawił aparat w prawym uchu. – A jakże się on nazywa?

– Peter Dahler – odparłam, bacznie przyglądając się twarzy Wenera. – Możliwe, że był jeńcem wojennym i że trafiliście razem do obozu w Belle Creek.

– Dahler – szepnął staruszek. – Mój Boże, nie słyszałem tego nazwiska od siedemdziesięciu lat.

Oddech uwiązał mi w gardle.

– Znałeś go?

Werner wolno pokiwał głową.

– Niezbyt dobrze. Spędziłem tam raptem miesiąc czy dwa. Potrzebowali dodatkowych rąk do pracy przy zbiorze trzciny, więc posłali tam grupę mężczyzn, między innymi mnie. Dahler już tam był. Chyba nawet od dłuższego czasu.

– Jakim był człowiekiem?

Staruszek zamyślił się na moment.

– Milczący. Sympatyczny, ale milczący. Wieczorami grywaliśmy w karty, ale Dahler wolał być sam. Ciągłe z nosem w książce, często cytował swoich ulubionych autorów. Zawsze trzymał się z nim drugi gość, którego nazywaliśmy Maus, ale chyba nie tak miał na imię. Po niemiecku to znaczy „mysz”, więc to pewnie przezwisko. Nigdy nie poznałem jego prawdziwego imienia, ale pamiętam, że się przyjaźnili.

– Przypominasz sobie coś jeszcze? Na temat Petera Dahlera?

Werner zmarszczył brwi.

– Niestety nie. Może twoi rodzice będą ci mogli powiedzieć coś więcej, młoda damo.

– W tym właśnie sęk, że nie. Wydaje mi się, że Peter Dahler to mój dziadek ze strony ojca, ale on go nigdy nie poznał. Musiało się coś wydarzyć i dziadek nigdy nie wrócił do babci.

– O, przykro mi to słyszeć. Podczas wojny często działy się takie rzeczy. Zakładam, że twoja babcia też była Niemką?

– Nie. Wychowała się na farmie w Belle Creek.

Werner usiadł prosto i wlepił we mnie wzrok.

– Twoja babcia była miejscowa? I urodziła dziecko jeńcowi wojennemu?

– Tak mi się wydaje. Nigdy nie opowiadała o moim dziadku, więc założyliśmy, że po prostu ją zostawił. Niedawno wydarzyło się jednak coś, co każe nam przypuszczać, że nie znamy całej historii.

Opowiedziałam mu o obrazie, naszej wyprawie do Niemiec i Atlanty i o tym, że wciąż nie udało nam się odnaleźć Petera Dahlera.

– Jakie to niezwykle – powiedział Werner, gdy skończyłam mówić.

– W tamtych czasach więźniowie raczej nie zadawali się z miejscowymi, rozumiesz? Dahler wiele ryzykował, żeby być z twoją babcią. Zresztą ona też.

Przytaknęłam.

– Chciałabym ci zadać jeszcze jedno pytanie. Obraz, o którym wspomniałam, został przysłany przez wdowę po Ralphie Gaertnerze. Kojarzysz, żeby taka osoba przebywała z tobą w obozie Belle Creek?

– Ten słynny malarz? Och nie, na pewno bym zapamiętał – mężczyzna umilkł i zapatrzył się w dal. – Z drugiej strony nie znałem nazwisk wszystkich chłopaków. Wielu z nich nosiło przezwiska. Jednego faceta nazywano Fuss, co oznacza „stopa”, bo dobrze grał w nogę. Był też Muttersöhnchen, czyli maminsynek. Biedny dzieciak, co noc zalewał się łzami na swojej pryczy. No i jeszcze Zwiebel, cebula, bo zawsze śmierdział cebulą, niezależnie od tego, co było na kolację.

– I Maus – wtrąciłam.

– Tak. Mysz. – Wzruszył ramionami. – To mógł być Gaertner. Ale raczej rozpoznałbym to nazwisko dawno temu. Gaertner zyskał sławę bodajże w latach pięćdziesiątych?

– Raczej sześćdziesiątych.

– Cóż, byłem wtedy dużo młodszy. Zapamiętałbym, gdyby jakiś znany artysta nosił nazwisko człowieka, którego kiedyś znałem. Ale jak już mówiłem, przebywałem w Belle Creek dosyć krótko – zawiesił głos. – Masz smartfona? Może gdybyś pokazała mi zdjęcie Ralpha Gaertnera, rozpoznałbym w nim kolegę z obozu jenieckiego.

– Świetny pomysł. – Wyjęłam telefon i wygooglowałam Gaertnera. Otworzyłam zdjęcie w Wikipedii, powiększyłam je i pokazałam Wernerowi. Przyglądał mu się przez kilka minut, po czym zmarszczył brwi.

– Nie kojarzę tej twarzy. Ale na tym zdjęciu jest już stary, prawda? Może uda ci się znaleźć jakieś jego zdjęcie z młodości?

Wzięłam telefon i zaczęłam przeglądać Google'a, aż wreszcie natrafiłam na zdjęcie młodego Gaertnera, chociaż zrobione w latach sześćdziesiątych, czyli długo po tym, jak Werner Vogt pracował w Belle Creek. Był przystojnym mężczyzną, przypominał trochę jasnowłosego Errola Flynna.

– Nie – powiedział Vogt, gdy ponownie wziął ode mnie telefon i badawczo przyjrzał się zdjęciu. – Chyba go nie poznaję. Ale jeśli Ralph Gaertner znał Dahlera, to mogli się poznać w Niemczech. Wszystkich nas tam odesłano po wojnie.

Próbowałam zignorować ucisk w gardle. Werner nie mógł mi pomóc odnaleźć Petera Dahlera ani powiązać go z Ralphem Gaertnerem. Ale przynajmniej znał mojego dziadka, a to już coś.

– Skoro odesłano cię do Niemiec, to dlaczego wróciłeś do Stanów? – zapytałam.

Staruszek zapatrzył się w ocean.

– Odkąd postawiłem stopę na amerykańskiej ziemi, czułem się tu mile widziany. Czy to nie dziwne? Jeniec wojenny nie powinien się czuć jak u siebie wśród swoich wrogów, prawda? Kiedy schwytano mnie we Włoszech i sprowadzono do Ameryki, spodziewałem się, że trafię do kraju, w którym będą mnie nienawidzić za samą przynależność do narodu niemieckiego, tak jak nas uczono nienawidzić każdego, kto był inny niż my. Ale tu było inaczej. Ludzie nie pałali do nas nienawiścią. Byli mili. I najczęściej traktowali nas przyzwoicie. Rozmawiali z nami, chcieli nas poznać. Poza tym karmili nas trzy razy dziennie, Emily. Nigdy wcześniej tego nie zaznałem. A tu byliśmy najedzeni do syta. Nie musieliśmy przełykać

nienawiści zamiast mięsa i chleba. Praca w obozach bywała ciężka – mówił dalej. – Przez jakiś czas pracowałem w fabryce konserw i zbierałem cytrusy. W Belle Creek panowały najtrudniejsze warunki. Żar lał się z nieba, a wilgotność powietrza była potworna. Tutaj – wskazał w stronę oceanu – masz morską bryzę i piękne widoki. Ale kiedy tkwisz w błocie na plantacji trzciny cukrowej, czasem nie możesz złapać tchu. Były tam węże, aligatory i inne dzikie zwierzęta i zawsze trochę się baliśmy, że zostaniemy pożarci żywcem. Szczerze mówiąc, cieszyłem się, kiedy mnie stamtąd zabrano. Współczuliśmy chłopakom, którzy musieli pracować w Belle Creek przez okrągły rok. Ale – dodał szybko – i tak nie mieli najgorzej. Towarzystwo w obozach było sympatyczne. Myślę, że większość chłopców cieszyła się, że nie oberwie już kulki. Jedzenie było dobre i czy możesz uwierzyć, że wypłacano nam osiemdziesiąt centów dziówki? Mogliśmy za to kupować papierosy i różne inne rzeczy, nawet piwo. A przynajmniej to, co Amerykanie nazywali piwem; my, Niemcy, byliśmy przyzwyczajeni do innego smaku, ale darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby. Dzięki tym zarobkom większość z nas wróciła po wojnie do Niemiec z jakąś sumką. Mieliśmy ułatwiony start. Moim zdaniem amerykański rząd potraktował nas całkiem przyzwoicie.

– Jak się czuliście, wracając do domu po tak długim pobycie w niewoli? – pytałam dalej.

– Przede wszystkim nie od razu wróciliśmy do domu. Na początku musieliśmy odpracować swoje w Wielkiej Brytanii. To chyba miała być pokuta za to, jak Niemcy skrzywdzili ten kraj. Wróciłem do domu dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym i ledwo go poznałem. Pochodzę z Kolonii, którą podczas wojny doszczętnie zbombardowano. Miasto było pogrążone w ruinie, podobnie jak jego mieszkańcy. Chciałem tam zostać i pomóc w odbudowie, naprawdę, ale mój ojciec zmarł tuż przed wojną, brat zginął we Francji, a matka umarła w czterdziestym dziewiątym. Żyłem pośrodku całego tego pobojuwiska i nawet podczas sprząwania gruzów myślałem o polaciach amerykańskiej ziemi, polach, farmach i nieskończonych możliwościach. Chciałem tu wrócić, bo w Stanach czułem się bardziej u siebie niż w Kolonii. Złożyłem więc podanie i wróciłem tu w pięćdziesiątym pierwszym.

– Myślę, że mój dziadek mógł zrobić to samo. Zastanawiałam się nad tym, jak musiał się czuć, zostawiając ojczyznę i zaczynając wszystko od nowa. Jak ty się czułeś? Nie tęskniłeś za Niemcami?

– Jasne, bez przerwy. Później, gdy już miałem trochę pieniędzy, zacząłem tam jeździć mniej więcej raz w roku. Niemcy zawsze będą częścią mnie. Jednak w życiu, Emily, na każdą ścieżkę, którą wybierzesz, przypada taka, z której rezygnujesz. Po każdym rozstaju dróg coraz bardziej oddalasz się od miejsca, z którego wyruszyłeś. I nie wolno się oglądać za siebie. Trzeba patrzeć do przodu. W przeciwnym razie utkniesz w miejscu. Wydaje mi się, że twój dziadek o tym wiedział. Nie mógł zostać w Niemczech. Musiał iść do przodu. Mimo to – dodał – jest rzeczą ludzką zastanawiać się nad drogami, których nie wybraliśmy.

– A jeśli nasz wybór okaże się błędem? – zapytałam łagodnie. Nie mówiłam już o jego decyzji o opuszczeniu Niemiec ani o życiu mojego dziadka, a sądząc po malującym się na twarzy Wenera Vogta współczuciu, doskonale to rozumiał.

– Emily – odezwał się wolno – czasem popełniamy w życiu błędy, ale droga, którą obieramy, zawsze jest właściwa. To ona cię tu doprowadziła. – Zamyślił się nad czymś, a po chwili jego twarz się rozpromieniła. – Przypomniało mi się coś, co usłyszałem kiedyś od Dahlera. Był to fragment jednej z książek, które czytał. Nie pamiętam dokładnie, ale brzmiało to mniej więcej tak: Nieważne, ile razy upadniesz. Ważne, byś po każdym takim upadku się podniósł. Pewnie coś przekręciłem, ale rozumiesz, w czym rzecz. Gdyby twój dziadek był tu z nami dzisiaj, myślę, że powiedziałby ci to samo. W życiu wszystkim nam trafiają się upadki. Jednak prawdziwym zwycięstwem jest się podnieść i próbować dalej.

Poczułam napływające do oczu łzy, kiedy Werner wstał, by odprowadzić mnie do drzwi, tłumacząc, że musi odpocząć, ale mogę do niego napisać, gdybym miała jeszcze jakieś pytania.

– Dziadek byłby z ciebie dumny – dodał, kładąc mi rękę na policzku, gdy staliśmy w korytarzu.

Pociągnęłam nosem.

– Nie znasz mnie. Zrobiłam wiele rzeczy, z których nie jestem dumna.

– Ale jesteś dobrym człowiekiem. Mam dziewięćdziesiąt pięć lat i potrafię stwierdzić, czy ktoś jest z gruntu dobry czy zły. Popełniłaś trochę błędów, dziecko. Jak my wszyscy. Nie pozwól jednak, by te błędy cię zniszczyły. Szkoda życia.

Słowa Wenera pobrzmiwały mi w głowie jeszcze długo po tym, jak skręciłam w Turnpike. „Droga, której nie wybrałam”. Tak długo zastanawiałam się nad tym, co by było, gdybym zatrzymała Catherine. Gdybym dziewiętnaście lat temu powiedziała Nickowi o dziecku. Albo gdyby mój ojciec nas nie zostawił. Gdyby matka nie umarła. Moje życie na pewno wyglądałoby teraz inaczej. Ale wtedy ja nie byłabym sobą. „Nie wolno się oglądać za siebie – powiedział Werner. – Trzeba patrzeć do przodu”.

Postanowiłam posłuchać jego rady. Ale najpierw musiałam pożegnać się z przeszłością.

*

Wieczorem usiadłam przed komputerem i zabrałam się do pisania najważniejszej rzeczy w swoim życiu: listu do Nicka, w którym zamierzałam mu wreszcie wszystko wyjaśnić. Nie wystarczyło, że powiedziałam mu o Catherine i moim wstydzie. Musiałam opowiedzieć mu także o reszcie.

Nigdy nie przestałam Cię kochać. Nawet przez sekundę. Życie jest zbyt krótkie, żeby kłamać, Nick, i dlatego musisz to wiedzieć. Czasem jedyne, co mamy, to chwila obecna. Nie chcę później żałować, że nie powiedziałam Ci, co naprawdę czuję. Wiem, że masz żonę i może właśnie dlatego nie boję się tego wyznać. Wiem, że do niczego nie może między nami dojść i nie dojdzie, wyłącznie z mojej winy, ale chciałam tylko, żebyś wiedział. Życzę Ci jak najlepiej, Nick, bo nikt nie zasługuje na to bardziej niż Ty.

Parę minut po północy pojechałam na pocztę w kapciach i piżamie, żeby wysłać list do Nicka. Gdybym tego nie zrobiła, rano mogłabym zmienić zdanie, czego pragnęłam uniknąć. Kiedy wypuściłam list z ręki i usłyszałam, jak z szelestem ląduje

w skrzynce, poczułam się tak, jakbym pozbyła się ogromnego ciężaru. „Nie należy się oglądać za siebie. Trzeba patrzeć do przodu”.

*

W następnym tygodniu bezskutecznie szukałam informacji dotyczących Petera Dahlera. Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Wydzwaniałam do galerii na Południowym Wschodzie, namierzając ludzi, o których Gaertner wspominał w wywiadach, i bez końca przetrząsałam internet w poszukiwaniu artykułów z gazet i czasopism poświęconych jemu oraz innym niemieckim artystom, jednak człowiek prawdopodobnie będący moim dziadkiem wciąż był nieuchwytny, a mnie powoli kończyły się pomysły.

Kilka dni po spotkaniu z Vogtem wybrałam się na kolację z ojcem. Atmosfera między nami była napięta i wyglądało na to, że trochę się od siebie oddaliśmy od czasu naszej wspólnej wyprawy do Savannah. Rozmowa się nie kleiła, a ja nie umiałam właściwie wyrazić zaniepokojenia jego stanem zdrowia.

– Nic mi nie jest – zbywał mnie za każdym razem, gdy pytałam, jak się czuje albo czy czeka go w najbliższym czasie chemiolub radioterapia. – Ostatnią rzeczą, jaką powinnaś teraz robić, jest martwienie się o mnie.

Mimo to się martwiłam i podczas gdy krążyliśmy wokół innych wątków – takich jak praca czy nasza wspólna podróż do Niemiec – miałam wrażenie, że zamiatamy chorobę ojca pod dywan, tak samo jak wcześniej ignorowaliśmy temat naszego wieloletniego braku kontaktu. Jedyne moment, gdy znowu się do siebie zbliżyliśmy, był wtedy, gdy ojciec zapytał mnie, czy miałam jakieś wieści od Nicka.

– Właściwie to tak – odparłam i streściłam mu naszą rozmowę przez telefon.

Ojciec się uśmiechnął.

– Wydaje się, że to dobry człowiek, Emily.

Odwróciłam wzrok, by nie widział wzbierających w moich oczach łez.

– Owszem – przyznałam łagodnie i na tym rozmowa się skończyła.

Wieczorem, już po spotkaniu z ojcem, siedziałam przy stole w kuchni i wpatrywałam się w tajemniczy obraz, usiłując odczytać wyraz oczu młodszej wersji mojej babci. O czym mogła wtedy myśleć? Co by mi powiedziała, gdyby wciąż żyła?

Parę dni później w końcu udało mi się spotkać z Myrą na drinka i od razu dostrzegła, że coś się we mnie zmieniło.

– Wyglądasz zupełnie jak nie ty. Wydajesz się taka... zrównoważona, jak nigdy – zauważyła, przyglądając mi się, gdy już usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy stoliku w Bösendorfer Lounge w centrum miasta.

Otworzyła szerzej oczy, gdy opowiedziałam jej o wszystkim, co zdarzyło się od naszej ostatniej rozmowy, kończąc na liście do Nicka i mojej decyzji o tym, że spróbuję wybaczyć ojcu.

– Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziałaś mi wcześniej o tym koleśiu z Atlanty!

– Myślałam, że mnie potępisz.

– W takim razie kiepsko mnie znasz, słonko. – Wyciągnęła rękę przez stół i ścisnęła moją dłoń. – W młodości przeżyłaś bardzo trudny okres, a teraz wreszcie odzyskujesz kontrolę nad sytuacją. Jestem z ciebie dumna.

W środę wczesnym wieczorem, gdy siedziałam na ganku, sącząc wino, niespodziewanie zadzwonił telefon. Za godzinę miałam się spotkać z Myrą na kolacji w Maxine's, niewielkim bistro na końcu ulicy, i właśnie rozkoszowałam się piękną wiosenną pogodą, usiłując przewietrzyć głowę.

– Emily Emerson? – rozległ się poważny głos po drugiej stronie linii.

– Przy telefonie. – Wyprostowałam się na krześle.

W głosie dzwoniącego mężczyzny słychać było niemiecki akcent.

– Podobno interesuje panią prywatne życie Ralpa Gaertnera.

Stłumiłam w sobie potrzebę tłumaczenia się i spytałam:

– Z kim mam przyjemność?

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Nazywam się Arno Fromm.

Nazwisko brzmiało jakby znajomo i przez chwilę wysilałam mózg, zanim mnie olśniło. Byłam prawie pewna, że widziałam je w ciągu

ostatniego tygodnia w którymś z artykułów poświęconych niemieckim artystom.

– Pan też jest malarzem – odparłam, chociaż był to strzał w ciemno.

– Owszem – powiedział. – Co konkretnie panią interesuje? Dzwoniła do mnie Bette Handler z Savannah. Z tego, co zrozumiałem, jest pani dziennikarką. Mój przyjaciel nie żyje od kilku miesięcy i nie chcę, by ktokolwiek wtykał nos w nie swoje sprawy.

Mój reporterski instynkt powinien był mi podpowiedzieć, żebym wyciągnęła z niego jeszcze trochę informacji. Ale ja nie myślałam jak reporterka, tylko jak wnuczka.

– Wydaje mi się, że Ralph Gaertner znał mojego dziadka – powiedziałam. – Którego usiłuję odnaleźć.

– Pani dziadka? Czyli kogo? – Głos Fromma stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

– Nazywał się Peter Dahler.

Odgłos gwałtownie wciąganego powietrza po drugiej stronie linii podpowiedział mi, że trafiłam w czuły punkt.

– Zna go pan? – zapytałam, kiedy Fromm się nie odezwał. A gdy nie doczekałam się odpowiedzi, dodałam: – Moja babcia nazywała się Margaret, Margaret Mae Evans, i w czasie drugiej wojny światowej mieszkała w pobliżu obozu dla jeńców wojennych na Florydzie.

– Nie, to niemożliwe – odparł błyskawicznie Fromm. – Margaret zmarła wiele lat temu, przy porodzie. Podobnie jak jej dziecko.

– Znał ją pan? – spytałam zaskoczona. A gdy znowu nic nie powiedział, przerwałam pełną podejrzliwości ciszę słowami: – Ona nie zmarła przy porodzie, panie Fromm, tylko parę miesięcy temu. Jej syn, a mój ojciec, również przeżył i rozpaczliwie pragnie się dowiedzieć, co spotkało jego ojca. Tak jak i ja.

– To nie może być prawda – stwierdził głucho Fromm.

– Przysięgam, że nie kłamię.

– Nie – powiedział cicho, po czym odchrząknął i dodał: – Jeśli naprawdę jest pani wnuczką Margaret, muszę się z panią spotkać osobiście, żeby stwierdzić, czy mówi pani prawdę.

– Skąd pan znał moją babcie? – zapytałam. – Czy pan też przebywał w Belle Creek?

– Tak – odparł po krótkim wahaniu.

Serce podskoczyło mi w piersi. Byłam coraz bliżej poznania odpowiedzi. Czułam to w kościach.

– Jeśli chce pani ze mną porozmawiać – odezwał się po chwili Fromm – proszę przyjechać do Atlanty.

Znowu ta Atlanta. Przyciągała mnie do siebie jak magnes.

– Kiedy? – zapytałam.

– Jak najszybciej.

*

– Myślisz, że ten cały Fromm może mówić prawdę? – zapytał nazajutrz rano ojciec, kiedy zadzwoniłam do niego z lotniska w Atlancie. Przyleciałam pierwszym samolotem, na jaki udało mi się kupić bilet, ale nie zabrałam ojca, bo martwiłam się tym, że za bardzo się eksploatuje. Mimo to uznałam, że ma prawo wiedzieć o potencjalnym tropie.

– Sprawdziłam go wieczorem. Możliwe, że znał Gaertnera. On również jest niemieckim malarzem i jeśli wierzyć jego słowom, w czasie drugiej wojny trafił do obozu w Belle Creek.

– Tym bardziej prawdopodobne, że i Ralph Gaertner się tam znalazł – stwierdził ojciec. – Wydaje się to całkiem logiczne, prawda?

– Może i tak. Ale czy nie byłby to za duży zbieg okoliczności, gdyby zamknięto razem aż dwóch utalentowanych artystów? Fromma i Gaertnera? Czy ktoś – na przykład Werner Vogt – nie zarejestrowałby pojawienia się dwóch niesamowicie uzdolnionych malarzy w jednym maleńkim obozie dla jeńców wojennym?

– Przecież nie musieli malować w Belle Creek – zauważył ojciec.

– Może tylko się tam zaprzyjaźnili, a dopiero później poświęcili się sztuce. Poza tym tylko Gaertner odniósł prawdziwy sukces. Może był świetnym nauczycielem i pomógł Frommowi. Jeśli tak na to spojrzeć, ma to więcej sensu.

– Może Fromm będzie znał odpowiedzi.

– Jak sądzisz, dlaczego chciał się z tobą spotkać osobiście?

– Chyba nie uwierzył mi w historię o babci Margaret. Myślę, że chciał się na własne oczy przekonać, czy jestem do niej podobna.

– W takim razie musiał ją dobrze znać.

Zawahałam się.

– Słuchaj, pewnie to szalony pomysł, ale czy twoim zdaniem może się okazać, że Arno Fromm to Peter Dahler?

– Co takiego?

– Może zmienił nazwisko po przeprowadzce do Stanów? Skoro znał Gaertnera i babcię Margaret... to przecież niewykluczone?

Ojciec przez chwilę milczał.

– Może i tak. Ale mimo wszystko brzmi to dosyć nieprawdopodobnie, nie uważasz? Skoro mamy uwierzyć, że ktoś, kto znał mojego ojca, przysłał ci obraz, to należałoby sądzić, że on także wie o twoim istnieniu, prawda? A Arno Fromm najwyraźniej nigdy o tobie nie słyszał.

– Och, chyba masz rację. – Żal ścisnął mi serce. Pokiwałam głową, chociaż ojciec nie mógł tego zobaczyć. Z westchnieniem zmieniłam temat. – A jak ty się czujesz? Byłeś w tym tygodniu u lekarza?

– Tak, Emily, i nie masz powodu do zmartwień. Czuję się dobrze. Ale dzięki za troskę.

– Nie musisz mi dziękować. Jesteś moim ojcem.

Odchrząknął.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś, Emily, naprawdę. Zawiodłem cię już tyle razy. Nie zasługuję na szansę, żeby cię lepiej poznać, ale bardzo się cieszę, że mi ją dajesz.

Przez chwilę milczałam. Może jednak popełniałam błąd. Może ojciec należał już do przeszłości. Wiedziałam jednak, co znaczy zaważyć sprawę i mieć poczucie, że bezpowrotnie straciło się kogoś, na kim szczerze ci zależało. Przypomniałam sobie słowa zacytowane przez mojego dziadka, które powtórzył mi Werner, i uśmiechnęłam się.

– Tato, myślę, że nie jest ważne to, ile razy się upada, tylko ile razy się podnosi i próbuje znowu.

Rozdział dwudziesty trzeci

Po rozmowie z tatą prosto z lotniska pojechałam do baru, w którym umówił się ze mną Arno Fromm, w dzielnicy Castleberry Hill na zachód od centrum. Budynek, stojący w bocznej uliczce w nieciekawej przemysłowej okolicy przypominał stary wagon kolejowy.

W środku panował gwar, a w powietrzu unosił się ciężki zapach tłuszczu i kawy. Nie miałam pojęcia, jak wygląda Arno Fromm; nie udało mi się znaleźć w internecie ani jednego wyraźnego zdjęcia. Nie spodziewałam się też, że mógłby mnie rozpoznać, jednak w ciągu dwudziestu sekund po tym, jak przekroczyłam próg lokalu, dostrzegłam machającego do mnie starszego mężczyznę siedzącego w narożnym boksie. Miał srebrzyste włosy, a jego blada skóra była mocno pocięta zmarszczkami.

Ruszyłam wąskim przejściem w jego stronę. Podniósł się z pewnym trudem i wpatrywał się we mnie, gdy do niego podeszłam.

– Arno Fromm? – spytałam.

– To ty – powiedział, ujmując moje dłonie. – Mój Boże, ty naprawdę jesteś wnuczką Margaret.

Łzy napłynęły mu do oczu i w tym momencie nabrałam pewności, że mój ojciec jednak się pomylił; że pomimo jego reakcji podczas naszej rozmowy telefonicznej, Fromm mógł być Peterem Dahlerem.

– Czy to pan jest moim dziadkiem? – wyrzuciłam z siebie. – Peter Dahler?

Mężczyzna zamrugał kilka razy, wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

– Nie – odparł. – Nie, nie. Nie nazywam się Peter i nie jestem twoim dziadkiem.

– Och. – Ogarnęły mnie wstyd i rozczarowanie. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. To oczywiste, że masz mnóstwo pytań. Zresztą ja też. – Wyciągnął rękę w kierunku mojej twarzy, zatrzymując ją

dosłownie milimetr od niej. – Mogę?

Kiwnęłam głową, a wtedy delikatnie dotknął mojego policzka, zaglądając mi w oczy.

– Wyglądasz dokładnie jak ona. Musisz zrozumieć, że to wszystko nie mieści mi się w głowie. Ale masz jej usta i nos. Malarz zawsze dostrzeże takie rzeczy. Powiedz mi, co się z nią stało? Jak to możliwe, że przeżyła?

– Nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Oczywiście. – Zrobił krok do tyłu i wskazał mi miejsce przy stoliku. – Proszę, usiądź. Zamówię dla nas kawę i porozmawiamy o tym, co wiemy.

Fromm przywołał kelnerkę, która zaraz do nas podeszła. Zapytał, czy mam ochotę na coś do jedzenia lub picia, ale odmówiłam, bo żołądek miałam pełen motyli. Chciałam tylko usłyszeć, co Arno ma mi do powiedzenia. Zamówił filiżankę kawy dla siebie i szklankę wody dla mnie. Kelnerka skinęła głową i odeszła.

– Jak to się stało, że tu trafiłaś? – zapytał Fromm, gdy znowu zostaliśmy sami. – Dlaczego szukasz Petera po tylu latach?

– Nie wiedzieliśmy nic na temat mojego dziadka – zaczęłam. – Aż tu nagle parę miesięcy temu otrzymałam pocztą obraz.

Opowiedziałam mu o akwareli, wyprawie z ojcem do Monachium i Atlanty oraz wizycie w Belle Creek. Gdy wspomniałam imię Louise, twarz Fromma przybrała lodowaty wyraz.

– Ta kobieta zrobiła wszystko, żeby rozdzielić Petera i Margaret – powiedział. – Miała w sobie dużo gniewu. Jej narzeczony zginął na wojnie, a Louise nienawidziła Petera nie tylko z powodu narodowości, lecz także dlatego, że kochał jej siostrę. Była zazdrosna i tyle – zawiesił głos. – Peter naturalnie wrócił do Belle Creek. A Louise powiedziała mu, że Margaret nie żyje.

Wlepiłam w niego zdumione spojrzenie.

– A on tego nie zakwestionował? Wiedząc, że Louise go nie cierpi?

– Oczywiście, że tak. Został na Florydzie jeszcze przez kilka lat, w nadziei, że Margaret wciąż tam jest. Wynajął nawet prywatnego detektywa za ostatnie zaoszczędzone pieniądze. Ale ona zniknęła, Emily. Zupełnie jakby rozpułyła się w powietrzu. Podejrzewam, że

twoja babcia również pomyślała, że Peter zginął, i rozpoczęła nowe życie razem z ich dzieckiem. Tylko dokąd wyjechała?

– Do Filadelfii, a później do Atlanty – odparłam, na co Arno szerzej otworzył oczy.

– Przecież Peter też osiadł w Atlancie! Jak to możliwe, że ich ścieżki nigdy się nie przecięły?

Pokręciłam głową.

– Może zanim oboje się tu przeprowadzili, pogodzili się z faktem, że to drugie odeszło na zawsze, i przestali szukać.

– Co za strata. – Fromm westchnął głęboko. – Tragiczne zrządzenie losu.

– Proszę, musi mi pan pomóc zrozumieć, co się stało – powiedziałam. – Nie wiem nic na temat swojego dziadka. Dopiero kilka tygodni temu poznałam jego nazwisko.

– Twoja babcia nigdy o nim nie opowiadała?

– Może to było dla niej zbyt bolesne – odparłam niepewnie. – Chociaż śpiewała mi kiedyś po niemiecku. Byłam za mała, żeby się nad tym zastanawiać, ale teraz myślę, że może chciała włączyć Petera do naszego życia, choćby w symboliczny sposób.

Arno uśmiechnął się lekko.

– To bardzo w stylu Margaret.

– Mówił pan, że też przebywał w Belle Creek?

– O tak. Wielu naszych z Afriki Korps tam trafiło. Podobno Belle Creek było jednym z najgorszych obozów dla jeńców wojennych w całej Ameryce ze względu na warunki pracy: upał, harówkę, palące słońce, ale moim zdaniem ci, którzy tak uważali, nie spędzili ani jednego dnia na wojnie. Belle Creek to była kaszka z mleczkiem w porównaniu z tym, co działo się w Afryce.

– Werner Vogt też o tym wspomniał.

Arno popatrzył na mnie zdziwiony.

– Vogt? Wielkie nieba, od lat nie słyszałem tego nazwiska. Rozmawiałaś z nim?

– W zeszłym tygodniu.

– Powiedział ci coś na temat Petera?

– Nie miał pojęcia, co się z nim później stało. Nie był też pewien, czy słynny Ralph Gaertner mógł z wami przebywać w Belle Creek.

– Ralph Gaertner? – Fromm zaśmiał się z nieobecny wyrazem twarzy. – O tak. Był tam.

Nachyliłam się w jego stronę.

– Naprawdę? Czy właśnie tam poznali się z moim dziadkiem?

Arno rozparł się na krześle i przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

– Dlaczego sądzisz, że twój dziadek znał Ralpha Gaertnera?

– Obraz, który dostałam, został nadany przez wdowę po Gaertnerze. A osoby zatrudnione w galeriach sztuki w Monachium i Atlancie, do których udało nam się dotrzeć z ojcem, zgodnie twierdzili, że ta praca bardzo przypomina dzieła Gaertnera, ale nie może być jego autorstwa, ponieważ twarz kobiety na pierwszym planie jest doskonale widoczna, a Gaertner nigdy nie malował twarzy.

– Aha.

– Podobno wziął pod swoje skrzydła grupę młodych artystów w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Doszliśmy do wniosku, że mój dziadek mógł być jednym z podopiecznych Gaertnera. Albo znał któregoś z jego uczniów.

– Rozumiem.

– Czy Gaertner był również pańskim mentorem?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Chyba można powiedzieć, że uczyliśmy się jeden od drugiego. W latach pięćdziesiątych kilku z nas przeniosło się z Niemiec do Stanów i tworzyliśmy pewien rodzaj społeczności. Oczywiście było jasne, że on – Gaertner – ma największy talent spośród nas. I owszem, na początku chętnie pomagał innym szlifować swoje umiejętności. Jednak z biegiem lat coraz bardziej zamykał się w sobie.

– Czy dlatego pod koniec życia stworzył tak niewiele dzieł?

– Widzę, że odrobiłaś pracę domową – zauważył Fromm. – I rzeczywiście, pewnie dlatego malował coraz mniej obrazów pod publiczność. Ale nigdy nie przestał tworzyć. Gdy już odkryjesz, jakich cudów można dokonać pędzlem, malowanie staje się dla ciebie czymś równie naturalnym jak oddychanie. Nie możesz bez tego żyć. Ralph malował jeszcze grubo po dziewięćdziesiątce.

– A więc byliście bliskimi przyjaciółmi?

Fromm westchnął.

– Pod koniec jego życia ostro się pokłóciliśmy. Zawsze będę tego żałował. W ostatnim roku oddaliliśmy się od siebie; obawiam się, że z mojej winy.

Byłam ciekawa szczegółów, ale przecież nie przyjechałam tu z powodu Ralph Gaertnera, tylko mojego dziadka.

– Czy może mi pan powiedzieć coś więcej na temat Petera Dahlera?

– Tak, oczywiście. – Dał znak kelnerce, która podeszła do nas z rachunkiem. – Ale jak wiesz, jestem malarzem. Uważam, że obrazy mówią więcej niż słowa. I dlatego wołałbym ci pokazać historię twojego dziadka, zamiast o niej opowiadać. Pójdiesz ze mną?

*

Kwadrans później parkowałam za starym cadillakiem Arno Fromma przed niskim ceglany magazynem wyglądającym, jakby zbudowano go w dziewiętnastym wieku. Idealnie nadawałby się do ukrycia w nim zwłok. Arno budził jednak zaufanie i choć ta wizyta wydawała się pozbawiona sensu, musiałam wierzyć w to, że miał jakiś powód, by mnie tu przywieźć.

Wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i zwrócił się do mnie z uniesionymi brwiami, pewnie zastanawiając się, dlaczego jeszcze za nim nie idę. Wysiadłam więc z wynajętego samochodu, zamknęłam go i ruszyłam za staruszką w kierunku wejścia do magazynu. Gdy tam dotarliśmy, Fromm zatrzymał się i przypatrywał mi się przez długą chwilę.

– Dawno tu nie zaglądałem – wyznał, opierając z westchnieniem dłoń na drzwiach.

– Dobrze się pan czuje? – zapytałam, kiedy się nie poruszył.

– Po prostu dopadły mnie wspomnienia. – Nabrał głęboko powietrza. – Emily, moja droga, czy mogłabyś wybrać kod? – Wskazał klawiaturę po prawej stronie wejścia. – Ręce mi się trzęsą.

Kiwnęłam głową i zrobiłam krok do przodu.

– Zero, siedem, zero, pięć, dwa, sześć – powiedział.

Dopiero gdy wystukałam cyfry, dotarło do mnie, dlaczego wydały mi się znajome.

– Data urodzin mojej babci – szepnęłam. – Piąty lipca tysiąc dziewięćset dwadzieścia sześć.

– Tak. – Fromm uśmiechnął się smutno, otworzył drzwi i zaprosił mnie gestem do środka.

W budynku było wilgotno i duszno, jakby od miesięcy nikt go nie wietrzył. Panująca w nim atmosfera sprawiła, że poczułam się tak, jakbyśmy wchodzili do miejsca, które zatrzymało się w czasie.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jesteśmy i co tu robimy? – zapytałam, słysząc echo naszych kroków w długim korytarzu.

Najwyraźniej szliśmy do pomieszczenia znajdującego się na samym końcu.

– Zaraz się dowiesz – obiecał Fromm, nie odwracając się. – Niedługo wszystko się wyjaśni.

Zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami w korytarzu i wbił kolejny kod. Usłyszałam kliknięcie, a później przekręcił gałkę, wszedł do środka i nacisnął włącznik znajdujący się po prawej.

Weszłam za nim, a gdy mój wzrok przyzwyczał się do nagłego światła, stanęłam jak wryta. Zobaczyłam ogromne pomieszczenie wypełnione obrazami – niektóre wisiały na ścianach, inne wyeksponowano na sztalugach, a niektóre czekały na zapakowanie do pudeł. Nawet sufit pomalowano tak, by przypominał piękne niebo o brzasku, z tyłoma odcieniami fioletu, że nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego. W oknach zamontowano rolety zaciemniające, żeby chronić dzieła przed światłem słonecznym.

– Co to za miejsce? – szepnęłam, urzeczona widokiem tych wszystkich prac.

Jednak chyba domyśliłam się odpowiedzi, z czego Fromm zdawał sobie sprawę, bo popatrzył na mnie ze smutnym uśmiechem.

– Pracownia twojego dziadka.

– Mój Boże... – wymamrotałam, wchodząc głębiej do środka.

Zaczęłam oglądać obrazy jeden po drugim. Były ustawione w szeregi, tworzyły skupiska, wypełniając sobą każdy skrawek wolnej przestrzeni. Z tego co widziałam, każdy obraz przedstawiał tę samą kobietę. Moją babcię. Prawie na wszystkich była ubrana w taką samą sukienkę z cienkiej czerwonej bawełny jak na obrazie, który mi

przysłano. Na większości stała pośrodku plantacji trzciny cukrowej albo na tle krajobrazu kojarzącego mi się z parkiem narodowym Everglades. Teraz już byłam pewna, że wszystkie te prace przedstawiały Belle Creek.

– A więc mój dziadek też był malarzem.

– O tak. A Margaret była miłością jego życia – odparł cicho Fromm. – Nie potrafił jej przestać malować, choćby nie wiem jak bardzo się starał. Robił to więc tutaj, gdzie przechowywał wszystkie jej portrety. Była to jego kryjówka, w której zawsze towarzyszyła mu Margaret.

Przechadzając się po sali, oszołomiona liczbą obrazów poświęconych kobiecie, którą mój dziadek tak bardzo kochał i za którą tak tęsknił, zauważyłam, że tło na niektórych jest inne. W jednym kącie dostrzegłam na przykład portrety mojej babci przechadzającej się ulicami jakiegoś bawarskiego miasta. Możliwe, że było to Monachium.

– Te obrazy pochodzą chyba z czasów, gdy wyobrażał sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby mógł ją zabrać do domu – odezwał się zza moich pleców Fromm. – Na niektórych twoja babcia trzyma w ramionach dziecko.

– Dziadek wyobrażał sobie życie, jakie mógłby wieść, gdyby poznał swojego syna – wymamrotałam. – Czy mogłabym zrobić kilka zdjęć telefonem?

– Ależ śmiało.

Wiedziałam, że muszę pokazać te obrazy mojemu ojcu, aby się dowiedział, że był kochany, nawet jeśli mój dziadek niesłusznie uwierzył w to, że jego syn umarł. Miłość na odległość była przecież równie silna. To samo czułam do Nicka przez ostatnich dziewiętnaście lat, chociaż nie miałam odwagi, by pokonać dzielący nas dystans. Podobne było z Catherine, chociaż wciąż nie znalazłam sposobu, żeby ją odnaleźć. Brak fizycznego kontaktu z nimi nie umniejszył jednak mojej miłości i z moim dziadkiem mogło być podobnie. Nigdy nie przestał kochać kobiety i syna, o których myślał, że bezpowrotnie ich stracił.

Znalazłam dużo więcej obrazów przedstawiających moją babcię jako młodą dziewczynę w Belle Creek i inne, na których została sportretowana jako starsza kobieta. To znaczy, że mój dziadek

wyobrażał sobie, jak mogłaby wyglądać, gdyby miała szansę się zestarzeć, i udało mu się ją odwzorować prawie idealnie. Miała kurze łapki dokładnie takie same jak w prawdziwym życiu, a ułożenie głowy oraz kształt wygiętych w uśmiechu ust był tak trafiony, jakby dziadek malował jej portret na żywo. Jednego tylko nie zdołał uchwycić – w oczach babci brakowało smutku, który towarzyszył jej przez cały ten czas, gdy ją znałam. Szybko pojęłam przyczynę. Te portrety namalował mężczyzna, który ją kochał i który wypełniłby jej życie szczęściem. Gdyby naprawdę zdołali do siebie wrócić, smutek, który stanowił część Margaret, nigdy by się nie pojawił. Teraz już wiedziałam, że babcia opłakiwała go przez całe życie, a gdyby wszystko ułożyło się inaczej, nie musiałyby dźwigać tego ciężaru.

Byłam tak pochłonięta obrazami i wspomnieniami, że kompletnie zapomniałam o Frommie, do momentu aż do mnie podszedł.

– Emily? Chciałbym pokazać ci coś jeszcze. Pójdiesz ze mną?

Kiwnęłam głową i oddaliśmy się od serii obrazów, na których mój ojciec przedstawiony był jako niemowlę. Ruszyłam za Arnem wzdłuż szeregu prac ukazujących Margaret w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych taką, jaką wyobrażał ją sobie w tamtych czasach mój dziadek. Byłam w stanie określić epokę, patrząc na styl ubierania się postaci i tło obrazów, lecz także po sposobie, w jaki zmieniała się twarz mojej babci.

– Czyli to jednak on namalował obraz, który przysłała mi Ingrid Gaertner? – spytałam cicho, idąc za nim.

– Och, na pewno.

Zatrzymaliśmy się przed skupiskiem obrazów w prawym tylnym kącie magazynu.

– To tutaj – oznajmił Fromm.

Całą przestrzeń wypełniały dzieła różniące się od reszty. Żadne z nich nie przedstawiało mojej babci na pierwszym planie i chociaż na niektórych można było dostrzec zarys kobiety w czerwonej sukience daleko w tłumie, prace te nie pasowały do reszty. Mimo to artysta najwyraźniej miał obsesję na punkcie tej sceny. Obrazy przedstawiały chyba marsz na Waszyngton w 1963 roku. Słońce odbijało się w sadzawce lustrzanej, a na niektórych obrazach rozpoznałam sylwetkę doktora Martina Luthera Kinga stojącego na mównicy. Najbardziej niezwykle w tych obrazach było jednak morze

ludzi przelewających się po płótnie. Artysta pieczołowicie oddał każdą postać, chociaż żadnej twarzy nie można było zobaczyć wyraźnie; wszystkie zasłaniał cień albo były odwrócone od widza.

– Tych obrazów nie namalował mój dziadek? – zwróciłam się do Fromma.

Było w nich jednak coś znajomego.

– Emily – odezwał się powoli Arno. – Czy wiesz, co to jest?

Były to obrazy przedstawiające marsz na Waszyngton i nagle przypomniałam sobie to, co czytałam na temat początków kariery Gaertnera.

– Obrazy Ralphi Gaertnera, prawda? Szkice jego słynnej serii poświęconej marszowi na Waszyngton.

Staruszek przytaknął.

– Dzięki tej serii zaistniał jako artysta.

– Ale co te obrazy robią w magazynie mojego dziadka? – zapytałam, nachylając się z podziwem w stronę płócien. I pomyśleć, że prace słynnego malarza tak po prostu leżały sobie w zaciemnionym magazynie na obrzeżach miasta. – Muszą być warte fortunę.

Fromm przez chwilę milczał.

– Tamten dzień zmienił go raz na zawsze.

– Ralphi Gaertnera? – zapytałam.

Wolno pokiwał głową.

– Dostrzegł ją w tłumie. Był pewien, że to ona. Ale później nie mógł jej znaleźć, więc zaczął się zastanawiać, czy tylko to sobie wyobraził, czy może zobaczył anioła. Wybrał się na ten marsz, ponieważ czuł, że ma obowiązek sportretować i poprzeć walkę o prawa obywatelskie. Chyba wciąż dręczyło go poczucie winy, bo walczył po stronie Niemiec w czasach, gdy Hitler próbował zlikwidować wszystkich ludzi niebędących aryjczykami. Wydaje mi się, że miała to być forma pokuty: praca na rzecz walki o powszechną równość.

Wpatrywałam się w niego, koncentrując się na jego pierwszych słowach.

– Gaertner zobaczył kogoś w tłumie? – zapytałam.

Spojrzałam na jeden z obrazów i dostrzegłam na nim charakterystyczną dziewczęcą postać w czerwonej sukience,

z twarzą zwróconą w drugą stronę. Tę samą, która pojawiła się na wielu innych pracach. Nagle wszystkie elementy układanki powpadały na swoje miejsca.

– Wydawało mu się, że zobaczył moją babcię – szepnęłam.

Fromm patrzył mi prosto w oczy.

– Tak.

– On też ją kochał.

Staruszek zawahał się.

– Tak.

Dostrzegłam w jego oczach coś dziwnego, jakby mieszaninę poczucia winy i smutku. Czy dlatego, że Gaertner zdradził w jakiś sposób mojego dziadka, uwodząc moją babcię? Czy właśnie to spotkało tych troje? Przez chwilę wpatrywałam się w obraz.

– Ale ona naprawdę tam była – powiedziałam.

Fromm otworzył szerzej oczy.

– Margaret? Uczestniczyła w marszu na Waszyngton?

Przytaknęłam.

– Razem z moim ojcem.

Jego oczy napełniły się łzami.

– A więc jednak miał rację. Mój Boże, zawsze powtarzał, że widział ją w towarzystwie dorastającego chłopca. – Nachylił się w stronę jednego z obrazów i wskazał tyczkowatego młodzieńca, który stał częściowo schowany za kobietą w czerwonej sukience, z twarzą ukrytą w cieniu. – Tutaj – powiedział. – I jeszcze tu. – Wskazał kolejne płótno, na którym wyraźnie było widać starszego nastolatka. Musiałam przyznać, że przypominał mojego ojca.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego Gaertner malował moją babcię po tylu latach, skoro kochała Petera Dahlera?

– Ponieważ, droga Emily – zaczął Fromm, sięgając łagodnym gestem po stojący przed nim obraz, jakby mógł wydobyć tę scenę z mgły czasu – Peter Dahler i Ralph Gaertner to jedna i ta sama osoba.

Rozdział dwudziesty czwarty

Boże Narodzenie 1984

– Ralph! Nie śpisz, Ralph?

– Co? – Peter poruszył się, usiłując wrócić do rzeczywistości.

Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd porzucił dawne imię i przybrał nowe, a mimo to zdarzały się takie dni, gdy zapominał, że stał się kimś innym. Przemiana nigdy nie będzie całkowita, ponieważ jakaś część niego wciąż żyła w zamierzchłej przeszłości. Świat się zmienił – wszystko się zmieniło – ale dla Petera jedna rzecz miała pozostać niezmienna: nigdy już nie będzie tak szczęśliwy jak tamtego ciepłego czerwcowego wieczoru, gdy po raz ostatni trzymał Margaret w ramionach. Transformacja do nowego życia w roli Ralph Gaertnera miała pozostać niedokończona, a w niektóre dni Peter po prostu zapominał reagować na nowe imię.

Tego ranka to Ingrid Beck szeptała mu je ucha i chociaż spotykali się ze sobą od ponad roku, nadal miał problem z przeskoczeniem przepaści dzielącej stare od nowego. W głębi serca nadal był Peterem Dahlerem na wieki oddanym Margaret. Ale teraz, leżąc w łóżku, był Ralphem Gaertnerem, uznanym artystą budzącym się u boku kobiety, z którą umawiał się na randki, ponieważ jego przyjaciele usilnie go do tego namawiali.

Randki. Cóż to w ogóle był za pomysł w jego wieku! Miał sześćdziesiąt trzy lata, na miłość boską! Tylko że Maus się uparł. Ten sam Maus, który był przy nim przez wszystkie te lata. Starał się nim opiekować, zbliżyć Petera do kogoś, kto raz na zawsze pomógłby mu się uporać z przeszłością. A Ingrid – kulturalna, wysoka, piękna, urodzona w Niemczech – miała być jego szansą na zmianę. „Życie ma się jedno – tłumaczył mu surowo Maus. – A ty swoje marnujesz, mój przyjacielu. Na co komu obrazy, jeśli twoje serce pozostanie zamknięte”.

Peter nie był święty przez wszystkie te lata. Zdarzały się chwile – oczywiście już po śmierci Margaret – gdy jakaś ślicznotka wpadła mu w oko podczas wystawy dzieł sztuki albo przyjęcia urządzonego przez właściciela galerii. Wiedział, że kiedy jakaś kobieta go pragnie, ponieważ on jest Ralphem Gaertnerem, będzie w nim widziała wyłącznie artystę, nigdy nie zajrzy głębiej, więc mógł bezpiecznie spędzić z nią noc. Zawsze traktował swoje kochanki delikatnie i czule, dbał jednak o to, żeby nie robiły sobie nadziei na wspólną przyszłość.

Ingrid była inna. Miała pięćdziesiąt lat, czyli o trzynaście mniej niż on, i również pochodziła z Niemiec, chociaż jej dzieciństwo diametralnie różniło się od dzieciństwa Petera. Była dzieckiem, kiedy wojna spustoszyła kraj, i weszła w okres dojrzewania akurat wtedy, gdy Niemcy zaczęły się odbudowywać. Kochała ojczyznę inaczej niż on i Peter musiał przyznać, że jej uwielbienie dla kraju przodków rozpało dawno wygasły płomień również w jego sercu. Jako marszandka regularnie podróżowała służbowo do Monachium i Berlina Zachodniego, a Peter ku własnemu zdziwieniu zgodził jej się towarzyszyć podczas jednego z wyjazdów.

Ingrid sprawiała, że czuł się mniej samotny, a do tego nie wydawała się tak zachwycona jego talentem jak wiele innych kobiet pracujących w galeriach sztuki. Od samego początku zadawała mu całkiem inne pytania niż te, do których zdążył przywyknąć. Nie chciała wiedzieć, dlaczego malował pola trzciny cukrowej i kobietą sylwetkę w oddali; interesowało ją raczej to, czy wierzy w Boga, jak poradził sobie ze śmiercią matki i jaki stopień wysmażenia steków najbardziej mu odpowiada. Innymi słowy chciała zrozumieć, jaki jest naprawdę. Ale on nie mógł jej pokazać wszystkiego. Przy niej zawsze był Ralphem Gaertnerem, a nie Peterem Dahlerem. Peter Dahler już nie istniał.

– Ralph? – powtórzyła Ingrid, przesuwając wypielęgnowanymi paznokciami po jego kręgosłupie, aż przeszedł go dreszcz. Wtuliła się w niego. – Kochanie?

– Dzień dobry, Ingrid – wymamrotał, zwracając się w jej stronę, i uważnie się jej przyjrzał.

Była piękna; nie dało się temu zaprzeczyć. Z jego doświadczenia wynikało, że kobiety po pięćdziesiątce wyglądają inaczej niż ona.

Przypomnił sobie babcię, zaokrągloną i siwiejącą, a później matkę, która zmarła w wieku zaledwie czterdziestu pięciu lat. Wyglądała jak staruszka, wyniszczona głodem i wojennymi zgryzotami. Ingrid – blondwłosa, piękna Ingrid – była inna. Prezentowała się zjawiskowo i Peter musiał przyznać, że przyjemnie się przy niej budzić. Tylko że to jego ciało na nią reagowało, a nie serce. Lubił ją czuć w ramionach. Podobało mu się to, jak patrzyli na niego inni, kiedy miał ją u swego boku.

Poza tym wiedział, że Ingrid go kocha. Dostrzegał to w jej oczach za każdym razem, gdy na niego patrzyła. Ciekawe, co ona widziała w jego oczach. Wstyd? Smutek? Żal? Miał nadzieję, że także miłość, chociaż nie był już pewien, co to właściwie znaczy.

Dla niego miłość stała się czymś w rodzaju choroby. „Musisz wreszcie odpuścić – powtarzał mu bez przerwy Maus, patrząc na niego z troską. – Otaczanie się Margaret w taki sposób nie jest zdrowe”. Przyjaciel martwił się tym, że Peter przerobił strych na kapliczkę poświęconą swojej pierwszej miłości. Malował Margaret bez końca – nie potrafił przestać – a później wypełniał strych jej portretami, tak, by mógł na nią spojrzeć za każdym razem, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Maus uważał, że Peter robi sobie w ten sposób krzywdę, nie rozumiał jednak, że tylko dzięki temu przyjaciel nie postradał jeszcze zmysłów. Kiedy Peter malował Margaret, przenosił się myślami do świata, w którym to on ustalał zasady, i mógł napisać historię od nowa według własnego uznania. Wiedział, że w prawdziwym świecie tragedie spotykają ludzi na każdym kroku. Świat, który sam stworzył, dawał mu oparcie, pozwalał mu się utrzymać na powierzchni.

Nie mógł o tym jednak nikomu powiedzieć. Kiedy więc Maus zagroził wreszcie, że ukróci ten proceder, Peter kupił stary magazyn w Castleberry Hill i przeniósł tam wszystkie obrazy z zamiarem stopniowego uniezależniania się od nich. Zamiast tego obsesja wciąż przybierała na sile i Peter spędzał coraz więcej czasu w magazynie, w ukryciu i samotności, wyobrażając sobie życie, które mógłby wieść z Margaret.

Odkąd tylko zaczął malować, zawsze umieszczał ją na swoich obrazach. Nigdy nie przedstawiał jej twarzy na pracach przeznaczonych do publicznego podziwiania, ponieważ miał

wrażenie, że straciłby wtedy jakąś jej część. Ale i tak była wszędzie, w każdej jego myśli, więc nie mógł się powstrzymać. Obraz nie był skończony, dopóki nie pojawiła się na nim Margaret. Przez wszystkie te lata eksperci spekulowali na temat niewyraźnej kobiecej postaci, której twarz zawsze była odwrócona i stała się znakiem rozpoznawczym Petera-artysty. Anioł Gaertnera – tak nazywali ją krytycy. Zdaniem niektórych reprezentowała dobroć, inni twierdzili, że jest symbolem solidarności rodzaju ludzkiego i dlatego nigdy nie widać jej twarzy; miała ponoć uosabiać każdą kobietę. Niektórzy sugerowali nawet, że reprezentowała diabła, bo z jakiego innego powodu miałyby tak często występować ubrana w czerwoną sukienkę? Nie mogli się bardziej mylić. Peter malował ją po prostu taką, jaką zobaczył ją po raz pierwszy – wizję Margaret w splewiałej czerwieni, na tle idealnego brzasku.

Purpurowe niebo pojawiało się na obrazach Petera równie często, symbolizując spotkanie nieba z ziemią. Podczas ich pierwszego spotkania świat spowijał nieprawdopodobny odcień purpury i od tamtej pory Peter wierzył, że to sam Bóg otworzył horyzont, by wpuścić do środka całe światło, a Margaret, jego anioł, jakimś cudem wślizgnęła się razem z nim. Czasami Peter zastanawiał się nad tym, czy przypadkiem nie czuje jej obecności dlatego, że Margaret zawsze jest blisko, tuż nad nim, w purpurowym niebie, patrząc na niego z góry.

Później coś się zmieniło. W zeszłym miesiącu, w noc poprzedzającą Święto Dziękczynienia, miał okropny sen. Margaret unosiła się nad Peterem, poza jego zasięgiem, usiłując mu coś powiedzieć. Ale on jej nie słyszał, więc w końcu uśmiechnęła się smutno i odleciała w stronę purpurowiejącego nieba. Chmury otuliły ją całą i po chwili już jej nie było.

Po przebudzeniu Peter czuł się dziwnie. Przez wszystkie te lata udawało mu się nie myśleć o synu, którego nigdy nie miał, dziecku, które urodziło się martwe i zostało skremowane razem z Margaret. Jednak po tamtej nocy zaczęło mu się śnić coś innego: twarz jego syna jako dorosłego mężczyzny, który mógłby już mieć własne dzieci. Od tej pory po przebudzeniu udawało mu się czasem przywołać za pomocą pędzla te wyobrażone postaci. Mężczyznę dobiegającego czterdziestki. Dziecko – wnuczkę, która wyglądała jak

Margaret, bo tak zdecydował Peter – młode i radosne, pozbawione wszelkich zmartwień. Zaczął ich malować, a ponieważ Maus cieszył się, że jego przyjaciel wreszcie ruszył do przodu, i komplementował jego prace, Peter nie zdradził mu, kogo przedstawiają. Wiedział, że to niezdrowe. Rozumiał, jakie to niewłaściwe. Zdawał sobie sprawę, że zdradza Ingrid, która nie miała pojęcia o istnieniu magazynu pełnego scen z jego wymarzonej wersji życia.

Prawdę mówiąc, Ingrid miała własną teorię na temat Anioła Gaertnera. „Może po prostu czekałeś na mnie – zasugerowała. – Może teraz kobieta z twoich obrazów będzie miała twarz, bo w końcu się zakochałeś”.

A ponieważ Peter bardzo chciał ją pokochać i wolał, by jego świat był zakorzeniony w rzeczywistości zamiast w mrzonkach, podjął decyzję. Po tym, jak przyśniła mu się Margaret, postanowił się z nią rozstać. Wiedział, że nigdy nie przestanie jej malować, ale powinien tamto życie zostawić za sobą. Może ów sen był czymś w rodzaju pożegnania? Dlatego rano, po przebudzeniu u boku tej pięknej kobiety, postanowił wreszcie dokonać zmiany, na którą pewnie powinien był się zdecydować wiele lat temu. Maus byłby z niego dumny.

– Wesółych świąt, Ingrid – powiedział, całując kobietę leżącą obok niego. Czekał, jak zawsze, na pojawienie się fajerwerków, które towarzyszyły jego pocałunkom z Margaret, ale bez skutku. – Przyniosę ci śniadanie, skarbie. Poczekaaj tu.

Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko.

– Nie wolisz zostać w łóżku?

Peter zamrugał. Oczywiście, że tego chciał. Ale coś sobie obiecał. Musiał to zrobić. Może dzięki temu znowu poczuje się kompletny.

– Proszę, zaraz do ciebie wrócę.

W kuchni przygotował tacę ze śniadaniem: jajecznica, truskawki, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, mocna kawa. I małe puzderko. Zaniósł to wszystko na górę trzęsącymi się z nerwów rękami i postawił przed nią. Kiedy zorientował się, że musiała wcześniej wstać i nałożyć lekki makijaż przed jego powrotem, skrzyknęło go w żołądku. Powinna wiedzieć, że i tak uważał ją za piękną. Dlaczego musiała się pacykować? Nie było jednak czasu się nad tym

zastanawiać, bo Ingrid zdążyła dostrzec błękitne pudełeczko, ściągnęła z niego białą wstążkę i zajrzała do środka.

– Och, Ralph! – wykrzyknęła, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał, choć wypowiedzenie tych słów przyszło mu z trudem.

– O tak! Tak, mój kochany, tak! – Wyjęła z pudełka pierścioneł z diamentem od Tiffany'ego i wsunęła go na palec, zanim Peter zdążył to zrobić. – Och, będzie nam razem cudownie! – zawołała, rzucając się przez łóżko w stronę ukochanego, i oplótła ramionami jego szyję.

Trochę kawy wylało się na pościel, ale oboje skwitowali to śmiechem. Jednak gdy Ingrid odsunęła się od niego, zastanawiając się, do kogo powinna zadzwonić w pierwszej kolejności, kiedy mogliby się pobrać i jaką sukienkę włoży do ślubu, Peter musiał odwrócić wzrok, ponieważ jego oczy były zimne i wilgotne.

*

Peter chciał, żeby oboje byli szczęśliwi. Chciał pokochać Ingrid. Chciał wreszcie zapomnieć o Margaret. Naprawdę mu na tym zależało. Jednak z biegiem lat zaczęło do niego docierać, że to niemożliwe.

Bardzo zbliżył się do Ingrid, ale był to inny rodzaj miłości niż ta, którą darzył Margaret. Czuł ogromne przywiązanie do żony, a gdy ona była szczęśliwa, on również. Kiedy spotkało ją coś dobrego, on też się cieszył. A w niektóre wieczory, gdy podróżowała służbowo, brakowało mu jej. Ale czy to była miłość? Czy właśnie to powinien czuć? Próbował o tym rozmawiać z Mausem, lecz on nie chciał słuchać. „Znalazłeś idealną, piękną kobietę, która kocha cię całym sercem – powiedział. – Dlaczego nie możesz być po prostu szczęśliwy? Nie widzisz, jak los się do ciebie uśmiechnął?”.

No właśnie, dlaczego? To pytanie bez przerwy kołatało się Peterowi w głowie. Dlaczego zawsze, gdy zamykał oczy, widział Margaret? Dlaczego za każdym razem, kiedy sięgał po pędzel, czuł potrzebę ożywienia jej za pomocą farb? Dlaczego, kochając się

z Ingrid, musiał się powstrzymać przed wypowiedzeniem imienia tej drugiej?

Wiedział, że Ingrid też to czuje. Czasem wzdrygała się, kiedy na nią spojrzał, ponieważ widziała w jego oczach nie to, co chciała zobaczyć. Odczytywała z nich emocje, których nie powinno tam być. W łóżku coraz bardziej oddalali się od siebie. Czasami, na początku, próbowała go do siebie tulić, jakby mógł się odrodzić w kołysce jej ramion. Jednak z biegiem czasu odsuwała się od niego, zapadając się w głąb siebie. Peter wiedział, że Ingrid go kocha i że z każdą odmową rani ją coraz bardziej. Miał w sobie pustkę, której jego żona nie była w stanie wypełnić, i po jakimś czasie dzieląca ich przepaść okazała się niemożliwa do przeskoczenia.

Rozdział dwudziesty piąty

– Nie rozumiem. – Wpatrywałam się w Arno Fromma, czując, że nagle zaschło mi w gardle. Jak to możliwe, żeby Ralph Gaertner, jeden z najbardziej cenionych malarzy dwudziestego wieku, był Peterem Dahlerem? Moim dziadkiem?

– Ojciec Petera był bezwzględny człowiekiem – odparł Fromm.
– Po tym, jak Peter dowiedział się, że ojciec celowo ukrył przed nim listy od Margaret, wyjechał z Niemiec. Nie chciał mieć nic wspólnego ze swoją rodziną. Jednak dopiero w roku sześćdziesiątym trzecim, gdy wydawało mu się, że zobaczył Margaret podczas marszu na Waszyngton, postanowił raz na zawsze zostawić przeszłość za sobą i stać się kimś zupełnie innym. Nie wiedział, jak inaczej miałby się pozbyć żalu po utracie Margaret, i bał się, że jeśli tego nie zrobi, nie będzie potrafił dalej żyć. Przyjął nazwisko Gaertner na cześć swojego najlepszego przyjaciela z dzieciństwa, Ottona Gaertnera, który zmarł na jego rękach w Afryce. Imię Ralph było ukłonem w stronę Ralpha Waldo Emersona, jego ulubionego poety. Pierwsza ich rozmowa z twoją babcią dotyczyła właśnie Emersona i oboje lubili go cytować. Peter uważał, że to imię zawsze będzie łączyło go z Margaret w sposób, który tylko ona mogłaby zrozumieć.

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Myśli pan, że to dlatego moja babcia przybrała nazwisko Emerson?

Fromm gwałtownie wciągnął powietrze.

– A więc nienosisz nazwiska po mężu? Tak założyłem.

– Nie jestem mężatką. To nazwisko przyjęła moja babcia po wyjeździe z Belle Creek.

– Wielkie nieba – szepnął Arno. – A więc jednak byli ze sobą związani i to przez całe życie.

– A jeżeli to właśnie te przybrane nazwiska ich rozdzieliły? – zapytałam po chwili. – Może gdyby nie one, zdołaliby się odnaleźć?

– Oboje uwierzyli w kłamstwa, którymi ich nakarmiono, jednak najbardziej rozpaczliwe w ich historii było to, że sami niechcący stworzyli największą, niemożliwą do pokonania przeszkodę.

– Swego czasu też nosiłem przydomek – odezwał się staruszek.

– Może dlatego Peter uznał, że to dobry sposób, by odseparować się od przeszłości. Byłem niepozornym człowieczkiem, ale dzięki temu przydomkowi zaczęto mnie postrzegać jako zabawnego gościa. Chyba spodobała mu się myśl, że dzięki zmianie imienia można się stać kimś innym.

Nagle przypomniało mi się coś, co usłyszałam od Wenera Vogta.

– Czy to pana nazywano Myszą? Czy raczej, hmm, Mausem?

Fromm był chyba zaskoczony, ale szybko się roześmiał.

– No cóż, tak. Od lat nikt z wyjątkiem Petera mnie tak nie nazywał. On uważał, że to przezabawne. Moim zdaniem ta ksywka była rozbijająca. Nikt nie może się czuć onieśmielony w towarzystwie kogoś o przydomku Mysz.

– Panie Fromm, czy znaliście się z moim dziadkiem w Niemczech, zanim trafiliście do Belle Creek?

– Nie. Belle Creek połączyło nie tylko twoich dziadków, lecz także nas. Peter był moim najbliższym przyjacielem, bez niego moja wędrówka przez życie byłaby znacznie bardziej ponura. Dzięki niemu moje dni nabrały kolorów, dosłownie i w przenośni. Był cudownym człowiekiem i żałuję, że nie miałaś okazji go poznać.

– Malowaliście już w Belle Creek? – drążyłam. – Czy właśnie tam wszystko się zaczęło?

Fromm zachichotał.

– Nie. Żaden z nas nie myślał wtedy o malowaniu. Obaj wychowaliśmy się w domach, w których chłopcom wolno było rozmawiać o broni i polityce, a nie o czymś tak frywolnym jak sztuka. Ironia polega na tym, że poświęciliśmy nasze życie talentowi odkrytemu niemal przypadkowo. Muszę jednak przyznać, że Peter był znacznie bardziej utalentowany niż ja. Moje umiejętności były wyuczone, jemu przychodziły naturalnie, jakby już urodził się malarzem. Z drugiej strony to ja mu dałem pierwszy pędzel.

Fromm opowiedział, jak po wojnie wpadli na siebie z Peterem w Monachium; on pracował wtedy na budowie, a mój dziadek nie miał stałego zajęcia i marzył o tym, żeby wrócić do Margaret. To

Maus pierwszy zaczął przynosić do domu pędzle i malować na ścianach, a Peter wkrótce się do niego przyłączył.

– Reszta, jak to mówią, jest historią – zakończył swoją opowieść. – Przez jakiś czas myślałem, że malowanie ocaliło twojego dziadka. Najpierw odkrył, że potrafi malować Belle Creek, a później – Margaret. Dla mnie malowanie było sposobem na zarabianie pieniędzy i powodem do dumy, ale dla Petera stało się obsesją upamiętniania świata, do którego miał kiedyś wrócić.

– I wreszcie udało mu się dotrzeć do Ameryki – powiedziałam miękko. – A Louise go okłamała.

– Powiedziała mu, że Margaret nie żyje – odparł Fromm, marszcząc brwi. – W końcu Peter wyniósł się stamtąd. Ale nie sądzę, by kiedykolwiek stracił nadzieję.

– Mimo to poślubił inną kobietę – zauważyłam.

Staruszek ponownie zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że to przeze mnie. Uwierzyłem w śmierć Margaret, choć Peter przez ponad trzydzieści lat wypatrywał jej na każdym kroku. Malował ją bez przerwy, co bardzo mnie martwiło. Gdy w jego życiu pojawiła się Ingrid, no cóż, pomyślałem, że może zdoła uratować Petera przed nim samym. – Spuścił głowę. – Czasami myślę, że nie warto go było namawiać.

– Nie był z nią szczęśliwy?

– Jedyłą rzeczą, jaka go uszczęśliwiała, było malowanie twojej babci. Spójrz wokół siebie. To był jego świat i myślę, że Ingrid w końcu też to sobie uświadomiła. Nie miała pojęcia o istnieniu tego miejsca – zresztą podobnie jak ja, do pewnego czasu – ale oboje czuliśmy, że nigdy nie był przy nas. Nie całym sobą. Zawsze uciekał gdzieś myślami. – Omiótł wzrokiem tysiące portretów mojej babci, które przypatrywały nam się z płócien. – Myślami zawsze był przy niej.

– W takim razie dlaczego w ogóle poślubił Ingrid?

– Chciał ją pokochać. Ale chcieć nie zawsze znaczy móc, prawda? Wszystkim nam się wydawało, że Ingrid była dokładnie tym, czego potrzebował Peter: piękną, miłą kobietą, która szczerze go kochała. Taki ktoś musiał go przywrócić do życia – zawiesił głos. – Myślałem, że nas nie posłucha, ale wierciłem mu dziurę w brzuchu i w końcu coś do niego dotarło. Zrozumiał, że nie może się wiecznie trzymać

Margaret, nie rujnując sobie przy tym życia. Ingrid była jego próbą ruszenia do przodu.

Pokręciłam głową, zaś Arno podjął opowieść.

– Wiem już, że popełniłem błąd, zachęcając go do poślubienia Ingrid. Peter złamał jej serce. Kochała go tak, jak on nigdy nie mógł pokochać jej. I dlatego, kiedy wreszcie dowiedziałem się o istnieniu tego magazynu, zabroniłem Peterowi wspominać o nim żonie. Spędzał tu wiele godzin dzień po dniu, malując Margaret, nie przejmując się tym, że jeszcze bardziej zrani Ingrid. Zupełnie jakby miał romans. Każdego dnia, z pędzlem w ręku, zdradzał kobietę, którą poślubił. Ale ja też źle postąpiłem, namawiając go, żeby ukrył to miejsce przed żoną. Dla Petera to było jak narkotyk, uzależnił się od obecności tutaj, aż w końcu Ingrid pojechała za nim i odkryła prawdę. Zrozumiała, że jej mąż woli żyć w świecie mrzonek zamiast w tym prawdziwym, razem z nią. Peter prosił mnie, żebym ją udobruchał – kontynuował Fromm. – Ale ja nie mogłem tego zrobić. Uważałem, że nie ma racji. Powiedziałem mu, że jedynym sposobem, by ocalił ich małżeństwo, jest pozbycie się tego miejsca – i tych obrazów – raz na zawsze. Peter się na mnie wściekł. Oskarżył mnie o to, że jestem zazdrosny o uczucie, które dzielił z Margaret, i chociaż temu zaprzeczyłem, miał trochę racji. Bo widzisz, ja też ją kochałem.

– Kochał pan moją babcię?

Fromm uśmiechnął się smutno.

– Tylko że ona nigdy nie pokochała mnie, Emily. Właściwie prawie mnie nie znała. Poza tym zwracała uwagę tylko na Petera. Ale owszem, począwszy od dnia, w którym po raz pierwszy ujrzałem Margaret, nosiłem ją w sercu. Peter o tym wiedział i mnie rozumiał. Nawet mi przebaczył, bo przecież nie mógł mieć do mnie pretensji o to, co czułem. Zresztą nigdy nic z tym nie zrobiłem. Jednak gdy powiedziałem mu, że powinien się pozbyć tych obrazów i zlikwidować magazyn, no cóż, niesłusznie założył, że ma to związek z moimi dawno pogrzebanymi uczuciami. Okropnie się wtedy pokłóciliśmy – pierwszy raz w historii naszej wieloletniej przyjaźni – a ja uznałem, że w końcu mu przejdzie. Duma nie pozwoliła mi go przeprosić.

– Kiedy to było? – zapytałam, chociaż miałam przeczucie, że pod koniec życia dziadka.

– Trzy miesiące przed jego śmiercią. Później już ze sobą nie rozmawialiśmy. – Westchnął. – W każdym razie utworzyłem fundusz, z którego od tej pory będą opłacane podatek od nieruchomości i ubezpieczenie za ten magazyn. To mój ostatni prezent dla Petera: zachowam to miejsce przez wzgląd na jego pamięć, bo wciąż wyczuwam tu jego obecność. To nie ukrywanie tego miejsca było błędem. Błędem było moje przekonanie, że zdołam zmusić Petera, by podążył drogą inną niż ta, którą wskazywało mu serce. Teraz już wiem, że niektórzy zakochują się tylko raz, a potem już żadne inne uczucie nie może się z tym równać.

Oboje milczeliśmy przez dobrą minutę. Popatrzyłam na stojący po mojej prawej stronie portret, na którym babcia stała na niewielkiej polanie, otoczona ze wszystkich stron trzcina cukrową i patrzyła szeroko otwartymi oczami przepelnionymi miłością. Ten widok sprawił, że potwornie za nią zatęskniłam. Na kolejnym obrazie czyjaś ręka – pewnie mojego dziadka – sięgała w stronę Margaret, a ona odwzajemniała ten gest z twarzą wyrażającą radość i nadzieję. Nagle pomyślałam o Nicku i jeszcze mocniej zakłuło mnie w sercu. Może było mi pisane, że pójdę w ślady dziadka, do końca życia prześladowana czymś, czego nie mogę mieć.

– Co za niesprawiedliwość – stwierdziłam po chwili. – Jak to możliwe, żeby dwoje ludzi, którzy tak mocno się kochali, wylądowało w tym samym mieście i nigdy się nie spotkało? To takie okrutne i bezsensowne. Po co mamy się zakochiwać w ten sposób, skoro nie dostajemy później szansy, by ponownie się odnaleźć?

Fromm przez chwilę nic nie mówił. Gdy uniosłam wzrok, przyglądał się portretowi mojej babci stojącej na polanie.

– Myślę, że oboje uciekali przed przeszłością zamiast podążać do siebie nawzajem – stwierdził wolno. – Oboje myśleli, że to drugie nie żyje, i jest to tragiczne. Jednak gdyby się nie odcięli – nie stworzyli siebie na nowo i nie uciekli – wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Być może nie da się uciec od tego, kim jesteśmy, nie rujnując sobie przy okazji życia.

Musiałam przetrwać to, co powiedział.

– Czy nadal utrzymuje pan kontakt z Ingrid?

Fromm przytaknął.

– Sporadyczny. Ingrid chyba nigdy tak do końca nie przebaczyła mi tego, że trzymałem w tajemnicy sekret Petera, choćby i wbrew sobie. – Odwrócił się w moją stronę. – Ale ona kochała Petera, a ty jesteś jego wnuczką.

– Mimo to nigdy panu o mnie nie wspomniała. Nie wiem, kiedy odkryła prawdę, ale musiała ją znać, skoro przysłała mi obraz.

Staruszek uśmiechnął się smutno.

– Ingrid to urocza kobieta, ale lubi wypierać rzeczywistość. Jak inaczej mogłaby przeżyć tyle lat z Peterem? Mimo to uważam, że będzie się chciała z tobą spotkać. Jeśli mam rację, to czy możesz zostać w Atlancie jeszcze jeden dzień?

– Tak, oczywiście.

– Cóż, w takim razie od razu pójdę do niej zadzwonić. – Skinął głową i wymknął się bocznymi drzwiami, zostawiając mnie samą z moimi myślami. Byłam oszołomiona i wyczerpana, jakbym dostała w twarz od przeszłości, która okazała się jednocześnie zachwycająca i tragiczna. Gdy podziwiałam otaczające mnie obrazy, ogarnęła mnie dziwna mieszanka smutku i nadziei. Wyjęłam iPhone'a i zrobiłam jeszcze kilka zdjęć, ponieważ nie chciałam zapomnieć tych dzieł. Poza tym pragnęłam je pokazać ojcu.

Chwilę później wrócił Fromm.

– Ingrid jest gotowa spotkać się z tobą jutro o ósmej rano. Jeśli ci to pasuje, dam ci adres.

Kiwnęłam głową, a on obiecał, że potwierdzi spotkanie. Gdy wychodziliśmy z magazynu, zwrócił się do mnie:

– Możesz tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz, Emily. W końcu to twoja historia. Zaproś też swojego ojca. Teraz niestety muszę już iść. Mam pewną sprawę do załatwienia.

– Oczywiście. Dziękuję, że mi pan to wszystko pokazał.

Staruszek poważnie skinął głową. Wyjął z kieszeni notes, zapisał na kartce adres Ingrid i mi ją podał. Później wziął mnie za ramiona i zajrzał mi głęboko w oczy.

– Moja droga Emily, znałem twojego dziadka przez ponad siedemdziesiąt lat. Możesz mi wierzyć, że bardzo by się ucieszył, gdyby mógł cię poznać. Zawsze marzył o posiadaniu rodziny.

– Dziękuję panu za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie, moja droga. – Uśmiechnął się, po raz ostatni ścisnął mnie za ramiona i odszedł w stronę samochodu.

W drodze do swojego auta myślałam o dziadkach, lecz także o Nicku. Moja historia w niczym nie przypominała ich historii. Nick ode mnie nie odszedł. Straciłam go przez własną głupotę i musiałam z tym żyć. Ale jeśli miałam ruszyć do przodu – pozbierać się i spróbować jeszcze raz, tak jak radził mi Arno Fromm – musiałam najpierw coś zrobić.

*

Czterdzieści minut później, korzystając z Google Maps, zjechałam z autostrady w Decatur, miasteczku, w którym nie byłam od prawie dziewiętnastu lat. Powrót do Atlanty był dla mnie trudny, ponieważ zmusił mnie do konfrontacji z dzieciństwem, ale to w Decatur czaiły się wszystkie upiory przeszłości. To tu mieszkałam, gdy zostawił nas ojciec i zmarła moja matka. Tutaj poznałam Nicka i poczęłam z nim Catherine. Tu był mój dom i wiedziałam, że wcześniej czy później będę się musiała z nim zmierzyć, bo był to element przeszłości, przed którym próbowałam uciec. Musiałam coś wreszcie zmienić, teraz albo nigdy.

Najpierw przejechałam się Hemlock Lane, przy której kiedyś mieszkałam. Zdumiało mnie odkrycie, że mój dawny dom przemalowano z niebieskiego na biały. O frontową ścianę stał oparty trójkątowy rowerek, a ze starego dębu, na który się kiedyś wdrapywałam, zwisała huśtawka linowa. Tylko że to nie był już mój dom, więc zmusiłam się, żeby na końcu ulicy skręcić w prawo bez oglądania się za siebie.

Później minęłam moją dawną szkołę średnią, Ernest Evans High. Bardzo się zmieniła przez ostatnich dwadzieścia lat – nowa tabliczka na froncie, całkowicie przebudowany pasaż, wykrywacze metalu przy niektórych wejściach – ale na jej widok i tak poczułam wzruszenie. Porośnięty mchem dąb przed stołówką, w którego cieniu często siedziałam, wpatrując się Nickowi w oczy, wciąż tam rósł, jakby jeszcze wyższy i masywniejszy. Czy mógł tak urosnąć przez

dziewiętnaście lat, czy po prostu zawodziła mnie pamięć? Wiedziałam, że nie można do końca ufać wspomnieniom.

Zostawiłam za sobą szkołę, minęłam rodzinny dom Nicka, ale nie zwolniłam. To miejsce również należało do przeszłości. Właśnie tu pierwszy raz Nick wyznał mi miłość – w swoim pokoju na piętrze, trzecie okno po prawej – i spłodził ze mną Catherine. Tu był nasz początek i koniec. A teraz musiałam to wszystko zostawić za sobą.

Wreszcie dojechałam na cmentarz na skraju miasteczka. Wyłączyłam silnik i głęboko zaczerpnęłam powietrza, nie ruszając się z miejsca. W końcu wzięłam się w garść i wysiadłam z samochodu. A później, jak gdybym często odwiedzała to miejsce, ruszyłam w kierunku grobu mojej matki.

Nie byłam tu od dnia, w którym wyjechałam z Decatur wiele lat temu. Przyszłam jej wtedy przekazać słodko-gorzką wiadomość, że będę miała dziecko – i że muszę się z nią pożegnać. Czułam w sercu ból, szmer wiatru namawiał mnie, bym została, ale wydawało mi się, że to głos sumienia. Musiałam stamtąd uciec. Musiałam się ratować.

Jednak teraz, przyklekając obok nagrobka w cieniu ogromnego klonu, wiedziałam, że to był błąd. Przyjechałam tu właśnie po to, żeby się do niego przyznać.

– Nie tego dla mnie chciałaś. Nie życzyłybyś mi ani takiego życia, ani tego, kim się stałam – szepnęłam. – Jestem samotna, mamo, i nie potrafię wrócić do dawnej wersji siebie. – Zaczekałam chwilę w nadziei, że otrzymam jakąś odpowiedź, ale słyszałam tylko szelest liści łagodnie poruszanych wiatrem. – Powiedziałabym ci wszystko, ale czuję, że już to wiesz – odezwałam się wreszcie. – Mam wrażenie, jakbyś zawsze była przy mnie. Tęsknię za tobą każdego dnia swojego życia, mamo. – Zamilkłam, kołysząc się na kolanach. – Ale jest pewien ciężar, którego muszę się pozbyć. Przez wiele lat byłam wściekła na tatę za to, że odszedł. Że zostawił ciebie. Nas. Chyba nigdy tego nie zrozumiem. Jednak w końcu dotarło do mnie, że nie mogę w sobie dłużej nosić tego gniewu, bo za bardzo mi on doskwiera. Martwię się, że jeśli nie nauczę się, jak zostawić za sobą przeszłość – w całości – nigdy nie będę w stanie spojrzeć w przyszłość. Więc przyszłam ci powiedzieć, mamo, że zrzucam to z siebie. Muszę się pozbyć ciężaru obwiniania o wszystko taty, lecz

także samej siebie. Nie chcę, żebyś odebrała to jako zdradę. Nigdy nie będę kochać taty tak jak ciebie. To ty ze mną zostałam, wychowałam mnie i z nikim innym nie nawiążę tak bliskiej relacji jak nasza. – Westchnęłam i podniosłam się z ziemi. – Jednak niedawno uświadomiłam sobie, że podporządkowywanie się przeszłości przypomina kurczowe trzymanie się wersji świata, która już nie istnieje. I nie mogę tego dłużej robić. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w wiatr szumiący w gałęziach drzew i obserwując sączące się przez nie smugi światła.

– Odnalazłam dziadka – dodałam. – Miłość życia babci Margaret. Ale jest już za późno. On nie żyje. Jeśli jesteś tam w górze, mam, jeśli niebo rzeczywiście istnieje, czy mogłabyś mi pomóc odnaleźć Catherine? Gdybym tylko wiedziała, że wszystko u niej w porządku, może łatwiej byłoby mi osiągnąć spokój. – A po chwili dodałam: – Kocham cię, mam. Zawsze będę cię kochać.

Nie doczekałam się odpowiedzi, więc ruszyłam z powrotem do samochodu. Nie wiedziałam, czy ta wizyta w ogóle miała sens. Zrobiło mi się jednak trochę lżej na sercu, a to już coś. Z uśmiechem przekręciłam kluczyk w stacyjce, wycofałam samochód z parkingu i wjechałam na drogę prowadzącą ku przyszłości.

Rozdział dwudziesty szósty

Wieczorem zadzwoniłam do ojca z hotelu w Atlancie, niewiele mu jednak wyjaśniłam. Chciałam zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy wszystko mu opowiem, a wiedziałam, że następnego dnia po południu będę w domu; miałam już zarezerwowany bilet na samolot.

– Powiem tylko tyle, że będziesz zaskoczony tym, co odkryłam.

– Masz zamiar trzymać mnie w niepewności? – Słyszałam w jego głosie śmiech.

– Przez niecałą dobę. Czy po powrocie mogę zajrzeć do twojego biura?

– Oczywiście.

– Za chwilę przyślę ci zdjęcie. Potraktuj je jak wskazówkę.

– Jestem zaintrygowany.

Pożegnaliśmy się, a ja wysłałam mu jedno ze zdjęć zrobionych w magazynie. Oddzwonił prawie natychmiast.

– Czekał, czy wszystkie te obrazy przedstawiają twoją babcię? – zapytał, gdy odebrałam.

– Mhm. I są ich setki.

– Żartujesz. – Głośno wciągnął powietrze. – I nie możesz mi teraz nic powiedzieć?

– Wolę poczekać, aż poznam całą historię. Spotkamy się jutro, dobrze?

– Powodzenia, Emily.

*

Ingrid Gaertner mieszkała w okazałym, idealnie utrzymanym ceglany bungalowie w eleganckiej dzielnicy Ansley Park na wschód od centrum Atlanty. Dom stał na niewielkim wzgórzu na końcu ślepej uliczki, co utrudniało jego znalezienie, ale dawało

poczucie prywatności. Liczne dęby rozsiane na terenie posiadłości jeszcze potęgowały to wrażenie.

Zaparkowałam samochód, sprawdziłam adres, by się upewnić, że przyjechałam we właściwe miejsce, i parę minut po ósmej zaczęłam się wspinać po ceglanych schodkach w stronę frontowych drzwi. Serce waliło mi w piersi, gdy nacisnęłam dzwonek. Fromm powiedział, że mój dziadek mieszkał w tym domu od późnych lat osiemdziesiątych; dziwnie było wiedzieć, że stał w tym miejscu niezliczoną ilość razy. Ze smutkiem uświadomiłam sobie, że spóźniłam się niespełna rok, by się z nim spotkać.

Ze środka dobiegł odgłos kroków, a potem drzwi otworzyła wysoka szczupła kobieta z siwymi włosami spiętymi w koczek. Miała na sobie czarną jedwabną bluzkę i zwiewne czarne lniane spodnie. Pomimo wczesnej pory jej makijaż był nienaganny.

– Ty pewnie jesteś Emily – powiedziała, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby zobaczyła ducha. W jej głosie słychać było lekki akcent i wtedy przypominałam sobie słowa Fromma o niemieckim pochodzeniu Ingrid.

Nie uśmiechnęła się do mnie, ale też nie sprawiała wrażenia niezyczliwej.

– Pani Gaertner? – zapytałam, wyciągając rękę na przywitanie.

Popatrzyła na nią, ale jej nie uścisnęła.

– Proszę, mów mi Ingrid. W końcu jesteśmy rodziną, prawda?

Odwróciła się bez słowa. Opuściłam rękę i poszłam za nią, zamknąwszy za sobą drzwi. Uznałam, że skoro zniknęła w głębi domu, powinnam to potraktować jak zaproszenie.

Wnętrze było skąpo oświetlone, za to bogato umeblowane. Na ścianach w holu wisiały obrazy mojego dziadka – same pejzaże – a gdy weszłam za Ingrid do salonu, zdumiał mnie panujący w nim przepych. Kanapa z wysokim oparciem była obita miękkim czerwonym aksamitem, a stojące naprzeciwko niej fotele miały złote nogi, przez co przypominały wyposażenie któregoś z europejskich pałaców. W kącie stał biały fortepian, na podłodze leżał kosztowny orientalny dywan. Słońce wpadało do środka przez okna od podłogi do sufitu wychodzące na idealnie utrzymany ogród pełen róż.

– Piękny dom – powiedziałam.

Ingrid wzruszyła ramionami.

– Urządzony zgodnie z moim gustem, nie Ralpa. On wolał spędzać czas gdzie indziej.

W jej głosie dało się słyszeć raczej urazę niż gniew i ze smutkiem uświadomiłam sobie, że nawet wiele miesięcy po śmierci mojego dziadka Ingrid wciąż bardzo cierpi. Zwróciłam też uwagę, że mówiła o nim Ralph, podczas gdy Fromm, jego najstarszy przyjaciel, w dalszym ciągu nazywał go Peterem.

Wskazała mi gestem aksamitną sofę, a sama usiadła z wdziękiem na fotelu.

– Napijesz się kawy albo herbaty? Mogę zadzwonić po Alice, naszą gosposię.

– Nie, dziękuję, nie trzeba.

Pod jej czujnym spojrzeniem czułam się trochę jak owad obserwowany przez mikroskop.

– Wyglądasz dokładnie jak ona – odezwała się nagle. – Margaret. Twoja babcia.

– Tak mi przykro, Ingrid, z powodu tego wszystkiego – odparłam szczerze.

Niezależnie od tego, jak tragicznie potoczyły się losy miłości moich dziadków, historia Ingrid była prawie tak samo smutna. Poślubienie ukochanego mężczyzny i uświadomienie sobie, że nigdy nie będzie do końca twój, musiało być druzgocące.

– Tobie jest przykro? – Cmoknęła z dezaprobatą i odwróciła wzrok.

– Och, Emily, nawet nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Nie skomentowałam tego, bo nie wiedziałam jak.

– Oczywiście to nie twoja wina – dodała po chwili. – Po prostu nie wydaje mi się, żebyś mogła wiedzieć, co czuje osoba zakochana w kimś, kto nigdy nie odwzajemni tego uczucia. Świadoma tego, że straciła swoją szansę, bo nie wstrzebiła się w odpowiedni moment.

Pomyślałam o Nicku, miłości, z której zrezygnowałam, i o tym, co nadal czułam.

– A jednak wiem.

Przez chwilę przyglądała mi się badawczo, po czym skinęła głową.

– Cóż, w takim razie współczuję. To bardzo niekomfortowe, prawda?

Dziwnie to określiła, ale i tak przytaknęłam, bo miała rację. Niekomfortowo jest kochać kogoś, kto nigdy nie pokocha cię równie

mocno, bo to cię blokuje. Przywiązuje do czegoś, co nigdy nie będzie twoje.

– Przykro mi – powtórzyłam, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym dodać.

Ingrid westchnęła.

– Mnie też jest przykro, Emily. Mimo wszystko wolałabym, żebyś dotarła tu jeszcze za życia Ralpa. Byłby przeszczęśliwy, mogąc się z tobą spotkać. Dziwna sprawa z tym wyczuciem czasu, nie sądzisz? – Przez chwilę błędziła gdzieś myślami. – W każdym razie drogi Arno Fromm twierdzi, że przyjechałaś odnaleźć Ralpa, czy tak?

Kiwnęłam głową i spytałam:

– Czy to ty przysłałaś mi obraz?

Ingrid przyglądała mi się z uwagą.

– Owszem. Pokazałaś go ojcu?

– Tak. Polecieliśmy razem do Niemiec, by dowiedzieć się, skąd pochodził. Ledwie tydzień temu byliśmy oboje w Atlancie.

– Ale teraz go tu nie ma.

Spuściłam wzrok.

– To moja wina. Wolałam załatwić tę sprawę sama. Wiem jednak, że chciałby się z tobą spotkać.

– Nie jesteście ze sobą blisko związani. – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. – Czytałam twoje felietony. Masz w sobie dużo gniewu.

Westchnęłam głęboko.

– Tak. Próbuję się pozbyć części tych uczuć. Myślę, że za długo je w sobie nosiłam.

– Ale twój ojciec jest od nich wolny, tak?

Skuliłam się w sobie pod jej świdrującym spojrzeniem.

– Nie do końca. Wydaje mi się, że przez długi czas miał problem z ich okazywaniem. W dzieciństwie nie czułam się przez niego kochana. Ale teraz to się trochę zmieniło.

Ingrid przyglądała mi się przez długą chwilę.

– A więc Margaret też cierpiała.

– Co takiego?

– Jesteśmy tacy, jakimi ukształtują nas rodzice, chyba że się temu sprzeciwimy, prawda? – zagadnęła Ingrid. – Skoro już wiem, że twój

ojciec kiepsko sobie radził z uczuciami, wnioskuje, że wychowywał go ktoś, kto sam ich nie okazywał.

– Może i tak – szepnęłam, myśląc o tym, że chociaż babcia mnie kochała, często odpływała myślami w połowie zdania. Patrząc na jej nieruchomą twarz, zastanawiałam się, dokąd znika. Teraz już znałam odpowiedź. Ciekawe, czy dzieciństwo mojego ojca było pełne momentów, gdy matka już miała mu okazać miłość, gdy nagle stawała się nieobecna. To by wiele tłumaczyło.

– Ty też tak robisz? Bronisz się przed uczuciami? – drażyla Ingrid i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Twój dziadek taki był, wiesz? Ralph. Łatwiej jest nic nie czuć, niż każdego dnia radzić sobie z bólem po czyjejs stracie.

– Ale on przecież coś czuł, prawda? Jego obrazy są pełne emocji.

Ingrid posmutniała, a ja zbyt późno uświadomiłam sobie, co właśnie powiedziałam.

– Dlatego że ona jest na każdym z nich – odparła przez zaciśnięte zęby. – Ale to, że odczuwał emocje, trzymając w ręku pędzel, nie znaczy, że odczuwał je także w prawdziwym życiu. To są dwie zupełnie różne rzeczy.

– Oczywiście – wymamrotałam.

– Wiesz, że go kochałam – odezwała się nagle, patrząc mi w oczy.

– Ludzie ze świata sztuki na początku byli do mnie nastawieni sceptycznie; myśleli, że pociąga mnie wyłącznie jego talent. Ale to nie tak. Czułam przy nim coś, czego nie doświadczyłam nigdy wcześniej. Rozumiesz?

– Tak. Przykro mi.

– Przestań to powtarzać. Historia, która nas tu przywiodła, została napisana na długo przed twoimi narodzinami. – Westchnęła. – Na początku myślałam, że on też mnie kocha. Zresztą może tak było. Istnieje wiele różnych rodzajów miłości, prawda?

Pomyślałam o swojej wszechogarniającej miłości do Catherine i miłości do Nicka, która nie chciała się ulotnić. Pomyślałam też o tym, że kocham ojca, chociaż sprawia mi to ból, i o swojej miłości do matki, łączącej się z bezustannym, dojmującym uczuciem samotności.

– Masz rację – przyznałam.

– Ale kiedy się w kimś zakochujesz i obiecujesz spędzić z tą osobą resztę życia, spodziewasz się, że ona pokocha cię w taki sam sposób. Nieskrępowany. Szczery. Śmiały. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że nie mam na to szans. Dopiero gdy dowiedziałam się o Margaret, zrozumiałam dlaczego.

– Jak się o niej dowiedziałas? Mąż ci powiedział?

– Nie. Ralph nie był w stanie wypowiedzieć na głos jej imienia. Prawie do samego końca. – Na chwilę jej usta wykrzywił ból, ale szybko wzięła się w garść, odchrząknęła i przybrała obojętną minę. – Nie miałam pojęcia o istnieniu Margaret, dopóki nie zaczęłam podejrzewać męża o romans i nie pojechałam za nim do magazynu. Zapewne już wiesz, co w nim znalazłam. To miejsce jest jedną wielką świątynią ku czci twojej babci. – Roześmiała się gorzko. – Czy uwierzysz, że przez wszystkie te lata traktowałam kobietę w tle jego obrazów jako symbol? Widziałam w niej nadzieję, miłość. – Przez dłuższą chwilę patrzyła w okno, zanim znowu przeniosła spojrzenie na mnie. – Wiesz, że Ralph nigdy mnie nie namalował? Ani razu.

– Przykro mi. Nie wiedziałam.

W ciszy, która zapadła, słyszałam tykanie zegara wahadłowego, który musiał stać w którymś z sąsiednich pomieszczeń. Ingrid pociągnęła nosem. Popatrzyłam na nią z zaskoczeniem, gdy dotarło do mnie, że płacze.

– Ingrid... – zaczęłam, podnosząc się z kanapy.

Zbyła mnie machnięciem ręki, więc znowu usiadłam.

– Proszę, nie patrz na mnie. Czasem emocje biorą górę. Nic mi nie jest. – Wzięła głęboki wdech i mówiła dalej: – Gdy dowiedziałam się o magazynie, kategorycznie zabroniłam mu tam jeździć. I chyba chciał to zrobić. Próbował. Ale to była jego obsesja.

– Tak mi przykro.

– A twoje życie? – zapytała niespodziewanie. – Jak się ułożyło? Jesteś szczęśliwa?

– Ekhm, jasne – odparłam zaskoczona tą nagłą zmianą tematu.

– Podobno twoja matka nie żyje – powiedziała nieco łagodniejszym tonem, pochylając się do przodu. Dostrzegłam w jej oczach szczere współczucie. – To smutne. A ojciec zostawił was, gdy byłaś dziewczynką?

Spuściłam wzrok.

- Ty naprawdę czytałaś moje felietony.
- Wiele z nich. Byłaś wtedy nastolatką, prawda? Kiedy zmarła?
- Miałam osiemnaście lat.
- A ojciec nigdy nie wrócił?
- Nie.

Ingrid przez długi czas siedziała z wzrokiem utkwionym w swoje kolana.

– Przepraszam. Mówiłam wyłącznie o swojej stracie, a przecież ty też cierpiełaś. Czekałaś na ten rodzaj miłości, o którym marzą wszyscy.

Moje oczy nagle zrobiły się wilgotne.

– Za to teraz się stara. Myślę, że żałuje tego, co zrobił.

– Tak jak mój Ralph. – Ingrid przez chwilę milczała. – Tylko że twój ojciec jeszcze ma czas, żeby wszystko naprawić, prawda? Jeśli okaże się dość silny.

Wolno pokiwałam głową.

– I przebaczysz mu?

– Chciałabym.

– Mądrze robisz, próbując.

– A ty nie próbowałaś? – Musiałam ją o to zapytać. – Kiedy wciąż cię ranił?

Uśmiechnęła się.

– Tak. I nie zawahałabym się tego powtórzyć. Okropne, co? Jednak finał tej historii wcale nie sprawił, że przestałam kochać Ralpha. Po prostu żałuję, że nie miałam nad sobą większej kontroli. Jednak gdybym dostała kolejną szansę, myślę, że wybaczałabym mu bez końca.

– Dlaczego?

– Bo tylko w ten sposób możemy odnaleźć spokój, nie sądzisz?

Słowa Ingrid zawisły między nami, a ja dopiero po chwili uświadomiłam sobie, jakie są prawdziwe.

– Możesz mi powiedzieć, jak mnie znalazłaś? – zapytałam wreszcie. – Skąd wiedziałaś, do kogo wysłać obraz? Przecież mój dziadek wierzył, że babcia zmarła wiele lat temu?

– Tak – odparła krótko Ingrid. Czekałam, co jeszcze powie, ale się nie odezwała.

– Chciałaś, żebym cię odnalazła? – pytałam dalej. – Dlatego przysłałaś mi obraz?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie jestem pewna. Chyba chciałam, byś dowiedziała się o tym, że twoja babcia była mocno kochana. Nie wiem, czy byłam gotowa na takie spotkanie, nasze spotkanie, ale czuję, że postąpiłam słusznie.

– Skąd w ogóle wiedziałaś o moim istnieniu? Zobaczyłaś zdjęcie Margaret w mojej kolumnie kilka miesięcy temu?

Ingrid uśmiechnęła się nieznacznie.

– To było zaskakujące, przyznaję. Ale już wcześniej wiedziałam, kim jesteś, Emily.

– Skąd?

Ingrid wstała z fotela, podeszła i usiadła przy mnie na kanapie. Delikatnie dotknęła mojej twarzy i spojrzała mi w oczy, a ja zastanawiałam się, o czym teraz myśli i co próbuje w nich dostrzec.

– Wiesz, nienawidziłam twojej babci. – Jej słowa brzmiały tak, jakby były czymś obciążone. – Nienawidziłam tego, że nawet po swojej śmierci zdołała mi odebrać Ralpa i odbierała mi go każdego dnia. Myślałam, że to przez nią Ralph stał się tym smutnym, wycofanym człowiekiem, którego znałam. Prawda okazała się całkiem inna.

– Co masz na myśli?

– Coś się zmieniło – odparła głucho Ingrid. – Ralph wiedział, że umiera, i naturalnie ta wiadomość trafiła do wszystkich gazet. Jeden z lekarzy okazał się na tyle niedyskretny, by porozmawiać z dziennikarzem, i nagle światek sztuki nie mówił o niczym innym. – Zaciśnęła usta. – W każdym razie, Emily, dzień przed śmiercią Ralpa spłynęło na niego światło. Był szczęśliwy, niebywale szczęśliwy, jak nigdy przedtem. I chyba powinnam za to podziękować twojej babci.

Patrzyłam na nią skołowana.

– Ale przecież myślał, że moja babcia zmarła wiele lat wcześniej. Jakim cudem mogła go uszczęśliwić, zanim odszedł?

Ingrid wstała i podeszła do okna. Długo patrzyła na ogród różany, zanim zwróciła się w moją stronę ze spojrzeniem zaszklonym łzami.

– Ponieważ dzień przed swoją śmiercią – zaczęła, patrząc mi w oczy – Ralph rozmawiał z twoją babcią po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat.

Rozdział dwudziesty siódmy

Luty 2015

Peter wiedział, że zbliża się koniec, lecz z jakiegoś powodu liczył na to, że zostanie mu on oszczędzony. Niemożliwe, by po przeżyciu dziewięćdziesięciu czterech lat i doświadczeniu tego wszystkiego nie spodziewał się, że śmierć go ominie.

Ale nic z tego. To oczywiste, że w końcu się o niego upomniała. Rak pożerający trzustkę Petera przerzucił się na inne organy, wyłączając je jeden po drugim. Wydawało się niemal absurdem, że po przetrwaniu drugiej wojny światowej Peter ostatecznie miał zostać pokonany przez armię nieprzyjacielskich komórek tak małych, że nawet nie mógł ich zobaczyć. One jednak nie dawały za wygraną. Lekarz bez większego przekonania zasugerował chemioterapię, ale Peter zbył ten pomysł śmiechem. Był człowiekiem po dziewięćdziesiątce. Miał szczęście, że tyle przeżył. Nie, zamierzał wejść łagodnie do tej dobrej nocy. Nie spodziewał się jednak ataków mdłości, ani kaskad bólu towarzyszących rozprzestrzenianiu się raka. Nie przewidział, że otaczająca go rzeczywistość będzie czasem tak zamazana, że trudno mu się będzie jej uchwycić.

Przede wszystkim martwił się o Ingrid, którą miał wkrótce zostawić samą. Ale przecież uczynił to już wcześniej, czyż nie? Nie wpuszczając jej do swojego serca, opuścił ją lata temu, a tych dni, które wciąż mu pozostały, było zbyt mało, żeby zdołał odpokutować za swoje błędy. Musiał zatem z tym żyć i czasem się zastanawiał, czy nowotwór nie żywił się przypadkiem jego poczuciem winy. Jeśli tak rzeczywiście było, jego raka czekała nie lada ucztą. Peter żałował wielu rzeczy. Nie miał jednak wątpliwości, że właśnie Ingrid zranił najmocniej, a do tego z największą premedytacją.

Czasem obwinił się również o śmierć Margaret. Gdyby nie zaszła z nim w ciążę, nie zmarłaby przy porodzie. Jednak z biegiem czasu

część tego poczucia winy wyparowała, bo przecież nie chciał jej skrzywdzić – wprost przeciwnie. Co prawda nie mogło jej to przywrócić życia, ale przynajmniej częściowo uwolniło Petera od wyrzutów sumienia zrodzonych ze świadomej odpowiedzialności. Postąpił tak a nie inaczej dlatego, że ją kochał. Nie chciał jej w żaden sposób wykorzystać. A skoro Bóg wybrał dla nich tę ścieżkę, to trudno.

W ostatnich tygodniach, gdy czuł, że jego ciało zaczyna się wyłączać, kapitulując przed komórkami wroga, Peter poważnie rozmyślał na temat nieba. Prawdę mówiąc, dawno tego nie robił. Na początku, wiele lat temu, gdy Louise z kamienną twarzą oznajmiła mu, że Margaret umarła, nie uwierzył jej. Nie zadał sobie pytania, czy jego miłość jest w niebie i patrzy na niego stamtąd, ponieważ wolał myśleć, że ona wciąż żyje. Lata mijały, nadzieja ulatywała, a Peter wciąż nie miał pewności, czy życie wieczne istnieje.

Gdyby Margaret przebywała w królestwie niebieskim, czy nie czułby czasem jej obecności? Czy w najgorszych chwilach nie miałby wrażenia, że jest tuż obok niego? Tak się jednak nigdy nie stało.

A teraz, gdy koniec był bliski, Peter odczuwał nieśmiałą, dziwną ekscytację. Czy spotka się z Margaret po drugiej stronie? Czy ona w ogóle go pozna? Czy wciąż będzie go kochała? A jeśli nie? Ta myśl przerażała Petera bardziej niż sam rak.

Któregoś grudniowego popołudnia Peter odebrał telefon od dziennikarki „New Yorkera”, Lauren Golgoski, która od lat przeprowadzała z nim wywiady podczas jego najważniejszych nowojorskich wystaw.

– Podobno jest pan chory – powiedziała. – Przykro mi to słyszeć.

– Kto pani powiedział?

– Któryś z lekarzy wspomniał o tym na przyjęciu. Swoją drogą uważam to za skrajny brak profesjonalizmu, ale tak czy owak wieść do mnie dotarła. Bardzo panu współczuję.

Peter poczuł się zdradzony, lecz w ostatecznym rozrachunku owa zdrada nie wydała mu się zbyt poważna.

– W końcu musiało się wydać.

– Popularność ma swoje cienie i blaski – skwitowała jego słowa dziennikarka. – Wolałam się z panem skontaktować, zanim cokolwiek napiszę. Obawiam się, że wiadomość o pańskiej chorobie i tak przedostanie się do prasy, ale chciałam postąpić uczciwie. Czy zgodzi się pan na krótki wywiad?

Peter zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nigdy nie miał nic przeciwko dziennikarzom, pod warunkiem, że działali etycznie. Nawet gdy krytycy sztuki wzięli go na widelec, szanował to, że mieli swoje opinie oraz prawo do ich wyrażania. A ta dziennikarka już wcześniej zrobiła na nim wrażenie życzliwej i szczerzej.

– Dobrze, Lauren – zgodził się. – Co prawda nie czuję się najlepiej, ale mogę ci poświęcić kilka minut.

Był zdumiony tym, że bardziej go nie naciskała. Powiedziała by jej wszystko, gdyby tylko zadała odpowiednie pytanie. Może nawet zdradziłby jej swoje prawdziwe imię i nazwisko. Albo tożsamość tajemniczej kobiety ze swoich obrazów, na temat której od dawna spekulowano w świecie sztuki. Jednak Lauren pytała głównie o jego spuściznę i życie, więc odpowiedział zwięźle, a później się rozłączył. Ponieważ nie próbowała się do niczego dokopać, jego szacunek do niej wzrósł.

Artykuł ukazał się na początku roku, a wiadomość o chorobie Petera szybko podchwyciły gazety w całym kraju. Trafiała nawet na pasek w CNN. Coś niesamowitego. Niedługo potem, w walentynki, Peter otrzymał telefon, który wszystko zmienił.

– Jakaś Louise próbuje się z tobą skontaktować – poinformowała go Ingrid, mocno zaciskając wargi, gdy podawała mu aparat. – Podobno w pilnej prywatnej sprawie.

Louise? Niemożliwe.

– Halo? – powiedział niepewnie.

– Peter Dahler? – odezwał się w słuchawce damski głos z akcentem z Południa. Możliwe, że kobieta przeciągała samogłoski również ze względu na swój podeszły wiek.

– Nie, Ralph Gaertner – odparł, czując, jak jego serce gwałtownie przyspiesza.

– Jasne. A ja jestem królową angielską. Czy możemy sobie darować te bzdury? Oboje jesteśmy na to za starzy, nie uważasz?

– Może i tak – przyznał po chwili Peter.

– Mówi Louise Evans Candless. Ale możesz mnie kojarzyć jako Louise Evans. Wiesz, kim jestem?

– Siostrą Margaret – odparł, a Ingrid, która przysłuchiwała się rozmowie, udając, że robi porządki w komodzie, odwróciła się i wbiła w męża zdumione spojrzenie.

– Dobrze. Bałam się, że dopadła cię starcza demencja – rzuciła Louise. – Mam ci parę rzeczy do powiedzenia i wolałabym to zrobić osobiście. Możemy się spotkać?

Peter napotkał wzrok Ingrid. Wiedział, że jej się to nie spodoba, ale musiał wysłuchać tego, co Louise miała mu do powiedzenia.

– Tak, ale czy możesz do mnie przyjechać? Jestem za słaby, żeby podróżować.

– Dzwonię z lotniska w Atlancie – odparła natychmiast. – Mogę być u ciebie za godzinę.

*

Przed przyjazdem Louise Peter zdążył się pokłócić z Ingrid, która wypadła z domu jak burza. Alice, ich gosposia, wpuściła Louise do środka.

– No cóż, wyglądasz jeszcze gorzej, niż się spodziewałam – stwierdziła Louise, siadając na krześle, które Alice postawiła przy łóżku Petera.

Gosposia uniosła brew i wyszła z pokoju.

– Szczerze mówiąc, wyglądasz koszmarnie – dokończyła Louise.

– Ciebie też miło widzieć – odparł Peter, odczuwając dziwną ulgę, że nawet na widok jego wyniszczonego ciała Louise nie schowała pazurów.

Niezmiennosc była dla niego czymś kojącym. A ona, pomimo siwych włosów i głębokich zmarszczek na twarzy nie zmieniła się bardzo od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni w latach pięćdziesiątych.

– No więc o co chodzi z tym całym Ralphem Gaertnerem? – zapytała. – Uciekasz przed czymś, Peterze Dahler?

Peter zaniósł się rozdzierającym kaszlem, a ona nie wykonała ruchu w jego stronę. Nie kiwnęła nawet palcem. W końcu Peter zdołał wydusić:

– Kiedy się dowiedziałaś?

– Och, jakoś w latach sześćdziesiątych. Nie przepadam za sztuką, ale zobaczyłam cię w programie Johnny'ego Carzona. Rozpoznałabym cię wszędzie. Nie rozumiem tylko, po co używasz fałszywego nazwiska.

– Musiałem zostawić przeszłość za sobą – wyjaśnił. – Zacząć wszystko od nowa.

– No cóż, to jest was dwoje.

– Co takiego?

Pokręciła głową.

– Głupiec z ciebie, wiesz?

– Nie nadażam, Louise. – Kolejny atak kaszlu wstrząsnął jego ciałem.

Louise czekała, aż Peter dojdzie do siebie.

– Powinieneś być o niej zapomnieć, tak jak o swoim nazwisku. Ale ty musiałeś ją uwiecznić na każdym ze swoich cholernych obrazów, prawda?

Peter wiedział, kogo ma na myśli Louise.

– Nie mogłem jej zapomnieć. Zrozum, nie umiałem się z nią rozstać.

– A w ogóle, to co w niej było takiego wyjątkowego?

– Wszystko, Louise. Margaret miała wszystko. Była miłością mojego życia.

Kobieta mruknęła coś pod nosem, spuściła wzrok i po chwili Peter zobaczył, że drżą jej ramiona.

– Louise? Dobrze się czujesz? Ty płaczesz?

Gwałtownie uniosła głowę i chociaż wciąż patrzyła na niego wilkiem, wyraz jej twarzy nieco złagodniał.

– Nie płaczę.

Peter ponownie kaszlnął i poczuł w ustach krew. Zakręciło mu się w głowie i musiał się złapać poręczy łóżka, żeby się uspokoić. A gdy znowu mógł oddychać, zapytał:

– Po co tu przyjechałaś, Louise? Nie chcę być niegrzeczny, ale nie bardzo się teraz nadaję do towarzyskich pogawędek.

Louise parę razy otworzyła usta i znowu je zamknęła, jakby próbowała bezskutecznie coś z siebie wydusić.

– Louise? – ponaglił ją Peter. – O co chodzi?

– Ona nie umarła – oznajmiła sucho.

Zmroziło go na dźwięk tych słów.

– Co?!

– Margaret nie umarła przy porodzie, tak jak ci powiedziałam.

Peter wpatrywał się w nią, czując jak zaciskają się jego płuca.

– Czy ona wciąż...?

Louise nic nie powiedziała.

– Czy ona wciąż żyje? – rzucił ostro Peter, przerywając niekończące się milczenie. – Powiedz mi, Louise.

– Tak. A przynajmniej żyła jeszcze parę miesięcy temu. Dostałam od niej list dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Był to pierwszy nasz kontakt od siedemdziesięciu lat.

Peter poczuł w sercu ukłucie i złapał się za tors. Wydawało mu się, że dostał zawału, jednak gdy Louise wstała z krzesła i zawołała Alice, uciszył ją, zamykając ramię kobiety w mocnym ucisku.

– Nie! – wychrypiał. – Ani mi się waź! Siadaj na tyłku i powiedz mi wszystko, co wiesz.

– Dopiero jak zaczniesz oddychać. Nie chcę cię mieć na sumieniu.

Peter w końcu zdołał się uspokoić, chociaż nadal z trudem łapał powietrze. – Gdzie ona jest? – zapytał ostro. – Coś ty zrobiła, Louise?

Przez chwilę przygryzała w milczeniu wargę.

– Musisz zrozumieć, że urodzenie dziecka nazisty przez Margaret okryło naszą rodzinę hańbą. Tatuś ją wydziedziczył, a my obie z matką niewiele mogłyśmy na to poradzić. Wpadł w szewską pasję i, szczerze mówiąc, oboje się nam przysłużyli, wyjeżdżając z miasta.

– Oboje? – wyszeptał Peter. – A więc dziecko też przeżyło?

– Tak. – Louise odchrząknęła. – Tak, on też przeżył.

Peter patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Okłamałaś mnie i rozdzieliłaś z Margaret?!

– Przecież cię przeprosiłam.

– I odmówiłaś mi prawa do poznania własnego syna?!

– Tak – przyznała Louise nieco wolniej. – Posłuchaj, jest mi naprawdę przykro.

Dla Petera nie miało to znaczenia. Najmniejszego. Przeprosiny Louise były bezwartościowe, ponieważ tego, czego go pozbawiła, nie dało się niczym zastąpić. Ból w piersi Petera spowodowany

utrata szansy na życie u boku swojej rodziny zastąpił nagle inny rodzaj cierpienia. Popatrzył na nią przerażony.

– Ale jak to możliwe, że Margaret wyjechała, nie próbując mnie odnaleźć? Przecież obiecałem, że po nią wrócę!

– W styczniu czterdziestego szóstego, dzień przed narodzinami dziecka, dostaliśmy list od kogoś, kto podawał się za ciebie – odparła Louise. – Napisał w nim, że twój romans z Margaret był błędem i że planujesz się ożenić ze swoją dawną dziewczyną. Prosił Margaret, żeby o tobie zapomniała.

Spojrzała mu prosto w oczy i Peter wiedział, że tym razem mówi prawdę. Ktoś z jego bliskiego otoczenia – być może jego ojciec – zniszczył wszystko. Peterowi przewróciło się w żołądku i wydawało mu się, że zaraz zwymiotuje, gdy Louise podjęła swoją opowieść:

– Nie sądzę, żeby Margaret od początku w to uwierzyła. Ale oczywiście nie miała od ciebie żadnych innych wieści, no cóż, w końcu dotarło do niej, że musi dać sobie z tobą spokój. Przez wzgląd na siebie i swoje dziecko.

– Ale przecież pisałem do niej wiele razy – szepnął Peter.

Louise ponownie spuściła wzrok.

– Ja... ja nigdy nie przekazałam jej tych listów. Myślałam, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli Margaret po prostu o tobie zapomni.

– Ależ Louise! Dlaczego?!

– Bo ona na ciebie nie zasługiwała! – odparła kobieta z nagłą żarliwością. – A gdyby uciekła z domu, żeby być z tobą, zniszczyłoby to nas wszystkich. Czy tego właśnie chciałeś? Zrujnować naszą rodzinę?

– Nie – wymamrotał Peter. – Chciałem stworzyć własną. Z kobietą, którą kochałem nad życie. Ale ty pozbawiłaś mnie tej szansy.

– Tak, no cóż, przykro mi – powtórzyła Louise, zwieszając głowę.

– I mówisz, że Margaret żyje? Gdzie mieszka? Co się z nią stało?

– Nie znam szczegółów. Napisała mi w liście, że przebywa w domu opieki w Orlando. Napisała też, że mi wybacza; nie wiedziała, ile czasu jej zostało, a coś, co usłyszała od swojej wnuczki, uświadomiło jej, że nie powinna odchodzić z tego świata z sercem ciężkim od gniewu.

– Od wnuczki? – szepnął Peter. – Córki mojego syna?

– Pewnie tak.

– Czyli mam też wnuczkę? – Poczucił się tak, jakby ktoś uderzył go w brzuch. – Co się z nimi stało? Jak potoczyły się losy mojego syna?

– Naprawdę nie wiem. Margaret nie podała mi żadnych szczegółów. Chyba uznała, że nie mam prawa interesować się jej życiem. Zakazała mi również do siebie dzwonić. Chciała mnie tylko poinformować, że nie zamierza się na mnie gniewać do śmierci. – Oczy Louise napełniły się łzami i odwróciła wzrok.

– W takim razie co tu robisz, Louise? – zapytał Peter w przypiływie złości na kobietę, która ze spokojem rozprawiła o tym, czego go pozbawiła. – Przyszłaś kopać leżącego? Zniszczyć tę resztkę życia, która jeszcze mi pozostała?

Louise spojrzała na niego zszokowana.

– Oczywiście, że nie.

– No więc po co?

– Usłyszałam w wiadomościach, że umierasz. I, sama nie wiem, pomyślałam, że może nie jest jeszcze za późno, żeby to wszystko naprostować.

– Naprostować? – Peter czuł, że serce wali mu zbyt mocno. Od lat nie był taki wściekły. Spróbował zaczerpnąć powietrza. – Co mogłabyś teraz zrobić, żeby to naprawić?

– Mam adres tego domu opieki w Orlando – wyznała cicho, podając mu kartkę papieru z zanotowaną informacją. – Może mógłbyś tam zadzwonić. Margaret zmieniła nazwisko, tak jak ty. Oboje próbowaliście uciec przed przeszłością, ale ona nigdy nie dała wam spokoju, co?

– Odebrałaś ją nam! Odebrałaś nam przeszłość i nadzieję na przyszłość! Ty, twoi rodzice i mój ojciec. Nic nam tego nie wynagrodzi.

– Już cię przepraszałam.

– Jakie nazwisko przyjęła?

Peter chciał zapytać, czy nie przybrała jego nazwiska, chociaż tak naprawdę sprawdził to już wcześniej. W latach pięćdziesiątych, kiedy nie mógł uwierzyć w jej śmierć, na wszelki wypadek wynajął prywatnego detektywa, żeby ten spróbował poszukać Margaret Dahler.

– Emerson – odparła Louise. – Margaret Emerson. Na cześć jakiegoś pisarza, którego lubiła.

Oczy Petera napełniły się łzami.

– Ralph Waldo Emersona.

– Właśnie tak. – Louise popatrzyła na niego, mrużąc oczy. – Och, a ty przyjąłeś imię Ralph.

– Tak, Louise – wymamrotał Peter. – Przyjąłem imię Ralph.

Kobieta wpatrywała się w niego przez moment, dopóki na jej twarzy nie pojawił się przeblysłak zrozumienia.

– Och. – Odchrząknęła zmieszana. – Chłopiec nazywa się Victor. Victor Jeremiaś Emerson.

Victor. Właśnie tak nazywał go w myślach Peter, gdy syn jawił mu się wyłącznie jako wytwór jego wyobraźni.

– Drugie imię Margaret nadała mu na cześć chłopca, którego wzięła kiedyś pod swoje skrzydła?

Louise zmarszczyła brwi.

– Chyba tak. Tylko on stanął po stronie mojej siostry, kiedy całe miasteczko zwróciło się przeciwko niej. Zresztą nie na wiele to się zdało. Jeremiaś uciekł tej samej nocy co Margaret. Ależ by ludzie gadali, gdybyśmy nie powiedzieli, że zmarła przy porodzie.

– Całe szczęście – mruknął Peter. – A dziewczyna? Nasza wnuczka? Wiesz, jak się nazywa?

– Margaret napisała mi w liście, że Emily.

– Emily – szepnął. – Gdzie oni teraz są? Victor i Emily?

Louise pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież to twoi krewni, Louise. Nie obchodzą cię?

– Już za późno, Peterze. Znienawidziliby mnie.

Peter znowu zaniósł się kaszlem, jednak tym razem to nie płuca go zawiodły, tylko emocje ściskające za gardło.

– Czy Margaret wie, że żyję?

– Nie mam pojęcia. Raczej nie. Myślisz, że byłaby mi w stanie przebaczyć, gdyby wiedziała? – Louise zamilkła i wstała. – Żałuję, że nie powiedziałam jej prawdy wiele lat temu, ale teraz to musztarda po obiedzie. Jak już mówiłam, jest mi przykro. Nie będziesz do mnie żywił urazy, prawda?

Peter nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nie mógł jej przecież rozgrzeszyć, ale tak jak napisała w swoim liście Margaret, on też nie chciał zabierać ze sobą gniewu do grobu. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, aż wreszcie powiedział:

– Co się stało, to się nie odstanie.

Twarz Louise się rozpromieniła, więc chyba uznała to za rozgrzeszenie. Nie taki był cel Petera, ale czuł się za bardzo zmęczony, żeby jej to tłumaczyć. Louise zbierała się do odejścia, mamrocząc pod nosem życzenia powrotu do zdrowia. Oboje wiedzieli, że nie mają szansy się spełnić.

– Jeszcze jedna sprawa, Louise! – zawołał za nią Peter, gdy ruszyła w stronę drzwi. Odwróciła się, a on głęboko zaczerpnął powietrza, co skończyło się kolejnym atakiem kaszlu. Louise cierpliwie czekała, aż wreszcie zdołał z siebie wydusić: – Czy Margaret wyszła za mąż? Poślubiła innego mężczyznę?

– Nie. Myślałam, że to zrobi, ale nie. Napisała mi w liście. Wydawało mi się, że szybko o tobie zapomni. W końcu byliście tacy młodzi. Bez urazy, ale wygląda na to, że oboje zmarnowaliście sobie życie.

Po chwili już jej nie było.

Peter przez pewien czas wpatrywał się w pustą przestrzeń, a później szepnął:

– Nie. Wcale nie zmarnowaliśmy sobie życia. Bez nas nie byłoby Victora i Emily.

Nikt nie mógł go jednak usłyszeć.

– Alice! – zawołał. – Alice? – Chwilę później w drzwiach sypialni stanęła gosposia.

– Wypuściłam ją, proszę pana – oznajmiła.

– Dziękuję. Alice, chcę żebyś coś dla mnie zrobiła, szybko. Możesz mi przynieść laptop?

– Oczywiście, proszę pana. – Po chwili wróciła z jego MacBookiem. – Mogę jeszcze jakoś pomóc? – zapytała, podając mu komputer.

– Nie, Alice, dziękuję.

Peter drżącymi rękami otworzył laptop i wpisał do wyszukiwarki nazwę domu opieki w Orlando, w którym przebywała Margaret.

Odnalazł numer z kierunkowym 407, sięgnął po leżący na stole telefon i pospiesznie wybrał cyfry.

– Witamy w Sunnyside – odezwał się szczebiotliwy głos po drugiej stronie linii.

– Szukam... – głos uwiązał Peterowi w gardle. Wziął głęboki, drżący oddech. – Przepraszam. Halo. Chciałbym rozmawiać z Margaret Emerson.

– Chwileczkę, zaraz pana przełączę.

– Proszę zaczekać! – Peter usiadł prosto. – Czy ona wciąż żyje? Dobrze się czuje?

– Tak, proszę pana – odparła dziewczyna trochę nieufnie. – Oczywiście.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Peter zamknął oczy i czekał. W słuchawce rozległ się sygnał ponownego łączenia.

Nikt jednak nie odebrał. Peter odczekał dwanaście sygnałów, zanim się rozłączył i wybrał numer jeszcze raz.

– Witamy w Sunnyside. – Odebrała ta sama kobieta co poprzednio.

– Dzień dobry. Próbowałem się przed chwilą dodzwonić do Margaret Emerson. Ale nikt nie odebrał.

– Hmm – mruknęła kobieta. Peter usłyszał w tle szelest przekładanych papierów. – Chwileczkę... Możliwe, że miała na dziś umówioną wizytę lekarską. Proszę spróbować za jakąś godzinę, dobrze?

– Tak, tak, oczywiście. Ale jest pani pewna, że wszystko z nią w porządku?

– Tak, proszę pana. Nic jej nie jest. Miłego dnia.

Peter odłożył telefon kompletnie pozbawiony tchu. Nagle poczuł się całkowicie wyczerpany.

– Margaret – szepnął, osuwając się na poduszki. Rak odbierał mu tak wiele cennych chwil. – Victor, Emily. – Wypowiadał ich imiona raz za razem, aż wreszcie zasnął twardo i bez snów.

Po przebudzeniu wydawało mu się, że tylko sobie wyobraził wizytę Louise, ale zobaczył przy łóżku karteczkę z nazwiskiem Margaret oraz jej adresem wypisanymi obcym charakterem pisma. Czyli to musiała być prawda. Margaret żyła.

Było już po dziesiątej wieczorem, a Ingrid nadal nie przyszła do łóżka. Peter wiedział, że żona wciąż ma do niego żal o to, że nie potrafił wymazać Margaret z pamięci. Ale to przecież zrozumiałe. Margaret odcisnęła niezatarty ślad w jego sercu. Wiedział, że pora jest późna, lecz musiał spróbować się do niej dodzwonić jeszcze raz. Nagle ogarnęło go przeczucie, że jego czas się kończy. Ponownie wybrał numer domu opieki, a gdy usłyszał w telefonie męski głos, poprosił o połączenie z Margaret.

– Jest już po dziesiątej, proszę pana. Pani Emerson zapewne śpi.

– Proszę, to wyjątkowa sytuacja – odparł Peter. – Inaczej bym pana nie fatygował.

Mężczyzna nic nie powiedział, a po chwili w słuchawce rozległ się sygnał.

– Halo? – Kobięcy głos był zaspany, ale Peter rozpoznałby go wszędzie.

– Margaret – powiedział z szaleńczo bijącym sercem. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

– Peter? – odezwała się wreszcie Margaret.

Zamknął oczy. Rozpoznała jego głos po tylu latach! To musiało coś znaczyć. Nadal nosiła go w sercu, był tego pewien.

– Tak. Tak, Margaret, to ja.

– Przecież mnie zostawiłeś.

Jej słowa były tak surowe i przepiętne bólem, że wycisnęły z oczu Petera łzy.

– Nie, Margaret. Nie. Wróciłem po ciebie. Twoja siostra powiedziała mi, że nie żyjesz.

– Ale nigdy do mnie nie napisałeś.

– Pisałem bez przerwy, najdroższa. Pisałem do ciebie listy miłosne, w których zapewniałem o swojej tęsknocie i że odliczam dni do momentu, gdy będę mógł po ciebie wrócić. Louise przechwyciła je wszystkie. Powiedziała mi o tym.

– Widziałeś się z nią? – Margaret sprawiała wrażenie skołowanej. Peter słyszał w jej głosie również zmęczenie, o co zresztą nie mógł mieć do niej pretensji.

– Dowiedziała się, że jestem chory, i przyjechała się ze mną zobaczyć, po raz pierwszy od prawie siedemdziesięciu lat. Przyznała się do wszystkiego i powiedziała, gdzie cię szukać.

– To niemożliwe – szepnęła Margaret. – A co z listem? Tym, w którym piszesz, że zamierzasz poślubić swoją dawną dziewczynę?

– Został sfalszowany. Pewnie przez mojego ojca. Albo brata, bo to on lepiej sobie radził z angielskim. Prawda jest taka, że nie kochałem nikogo poza tobą. – Peter poczuł przyływ wyrzutów sumienia wobec Ingrid, ale przecież mówił prawdę. To, co czuł do żony, nie mogło się równać z uczuciami, które od początku żywił wobec Margaret.

– Byłeś miłością mojego życia – stwierdziła Margaret po dłuższej chwili. – Nie chciałam wierzyć w to, że zmieniłeś zdanie co do mnie. Ale ty nigdy nie wróciłeś. Zupełnie jakbyś rozplynął się w powietrzu. Próbowałam sobie wmówić, że tylko wyobraziłam sobie naszą miłość. Dzięki temu mogłam żyć dalej. Musiałam sobie bez przerwy powtarzać, że to się nie wydarzyło naprawdę.

– Ale to było prawdziwe, Margaret. Co do joty – Peter zawiesił głos, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. – Po wojnie trafiłem do obozu jenieckiego w Europie na dwa lata i dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym udało mi się wrócić do Stanów. Przyjechałem prosto do Belle Creek. Nie mogłem się doczekać, by zobaczyć ciebie i nasze dziecko. Zjawiłem się na progu waszego domu, a twoja siostra powiedziała mi, że oboje zmarliście w czasie porodu. Mieszkałem na Florydzie przez wiele lat, próbując cię odnaleźć.

– Nie chciałam zostać odnaleziona – wyszeptała Margaret. – Gdy już uwierzyłam w to, że mnie nie chcesz, zależało mi wyłącznie na tym, żeby zacząć wszystko od nowa, stać się kimś innym. Bycie Margaret Evans oznaczało, że już zawsze będę mieć złamane serce. Pomyślałam, że mogę to zmienić, konstruując siebie na nowo. Ale moje serce nigdy się z ciebie nie wyleczyło, Peterze. Nigdy.

– Przykro mi. Moje też nie, Margaret. Nigdy nie przestałem cię kochać.

– A ja nigdy nie przestałam kochać ciebie. – Margaret zrobiła drżący wdech.

Peter wiedział, że jego ukochana dobiega dziewięćdziesiątki, lecz wyobrażał ją sobie taką, jaką była, gdy widzieli się po raz ostatni: jako osiemnastolatkę z różanymi policzkami, lśniąco ciemnymi włosami i oczami pełnymi nadziei. Ciekawe, czy straciła tę nadzieję tak samo jak on.

– Margaret... – zaczął.

– Masz syna i wnuczkę – wyrzuciła z siebie Margaret. – Victora. I Emily. To dobrzy ludzie, Peterze. Sama nie byłam ideałem i przeniosłam dużą część bólu po utracie ciebie na naszego syna. Starłam się być dobrą matką, ale wiem, że czasem zawodziłam Victora. Żałuję, że nie byłam silniejsza. Byłbyś z nich taki dumny. Victor prowadzi własną firmę. A Emily cudownie pisze, między innymi na temat rodziny, Peterze. Rozumie, na czym polega miłość, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy.

– Nie mogę się doczekać, żeby ich poznać.

Peter posmutniał, ponieważ nie był pewien, czy starczy mu czasu. Jego ciało się poddało i był przykuty do łóżka, ale postara się znaleźć jakiś sposób, żeby spotkać się ze swoim synem i wnuczką. Musi to zrobić.

– Powiedziałeś, że jesteś chory, Peterze?

Głęboko nabrał powietrza.

– Mam raka i obawiam się, że umieram. Chyba powinienem być wdzięczny losowi, że dożyłem dziewięćdziesięciu czterech lat, ale potrafię myśleć wyłącznie o tym, Margaret, że zabrakło mi czasu. W całym swoim życiu spędziłem z tobą zaledwie rok.

– Ja też umieram – odparła łagodnie Margaret. – Jestem podłączona do aparatury i moje ciało powoli się wyłącza. Myślisz, że uda nam się jeszcze spotkać?

Peter przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Wiedział, że dzieli ich prawie pięćset kilometrów i że żadne z nich nie przetrzymałoby podróży. Czy to możliwe, że pokonali całą tę drogę, dotarli do kresu życia, ani razu się nie spotkawszy, a teraz, na samym końcu, się rozminą?

– Pamiętasz, jak wyglądało niebo tamtego poranka, kiedy ujrzelśmy się po raz pierwszy? – zapytał po chwili Peter.

– Było purpurowe – odparła błyskawicznie Margaret. – Nigdy nie widziałam piękniejszego brzasku.

Peter zamknął oczy i wyobraził sobie tamten dzień, sylwetkę Margaret na tle nieba oraz to, że jeszcze zanim się do niej odezwał, wiedział już, że ta kobieta zmieni jego życie.

– Zawsze wierzyłem, że patrząc w górę, widzimy kraniec królestwa niebieskiego – powiedział wreszcie. – I że te najpiękniejsze wschody i zachody słońca są przebłyskiem lepszego świata, który nas kiedyś czeka. Wiem, że spotkamy się znowu za tym purpurowym niebem.

Słyszał odgłosy szlochania po drugiej stronie słuchawki.

– Czy tylko to nas czeka na koniec naszego długiego życia? Nadzieja, że spotkamy się po śmierci? Wydaje się to mało sprawiedliwe.

– Nie ma w tym krztyny sprawiedliwości – zgodził się z nią Peter. – Ale może świat po drugiej stronie nieba jest wszystkim. Może nasze ziemskie życie to tylko piękne preludium.

Margaret przez chwilę płakała bezgłośnie, po czym wzięła drżący oddech.

– Co u ciebie, Peterze? Gdzie teraz jesteś? Jak ułożyło się twoje życie?

– Posługuję się teraz imieniem Ralph. Na cześć Emersona – powiedział to z uśmiechem, słysząc jej stłumiony okrzyk zdziwienia. – Mieszkam w Atlancie i jestem malarzem. Całą swoją twórczość poświęciłem malowaniu wspomnień o tobie.

Przez kolejne cztery godziny powiedzieli sobie wszystko. Peter opowiedział Margaret o swoim przyjeździe do Ameryki, ponownym spotkaniu z Mausem, odkryciu w sobie talentu, długoletnich poszukiwaniach i wreszcie życiu, w którym pędził był dla niego furtką prowadzącą do przeszłości. Margaret opowiedziała mu o tym, jak Jeremiaś pomógł jej wychować Victora, kiedy ten był mały, jakim chłopcem był ich syn, jak wyrósł na dorosłego mężczyznę i jak wspaniałą ma córkę. Rozmawiali o miejscach, które zwiedzili, rzeczach, które udało im się zrobić, i snach, w których wzajemnie się nawiedzali. Margaret podała mu nawet numery telefonów Victora

i Emily, żeby mógł się z nimi skontaktować. Wreszcie, o drugiej nad ranem, postanowili zakończyć rozmowę, ponieważ obojgu zaschło w gardłach i kleiły im się oczy.

– Obiecuj mi, że jeszcze ze sobą porozmawiamy, Peterze – poprosiła łagodnie Margaret. – Przyrzeknij mi, że to jeszcze nie koniec.

– Margaret, najdroższa, zamierzam spędzić z tobą wieczność. Ta rozmowa to dopiero początek.

*

Rano Ingrid obudziła Petera parę minut po dziesiątej.

– Spałam w pokoju gościnnym – oznajmiła szorstko. – Uznałam, że będziesz wolał zostać sam, rozmyślając o Margaret – rzuciła gniewnie.

– Rozmawiałem z nią zeszłej nocy – przyznał cicho Peter. – Rozmawiałem z Margaret.

Ingrid aż się zachłysnęła z wrażenia.

– Ale przecież ona nie żyje.

– Nieprawda. Margaret żyje, podobnie jak jej syn. Nasz syn. Mam dziecko i wnuczkę, Ingrid. Victora i Emily Emersonów.

Kobieta zbladła jak ściana.

– To niemożliwe.

– Ależ tak. I muszę ich odnaleźć, Ingrid. Wiem, że moje życie się kończy, ale muszę im powiedzieć, że ich kocham.

– Nawet nie znasz tych ludzi.

– W ich żyłach płynie moja krew – odparł Peter. – I krew Margaret.

Ingrid wpatrywała się w niego.

– A więc to tak? Trwałam przy tobie przez ostatnie trzydzieści lat, a w ostatnich dniach twojego życia zjawia się Margaret i kompletnie o mnie zapominasz?

– Nigdy nie mógłbym o tobie zapomnieć, Ingrid. Zbyt wiele dla mnie znaczysz.

– Ale mnie nie kochasz. A przynajmniej nie tak jak ją.

Peter chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział jak.

– Ingrid, spędziliśmy razem życie. Mnie i Margaret się to nie udało. Nie możesz jej zazdrościć.

– Pleciesz bzdury, Peterze. Nie spędziłeś życia ze mną, tylko z nią. Zawsze z nią.

Przez długi czas nic nie mówił.

– Jeśli umrę, zanim zdołam odnaleźć Victora i Emily, zrobisz to w moim imieniu? Opowiesz im o mnie? Wyjaśnisz, co się stało?

Wyciągnął w jej stronę skrawek papieru, na którym zapisał ich nazwiska i numery telefonów, a Ingrid skinęła głową, ale go nie wzięła. Po chwili Peter odłożył kartkę na nocny stolik.

– Obiecujesz? – zapytał.

– Tak.

– Dziękuję. Jesteś dla mnie taka dobra. Nigdy na ciebie nie zasługiwałem, Ingrid.

– Nie – przyznała. – Chyba nie. – Nachyliła się, żeby go pocałować i wyszła z pokoju.

Peter sięgnął po telefon i wybrał najpierw numer Victora, a później Emily. Żadne z nich nie odebrało, a on nie zostawił wiadomości. Bo co miałby im powiedzieć? Nie, postanowił poczekać, aż do niego oddzwonią. Tymczasem chciał się dowiedzieć wszystkiego na ich temat. Dlatego przez czterdzieści minut wyszukiwał ich nazwiska w internecie. Natrafił na artykuły Emily i stronę firmy Victora oraz zdjęcia ich obojga. Dzięki temu przekonał się, że Victor przypomina młodszą wersję jego samego, a Emily to wykapana Margaret; właśnie tak wyobrażał sobie ich wnuczkę.

Powoli, z wielkim trudem, dźwignął się z łóżka zaskoczony tym, jak słabe są jego nogi. Kiedy już stanął, okazało się, że nie może chodzić, więc osunął się na podłogę i doczołgał do szafy. Pamiętał, że schował tam czysty papier akwarelowy oraz stare farby razem z zestawem pędzli, których teraz potrzebował. Po dwudziestu minutach spędzonych na czworakach zdołał je stamtąd wydobyć i zawlec na środek pokoju, gdzie ułożył je w plamie światła wpadającego przez okno. Przysiadł na pośladkach i chwilę odpoczywał, łapczywie chwytając powietrze, a później sięgnął po pędzel i wziął się do pracy.

Malował, czując pod powiekami piekące łzy. Malował świat takim, jakim mógłby być; świat, którego już nie zobaczy. Malował twarze ukochanego syna i wnuczki oraz kobiety, z którą udało mu się przekazać komuś życie. Pracował, dopóki nie rozboleła go ręka,

pokój nie zaczął pulsować, a oczy nie zaczęły mu się same zamykać. Potem osunął się na podłogę i wpatrywał w twarze ludzi, którzy uśmiechali się do niego z obrazu. To on ich stworzył. Należeli do niego.

Później znowu spróbuje do nich zadzwonić. A także do Margaret, żeby jeszcze raz usłyszeć jej słodki głos. Wiedział, że bezkresne purpurowe niebo, które miało go zaprowadzić do domu, jest coraz bliżej. Jednak dopóki po niego nie przyszło, miał przynajmniej to. Nadzieję.

Rozdział dwudziesty ósmy

– Chwileczkę – powiedziałam, wpatrując się z niedowierzaniem w Ingrid. – Chcesz powiedzieć, że twój mąż rozmawiał z moją babcią?

– Ostatniej nocy, zanim umarł. – Gdy ponownie zwróciła się w moją stronę, zobaczyłam, że po jej policzkach spływają strużki łez.

– Dzień przed śmiercią Ralpa, odwiedziła go Louise. – Wypowiedziała jej imię takim tonem, jakby było przekleństwem. – Usłyszała o jego chorobie w CNN i przyjechała wyznać mu prawdę.

– Siostra mojej babci? Była tutaj?

Ingrid przytaknęła.

– Powiedziała mu, że Margaret żyje i że ma dziecko, jego dziecko, oraz wnuczkę. Ciebie.

– Ale babcia nic mi o tym nie mówiła. – Wpatrywałam się w nią, gdy nagle przyszło mi do głowy jedyne możliwe wyjaśnienie. – Czekaj. Kiedy on umarł? Którego dnia?

Ingrid pokręciła głową i spuściła wzrok.

– Piętnastego lutego. Dzień po walentynkach, po południu.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Moja babcia zmarła tego samego dnia. Kilka godzin wcześniej. Odeszła we śnie.

Ingrid otworzyła usta ze zdziwienia.

– Nawet umarli razem?

Wzdrygnęłam się, nagle skrępowana.

– To na pewno zwykły zbieg okoliczności – powiedziałam, choć wcale nie miałam takiego przekonania.

Moi dziadkowie byli dwojgiem ludzi, którzy zawsze mieli nadzieję, że to drugie wciąż gdzieś żyje. A gdy okazało się, że mieli rację, byli wreszcie gotowi odejść. Chyba że po śmierci mojej babci Peter Dahler poczuł to w którymś z zakamarków duszy i podążył za nią.

Widząc malującą się na twarzy Ingrid rozpacz, szybko zmieniałam temat.

– Dziwne, bo odniosłam wrażenie, że Louise nienawidziła mojej babci. O ile mi wiadomo, Margaret nigdy nie rozmawiała z siostrą, odkąd opuściła Belle Creek pod koniec lat czterdziestych. Dlaczego miałaby tu przyjeżdżać po tylu latach, by wyjawić Peterowi, że Margaret żyje?

– Nie wiem. Może chciała oczyścić sumienie? Jeszcze trochę poznać się nad moim mężem? Zatruc mi ostatnie godziny, które z nim spędziłam? – Wlepiała wzrok w podłogę. – Ralph poprosił mnie, żebym do ciebie zadzwoniła, jeśli coś mu się stanie. – Wypowiedziała te słowa tak cicho, że ledwie je było słyhać.

– Co takiego?

– Tamtego ranka, dosłownie przed samą śmiercią, rozmawiał ze mną i wszystko mi wyznał. – Ingrid wzięła głęboki, drżący oddech i popatrzyła mi prosto w oczy. – Kiepsko się czuł. Powiedział, że planuje zadzwonić do ciebie i twojego ojca po dziesiątej, na wypadek, gdybyście jeszcze spali. To była niedziela. Poprosił mnie, żebym do ciebie zadzwoniła, jeśli on nie będzie w stanie tego zrobić. Zupełnie jakby przeczuwał, że zostało mu zaledwie parę godzin życia – na chwilę zawiesiła głos. – Zmarł parę minut po czwartej, tego samego popołudnia.

– Ale ty nie zadzwoniłaś – zauważyłam łagodnie.

– Nie.

Zapadło między nami ciężkie milczenie.

– Dlaczego?

– Bo to ja byłam jego rodziną. – Głos Ingrid zabrzmiał żałościwie, niemal płaczliwie. – To ja trwałam przy nim przez trzydzieści lat. Kochałam go przez trzydzieści lat. Ale jemu to nie wystarczyło. A gdy umierał, Emily, zjawiała się ta kobieta, by zapalić pochodnię, którą nosił ze sobą przez wszystkie te lata. To nie było sprawiedliwe, nie rozumiesz?

– Rozumiem.

Z jakiegoś powodu rzeczywiście rozumiałam.

– Dlatego wysłałam ci obraz. Nie chciałam się w to mieszać, ale po tym, jak przeczytałam twój felieton, chciałam dać ci do zrozumienia, że myliłaś się co do niego. Przykro mi, że nie

skontaktowałam się z tobą wcześniej, Emily. – Zamrugła, by odpędzić łzy. – Wiem, że to i tak za mało. Chciałam jednak, abyście ty i twój ojciec wiedzieli, że Margaret była kochana.

– Dlaczego po prostu nam tego nie wyjaśniłaś? – zapytałam. – Tylko wysłałaś mi obraz i tajemniczą wiadomość?

– Bo nie chciałam, żebyś mnie znalazła. Dobrze, że tu jesteś, ale czy wiesz, jak wielki sprawia mi to ból? – Westchnęła. – Jakaś częśćka mnie wołałaby, żebyś nie przyjeżdżała. Żeby w ogóle cię nie było. Przepraszam. Pewnie trudno się tego słucha. – Wzięła urywany oddech. – On zawsze należał do niej.

– Na pewno kochał też ciebie.

– Ale nie tak jak ją. Nigdy nie kochał mnie w ten sposób. – Zrobiła krok do tyłu i skinęła głową w stronę drzwi po lewej stronie. – Muszę ci coś pokazać. Pójdiesz ze mną?

Ruszyłam za nią długim korytarzem. Ingrid zatrzymała się przed jakimś zamkniętym pokojem, mruknęła coś pod nosem i przekręciła gałkę. Kiedy weszła do środka i włączyła światło, otworzyłam szerzej oczy ze zdziwienia.

Pomieszczenie miało rozmiary sypialni i pewnie takie było jego przeznaczenie, ale brakowało w nim mebli. Na najdalszej ścianie wisiał niewielki obraz – jedyny przedmiot w całym pokoju. Przedstawiał cztery postacie: moją babcię, mojego ojca, mnie i starszego mężczyznę, który – jak się domyśliłam – był moim dziadkiem. Obejmowali się ramionami, a dziadek spoglądał czule na naszą trójkę pod tym samym purpurowym niebem, które zdobiło obraz przysłany przez galerię z Monachium.

– Co to... – zaczęłam, wpatrując się z zachwytem w akwarelę.

– Kiedy Margaret powiedziała o was Ralphowi – odezwała się sucho Ingrid – wyszukał was oboje w sieci i znalazł trochę zdjęć. Próbował się do was dodzwonić, wyobrażając sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdybyście byli w nim obecni. Margaret i wy. To ostatni jego obraz. Namalował go rano, w dniu swojej śmierci.

Przyglądałam mu się w oszołomieniu. Artysta perfekcyjnie oddał kształt moich oczu, podbródek mojego ojca, mój nos, jego zmarszczki mimiczne. Jakimś cudem zdołał wyobrazić sobie, jak wyglądała moja babcia pod koniec życia. Kiedy wreszcie zwróciłam się w stronę Ingrid, obie płakałyśmy.

– Udało mu się was uchwycić, prawda? – zapytała ona.

– Tak. Chociaż wydaje się to niemożliwe.

Kobieta pociągnęła nosem.

– Taki właśnie był Ralph. Wyjątkowy. Krytycy sztuki przez lata rozwodzili się nad jego techniką, ale ja zawsze uważałam, że jego malowaniu nie towarzyszył żaden szczególny proces. On po prostu przelewał na płótno serce.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Ingrid rozejrzała się po pokoju.

– Po prostu powiedz, że zabierzesz ten obraz ze sobą.

– Co takiego?

– Był przeznaczony dla was. Dla ciebie i twojego ojca. W ten sposób Ralph chciał powiedzieć, że was kocha. Że nosi was w swoim sercu. Chciałby, żebyś go miała.

– Nie mogłabym...

– Proszę – przerwała mi stanowczo. – Jest twój. Ralph zawsze kochał twoją babcię, a gdy dowiedział się o twoim istnieniu, wiem, że pokochał całym sercem również ciebie. Oto dowód. To jeden z najlepszych obrazów, jakie stworzył, a zajęło mu to raptem parę godzin. Ty i twój ojciec przywróciliście w nim coś, czego zawsze mu brakowało, Emily – zawiesiła głos i otarła łzę. – Przed samą śmiercią był szczęśliwy. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Mnie nigdy nie udało się tego sprawić.

*

Po godzinie wyszłam od Ingrid z pięknym obrazem starannie zabezpieczonym i włożonym do płaskiego tekturowego pudełka.

– Jesteś pewna? – zapytałam jeszcze raz, kiedy się żegnaliśmy.

– Dziwnie się czuję, zabierając ci go.

– Emily – odparła Ingrid, dotykając mojego policzka. – Przez tyle lat spędzonych u boku Ralpa próbowałam udawać, że jego życie przede mną, jego życie z Margaret, nie istniało. Ale przecież było inaczej. To ono go zdefiniowało. Dzięki niemu stał się takim, a nie innym człowiekiem. Ty byłaś sednem wszystkiego, nawet jeśli prawie do samego końca nie zdawał sobie z tego sprawy. Tak działa

rodzina, prawda? Ci, których kochamy, zawsze są w naszej krwi, w naszych sercach, choćby nie byli obecni w naszym życiu.

Wróciłam do Orlando tuż po trzeciej po południu. Nie powiedziałam jeszcze ojcu o swojej wizycie u Ingrid, ponieważ chciałam mu to wszystko wyjaśnić osobiście. Wyjeżdżając z lotniska, zadzwoniłam do niego, że jestem już w drodze. Kiedy weszłam do jego biura dwadzieścia pięć minut później, już na mnie czekał.

– Co to? – zapytał.

Przytulił mnie niezgrabnie i wlepił wzrok w płaskie kartonowe pudełko w moim ręku.

– Sam zobacz – odparłam, podając mu je.

Ojciec wyciągnął ze środka obraz i wydał z siebie zduszony okrzyk, gdy zobaczył, kogo przedstawia praca.

– Namalował go mój ojciec?

Skinęłam głową.

– Namalował nas – powiedział miękko.

Uśmiechnęłam się, widząc, jak patrzy na portret całej naszej czwórki.

– Tak.

– Ale... nie rozumiem. Jak to możliwe? Gdzie był mój ojciec przez te lata?

Wszystko mu wyjaśniłam. Opowiedziałam o kłamstwach, które rozdzieliły Margaret i Petera. O tym, że oboje nieśli pochodnię zapaloną dla ukochanej osoby, chociaż logicznie rzecz biorąc, płomień powinien był już dawno zgasnąć. O tym, że Peter nigdy się nie poddał, nawet gdy zmienił nazwisko i próbował stać się kimś innym.

– Chcesz powiedzieć, że moim ojcem był Ralph Gaertner? – zapytał z niedowierzaniem tata.

– Pod tym nazwiskiem znał go cały świat – odparłam. – Jednak wydaje mi się, że w głębi serca zawsze pozostał Peterem Dahlerem, niemieckim chłopakiem czekającym na powrót miłości swojego życia.

Oczy mojego ojca otworzyły się szerzej i napełniły łzami.

– Ale... jakim cudem moja matka nigdy nie uświadomiła sobie, że to on?

O to samo zapytałam wcześniej Ingrid.

– W latach sześćdziesiątych wystąpił w telewizji, później jednak stawał się coraz bardziej wycofany. Rzadko udzielał wywiadów i unikał kamer. Jeśli ktoś nie interesował się sztuką albo nie trafił przypadkiem na ten jeden odcinek programu *Tonight Show*, nie miał powodu, żeby kojarzyć jego twarz.

– Moja matka praktycznie nie oglądała telewizji – przyznał ojciec. – Czyli przez te wszystkie lata... oboje myśleli, że...

– Oboje myśleli, że to drugie nie żyje.

– W takim razie skąd wiedział o nas?

Opowiedziałam mu o wizycie Louise w walentynki i o rozmowie telefonicznej, którą Peter odbył tamtej nocy z babcią. Ojciec patrzył na mnie z niedowierzaniem, gdy wyjaśniłam, że następnego dnia zmarli oboje w odstępie zaledwie paru godzin.

– A więc on gdzieś tam był przez cały ten czas – szepnął ojciec. – Nie zostawił mnie. Nie porzucił mojej matki.

– Nie.

Powoli usiadł na jednym z krzeseł stojących naprzeciwko biurka.

– To wszystko moja wina.

– Co ty mówisz? Nie miałaś nic wspólnego ze zniknięciem swojego ojca.

– Nie. Nie w tym rzecz – przez chwilę milczał, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. – Mówię o tobie. O tym, co zrobiłem tobie i twojej matce.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować.

– Tato... – zaczęłam.

– Nie. Pozwól mi dokończyć. Emily, wydawało mi się, że kiedy sprawy przybierają gorszy obrót, mamy prawo odejść. Myślałem, że tak właśnie postąpił mój ojciec. Znałaś moją matkę: kiedy życie zaczynało ją przerastać, wyłączała się. Było mi ciężko, kiedy jako młody chłopak miałem tylko ją. Moja matka zniknęła, chociaż fizycznie była tuż obok. Rozumiesz mnie?

Przytaknęłam.

– To mnie nie tłumaczy – mówił dalej ojciec. – Boże, wręcz przeciwnie. To czyni ze mnie jeszcze gorszego człowieka, bo przecież wiedziałem, jak bardzo boli, kiedy nie czujesz się dostatecznie ważny, żeby ktoś z tobą został. Wydawało mi się, że

moi rodzice odeszli, bo kiedy życie rzuca ci kłody pod nogi, jedynym rozwiązaniem jest ucieczka.

Pomyślałam o Nicku, o Catherine.

– Sama tak robiłam.

– I to też jest moja wina. Nauczyłem cię, że można uciekać od problemów.

– Nie, to nie jest twoja wina, tylko moja.

– Popełniłem wiele błędów, Emily. Stałem się nieodpowiedzialny, bo myślałem, że inni też tacy są. Zabrakło mi sił, żeby być lepszym, bardziej konsekwentnym człowiekiem. Chyba czułem, że skoro sam zostałem porzucony, mam prawo porzucić ciebie.

– Tato...

– Ale przecież mój ojciec nigdy mnie nie porzucił, prawda? – załamał mu się głos. – Był z nami zawsze, kochał moją mamę. Kochał nas. A ona wcale nie zniknęła. Uciekała do niego, czy raczej do wspomnień o nim. – Z trudem zaczerpnął powietrza. – Boże, Emily, tak mi przykro. W niczym nie miałem racji i przez to kompletnie schrzaniłem ci życie. Skrzywdziłem ciebie i twoją mamę i nic już tego nie zmieni.

Ścisnęłam ojca za rękę.

– Spróbujmy to naprawić, dobrze? Przeszłości nie zmienimy. Ale możemy naprawić nasze relacje.

W jego oczach zaśniły łzy.

– Muszę ci o czymś powiedzieć, Emily.

Po sposobie, w jaki na mnie patrzył, od razu się domyśliłam, co to będzie.

– Nie – szepnęłam.

Ojciec westchnął i popatrzył mi w oczy.

– Moja choroba, Emily. Jest nieuleczalna.

– Przecież mówiłeś...

– Wiem. I przepraszam cię za to. Nie chciałem, żebyś wpuściła mnie do swojego życia wyłącznie z litości. To nie byłoby uczciwe wobec ciebie. Chciałem, żebyśmy wrócili do siebie na własnych warunkach, bez wizji śmierci czającej się za rogiem. Chciałem spróbować wszystko naprawić, upewnić się, że nie zrujnowałem ci życia tym, jak bardzo cię skrzywdziłem. Chciałem ci pokazać, że nie

jesteś skazana na powtarzanie moich błędów, że jesteś niezależną osobą, którą czeka wspaniała przyszłość.

– Ale lekarze...

– Zrobili wszystko, co mogli – dokończył łagodnie. – Kiedy mnie zdiagnozowano, rak był w stadium trzecim, ale mój organizm nie zareagował odpowiednio na leczenie. Niedługo będę musiał o tym powiedzieć udziałowcom w mojej firmie, ale chciałem, żebyś dowiedziała się pierwsza.

Rozpłakałam się, nagle ogarnięta przemożnym żalem za kims, kogo – jak mi się wydawało – straciłam lata temu. A teraz znowu wymykał mi się z rąk.

– Przykro mi, Emily. Naprawdę bardzo cię przepraszam za wszystko, co zrobiłem. Za to, że tak długo byłem głupcem. Za to, że zrezygnowałem z najważniejszych rzeczy w życiu. Za to, że zbyt późno zabrałem się do naprawiania naszych relacji.

Ojciec wstał, podniósł mnie z krzesła i przytulił. Czułam wstrząsający jego ciałem szloch i tuliłam go mocno, żałując, że nie mogę zdjąć z niego przynajmniej części bólu. Zrozumiałam, że czasami trzeba przejść przez ogień, żeby odrodzić się na nowo.

– Jeszcze nie jest za późno, tato – szepnęłam z twarzą wtuloną w jego tors, licząc na to, że Peter Dahler obserwuje nas z góry i wie, że jedna z ostatnich rzeczy, jakie zrobił na tym świecie, doprowadziła do naszego pojednania. To prawda, że ludzie odchodzą. Czasem jednak wracają. A gdy już tak się stanie, może warto uchylić przed nimi drzwi i wpuścić ich do środka. – Nigdy nie jest za późno.

*

Tamtego popołudnia jeszcze długo zostałam z ojcem. Rozmawialiśmy o przeszłości i o tym, co szykowałam dla nas przyszłość. Chciałam usłyszeć w jego głosie optymizm świadczący o tym, że słowa lekarzy jednak nie były wyrokiem. Zamiast tego usłyszałam rezygnację i spokój.

– Tak się cieszę, że udało nam się spędzić tych kilka ostatnich tygodni razem, Emily – powiedział, gdy ucisnęłam go na pożegnanie po tym, jak za oknami biura zapadł zmierzch. – Zapamiętam je jako jedne z najlepszych w moim życiu.

Zostawiłam mu akwarelę wraz z obietnicą, że w najbliższych dniach spędzimy wspólnie więcej czasu. Rozstaliśmy się, dopiero gdy mi obiecał, że następnego wieczoru zjemy razem kolację.

Płakałam przez całą drogę do domu, a gdy dotarłam na miejsce, byłam kompletnie pozbawiona sił. Długo siedziałam w kuchni, wpatrując się w portret babci na tle pola trzciny cukrowej, od którego to wszystko się zaczęło. Wiedziałam, że spędzę jeszcze wiele nocy, podziwiając wirujące odcienie purpury, różu, lawendy i fioletu tworzące obraz horyzontu w tle. Pod takim samym niebem poznali się moi dziadkowie. Gdyby nie tamto spotkanie, nie byłoby mnie tu teraz. Miałam świadomość, że nigdy już nie spojrzę tak samo na piękny brzask.

Dwukrotnie próbowałam się dodzwonić do Myry; za drugim razem nagrałam się na pocztę głosową. Szlochając, opowiedziałam jej o mojej wyprawie do Atlanty i śmiertelnej chorobie ojca, prosząc o jak najszybszy kontakt. Naprawdę potrzebowałam się komuś wygadać. W końcu, chociaż było dopiero wpół do dziewiątej, padłam na łóżko jak nieżywa, kładąc na poduszce telefon z dzwonkiem ustawionym na maksymalną głośność, na wypadek gdyby Myra oddzwoniła.

Jakiś czas później ze snu wyrwał mnie dzwonek do drzwi.

– Tata? – powiedziałam na głos, przypominając sobie o jego diagnozie, gdy tylko się ocknęłam. Spojrzałam na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej; przespałam zaledwie czterdzieści pięć minut.

Ponownie rozległ się dzwonek. Wyskoczyłam z łóżka, owinęłam się szlafrokiem i pobiegłam do holu. Popatrzyłam przez wizjer, spodziewając się, że zobaczę Myrę albo ojca.

Ujrzałam ostatnią osobę, której widoku mogłabym się spodziewać.

– Nick? – wymamrotałam z niedowierzaniem, otwierając drzwi.

Wyglądał na zmęczonego i wymiętego. Na jego twarzy odmalowała się troska.

– Emily? Co się stało? Wyglądasz, jakbyś płakała.

Skrępowana, wytarłam oczy.

– Och, to... – urwałam, bo było tego za dużo, żeby mu teraz tłumaczyć. – Wszystko w porządku. Ale co ty tu robisz?

Uniósł list, który wysłałam do niego dwa dni wcześniej.

– Dostałem twój list. Potrzebowałem czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić, Emily. Ale dziś rano obudziłem się ze świadomością, że muszę się z tobą zobaczyć. Uporządkowałem sprawy w biurze i wyjechałem po południu. – Uśmiechnął się, wskazując na lewy górny róg koperty. – Na szczęście podałaś swój adres.

Nadal nie wiedziałam, co się dzieje, ale czułam, że jestem mu winna kolejne przeprosiny. I to stokrotne.

– Przepraszam cię, Nick. Za wszystko. Bardzo cię przepraszam.

– Co się stało, to się nie odstanie. Ale w jednej sprawie się pomyliłaś.

Nie mogłam się nie rozeźmiać.

– Pomyliłam się w bardzo wielu sprawach.

– Nie, mam na myśli twój list. Napisałaś, że jestem żonaty, a to nieprawda.

Zamrugałam powiekami.

– Ale twoja żona... – urwałam. – Znalazłam tę informację na stronie internetowej twojej agencji.

Nick wyglądał na zaskoczonego.

– Naprawdę? W takim razie będę to musiał poprawić. Rozwiodłem się w zeszłym roku. Jessica pragnęła innego życia, w którym chyba zabrakło miejsca dla mnie. Mieszka teraz w Arizonie. Obojgu nam wyszło to na dobre. Nie pasowaliśmy do siebie. Od samego początku.

– Och. – Z wrażenia zabrakło mi tchu. – Przykro mi to słyszeć.

– Mnie też jest przykro. Ale takie jest życie, prawda? Wszyscy czasem wybieramy niewłaściwą drogę. – Odetchnął głęboko, a po chwili uniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy. Poczułam się tak, jakby wszystkie te lata, które spędziliśmy osobno, przestały się liczyć. – Czy to, co napisałaś w liście, było szczere?

– Każde słowo, Nick.

– W takim razie mam do ciebie pytanie. Wiem, że minęło wiele lat, ale ja też nigdy nie przestałem o tobie myśleć, a to o czymś świadczy. Musi istnieć jakiś powód, dla którego wszystko wydaje się jakieś inne, odkąd znowu pojawiłaś się w moim życiu.

Nic na to nie powiedziałam. Nie byłam w stanie. Patrzyłam na Nicka z bijącym sercem.

– Przyjechałem cię zapytać, cóż, może to okropny pomysł... – Zarumienił się. – W liście pisałaś, jakie to ważne, żeby niczego nie żałować, Emily. Ja też tego nie chcę. Nie chcę się zastanawiać, co by było gdyby. No więc próbuję cię zapytać, czy twoim zdaniem byłoby totalnym szaleństwem, gdybyśmy dali sobie jeszcze jedną szansę?

– Nie uważam, żeby to było szaleństwo – zawiesiłam głos, myśląc o przyszłości, która być może rozciągała się przed nami, szeroka i zachwycająca niczym jeden z purpurowych wschodów słońca Ralpa Gaertnera, pełna obietnic i nadziei. – Wejdiesz do środka?

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Trzy miesiące później

W trzeci piątek lutego obudziłam się i zobaczyłam wspaniałą tęczę rozpiętą na niebie o brzasku. Parę minut później stałam już na ganku przed domem, rozciągając się przed poranną przebieżką, i myślałam o tym, jak piękny i zaskakujący jest świat. Niebo miało ten sam odcień purpury i lawendy co na obrazach mojego dziadka i przez chwilę wyobrażałam sobie, że znajduję się na jednym z nich. Ależ to była piękna wizja.

Biegając na zachód w kierunku jeziora Eola ze wschodzącym słońcem za plecami, myślałam o tym, co powiedziała mi Myra po śmierci mojej babci w zeszłym roku: że patrząc na tęczę, widzimy ludzi, którzy od nas odeszli. Myślałam wtedy, że po prostu próbuje mnie pocieszyć w jeden z najgorszych dni mojego życia, wcale w to nie wierząc. Później jednak zmarł mój ojciec, tuż przed Bożym Narodzeniem, i gdy tamtego straszego ranka dwa miesiące temu wyszłam ze szpitala, dostrzegłam blady łuk tęczy opadający na wschód.

– Tato? – szepnęłam wtedy, nie wierząc własnym oczom.

Jednak od tamtej pory jakaś część mnie wierzyła.

Tego ranka biegłam, mając nad sobą tęczę, i rozmyślałam o tym, że być może widzę w górze ojca. Albo matkę. Lub też moich dziadków spoglądających na mnie z nieba. A może było to tylko pozbawione głębszego sensu złudzenie optyczne. W każdym razie ogarnął mnie spokój i zaczęłam się zastanawiać, czy mój dziadek od początku nie miał racji, uważając, że w niebie kryje się pewien rodzaj magii.

Nick i ja oficjalnie byliśmy parą, ale nie chcieliśmy niczego przyspieszać. Nie mogliśmy przecież wymazać tych prawie dziewiętnastu lat, które minęły, ani dzielących nas sześciuset

kilometrów. Nick miał swoje życie i firmę w Atlancie, a ja tu, w Orlando. Nadal pracowałam jako freelancerka i chociaż nie była to moja wymarzona kariera, jakoś dawałam sobie radę. Pewnie któregoś dnia wrócę do Atlanty, jeśli Nick mnie o to poprosi. Trochę już o tym rozmawialiśmy, krążąc wokół tematu, i chyba obojgu nam zależy na tym, żeby być razem. Przyspieszanie czegokolwiek wydawało się mało rozsądne, ale teraz, po śmierci mojego ojca, w zasadzie nic mnie tu już nie trzymało.

Na początku grudnia przedstawiłam Nicka tacie i obaj się polubili, co wiele dla mnie znaczyło. Kiedy następnego dnia po południu odwiedziłam ojca w szpitalu, ścisnął mnie za rękę i powiedział łagodnie:

– Miło cię widzieć szczęśliwą. Nigdy nie zapomnij o tym, co do niego teraz czujesz, jak bardzo go kochasz. – Zaniósł się męczącym kaszlem; tak bardzo chciałabym zdjąć z niego przynajmniej część bólu. – Dlaczego dopiero w ostatnich miesiącach dotarło do mnie, że rodzina jest wszystkim? – zapytał, gdy znowu mógł nabrać powietrza. – Przecież zawsze tak było.

Kiwnęłam głową, myśląc o tym, jak miło znowu być jego córką. Przyszło mi też do głowy, że wiadomość o naszym pojednaniu wywołałaby uśmiech na twarzy mamy. Przez całe lata wydawało mi się, że odebrałaby to jako zdradę, ale teraz już wiedziałam, że zależałoby jej przede wszystkim na moim szczęściu.

Dwa tygodnie przed śmiercią ojciec zapytał mnie o moją córkę po raz pierwszy, odkąd rozmawialiśmy o niej w Atlancie.

– Była do ciebie podobna?

Jego skóra była zimna i lepka w dotyku, gdy złapał mnie lekko za rękę, i wiedziałam, że to początek końca.

– Może trochę. Ale bardziej do Nicka. Miała też nos mamy i twoją mimikę.

– Była podobna do mnie? – Oczy mu zwilgotniały.

– Trochę. Była zdrowa, tato. Ważyła trzy i ćwierć kilograma, chociaż przyszła na świat trzy tygodnie przed terminem. Miała się urodzić trzydziestego pierwszego października, ale pojawiła się już ósmego, wrzeszcząc na całe gardło. – Uśmiechnęłam się, a ojciec odpowiedział mi tym samym. – Urodziłam ją w Bayfront Medical Center w St. Pete i nie znałam w tym mieście nikogo poza babcią

Margaret. W chwili, gdy po nią przyszedli, czułam się samotna jak nigdy. Będąc w ciąży nie zdawałam sobie sprawy z tego, jakie to komfortowe uczucie mieć ją cały czas przy sobie. Kiedy mi ją zabrali, poczułam się tak, jakbym straciła część siebie. Szkoda, że tego nie przewidziałam.

– Wygląda na to, że najważniejszych rzeczy w naszym życiu dowiadujemy się zbyt późno – stwierdził ojciec.

– Tak. – Czułam, że mówi nie tylko o Catherine. – Wiesz, parę miesięcy temu odwiedziłam grób mamy. Prosiłam ją, żeby pomogła mi odnaleźć Catherine, bo chciałam się upewnić, że nic jej nie jest. Czy ty... wierzysz w takie rzeczy?

– Że twoja mama może cię usłyszeć w niebie? Myślę, że wszystko jest możliwe, skarbie. – Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz nie zdołał, bo dopadł go kolejny atak kaszlu.

Później, gdy już kupiłam sobie napój w automacie na końcu korytarza, a pielęgniarka przyniosła mojemu ojcu szklankę wody, tata uniósł ją w geście toastu.

– Za drugie szanse, jakiegokolwiek by one były – powiedział, patrząc mi w oczy.

– Wypiję za to.

– Zasługujesz na każdy rodzaj szczęścia, Emily – wymamrotał.

Dwa tygodnie później odszedł. Po jego śmierci jakimś cudem przeszłam od braku rodziny do zacieśnienia więzi z ludźmi, którzy kiedyś stanowili część życia mojej babci. W styczniu odwiedziłam Belle Creek, żeby osobiście opowiedzieć Jeremiahowi i Julie prawdziwą historię miłości moich dziadków, i od tamtej pory dzwoniliśmy do siebie. Skontaktowałam się też z Franzem, który przysłał kwiaty na pogrzeb mojego ojca, i prawie co tydzień rozmawiałam z Arno Frommem, który chętnie dzielił się ze mną wspomnieniami na temat mojego dziadka. Miałam wrażenie, jakbym na każdym kroku odkrywała fragmenty swojej przeszłości, dzięki czemu czułam, że krąg życia mojej rodziny stał się niemal kompletny.

Może właśnie to próbowała mi przekazać tego ranka tęcza – że mam prawo sięgać po wszystkie barwy radości oraz każdy rodzaj szczęścia, zgodnie z tym, co powiedział mi ojciec. Do pełni

szczęścia brakowało mi już tylko Catherine, lecz wiedziałam, że muszę nauczyć się z tym żyć.

Zrobiłam dwie rundki wokół jeziora i pobiegłam w stronę domu, pogrążona w myślach. Tęcza zbladła w coraz jaśniejszych promieniach słońca, ale wciąż była lekko widoczna, wskazywała mi kierunek. Gdy skręciłam z Shine Avenue w ulicę, przy której mieszkałam, dostrzegłam kobietę stojącą na progu mojego domu, zwróconą plecami do mnie. Pukała do drzwi, ściskając w lewej ręce jakąś kartkę.

– W czym mogę pomóc? – zawołałam do niej, wbiegając na podjazd.

Obróciła się w moją stronę, a ja stanęłam jak wryta. Od razu wiedziałam, kim jest.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, a właściwie dziewczyna, osiemnastolatka. – Szukam Emily Emerson.

– To ja – zdołałam z siebie wydusić.

– Och, ja nazywam się Megan Clarke – zawiesiła niepewnie głos.

– Megan – powtórzyłam z uśmiechem.

– Rzecz w tym, że chyba jesteś moją biologiczną matką. – Dziewczyna uniosła kartkę i pomachała nią nerwowo.

Zrobiłam parę kroków w jej stronę. Z powodu wzbierających łez obraz przed oczami zaczął mi się zamazywać.

– Dostałam ten list parę tygodni temu – mówiła dalej Megan. – Przepraszam, że tyle to trwało, ale chciałam przemyśleć parę rzeczy przed naszym spotkaniem. Mam nadzieję, że to w porządku.

– Oczywiście. Nawet więcej niż w porządku. – Nie mogłam przestać się w nią wpatrywać.

Była piękna: miała oczy po Nicku, jego wysokie czoło, a malutki nosek kojarzył mi się z moją mamą. Miała takie same dołeczki w policzkach jak siostra Nicka, Abby, i wąski podbródek zupełnie jak mój ojciec. Wzięła to, co najlepsze od każdego z nas i zarazem była jedyna w swoim rodzaju.

– Wspomniałaś o jakimś liście?

– Tak. Od Victora Emersona. Podobno jest twoim tatą, a moim dziadkiem. Czy to prawda?

Patrzyłam na córkę z niedowierzaniem. Podeszłam jeszcze bliżej, zatrzymując się tuż przed nią. Pragnęłam wyciągnąć rękę i jej

dotknąć, przytulić ją, by upewnić się, że jest prawdziwa, ale nie chciałam jej przestraszyć.

– Tak, jest moim tatą i twoim dziadkiem. A raczej był. Ale jak...?

Megan podała mi list napisany dziewiętnastego grudnia, zaledwie pięć dni przed jego śmiercią.

– Sama zobacz.

Kiedy zaczęłam czytać list, serce podeszło mi do gardła.

Droga Megan,

obawiam się, że ten list będzie dla Ciebie wielkim zaskoczeniem. Nazywam się Victor Emerson i chyba jestem Twoim biologicznym dziadkiem. Jeśli nie chcesz odnaleźć swojej biologicznej matki, przyjmij moje najszczerze przeprosiny za to, że się z Tobą skontaktowałem; możesz po prostu wyrzucić ten list. Jeśli jednak kiedykolwiek zastanawiałaś się nad swoim pochodzeniem, chętnie Ci o nim opowiem.

Niedawno dowiedziałem się, że moja córka Emily – dla której niestety byłem okropnym ojcem – wiele lat temu urodziła córkę i oddała ją do adopcji, ponieważ wydawało jej się, że w ten sposób zapewni swojemu dziecku lepsze życie. Wynająłem prywatnego detektywa, który twierdzi, że to Ty jesteś tym dzieckiem. Emily codziennie myślała o Tobie i martwiła się o Ciebie, więc jeśli nie czujesz się jeszcze gotowa, żeby ją poznać – albo w ogóle nie jesteś zainteresowana takim spotkaniem – wiedz, proszę, że Twoja matka mocno Cię kochała od samego dnia narodzin. Na pewno chciałyby, żebyś o tym wiedziała.

Być może trudno Ci to będzie zrozumieć, ale niezależnie od podejmowanych przez nas wyborów, miłość nigdy nie odchodzi. Wiem na pewno, że Emily kochała Cię każdego dnia swojego życia, tak samo jak ja zawsze kochałem ją. Proszę, nie czuj się w obowiązku, żeby nawiązać z nią kontakt – wiem, że ona nie chciałyby wywierać na Ciebie żadnej presji – ale jeśli kiedykolwiek myślałaś o kobiecie, która Cię urodziła, wiem, że chętnie wytłumaczy Ci, co się wtedy stało, i wydaje mi się, że to zrozumiesz.

Dawniej myślałem, że każde z nas będzie miało w życiu nieskończoną liczbę szans, żeby wszystko naprawić. Po co zawracać sobie głowę trudnymi sprawami dziś, skoro mogę się nimi

zająć jutro? – myślałem. Jednak w ostatnich miesiącach dotarło do mnie, że nigdy nie mamy gwarancji jutra i że jeśli od razu nie powiemy i nie zrobimy tego, co najważniejsze, możemy więcej nie mieć okazji.

Megan, poniżej znajdziesz numer telefonu i adres Emily wraz ze szczegółami dotyczącymi narodzin jej dziecka, żebyś mogła je porównać z własnymi. Nie czuj się jednak do niczego zobowiązana. Wiem, że Emily nie chce się wtrącać w Twoje życie. Ale jeśli kiedykolwiek chciałaś się dowiedzieć czegoś na temat swojej przeszłości i kobiety, która Cię urodziła, będziesz miała szansę się z nią skontaktować. Przede wszystkim pamiętaj, że jesteś kochana – przez nią, a teraz także przeze mnie – i jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, wystarczy jedno słowo.

Żałuję, że nie miałem okazji Cię poznać.

Z wyrazami miłości,

Victor

Gdy skończyłam czytać, spojrzałam na Megan, która też miała łzy w oczach. Życie bywało zdumiewające i nieprzewidywalne.

– Megan, tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziałam, oddając jej list. – Szukałam cię od dawna.

– Naprawdę? – spytała zdławionym głosem. – Zawsze myślałam, że po prostu o mnie zapomniałaś i żyłaś dalej.

– Ani przez sekundę.

– Ja po prostu... muszę wiedzieć, dlaczego mnie nie chciałaś. Chcę to zrozumieć.

– Nigdy nie było tak, że cię nie chciałam. Nigdy. Ale wejdź, proszę. Wszystko ci wyjaśnię, dobrze?

Megan przyglądała mi się przez długą chwilę.

– Okej – zgodziła się wreszcie.

Wyjęłam klucz spod wycieraczki i otworzyłam drzwi. Megan głęboko nabrała powietrza i weszła do środka, ale szybko się zatrzymała, wlepiając wzrok w obraz wiszący na ścianie po lewej stronie, ten, który podarowała mi Ingrid i który wisiał u mojego ojca aż do jego śmierci.

– Ten obraz przypomina dzieła Gaertnera – zauważyła. – Chociaż widać na nim twarze postaci. O rany, niebo wygląda dokładnie jak

u niego. Praca, którą dołączyłam do swojego podania o przyjęcie na studia, dotyczyła właśnie jego twórczości.

– Naprawdę? – spytałam zdławionym głosem. – To jest dzieło Gaertnera.

– Ale reprodukcja, tak?

– Nie, oryginał. – Patrzyłam, jak jest coraz bardziej zdziwiona. – Skąd tyle wiesz o Gaertnerze?

– Sama trochę maluję. Gaertner zawsze był moim ulubionym artystą.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Czy uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że talent do malowania masz we krwi?

Roześmiała się.

– Serio? To super. Jesienią zaczynam studia na wydziale malarstwa na Uniwersytecie Florydy.

Uśmiechnęłam się.

– Też tam studiowałam. Dziennikarstwo.

– Czyli obie kibicujemy drużynie Florida Gators? Ekstra. Możesz mi powiedzieć, skąd wzięłaś oryginalnego Gaertnera? Ten obraz musi być wart ze sto tysięcy dolarów.

– Zaraz ci wszystko opowiem – odparłam. – Ale czy mogę cię najpierw o coś zapytać?

Pokiwiała głową.

– Miałaś dobre życie? Czy twoi rodzice to dobrzy ludzie? Jesteś szczęśliwa?

Megan wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia; był to nasz pierwszy kontakt od ponad osiemnastu lat.

– Tak. U mnie wszystko w porządku. Mam wspaniałych rodziców.

– To dobrze – szepnęłam. – Bardzo się cieszę.

Gdy zaczęła mi nieśmiało opowiadać o dzieciństwie spędzonym w Sarasocie, o młodszej siostrze Anne, ich psie Dexterze oraz mamie Heather i tacie Martinie, coś sobie uświadomiłam. Chociaż podjęłam decyzję o oddaniu córki do adopcji z niewłaściwych powodów, osiągnęłam swój cel. Może nigdy nie było mi pisane jej wychować, ale miała dobre życie.

W końcu mogłam się zacząć pozbywać całego tego poczucia winy, z którym borykałam się przez długie lata. Może nigdy nie

powinam była go w sobie nosić. A jeśli chciałam ruszyć ze swoim życiem do przodu, nie powinam dłużej oglądać się za siebie.

– Victor – odezwała się po chwili Megan. – Mój dziadek, a twój tata. Mieszka gdzieś niedaleko? Podał mi tylko twój telefon i adres, swojego nie.

Zawahałam się.

– Przykro mi, ale Victor zmarł kilka dni po tym, jak wysłał ci ten list, Megan.

Jej usta ułożyły się w pełne niedowierzania „o”.

– Mój Boże – szepnęła. – Tak mi przykro.

– Mnie też. Na pewno bardzo chciałby cię poznać. Myślę, że byłby szczęśliwy, wiedząc, że jesteśmy tu teraz razem.

Megan zmarszczyła brwi.

– Byliście ze sobą blisko związani?

– Tak. Przynajmniej pod koniec jego życia. – Poczułam pod powiekami palące łzy, więc szybko zmieniłam temat. Na pewno nie zabraknie mi czasu, żeby opowiedzieć Megan o moim tacie, a także o mamie i dziadkach. – Wiesz, twój ojciec też będzie chciał cię poznać.

Megan wytrzeszczyła oczy.

– Jest tutaj?

– Mieszka w Atlancie. Założę się jednak, że wsiądzie w pierwszy samolot do Orlando, gdy tylko mu powiem o twoim przyjeździe.

– Naprawdę?

Pokiwałam głową. Nie mogłam się doczekać, by powiedzieć Nickowi, i jednocześnie pragnęłam, by ta chwila sam na sam z Megan trwała jak najdłużej.

– Napijesz się czegoś? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Może wody.

– Już przynoszę.

Gdy zjawiłam się chwilę później z dwiema butelkami wody, Megan wpatrywała się w obraz, stojąc tyłem do mnie. Obróciła się z malującym się na twarzy zachwytem, gdy wyczuła, że podeszłam.

– Ta kobieta na obrazie to ty, prawda?

Przytaknęłam.

– Razem z twoim dziadkiem i twoimi pradiadkami.

– Poważnie? Ralph Gaertner naprawdę was znał?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Myślę, że na swój sposób znał nas od zawsze.

Pokręciła głową i ponownie zwróciła się w stronę obrazu.

– Jest piękny – wymamrotała, a ja nie wiedziałam, czy ma na myśli obraz, czy ten moment.

– Tak – zgodziłam się ze swoją córką. W końcu doczekałam się świetlanej przyszłości, której zawsze szukałam, oraz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. – Bardzo piękny.

Podziękowania

Szczególne podziękowania należą się moim dwóm ulubionym osobom na całym świecie: mojej niesamowitej agentce, Holly Root, i równie wspaniałej redaktorce, Abby Zidle. Jestem im wdzięczna nie tylko za tę cudowną relację zawodową, która nas łączy, lecz także za niezwykle dla mnie cenną przyjaźń. Dziękuję, że we mnie wierzycie, walczyście o mnie i pomagacie mi jeszcze lepiej opowiedzieć wymyślone przeze mnie historie.

Moja cudowna wydawczyni Kristin Dwyer: jesteś prawdziwą gwiazdą rocka, kumpelo. Nie chodzi tylko o perfekcyjny sposób, w jaki literujesz swoje imię – mrug, mrug – lecz także o twój niezmacony spokój i wspaniałomyślność.

Ogromne podziękowania kieruję również do Dany Spencer, mojej agentki sprzedaży praw filmowych, która w razie potrzeby byłaby pewnie w stanie wynegocjować dla mnie umowę nawet pod wodą, z rękami związanymi na plecach. Jesteś niesamowita, mamuśko! Dziękuję także uroczej Heather Baror-Shapiro, która pomogła mi zaprezentować moje książki światu: nie potrafię wyrazić słowami, jaka jestem Ci wdzięczna.

Wyrazy wdzięczności należą się także: Marli Daniels, Louise Burke, Jennifer Bergstrom, Jen Long, Liz Psaltis, Dianie Velasquez, Melanie Mitzman, Mackenzie Hickey, Laurie McGee, Christine Masters, Alexandrowi Rothmanowi, Chelsei McGuckin, Taylor Haggerty, Juliannie Wojcik, Ashley Lopez, Kim Yau oraz reszcie cudownych osób, z którymi współpracuję w Gallery Books, Waxman Leavell Literary Agency oraz Paradigm Talent Agency.

Evo Schubert (moja pierwsza niemiecka wydawczyni) i Elisabetto Migliavady (moja włoska wydawczyni): jestem Wam niewymownie wdzięczna za Wasze wsparcie, słowa zachęty i przyjaźń. Dziękuję całej redakcji wydawnictwa Blanvalet (a szczególnie Julii Natzmer i Nicolii Bartels) oraz Garzanti (zwłaszcza Francesce Rodelli i Ilarii

Marzi), a także wielu innym cudownym zagranicznym wydawcom, redaktorom i publicystom. Specjalne podziękowania kieruję do Bettiny Schrewe i oczywiście Farleya Chase'a. Mam ogromne szczęście, że jesteście obecni w moim życiu i że dzięki Waszej pomocy mogę dotrzeć do tak ogromnej rzeszy czytelników na całym świecie.

Przy okazji pracy nad jedną z moich poprzednich powieści, *Plan na życie*, otrzymałam niebywałą szansę poznania scenarzystki Heather Hach i mam to szczęście, że dołączyła ona do grona moich bliskich przyjaciół. Zawsze będę myśleć, że nasza przyjaźń została z góry zaplanowana! Nie mogę się doczekać tych wszystkich cudownych wspólnych projektów, które wciąż na nas czekają, i jestem Ci dozgonnie wdzięczna za Twoją przyjaźń i wsparcie.

Nie napisałabym tej książki bez pomocy Butcha Wilsona z Clewiston Museum oraz Gregory'ego Parsonsa z Camp Blanding Museum. Obaj bardzo pomogliście mi zrozumieć życie niemieckich jeńców wojennych przebywających na Florydzie w czasie II wojny światowej. Szczególnie mocno dziękuję malarce Melissie Wolcott Martino za jedenastogodzinny wykład z dziedziny sztuki.

Dziękuję wszystkim moim wspaniałym koleżankom i kolegom po piórze, w szczególności mojej powierniczce i pisarskiej bratniej duszy Wendy Toliver, a także ekipie ze Swan Valley: Jayowi Asherowi, Lindzie Gerber, Alyson Noel, Aprilynne Pike, Allison van Diepen oraz Emily Wing Smith.

Jestem prawdziwą szczęściarą, bo moi bliscy są najwspanialszy na świecie. Mam tu na myśli szczególnie moją mamę Carol, tatę Ricka, Noaha, Karen, Dave'a, Barry'ego, Jamesa, Williama, Johannę, Janine, Donnę, Wandę, Marka, Brittany, Jarryda, Chloe, Boba, JoAnn, Steve'a, Janet, Anne, Freda, Jess, Grega, Merri, Dereka, Eleanor, rodzinę Troubasów i Courtney. Dziękuję także moim cudownym przyjaciołom, a szczególnie Kristen Bost, Eddiemu Bostowi, Coltonowi Bostowi, Marcie Golgoski, Melixie Carbonell, Lisie Wilkes, Lauren Elkin, Scottowi Pace'owi, Walterowi Caldwellowi, Jonowi Payne'owi, Christinie Payne, Brendanowi Boyle'owi, Kelly Galei, Nickowi Harrisowi, Sarze Sargent, Amy Tan, Courtney Dewey, Amber Draus, Megan Combs, Scottowi Moore'owi, Megan McDermott Lewis, Trish Stefonek, Robin Gage, Wendy Jo

Moyer, Chadowi Kunerthowi, Gillian Zucker, Chubby'emu Checkerowi, Jayowi Cashowi, Pat Cashowi Isaacsonowi, Andy'emu Cohenowi, Sanjeevowi Sirpalowi, Kat Green, Benowi Bledsoe, Joemu Grote'owi, Kathleen Henson, Andrei Jackson, Nancy Jeffrey, Karen Barber, Lauren Billings Luhrs, Zenie Polin, Kerry Reichs, Daryn Kagan, Samanthcie Phillips, Kate Atwood, Christinie Sivrich, Amy Ballot, Jasonowi Cochranowi, Alowi Martino, Karen Leigh oraz reszcie tych, których znam i kocham. Wiem, że wiele osób pominęłam... Ja po prostu mam cholerne szczęście, że otacza mnie tylu wspaniałych ludzi! Mogłabym ich wymieniać jeszcze przez wiele stron!

Szczególne podziękowania należą się uroczym Aestas (z Aestas Book Blog): Jenny O'Regan, Melissie Amster, Amy Bromberg oraz wszystkim pozostałym blogerom, którzy od lat tak cudownie mnie wspierają.

I wreszcie dziękuję Jasonowi: rozpiera mnie szczęście i duma, że jestem Twoją żoną. Nie mogę się już doczekać tych wszystkich przygód, które nas czekają.

Przypisy

1. Słynna dziewczyna-detektyw, bohaterka amerykańskiego cyklu powieści kryminalnych dla młodzieży. [\[wróć\]](#)